

JUSTIN SOMPER

KRWAWY KAPITAN

Przełożył Piotr W. Cholewa

*Jenny, Jo i Jonathanowi.
Krew jest gęściejsza niż woda!*

Rozdział 1

Bocianie gniazdo

- Dalej, Connor! Dasz radę! - W górę, kolego! Wyżej! Na twarzy Connora Tempesta pojawił się grymas. Chłopiec miał wrażenie, że nogi równocześnie ciężą mu jak ołów i są miękkie jak galareta. Popełnił błąd, zatrzymując się w połowie drogi. Przecież dotąd dobrze sobie radził. Próbował pokonać swój lęk. Najwyższy czas... a właściwie o wiele za późno. Ale strach tkwił w nim głęboko, ogromny i nieporuszony niczym kotwica zaczepiona o skałę. Walczył z pokusą, by spojrzeć w dół. Z wysiłkiem kierował wzrok wprost przed siebie, wiedząc, że patrzenie w dół to najgorsze, co można zrobić. Czuł, że jego spojrzenie ściągane jest jak magnesem ku pokładowi leżącemu wiele metrów - zbyt wiele - poniżej. A potem dalej, po burcie Diabła i w głąb oceanu. Jeśliby człowiek się nad tym zastanowił - a na pewno nie powinien się nad tym zastanawiać - byłby to bardzo długi upadek.

- Nie patrz w dół! - Głos Cate dotarł do niego mocny i zdecydowany.

Gdyby tylko Connor mógł się poczuć tak pewnie, jak przemawiała zastępczyni kapitana...

- Dalej, chłopcze! - wołał kapitan Wrath. - Walczyłeś już z gorszymi wrogami niż parę metrów takielunku!

Szczerą prawdą, przyznał w duchu Connor. Pamięć wyświetliła mroczne obrazy z ostatnich trzech miesięcy. Pogrzeb ojca. Sztorm na morzu, po którym tylko dzięki Cheng Li uniknął śmierci. Rozdzielenie z Grace. Śmierć przyjaciela, Jeza. Zdrada Cheng Li, komandora Kuo i Jacoby'ego Blunta. Ta straszna noc, kiedy prowadził atak na Sidorii i Jeza... nie, nie Jeza, ale tego stwora, którym Jez się stał. Gorące wspomnienie tamtej nocy jarzyło się w nim jak ogień, jak żagwie, które rzucali ponad wodą na pokład wrogiego statku, jak płomienie, które ogarnęły jego przyjaciela... echo jego przyjaciela...

- Dalej, Connor!

To była Grace. Chociaż wróciła na statek wampiratów, to jej głos - czysty i wyraźny - dodał Connorowi hartu ducha, którego tak bardzo potrzebował. Po wszystkim, co przeszedł, nie pozwoli się pokonać temu pozostałemu jeszcze lękowi, śmiesznemu lękowi wysokości.

Ostrożnie zdjął z wanty prawą dłoń; na skórze pozostał czerwony i głęboki ślad po linie. Uświadomił sobie, jak mocno się trzymał. Zabrzmiał dzwon okrętowy. Zaskoczony Connor zachwiał się, ale zaraz rozpoznał sygnał zmiany wachty i opanował się szybko. Teraz albo nigdy, pomyślał. Sięgnął w górę, do następnego kwadratu takielunku, i odetchnął głęboko. Nie patrzył w dół. Nie patrzył też w górę. Skupił wzrok na własnych dłoniach i czworobokach z lin. Każdy z nich był podobny do poprzedniego - sznurowe okienko, ukazujące kawałek nieba. Jeśli się na tym skoncentrował, to wcale nie odczuwał, że się wspina.

Nagle zdał sobie sprawę, że nogi już mu się nie trzęsą. Poruszały się pewnie, szukając kolejnego stopnia, odnajdując właściwy rytm. Oddech także się uspokoił. Connor panował nad sobą. Robił to, co zaplanował. Pokonywał własny strach. Czuł się z tym dobrze. Tak dobrze...

Zatracił się we wspinaczce i dopiero kiedy usłyszał z pokładu radosne okrzyki, zrozumiał, że dotarł do celu. Spojrzał w górę. Jego ręka dotknęła nie liny, ale drewnianej ramy bocianiego gniazda. Pozostało tylko wciągnąć się na punkt obserwacyjny.

Ogarnął go chłód. Trudno było nie myśleć o tym, jak wysoko znalazł się nad pokładem. I nie miał uprząży, która by go chroniła. To szaleństwo, wchodzić tak wysoko, zdawać się na łaskę rozkołysanego oceanu. Raz jeszcze zalała go lodowata fala strachu, ale zacisnął zęby i czekał, aż odpłynie. Lęk przylgnął do niego, ale Connor nie zamierzał się poddawać. Nie teraz. Miał w końcu powody, by się tu znaleźć - ktoś musiał obsadzić bocianie gniazdo - by trzymać wachtę, wcześniej uprzedzać o zagrożeniu lub okazji do ataku. Wejście tutaj wiązało się z bezpieczeństwem załogi. A w ciągu trzech miesięcy, odkąd znalazł się na pokładzie Diabła, ci ludzie stali się dla niego czymś więcej niż kolegami. Bart, Cate i kapitan Wrathe byli jak nowa rodzina. Nie mogli zastąpić Grace, oczywiście, ale Grace ruszyła własną drogą. Oprócz niej wszyscy bliscy mu ludzie na świecie przebywali na pokładzie tego statku. I jeśli tak na to spojrzeć, wejście tutaj miało głęboki sens - z tego miejsca mógł bowiem ich ochraniać.

Kiedy postawił stopy na drewnianej platformie, na pokładzie zabrzmiały kolejne okrzyki. Pokusa, by popatrzeć w dół, stała się teraz silniejsza. Oparł się jej i spojrział przed siebie. Daleko, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się nieskończony, roziskrzony błękitny ocean. Jego nowy dom.

W oddali, na tle przedwieczornego słońca, zauważył sylwetkę statku. W bocianim gnieździe umieszczono niewielką lunetę, więc Connor sięgnął po nią i przez szkło popatrzył na horyzont. Musiał poszukać statku, ale po chwili miał go już w polu widzenia. Był to galeon, trochę nawet podobny do Diabła. Może to statek piracki? Wyostrzył obraz i uniósł lunetę, by lepiej zobaczyć banderę. Tak, inny piracki statek, to pewne. Zdawało się, że płynie kursem przez zatokę - zatokę, która za statkiem wyginała się w stronę horyzontu. Connor uśmiechnął się - dobrze wiedział, dokąd zmierza: do ulubionego wodopoju każdego pirata, tawerny Mamy Kettle.

Kiedy Connor z powrotem umieścił lunetę w uchwycie, na bocianim gnieździe wylądował mały ptak. Po rozdwojonym ogonie Connor rozpoznał szarą mewę. Zerknęła na niego pospiesznie, machnęła skrzydłami i odleciała, a on spoglądał za nią, aż zatraciła wyraźny kształt, zmieniła się w czarną plamkę, a potem zniknęła. Uśmiechnął się do siebie. To był mój strach, pomyślał. Już go nie ma.

- Dobrze wejście, kolego! - Bart klepnął dłoń Connora, gdy chłopiec zeskoczył z ostatniego metra na pokład.

- Robi wrażenie - przyznał pirat stojący obok Barta.

- Dzięki, Gonzales.

- Nie, poważnie - zapewnił pirat. - Pół godziny wejścia, a później w trzydzieści sekund jesteś znowu na dole.

Wyszczrzył zęby.

Connor pokręcił głową. Dopiero po śmierci Jeza Stukeleya zaczął bliżej poznawać Brendena Gonzalesa. Nie mógł zastąpić Jeza, ale miał podobnie lakoniczne poczucie humoru.

- Jestem z ciebie dumna - oświadczyła Cate. Podeszła do niego i ucisnęła, co nie było dla niej typowe. - Wiem, jak ci trudno - szepnęła chłopcu do ucha.

- Wspaniały sukces - rzekł rozpromieniony kapitan Wrathe.

Scrimshaw, wąż kapitana, owinał się wokół jego przegubu i nawet on zdawał się patrzeć na Connora z podziwem.

- Zbierzcie się tu wszyscy! - zarządził kapitan Wrathe. - Sądzę, że należy godnie uczcić sukces pana Tempesta! A wy?

Z całego pokładu odpowiedziało mu chóralnie:

- Tak jest, kapitanie!

I znowu Connor miał uczucie przynależności do wielkiej, wędrującej po oceanie rodziny.

- Dziś wieczorem odwiedzimy lokal znany jako tawerna Mamy Kettle! - zawołał Wrathe. Odpowiedziały mu krzyki radości. Bart i Gonzales unieśli Connora na ramionach.

- Puśćcie mnie! - wrzasnął.

- Oj! - rzucił Bart. - Nie dostałeś chyba znowu zawrotu głowy?

Razem z Gonzalesem zaśmiali się głośno.

- Nie - odparł Connor. - Postawcie mnie. Mam wiadomość dla kapitana.

- Akurat ci wierzę! - zakpił Bart. - To prawda - upierał się Connor. - Postawcie mnie! -

Jeśli masz wieści dla kapitana - krzyknął Molucco Wrathe - możesz mu je przekazać ze swojego miejsca!

- No dobrze - ustąpił Connor, balansując na ramionach przyjaciół. - Prawdopodobnie nie ma powodów do niepokoju. Ale kiedy stałem w bocianim gnieździe, zobaczyłem piracki statek.

- W naszym akwenie? - huknął gniewnie Molucco.

Ironia tych słów dotarła do załogi, która serdecznym śmiechem przyjęła jego oburzenie. Wszyscy wiedzieli, że kapitan Wrathe żywi niewielki - a raczej żaden - szacunek dla systemu przydzielania akwenów, narzuconego przez Federację Piracką.

Connor przytaknął.

- W naszym akwenie, ale nie sądzę, żeby miał nam sprawiać kłopoty. Wydawało mi się, że po prostu płynie najkrótszą drogą do Mamy Kettle.

- Rozumiem - rzekł Molucco. Sięgnął pod swój niebieski surdut i wyjął składaną lunetę. Rozciągnął ją na całą długość i przysunął do oka, zamykając równocześnie drugie. - Z jakiego kierunku płynął?

- Północ na północny zachód - odparł Connor.

Nie odrywając lunety od oka, wciąż zaciskając powiekę drugiego, kapitan odwrócił się i niewiele brakowało, a uderzyłby Cate w nos.. Na szczęście pierwszy oficer miała znakomity refleks.

- A tak... Widzę... - Wyregulował obiektyw lunety. - Niech się przyjrzę...

Milczał przez chwilę.

- Widzi go pan? - upewnił się Connor.

Przez chwilę trwała cisza i chłopiec chciał już powtórzyć pytanie, gdy kapitan w końcu się odezwał.

- Tak, chłopcze. Widzę.

Z tonu głosu poznali, że coś jest nie w porządku. Cate stanęła bliżej, u boku kapitana. Bart i Gonzales zdjęli Connora z ramion i ostrożnie postawili na deskach.

- Co się stało, kapitanie? - spytała Cate.

Zdawało się, że zatonął w myślach. Jakby w zwolnionym tempie opuścił i złożył lunetę. Wyglądał na oszołomionego.

- Dzień nadszedł - oznajmił.

- Co pan ma na myśli? - dopytywała się Cate. - Czy powinniśmy coś wiedzieć o tym statku?

- Przekonacie się niedługo - odparł Molucco. - Cate, idę do swojej kajuty. Weź kurs na Mamę Kettle.

- Ale, kapitanie... - nie ustępowała Cate. - Jeśli coś nam grozi, chciałabym wiedzieć...

- Wykonaj rozkaz - rzucił ze znużeniem Molucco i odszedł.

- Zastanawiam się, co go ugryzło - mruknął Bart, gdy kapitan zniknął pod pokładem.

Cate wzruszyła ramionami.

- Jak powiedział, niedługo się przekonamy. - Westchnęła. - Oczywiście, miło by było, gdyby od czasu do czasu o czymś uprzedził. W końcu jestem jego zastępcą... przynajmniej oficjalnie.

- Uszy do góry, Cate. - Bart ścisnął ją za ramię. - Nie bierz tego do siebie.

Cate uniosła rękę i zdjęła z ramienia dłoń Barta.

- To - oświadczyła - jest wysoce nieregulaminową... - Zniżyła głos. ...Ale przyjętą z wdzięcznością oznaką wsparcia. - Z uśmiechem zwróciła się do załogi. - Do roboty! Zmienić hals, kurs na Mamę Kettle! Żywo!

Connor ruszył przed siebie po pokładzie.

- Gdzie się tak spieszysz, kolego? - zawołał za nim Bart.

- Chcę wziąć szybki prysznic - wyjaśnił Connor.

- Cały jestem brudny po tej wspinaczce i muszę się odświeżyć przed wizytą u Mamy Kettle.

Bart rzucił mu znaczące spojrzenie.

- Odświeżyć się, tak? Oczywiście nie po to, żeby zrobić wrażenie na pewnej damie, która przypadkiem u Mamy pracuje, co? - Uśmiechnął się szeroko. - Hej, czerwienisz się!

- Wcale nie! - zaprzeczył Connor. - To słońce mnie przypaliło na bocianim gnieździe, i tyle!

- No, no... - zarechotał Bart. - Nasz chłopczyk szybko dorasta, nie ma co!

On i Gonzales chwycili Connora i zmierzwili mu włosy.

- Przestańcie! - wrzasnął chłopak, wyrwał się i skoczył pod pokład, żeby się przygotować.

Przyjemnie było wkroczyć na znajomy teren Mamy Kettle. Jeśli Diabło stał się dla Connora domem, to tawerna Mamy Kettle zajmowała drugie miejsce. Zawsze ogarniało go uczucie podekscytowania, gdy słyszał chlupot wielkiego młyńskiego koła i wraz z towarzyszami przestępował próg.

Wraz z Bartem i Gonzalesem wkroczyli do głównej sali. Kilka głów zwróciło się w ich stronę. Connor zauważył, że niektóre z kelnerek uśmiechają się do niego, i zaczerwieniony odpowiedział uśmiechem. Wciąż się nie przyzwyczał do uwagi, jaką ostatnio poświęcali mu inni. Przynależność do załogi Molucca Wrathe'a w kręgach pirackich nadawała człowiekowi status gwiazdy. Można było Molucca kochać albo nienawidzić, ale nie dawało się pozostawać obojętnym.

W sali panował gwar, jak zawsze. Przed barem tłoczyły się załogi licznych pirackich statków. Niektórzy szczęśliwcy mogli liczyć na miejsca za aksamitnym sznurem, przy stołach dla specjalnych gości. Inni szukali odosobnionych boksów na górze. Connor zauważył stojącą przy barze Cate. Pomachała do nich, wzywając całą trójkę do siebie.

- I co? Odkryłaś, co gryzie kapitana? - zapytał Bart, gdy wraz z Connorem i Gonzalesem dołączyli do przyjaciółki.

- Nie. - Pokręciła głową. - Odkąd zobaczył ten statek, prawie się do mnie nie odzywa.

- Gdzie jest teraz?

- Tam. - Wskazała. - Na pewno opowiada Ma wszystko, o czym nie uznał za stosowne mnie poinformować.

Spojrzeli w stronę oddzielonej sznurem części sali, gdzie w towarzystwie Molucca siedziała Mama Kettle. Kiwała współczująco głową, jedną ręką gładziła go po ramieniu, a drugą nalewała solidnego drinka.

- Są przecież starymi przyjaciółmi - przypomniał Bart.

- Owszem - przyznała Cate. - Ale ja jestem pierwszym oficerem i powinnam coś wiedzieć o tym, co dzieje się w jego głowie. - Westchnęła. - Naturalnie domyślacie się, o co mu naprawdę

chodzi, prawda? Ma do mnie pretensję o to, co zaszło na Albatrosie. I słusznie. Bóg świadkiem, że sama się o to obwiniam.

Connor zwiesił głowę. Trudno było zapomnieć o tamtym tragicznym dniu - kiedy pozornie łatwe zwycięstwo zmieniło się w koszmar dla wszystkich. Ten dzień zakończył się śmiercią Jeza, ich przyjaciela i towarzysza.

- Spokojnie - wtrącił Bart. - Wszystkich nas wtedy zaskoczyli.

- Tak - zgodziła się Cate. - Ale ja...

- Wiemy. Jesteś pierwszym oficerem.

Cate pokręciła głową.

- Chciałam powiedzieć, że nie powinnam dać się zaskoczyć.

Connor widział cierpienie na jej twarzy. Pragnął powiedzieć coś, co by ją pocieszyło, ale naprawdę nie potrafił nic wymyślić.

- Posłuchaj - rzekł Bart. - Nasz młody Tempest pokonał dzisiaj swój wielki lęk i powinniśmy się z tego cieszyć. Może więc wciągniemy uśmiechy na twarze i trochę się zabawimy?

- Amen - zakończył Gonzales i z tacy jednej z dziewcząt porwał drinka. - Śliczna jesteś - zwrócił się do niej. - Nowa?

Dziewczyna zaczerwieniła się, pokręciła głową i ruszyła dalej. Bart parsknął śmiechem.

- To mała Jenny, głupku - wyjaśnił. - Nie widziałeś jej jeszcze?

- Nie wydaje mi się - odparł Gonzales. - Ale od teraz będę jej wypatrywał. Mała Jenny!

Słyszac swoje imię, dziewczyna obejrzała się przez ramię, a Gonzales uniósł ku niej kufel.

- Istny z niej anioł, muszę przyznać.

Bart wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco. Cate zwróciła się do Connora.

- Przepraszam za moją gadkę - powiedziała. - Dobrze się dzisiaj spisałeś i zasługujesz na trochę zabawy.

- W porządku - uspokoił ją Connor. - Wiem, że nie jest ci łatwo.

- Nie - przyznała Cate. - Ale to moje problemy i nie powinnam zwracać ci nimi głowy.

- Powinnaś. Możesz sobie być pierwszym oficerem, ale jesteś przede wszystkim przyjacielem.

W tej właśnie chwili w tawernie rozległ się głośny krzyk:

- Molucco Wrathe!

Connor, Bart, Cate i Gonzales obejrzeni się. Na drugim końcu sali zobaczyli, jak Molucco i Ma nieruchomieją na moment, a potem odwracają się powoli. Głos zahuczał znowu:

- Molucco Wrathe!

Wysoki, potężny mężczyzna wkroczył w krąg światła pośrodku sali. Tuż za nim szli uderzająco piękna kobieta i chudy nastolatek. Po stroju mężczyzny Connor poznał, że to kapitan. Było w nim coś dziwnie znajomego.

- Więc dlatego nasz kapitan był taki niespokojny! - zawołała Cate.

- Nie rozumiem - przyznał się Connor. - Kto to taki?

- To Barbarro Wrathe - wyjaśnił Bart. - Brat Molucca.

Rozdział 2

Wyprawa

Chłód kąsał na pokładzie Nokturnu, gdy galeon kołysał się na wodach niewielkiej zatoczki u stóp potężnej góry. Była tak wysoka, że nie dało się stwierdzić, dokąd sięga szczyt, choć Grace jak najmocniej odchyłała głowę do tyłu. Nie pomagał oczywiście fakt, że panowała absolutna ciemność, jeśli nie liczyć srebrzystych promieni księżyca, które nie przydawały się na wiele, padając na drugi koniec pokładu. Większość zwykłych ludzi uznałaby za głupotę, by w środku nocy wyruszać na wyprawę po nieznanych, oblodzonych górskich ścieżkach. Jednakże, jak uświadomiła sobie dziewczyna, ani jednego z uczestników ekspedycji nie można było określić mianem „zwykłego”. Niektórzy powiedzieliby nawet, że trzeba by mocno naciągnąć znaczenie słowa „ludzie”, by nazwać ich w ten sposób.

Kiedy tak na próżno wycęzała wzrok, poczuła, że wełniany beret ześlizguje się jej z głowy. Natychmiast ogarnął ją chłód. Poprawiła beret i wyprostowała się. Nakrycie głowy, podobnie jak resztę wierzchniej garderoby, pożyczyła od swojej przyjaciółki Darcy Flotsam, która teraz stała obok niej.

- Na pewno nie jest ci zimno, Grace? - spytała.

- Mogę zaraz pobiec do kabiny i przynieść ci któreś z moich futer. Powiedz tylko słowo!

- Już ci mówiłam, Darcy - zniecierpliwiła się Grace. - Nie chcę nosić futra. Żadne zwierzę nie powinno ginąć tylko po to, żeby było mi cieplej.

Darcy z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Ale one są takie miękkie i ciepłutkie! Poza tym nie wydaje się, żeby ten lis, z którego pochodzi moje futro, miał w najbliższym czasie wrócić do życia. Czyli nic złego się nie stanie.

- Nie, Darcy - odparła stanowczo Grace. - W żadnym wypadku. Ten płaszcz jest dostatecznie ciepły, dziękuję.

Darcy uśmiechnęła się do niej.

- Tak bym chciała iść z wami - wyznała. - Nie sędzę, żeby spodobała mi się wspinaczka, ale zrobiłabym to, żeby być blisko ciebie i porucznika Fureya.

- Wiem, Darcy, i Lorcan też wie. - Grace również uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Ale kapitan uważa, że im mniej z nas zejdzie ze statku, tym lepiej.

Obie spojrzały na zamknięte drzwi kajuty kapitana. Za nimi instruował oficerów, jak dowodzić statkiem w czasie jego nieobecności.

- Kapitan bardzo rzadko opuszcza statek - oświadczyła Darcy. - Teraz zdecydował się podjąć to ryzyko, co pokazuje, jak bardzo mu zależy na poruczniku Fureyu.

Ryzyko? Grace nie myślała o tym w ten sposób. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że wobec ostatnich wydarzeń, wobec buntu po odejściu Sidoria, kapitan rzeczywiście ryzykuje, pozostawiając innych wampiratów choćby na kilka dni. Sidorio naruszył reguły panujące na statku, w szczególności kapitański rozkaz, ograniczający spożywanie krwi do jednej Uczty w tygodniu. Wprawdzie został za to wypędzony i zniknął, jednak zdążył zasiać ziarna wątpliwości. Teraz również inni członkowie posłusznej dotąd załogi pytali, czemu i oni nie mogą częściej dostawać krwi. Grace wiedziała, że po Sidoriu kapitan wypędził jeszcze trójkę buntowników. Dołączyli do zdradzieckiego wampirata i zaczęli bez opamiętania przelewać ludzką krew, aż wreszcie zostali zniszczeni - przez jej brata, Connora. Connora bohatera.

Dziwnie myśleć w ten sposób o bliźniaczym bracie. W ciągu tych kilku krótkich miesięcy od śmierci ojca, od opuszczenia Księżycowej Zatoki, wydarzyło się tak wiele... Jakże byli wtedy naiwni, myślała Grace. Wierzyli, że wyruszenie na morze da im możliwość ucieczki. W pewnym sensie tak właśnie się stało. Ale podróż przyniosła również sytuacje, kiedy ich życiu groziło niebezpieczeństwo. Teraz Connor został - ku niezadowoleniu siostry - piratem na pokładzie słynnego statku Diabło. A może, ku jeszcze większemu niepokojowi brata, Grace była stałym gościem na pokładzie Nokturnu, statku piratów-wampirów, czyli wampiratów. Każde z nich pragnęło, żeby drugie z rodzeństwa nabrało rozsądku i przyłączyło się do niego - przekonało się, że właśnie jego wybrany statek jest tym właściwym. Jednak w końcu nadeszło zrozumienie, że przynajmniej na razie muszą oboje podążać własnymi drogami. Ale nie wpłynęło to na ich uczucia wobec siebie nawzajem.

Stała więc teraz na pokładzie Nokturnu, czekając na kapitana i swego drogiego przyjaciela Lorcana, z którymi miała wkrótce wyruszyć z ważną misją na szczyt tej wielkiej

góry, do miejsca zwanego Sanktuarium. Mieszkał tam guru wampiratów, Mosh Zu Kamal, którego chcieli prosić, by spróbował uleczyć ślepotę Lorcana.

Grace raz jeszcze spojrzała na zbocza góry. Zastanawiała się, ile czasu trzeba, by dotrzeć do Sanktuarium. Wspinaczka może się okazać bardzo trudna. Już teraz się martwiła, jak poradzi sobie Lorcan. Nie chodziło tylko o ślepotę, ale też o to, że ostatnio bardzo osłabł. Jeszcze kilka dni temu prawdziwym wysiłkiem było wyprowadzenie go na górny pokład statku...

- Skończyłem swoje sprawy - usłyszała znajomy szept i na pokładzie pojawił się kolejny uczestnik wyprawy.

Od stóp do głów okryty czernią, wyglądał jak wyrzeźbiony z samej nocy. Innych niepokoił czasem widok tego wysokiego, stanowczego mężczyzny w skórzastej pelerynie, na której zapalały się czasem żyłki światła - tak jak na skrzydlatych żaglach statku wampiratów. Lęk budziła maska, jaką nosił, i to, że nigdy nie zdejmował czarnych rękawiczek. Niektórzy drżeli na dźwięk jego głosu, który nie rozbrzmiewał w powietrzu jak głosy ludzi, ale rozlegał się bezpośrednio w głowie niby lodowaty szept, niezmienny głośności ani wysokości. Jednak w czasie stosunkowo krótkiej znajomości z kapitanem wampiratów Grace dostrzegła w nim osobę mądrą i pełną współczucia - bardziej ludzką niż ktokolwiek, kogo poznała w życiu. Być może z wyjątkiem ukochanego zmarłego ojca. W pewien sposób, uświadomiła sobie, traktowała kapitana właśnie jak ojca.

- Ruszajmy. - Raz jeszcze głos kapitana zabrzmiał w jej myślach.

Podszedł do nich. Darcy gwałtownie objęła Grace za ramiona.

- Och, Grace - szepnęła, szlochając. - Bez przerwy musimy się żegnać, prawda?

Grace z uśmiechem kiwnęła głową. Z pewnym zdziwieniem poczuła spływającą po policzku łzę. Czasami zapomniała, jak dobrą przyjaciółką stała się dla niej Darcy Flotsam. Nie myślała już o niej jak o dziwnym, choć pięknym galionie statku, drewnianej rzeźbie za dnia, a nocą pełnej życia dziewczynie. Darcy była osobą z krwi i kości, pełną emocji - jak wszyscy, których znała.

Otarła łzę.

- Niedługo się spotkamy, Darcy - zapewniła. - Obiecuję. Wrócę na Nokturn, jak tylko Lorcan zacznie odzyskiwać wzrok.

Darcy skinęła głową. Uścisnęły się raz jeszcze i pożegnały, zachowując przy tym tak, jakby powrót Lorcana do zdrowia był rzeczą pewną. Żadna nie miała ochoty, by poważnie myśleć o innej możliwości.

Kapitan pochylił się nieznacznie.

- Żegnaj na razie, Darcy - szepnął, kładąc dłoń w rękawiczce na ramieniu dziewczyny. - Wiem, że mogę na tobie polegać. Będziesz wykonywać polecenia mojego zastępcy i zrobisz wszystko dla dobra statku.

- Tak jest, kapitanie! - odparła Darcy i zsalutowała energicznie.

Obserwując ich, Grace zastanowiła się nad słowem „zastępca”. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, komu kapitan na czas swej nieobecności powierzył dowodzenie Nokturnem. Zdawała sobie sprawę z istnienia pewnej hierarchii w załodze - Lorcan, na przykład, zajmował teraz stanowisko porucznika, jak przed nim Sidorio. Nie wiedziała jednak, kto może być zastępcą kapitana ani nawet kto wśród pozostałych jest najwyższy stopniem. To wyraźna różnica w stosunku do tego, co zapamiętała z pobytu na drugim pirackim statku Diabło. Tam było oczywiste, że zastępcą kapitana jest Cate Kord, a wcześniej Cheng Li. Zrozumiała, że mimo serdecznych stosunków z niektórymi członkami załogi Nokturnu wciąż wiele jeszcze musi się nauczyć o wampiratach. Może dowie się więcej podczas wizyty w Sanktuarium. W każdym razie taką miała nadzieję.

- Aha - rzekł kapitan. Szept wbił się w jej myśli.

- A to ostatni członkowie naszej wyprawy.

Skinął głową, gdy na pokład wszedł Lorcan.

Miał na sobie ciężki wojskowy płaszcz, który pożyczył od kogoś z załogi. Na piersi wisiał mu jakiś medal. Całkiem dobrze wygląda, uznała Grace, zastanawiając się, jaki konflikt upamiętnia, za jakie szlachetne i krwawe czyny został przyznany. W wojskowych butach Lorcan wydawał się wspaniałą postacią. Na plecach niósł nieduży pakunek, a w nim kilka drobiazgów, by pobyt w Sanktuarium był wygodniejszy. Oczy przesłaniał świeży bandaż, który wcześniej Grace pomogła mu zawiązać. Zakrywał nazbyt dobrze jej znane sine oparzenia i jarzył się bielą w ciemności.

Lorcan jednak nie przybył sam. Obok szła Shanti, jego piękna, choć gniewna donor. Wysokie obcasy stuknęły o deski pokładu. W dłoni, okrytej skórzaną rękawiczką, ścisnęła małą torebkę. A zatem wyrusza z nami, domyśliła się Grace. Zresztą to rozsądne. Jeśli Lorcan ma

wyzdrowieć, musi znów zacząć przyjmować krew. Shanti była jego donorem i będzie potrzebna, kiedy nadejdzie czas. Grace zauważyła też, że Shanti ma futro i pasujący do niego okrągły kapelusik. Nie musiała się długo zastanawiać, by odgadnąć, skąd pochodzi ten ubiór.

Darcy zaczerwieniła się pod wzrokiem Grace, która pokręciła głową. Darcy była taka wspaniałomyślna... A Shanti, oczywiście, nawet nie pomyślała, jakie martwe stworzenie na sobie nosi. Ale najbardziej irytowało to, że Shanti wyglądała prześlicznie.

Kiedy z Lorcanem stanęła przy nich, Grace wymieniła z nią wymuszone uśmiechy. Stosunki między nimi nie układały się zbyt dobrze i najwyraźniej żadna z nich nie potrafiła ukryć niechęci na myśl o wspólnej wyprawie. Z bliska Grace zauważyła jednak, że Shanti postarzała się od czasu ich ostatniego spotkania. Wciąż była piękna, trudno zaprzeczyć. W pewnym sensie nawet piękniejsza ze zmarszczkami pojawiającymi się wokół oczu i ust. Dzięki nim jej uroda wydawała się bardziej delikatna, a więc i cenniejsza. Shanti jednak te zmarszczki napawały wstrętem. Donorzy zachowywali nieśmiertelność, tylko dopóki ich wampir dzielił z nimi krew. Gdy przestawał, śmierć natychmiast upominała się o ciało. A ponieważ Lorcan odmawiał korzystania z jej krwi, Shanti starzała się w zastraszającym tempie. Być może traciła też siły. I jeśli Lorcan nie wróci szybko do dawnych zwyczajów, dziewczyna może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Niezwykły skład na górską wyprawę, pomyślała Grace, spoglądając kolejno na twarze uczestników.

- Ruszajmy - rzucił kapitan. - Nie marnujmy już czasu. Sanktuarium i Mosh Zu czekają. Chodźcie, przyjaciele.

- Do widzenia, poruczniku Furey. - Darcy uścisnęła Lorcana. - Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

- Dzięki, Darcy - odpowiedział ciepło Lorcan. - A ty bądź grzeczna, kiedy mnie nie będzie, pamiętaj.

Grace była zadowolona, że zdołał przywołać choć cień dawnego humoru. Już zbyt długo nie słyszała takich słów.

Shanti się to nie spodobało i gniewnie ściągnęła wargi. Grace zauważyła, że dziewczyna wobec Lorcana zachowuje się niezwykle zaborczo. Teraz wsunęła okryte futrem ramię pod rękaw jego płaszcza. Grace zarzuciła na ramiona mały plecak, po czym wzięła Lorcana pod drugą rękę. Razem podążyli ostrożnie za kapitanem po trapie na stały ląd.

Za nimi z ciemnych wód uniosła się mgła, powoli, ale stanowczo obejmując burty statku. Darcy stała na pokładzie i aż do końca machała wyruszającym wędrowcom. Wreszcie mgła zaciągnęła kurtynę między nimi i Nokturn zniknął im z oczu.

- Zaczyna się nasza podróż - obwieścił kapitan.

Grace przytaknęła. Chciałaby powiedzieć coś entuzjastycznego, wygenerować w grupie pozytywną energię... Zauważyła jednak wygięte w dół wargi Lorcana i zimne, ostre spojrzenie Shanti. Dobrze wiedziała, co myślą. To może być ich ostatnia droga. Jeśli Sanktuarium i tajemniczy Mosh Zu Kamal nie potrafią pomóc Lorcanowi, oboje stracą wszelką nadzieję.

Rozdział 3

Bracia

Wszyscy w tawernie zamilkli, gdy Barbarro Wrathe z dwójką towarzyszy pojawił się u szczytu schodów prowadzących do głównej części baru. Kobieta i chłopiec zatrzymali się na najwyższym stopniu, a Barbarro szedł dalej samotnie. W dłoni trzymał laskę, ozdobioną główką w kształcie czaszki; połyskujący klejnotami wąż wysuwał się z jednego oczodołu i oplatał drzewce. Laska wybijała rytm kroków Barbarra zbliżającego się do brata.

Kiedy dotarł na dół, goście po obu stronach odsunęli się pospiesznie - Connor nie wiedział, czy ze strachu, czy z szacunku. Laska głośno stuknęła o podłogę. Rozległy się ciche rozmowy. Connor patrzył i słuchał w skupieniu. Wiedział, że między braćmi istnieją zadawnione urazy. Czy Barbarro przybył, by wyrównać rachunki? Jego twarz nie zdradzała niczego.

Osobą, która sprawiała wrażenie najmniej zaskoczonej - i najmniej zaniepokojonej - zjawieniem się Barbarra, był sam Molucco. Ale oczywiście Molucco wiedział, że to statek Barbarra kieruje się do Mamy Kettle. Przeżył wstrząs, kiedy pierwszy raz go zobaczył, ale zdążył się już opanować. Teraz spokojnie dopił drinka, wstał i wyszedł z boksu, gdzie krył się z Mamą Kettle.

- Barbarro! - zahuczał pełnym głosem. - Co za cudowna niespodzianka!

Barbarro nie odpowiedział, ale stał nieruchomo na środku sali, czekając na Molucca. Przypominali dwa drapieżne koty, które oceniają się nawzajem - prawdziwa gra sił.

Gdy bracia stanęli twarzą w twarz, Connor zdumiał się ich podobieństwem. Nie byli lustrzanymi odbiciami, ale od razu dało się zauważyć, że są wycięci z tego samego - jaskrawego - materiału. Barbarro, trochę szerszy w ramionach i wyższy od Molucca, ubrany w ciemnozielony surdut ze złotymi obszyciami i wysokie buty, prezentował wspaniałą figurę. Na palcach nie miał jednak żadnych klejnotów - z wyjątkiem złotej obrączki ślubnej. Włosy, wciąż lśniące czarne, długie, jak u Molucca, rozjaśniało szerokie pasmo siwizny, dodającej mu uroku i powagi. Nosił równo przyciętą brodę i wąsy. Ale błyszczące oczy były takie same jak oczy brata. Kiedy

człowiek już sądził, że wie, jakiego są koloru, stawały się inne. Najpierw zielone, potem niebieskie, fioletowe, piwne i czarne, zmienne jak powierzchnia oceanu.

- Wiele czasu minęło - powiedział Molucco.

Wszystkie spojrzenia skupiały się na nim, gdy mówił. Teraz przesunęły się chciwie na Barbarra, by poznać jego reakcję.

- Zbyt wiele, Molucco - odparł Barbarro głosem równie donośnym. - Od czasu naszego ostatniego spotkania straciłem jednego brata. Nie chcę stracić drugiego.

Wyciągnął ręce, a Molucco podszedł i uściśnął go. W całej sali zabrzmiały westchnienia - zdawało się, że zadawniony konflikt właśnie się skończył. No cóż, pomyślał Connor, z przerażającego zabójstwa Porfiria Wrathe'a wynikło przynajmniej coś dobrego. Kiedy obaj kapitanowie Wrathe wypuścili się z objęć, Connor zauważył, że z włosów Molucca wysuwa się Scrimshaw i jakby wyczekująco wyciąga w stronę Barbarra. Często wydawało się, że Scrimshaw badawczo obserwuje ludzi w imieniu swego właściciela, ale tu chodziło o coś innego. Nagle chłopiec spostrzegł podobny ruch w ciemnych włosach Barbarra - drugi wąż pojawił się wśród nich i wyciągnął głowę do Scrimshawa.

Barbarro z uśmiechem zerknął ku górze.

- Jak widzę, Skirmish cieszy się ze spotkania z bratem.

- Tak. - Molucco z powagą skinął głową. - Mam wrażenie, że bardzo za nim tęsknił przez te kilka lat.

Przez chwilę węże syczały do siebie konspiracyjnie, po czym owinęły się wokół szyi swoich panów tak, by mogły się wzajemnie obserwować.

W tawernie rozległy się śmiechy, służące rozładowaniu napięcia po przybyciu Barbarra. Connor wykorzystał ten gwar, by żartobliwie szturchnąć Barta.

- Nie powiedziałeś, że Scrimshaw ma brata - poskarżył się.

- Muszę zachować kilka niespodzianek w rękawie - uśmiechnął się Bart.

Tymczasem podeszła wysoka kobieta, która towarzyszyła Barbarro. Poruszała się z gracją, ubrana we wspaniałą płaszcz o barwie bladzielonej, jak jej zaczesane w górę włosy.

- To żona Barbarra - szepnął Bart.

- Trofie! - zawołał Molucco.

- On powiedział „Tofi”? - zdziwił się Connor. - Niezwykle imię.

- Nie, Trofie, T-R-O-F-I-E. To chyba skandynawskie.

- Jest o wiele młodsza od Barbarra.

- Tak. Pasuje jej ta twarz.

- Jak to: ta twarz?

- Powiedzmy tyle, że od czasu do czasu ją zmienia - odparł Bart. - Ciach, ciach... Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Trofie wyciągnęła rękę. Jej dłoń lśniła złotem jak płaszcz i włosy - cała prócz rubinowoczerwonych paznokci. Connor patrzył, jak Molucco kłania się bratowej i całuje jej palce. Chyba nie sprawiło jej to przyjemności, bo kiedy Molucco się wyprostował, sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i przetręła je starannie. Chłopiec ze zdumieniem spostrzegł, że skóra odbija światło. Przyjrzał się dokładniej i zrozumiał, że prawa dłoń Trofie zrobiona jest ze złota. A to, co wziął za pomalowane paznokcie, okazało się prawdziwymi rubinami.

- Co się stało z jej ręką? - zapytał Barta.

- Wiesz... Różnie o tym mówią. Oficjalna wersja jest taka, że Trofie została porwana i trzymana jako zakładniczka przez któregoś z wrogów męża. Zagroził, że odrąbie jej palce, jeśli nie zdradzi miejsca ukrycia skarbu Barbarra. Podobno zachowała milczenie przez pięć dni. I każdego dnia odcinali jej jeden palec. Szóstego dnia Barbarro przybył na ratunek, zabił porywaczy i zabrał ją do chirurga, który zrekonstruował rękę ze złota.

- O rany... - zawołał Connor. - Niesamowite... - Czuł mdłości na myśl o takiej bezsensownej przemocy. - A jaka jest wersja nieoficjalna?

- Widzisz - mówił Bart - Trofie Wrathe lubi nosić jakiś klejnot czy dwa, a Barbarro Wrathe spełnia wszystkie jej zachcianki. Podobno miała już tyle pierścieni, że dosłownie nie mogła podnieść ręki. W końcu musiała wybierać między pierścieniami i palcami.

- I wybrała...?

- Kazała sobie amputować dłoń... podobno trzyma ją bezpiecznie ukrytą i zakonserwowaną w formalinie na wypadek, gdyby znów jej potrzebowała. A potem przetopiła pierścienie i zrobiła z nich tę nową, złotą rękę.

- O rany... - powtórzył Connor. - A jak myślisz, która wersja jest prawdziwa?

- Nie mam pojęcia. - Bart wzruszył ramionami. - Pewnie nigdy się nie dowiemy. Ja na pewno nie ośmielę się jej zapytać. Przeraza mnie. - Zadrzał.

Connor znów popatrzył na Trofie.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej straty - zwróciła się do Molucca. Głos miała lodowaty i dobitny.

- Madam - odparł Molucco. - Śmierć Porfiria Wrathe'a była ogromną stratą dla nas wszystkich. Dla całego świata piractwa.

Trofie przytaknęła. A potem obejrzała się przez ramię. Connor zauważył, że macha na chudego chłopaka, który przyszedł wraz z nimi.

- Promyku, przywitaj się z wujem.

Chłopiec przewrócił oczami i podszedł niechętnie. Miał na sobie czarne dżinsy i skórzaną kurtkę.

- Cześć, wujku Lucku - powiedział. - Jak leci?

Trofie wbiła mu w żebra złoty palec.

- Au! - jęknął. - To boli!

- Okaż wujowi trochę szacunku - rzuciła groźnie. Ale Molucco uśmiechnął się szeroko. - W rodzinie niepotrzebne są żadne formalności - zapewnił. - No cóż, Promyku, bardzo urosłeś od naszego ostatniego spotkania. Jesteś teraz wysoki i chudy jak maszt.

Promyk wydawał się trochę niezadowolony z tej uwagi, ale z drugiej strony, jak uznał Connor, wyglądał na wiecznie niezadowolonego. Nie pomagał zresztą trądzik i przecinająca policzek sinofioletowa blizna.

Nagle, jakby wyczuł, że jest obserwowany, Promyk odwrócił się w stronę Connora i Barta. A kiedy ich zobaczył, jego twarz stężała. Obrzucił obu jadowitym wzrokiem.

- Co mu się stało? - zdziwił się Connor.

- Connor! - zawołał Molucco. - Cate! Chodźcie, poznacie moją rodzinę.

Connor i Cate wyszli na środek.

- To mój zastępca - przedstawił dziewczynę Molucco. - Cate, poznałaś już Barbarra i Trofie.

Cate przytaknęła i ukłoniła się z szacunkiem.

- Ale nie sądzę, żebyś miała okazję spotkać ich syna, Promyka. Natomiast wasza trójka na pewno nie zna Connora Tempesta. - Molucco przyciągnął Connora do siebie. - To najmłodszy członek mojej załogi.

Jest z nami dopiero od trzech miesięcy, ale już wydaje się, że od zawsze. Stał się dla mnie jak syn.

Connor zarumienił się, słysząc te przesadne pochwały. Raz jeszcze odczuł podziw dla szlachetności kapitana.

- Jak syn, co? - Barbarro uściskał chłopcu dłoń. - To naprawdę wielka pochwała w ustach mojego brata. Connorze, to moja żona i zastępca, Trofie.

Connor czekał z niepokojem, którą rękę mu poda. Jednak to złota wyciągnęła się ku niemu, a kiedy ją ujął, przeszył go wstrząs podobny do elektrycznego. Dłoń była gładka i prawie tak elastyczna jak żywe ciało, tyle że lodowato zimna.

Trofie uśmiechnęła się lekko.

- Witaj, min elskling - powiedziała. - Słyszeliśmy o tobie.

- Naprawdę? - zdziwił się Connor.

- O tak... - Wciąż się uśmiechała. - Jesteśmy dobrze poinformowani.

- A to Promyk - podjął Barbarro. - Przywitaj się z Connorem, synu.

Promyk przez chwilę czujnie przyglądał się Connorowi. Z jego miny jasno wynikało, że wolałby się przywitać ze stosem gnijących śmieci. Wreszcie, nie widząc innego wyjścia, wyciągnął rękę. Connor zauważył jego brudne, obgryzione paznokcie - nie miał pojęcia dlaczego, ale wydały mu się jakoś znajome. Dłoń Promyka była zimna jak jego matki, tyle że bardziej lepka.

- Ile masz lat, Connorze? - zainteresował się Barbarro.

- Czternaście? To tyle samo, ile nasz Promyk! Na pewno zostaniecie przyjaciółmi.

Barbarro wyraźnie nie widział głębokiej niechęci, emanującej z postaci i żony, i syna. Connor zauważył, że Trofie objęła chłopaka w talii złotą ręką. Lśniły rubinowe „paznokcie”.

- Macie sobie wiele do opowiadania - wtrąciła się Mama Kettle. - Usiądźcie, a my otworzymy butelkę ostrygowego szampana, żeby uczcić tę niezwykłą okazję. - Pchnęła Molucca, Barbarra i Trofie do boksu, w którym przed chwilą siedziała z kapitanem. - Ale nie wy, moi drodzy - dodała stanowczo, chwytając za ramiona Connora i Promyka - Ty też, Bart - zawołała poprzez salę. - Wy, chłopcy, wypróbujecie moją najnowszą atrakcję.

- Wypróbujemy? - powtórzył Connor.

- O tak - zapewniła Mama. - Nie macie wyjścia.

- Obejrzała się przez ramię. - Ciasteczko! Orkiestra gotowa?

- Tak, Mamo - odpowiedział jej znajomy głos.

Zjawiła się Ciasteczko, piękna asystentka Mamy Kettle.

- Connor! Bart! Dawno was tu nie było! Co słyszeć?

Szybko ucałowała obu w policzki. Connor przyrzekł sobie, że przez kilka dni nie umyje twarzy. Nie mógł wydobyć głosu, ale uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A to jest Promyk Wrath - przedstawiła chłopca Mama Kettle. - Bratanek Molucca.

Promyk nadstawił policzek do całusa, ale Ciasteczko spojrzała tylko na upstrzoną trądzikiem twarz i poklepała go po ramieniu.

- Widzieliście już parkiet taneczny? - spytała i odwróciła się.

Wcześniej nie zwrócili na to uwagi, ale teraz Connor odkrył, że Mama zmieniła wystrój baru. Część pod galerią z boksami stała się miejscem do tańca. Podłogę tworzyły ułożone w szachownicę szklane płyty, pod którymi w rytm muzyki zapalały się kolorowe światła.

- Zakładam, że umiecie tańczyć tango - powiedziała Ciasteczko.

- Jasne. - Promyk dumnie wypiął swą chudą pierś.

- Doskonale! W takim razie zatańczysz z Kat. - Ciasteczko pchnęła go do czekającej już wysokiej, ciemnowłosej dziewczyny. - Ty, Bartholomew, z Elizą.

Bart z uśmiechem przeszedł na taneczny parkiet i wziął partnerkę w ramiona.

- A ty, Connor... - Ciasteczko ujęła chłopca za rękę ...zostaniesz ze mną.

Kiedy prowadziła go do tańca, muzycy zagrali krótką uwerturę. - Ehm... tylko że ja tak naprawdę nie znam tanga - wyjąkał Connor. - Dlatego będziesz tańczyć ze mną - uspokoiła go Ciasteczko. - Poprowadzę. Ty masz tylko trzymać się mocno. Ja zadbam o resztę.

- Myślałem, że to mężczyzna powinien prowadzić...

- Ha! - parsknęła. - Ale nie tutaj!

I nagle tango zabrzmiało z pełną siłą, a Connor został porwany do tańca.

- Tak jest! - pochwaliła go Ciasteczko. - Trzymaj się mocno i nie puszczaj!

Ciągnęła go za sobą, a Connor uświadomił sobie, że nie ma żadnego wyboru. Widział pozostałych, kiedy mijali go w przelocie, niby pędzące po morzu łodzie. Bart mrugnął porozumiewawczo, gdy mocno przechylił Elizę, aż jej zmierzwiłone włosy musnęły podłogę.

- Skup się! - upomniała go Ciasteczko. Przyciągnęła go do siebie i spojrzała z bliska swymi rozbrajająco błękitnymi oczami. - Teraz lepiej.

Nie zdziwił się, kiedy w odpowiedniej chwili to ona go przechyliła tak, że mógł z dołu spojrzeć na aksamitne kotary w boksach na galerii. Wszystkie były szczelnie zaciągnięte.

- Znakomicie! - Ciasteczko poderwała go znowu do pionu. - Zaczynasz chwytac!

Oszołomiony Connor odkrył, że teraz sunie tyłem. Zobaczył Promyka, dość brutalnie prowadzącego Kat - we wszystkim, co robił, chłopak zdawał się odsłaniać niezbadane otchłanie gniewu. Wykonali obrót i teraz Promyk spojrzał prosto w oczy Connora.

Muzyka wzniosła się w crescendo, a Connor dostrzegł pełne czystej nienawiści spojrzenie Promyka. Zmarszczył czoło. Jak można nienawidzić kogoś, kogo widzi się pierwszy raz w życiu? Miał złe przeczucia... Może Barbarro chciał zaleczyć dawne rany, ale - sądząc po minie Promyka - właśnie rodził się następny konflikt. Connor nie miał pojęcia, skąd się bierze wrogość młodego Wrathe'a, ale czuł, że wszystko źle się skończy.

Rozdział 4

Wędrowka w ciemności

Kiedy mgła się roziała, Grace zobaczyła tylko pusty ocean. Nokturn znikł. Dreszcz przebiegł jej po plecach... Teraz już nie mieli odwrotu. Popatrzyła najpierw na kapitana, potem na Lorcana i Shanti; zastanowiła się, jakie czekają ich wyzwania, zanim znów powrócą na statek.

- I co mamy teraz robić? - zapytała Shanti.

- To właściwie całkiem proste - odparł kapitan.

- Teraz wspinamy się na górę.

- No tak, ale gdzie są nasze muły? I światła? Z pewnością wysłali na spotkanie kogoś, kto nas poprowadzi i zanieśli bagaże.

Grace z niechęcią odkryła, że zgadza się z Shanti. Uważała, że jej uwagi są słuszne. Mimo to nie zaskoczył jej szept kapitana.

- Musimy sami tam dojść. Każdy samodzielnie dociera do Sanktuarium.

Shanti wyraźnie nie mogła się z tym pogodzić.

- Ale jak? Jest całkiem ciemno! Nie damy rady! Przecież nie mamy nawet mapy! Moje buty... Lorcan nigdy sobie nie poradzi.

Lorcan westchnął.

- Dzięki za to wotum zaufania - mruknął.

Grace w ciemności ścisnęła jego dłoń.

- Przecież to prawda - ciągnęła niezrażona Shanti. - Lepiej by było, gdybyśmy zaczekali do rana.

- Zapominasz o czymś - odezwał się Lorcan. - Nie mogę wędrować w świetle dnia. Tylko kapitan to potrafi jako jedyny z nas, jedyny z wampiratów.

Shanti nie miała zamiaru ustąpić.

- Skoro i tak jesteś ślepy, to przecież światło już bardziej ci nie zaszkodzi, prawda?

Nawet jak na Shanti była to jadowita uwaga. Lorcan nie znalazł na nią odpowiedzi.

- Nie mówmy już o tym - uciał kapitan. - Tracimy czas.

Po czym odszedł ścieżką. Jego peleryna skrzyła się, zaczepiając o drzewa.

Shanti szukała wsparcia u pozostałych.

- To szaleństwo - tłumaczyła. - Nie widzicie tego? Nigdy nam się nie uda.

- Możliwe, że masz rację - przyznał zniechęcony Lorcan.

Całkiem jakby słowa Shanti pozbawiły go resztek pewności siebie.

- Musimy spróbować - oznajmiła stanowczo Grace. - Nie możemy z góry się poddawać.

Nie sądzę, by kapitan zaplanował tę wyprawę, gdyby nie wierzył, że może się udać.

- Co ty tam wiesz? - rzuciła Shanti. - Co w ogóle wiesz o czymkolwiek?

Dziewczyna była pełna goryczy, pełna niechęci. Grace wiedziała, że wini ją za ślepotę Lorcana, o to, że przestał dzielić krew z Shanti. I choć bez entuzjazmu, musiała jednak przyznać, że przyjaciel stracił wzrok, próbując jej bronić. I naprawdę czuła się za to odpowiedzialna. Ale nic nikomu nie przyjdzie z tego, że będą stały tutaj, oskarżały się i tłumaczyły. Kapitan powiedział, że szansa na wyleczenie Lorcana znajduje się na szczycie tej góry. To jedyny fakt, jakiego wszyscy powinni się trzymać.

- Ja ruszam za kapitanem - oznajmiła. - Zanim stracimy go z oczu. - Zwróciła się do

Lorcana: - Idziesz?

Przytaknął.

Grace się zawahała. To było krępujące pytanie, ale musiała je zadać.

- Pomóc ci?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Shanti chwyciła go pod ramię.

- Jeśli już ktoś ma mu pomagać, to ja - oświadczyła.

Lorcan jednak pokręcił głową i odsunął rękę Shanti.

- Mogę iść sam - powiedział. Zrobił kilka kroków. Mimo bandaża na oczach szedł pewnie. - Grace, ty prowadzisz, my podążamy za tobą.

Twarz Shanti pokryła się czerwienią i widać było, że kolejne skargi cisną jej się na usta.

- No to chodźmy - zdecydowała Grace. - Widzę jeszcze na ścieżce migotanie płaszcza kapitana, ale jeśli będziemy zwlekać, to go zgubimy.

To dziwne, myślała Grace, jak szybko można się przyzwycząić do ciemności. Błyski światła w żyłkach kapitańskiej peleryny nie były tak jaskrawe jak zawsze - pozwalały co prawda określić, gdzie jest, lecz nie oświetlały drogi. Dlatego po prostu szła za nim. Od czasu do czasu

jakaś gałązka muskała jej policzek albo czubek głowy, ale pozostałe zmysły zaczęły już rekompensować niedostatki widzenia. Zauważyła, że wyostrzył jej się słuch, jakby ktoś podkreślił głośność uderzeń stóp o ścieżkę. Dziwnie łatwo odróżniała teraz własne kroki od ciężkiego, pewnego stąpania Lorcana i szybszego stukania obcasów Shanti. Choć jednak wyteżęła słuch, nie słyszała przed sobą kroków kapitana. Wiedziała, że tam jest, bo widziała błyski peleryny. Dlaczego jednak go nie słyszc?

Czuła trochę stęchły zapach płaszcza Lorcana i powiew perfum Shanti - jakby nie na miejscu w górskim powietrzu. Szła przed siebie w równym tempie, wprowadzając umysł w stan medytacji. I nagle usłyszała krzyk za plecami.

- Co to było? - piskliwy głos Shanti przeciął ciszę.

- Co takiego? - zdziwił się Lorcan.

- Coś kudłatego i mokrego przebiegło obok... Nic nie poczuliście?

- Nie - zapewnił Lorcan. Nie potrafił ukryć nuty rozbawienia w głosie.

- No tak - oburzyła się Shanti. - To bardzo śmieszne. Wspinamy się górską ścieżką w takiej ciemności, że na krok nic nie widać, a dookoła biegają dzikie bestie.

Jej głos wznosił się coraz wyżej i wyżej, do granicy hysterii.

- Już dobrze - uspokoił ją Lorcan. - Nie denerwuj się, Shanti. Jeśli wyczułaś jakieś dzikie stworzenie, pamiętaj, że ta góra jest ich domem. Pewnie wyszło, żeby się nam przyjrzeć.

- Tym razem - odparła. - Ale następnym może zaatakować.

- Mogło być trochę niespokojne. Z powodu twojego futra.

Nie zdołał powstrzymać śmiechu. Grace usiłowała mu nie wtórować, ale bez skutku.

- Tak, tak - mruzczała Shanti. - Świetny żart. ŚmieJCie się, śmieJCie. Ale przekonacie się, że mam rację. Ta wyprawa skończy się dla nas śmiercią. - Umilkła na chwilę, po czym dokończyła bardziej uszczypliwie: - To znaczy tych z nas, którzy już nie są martwi.

Słowa zabrzmiały echem, psując dobry nastrój, odbijając się w chłodnym powietrzu. Grace zauważyła, że jest zimniej. Z początku sądziła też, że nauczyła się sprawniej uchylać przed zwisającymi nisko gałęziami, ale teraz zdała sobie sprawę, że roślinność po obu stronach się przerzedziła. Wchodzili na odsłonięte tereny.

Zauważyła, że ścieżka jest coraz bardziej stroma, a wspinaczka coraz trudniejsza. Nogi zaczęły się męczyć. Już bardzo dawno nie podejmowała tak intensywnego wysiłku fizycznego. Gdyby tylko chodziła na te poranne biegi w Akademii Piractwa, pomyślała niechętnie.

Zobaczyła, że kapitan się zatrzymał. Dlaczego? Może jemu także jest coraz trudniej?

Dogoniła go i zaczekała na pozostałych.

- Tutaj ścieżka zaczyna biec stromo - ostrzegł kapitan i bez dalszych słów ruszył przed siebie.

Poszli za nim. Kiedy dotarli do zakrętu, promień księżyca oświetlił zbocze góry.

Shanti jęknęła. Grace tylko potrząsnęła głową. Słabe światło ukazywało ścianę tak stromą, że ścieżka musiała biec zygzakiem. Szlak prowadził w skale, szeroki na stopę, z groźną przepaścią po jednej stronie.

- On nie mówił poważnie - jęczała Shanti.

- Aż tak źle? - zapytał Lorcan.

- Stromo - stwierdziła Grace, spoglądając na nagą ścianę.

Serce biło jej szybko. Nie bała się wysokości - w przeciwieństwie do brata - ale tutaj chodziło o coś więcej. Musiała przyznać rację Shanti: to wyzwanie przekraczało ich możliwości. Jednak miała absolutne zaufanie do kapitana. Wierzyła, że nie doprowadziłby ich tutaj, gdyby sądził, że zawiodą.

- Jest stromo - powtórzyła. - Ale poradzimy sobie. Musimy tylko zachować ostrożność.

- To pionowa skała - skarżyła się Shanti. - I wiatr jest coraz silniejszy. Czujesz, jaki zimny? Twarz mi całkiem zdrętwiała.

Nie warto przypominać, uznała Grace, że Shanti jako jedyna nosi futro; pozostała dwójka marznie jeszcze bardziej.

- Damy radę - zapewniła tylko. - Kapitan nie prowadziłby nas tą drogą, gdyby sądził, że jest za trudna.

Głos miała spokojny, ale stanowczy. Spojrzała przed siebie i spostrzegła coraz słabsze błyski peleryny kapitana. Nie rozumiała, dlaczego tak daleko się wysforował. Dlaczego nie zaczekał, by im pomóc?

- Chodźcie - powiedziała. - Damy radę. Lorcan, chcesz, żebyśmy cię prowadziły, czy wolisz iść sam?

- Na razie możemy iść jak dotychczas - odparł. - Gdybym potrzebował przewodnika, to powiem.

- Dobrze. - Grace zwróciła się do Shanti. - Chcesz trochę poprowadzić?

- Poprowadzić? - zdziwiła się.

- Tak. Jedna z nas musi iść przed Lorcanem, druga za nim. Co wolisz?

Shanti pokręciła głową.

- Nie potrafię, Grace. Nie zdołam wspiąć się po tej ścieżce.

- Nie masz wyboru - przypomniała jej Grace, wciąż spokojna. - Zabieram Lorcana na górę, bo kapitan uważa, że ma tam szansę uleczenia ślepoty. Nie pewność, ale szansę. I owszem, to moja wina, że ośleplę, i owszem, to moja wina, że nie dzieli z tobą krwi i że robisz się stara i pomarszczona. - Nie umiała już powstrzymać fali emocji i słów. - Wszystko to jest moją winą, Shanti. Nie twoją, lecz moją. Ale ja przynajmniej staram się to naprawić. I jeżeli w końcu dotrzemy na szczyt tej góry, wierzę, że zdołamy mu pomóc. Dlatego dla Lorcana i dla ciebie... chociaż, prawdę mówiąc, niespecjalnie cię lubię... skłonna jestem podjąć próbę. A ty albo pójdziesz z nami, albo cię tutaj zostawimy. Ja jednak nie zrezygnuję, dopóki Lorcan gotów jest iść ze mną w górę.

Shanti brakło słów.

- Jestem gotów - zapewnił Lorcan.

- W takim razie poprowadzę - oświadczyła Shanti.

Wyminęła Grace i ruszyła ścieżką.

- Brawo, Grace - usłyszała szept w uszach.

Drgnęła, zdając sobie sprawę, że to nie Lorcan, ale kapitan się do niej odezwał. Jak mógł ją słyszeć na taką odległość?

W pewnym sensie, pocieszała się Grace, dobrze, że jest tak ciemno. Można nie myśleć o tym, że z jednej strony ścieżki otwiera się pustka. A lepiej o tym nie myśleć, jeśli to tylko możliwe. Dopóki człowiek koncentrował się na pewnym stawianiu stóp i uważał na zakręty szlaku, nie było tak źle. Shanti bardzo poważnie traktowała obowiązki prowadzącej i uprzedzała Lorcana za każdym razem, kiedy powinien skręcić. Kapitan także zwolnił i teraz nie oddalał się za bardzo.

Raz jeszcze Grace całkowicie pochłonął rytm kroków. Nie zastanawiała się, jak daleko dotarli, jak wysoko się wspięli. Wiedziała tylko, że muszą iść dalej. Tak długo, jak będzie konieczne. Dziwna wydawała jej się ta wędrówka, która zdawała się nie mieć końca - ale też czuła ulgę.

Hałas z przodu wyrwał ją z zadumy. Przerażona zobaczyła, że Lorcan się potknął. Na szczęście upadł na ścieżkę, ale stopami zepchnął w dół strumień kamyków.

- Nic ci nie jest? - Grace wyciągnęła rękę, by mu pomóc.
- Nie, w porządku - odparł i podniósł się. - Nie wiem, co się stało.
- To moja wina - odezwała się Shanti. - Ścieżka robi się tu węższa i bardziej nierówna.

Powinnam uprzedzić.

- W porządku - powtórzył Lorcan. - Nic się nie stało.

W słabym świetle Grace zauważyła jego uśmiech.

- Ojej - jęknęła Shanti. - Nie widzę kapitana! Poszedł naprzód? Tak trudno za nim nadążyć!

Ruszyła szybko po ścieżce, niemal biegnąc, by nie stracić z oczu błysków peleryny.

- Ostrożnie! - zawołała za nią Grace. - Nie tak prędko!

Ale Shanti nie słuchała ostrzeżeń. Postanowiła dogonić kapitana. Kiedy zniknęła za zakrętem, Grace zwróciła się do Lorcana:

- Muszę ją dopędzić i zatrzymać. Czekał tu.
- Dobrze - zgodził się z ulgą, że będzie mógł chwilę odpocząć.

Grace ruszyła przed siebie. Nie dotarła daleko, gdy usłyszała krzyk, a po nim dźwięk, który brzmiał całkiem jak łoskot spadających kamieni. Fala strachu ogarnęła ją, zanim jeszcze rozległo się zduszone wołanie Shanti.

- Ratunku!
- Shanti! - krzyknęła Grace i przyspieszyła kroku.

Widok za zakrętem potwierdził jej najgorsze obawy.

Shanti wisiała nad przepaścią - ścieżka zapadła się pod nią i teraz tylko niepewny, słaby krzak utrzymywał dziewczynę nad otchłanią. Krzak wyglądał, jakby miała go zaraz wyrwać z korzeniami.

- Shanti! - zawołała znowu Grace. Przykucnęła i wyciągnęła rękę. - Chwyć mnie.

Wyciągnę cię.

Nigdy jeszcze nie widziała takiej grozy, jaka teraz malowała się w spojrzeniu Shanti.

- Nie - szepnęła chrapliwie. - Nie mogę, Grace. Nie starczy ci sił.
- Owszem, starczy - zapewniła Grace, choć wcale nie czuła się taka pewna.

Ona i Shanti miały chyba zbliżoną wagę. A jeśli to Shanti pociągnie ją w dół? Grace starała się odsunąć tę myśl. Musiała spróbować. Na pewno im się uda.

Sięgnęła ręką dalej.

- No już, Shanti - ponagliła. - Musisz tylko puścić ten krzak, a ja cię złapię.

- Nie potrafię!

Zanim jednak wypowiedziała te słowa, krzak się poruszył. Grunt zaczął się osypywać. Gdy Shanti zamknęła oczy, przygotowując się na najgorsze, Grace wychyliła się i chwyciła ją.

- Mam cię - powiedziała. - Trzymam.

Teraz musiała tylko wyciągnąć dziewczynę na solidny fragment ścieżki. Kiedy jednak szarpnęła, uświadomiła sobie z przerażeniem, że istotnie brakuje jej siły. Co powinna teraz zrobić? Kapitana nie było w pobliżu, a Lorcan nie mógł się tu dostać bez przewodnika. Czowała wzbierającą panikę, ale za wszelką cenę musiała to ukryć przed Shanti.

- Co się dzieje? - spytała Shanti. - Miałam rację, prawda? Nie masz siły. Obie tu zginjemy!

Grace stanęła przed strasznym dylematem. Albo puści Shanti i pozwoli jej runąć w przepaść, albo zostanie pociągnięta wraz z nią. Spojrzała w dół stromego urwiska. Żadna z nich nie przeżyłaby takiego upadku.

I nagle ciężar Shanti zelżał. Grace się zdziwiła. Czyżby zdołała przywołać jakieś ukryte rezerwy energii? Ale wtedy zobaczyła drugą parę rąk, podtrzymujących dziewczynę. Odwróciła głowę - obok niej przykucnął młody człowiek, ubrany jak pasterz.

- Policzę do trzech - powiedział. - Na trzy ją wyciągniemy. Dobrze?

Kiwnęła głową. Młody człowiek uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech uspokajał, budził całkowite zaufanie.

- Jeden... dwa... trzy!

Grace wyczerpała wszystkie siły i razem pociągnęli Shanti w górę, na ścieżkę. Leżała teraz na ziemi, brudna i zapłakana. Serce Grace biło mocno. Obie uniknęły pewnej śmierci. Gdyby nie ten pasterz, wszystko skończyłoby się całkiem inaczej. To prawdziwy cud, że akurat w tej chwili tędy przechodził.

- Dziękuję - zwróciła się do niego.

Jego jednak już nie było - zniknął równie tajemniczo, jak się pojawił.

Popatrzyła na Shanti.

- Udało się - odetchnęła.

- O mało co nie zginęłam - zaszlochała Shanti, spoglądając w przepaść. - O mało co obie nie zginęłyśmy!

- Nie! - Grace chwyciła ją i odwróciła do siebie.

- Nie patrz w dół. Nie oglądaj się. Musimy spoglądać tylko naprzód! Rozumiesz?

Shanti skinęła głową, zbyt wystraszona, by mówić.

- Zaczekaj tutaj - poleciła Grace. - Odetchnij. Muszę wrócić po Lorcana, a potem pójdziemy razem dalej.

- Nie! - wrzasnęła Shanti. - Nie zostawiaj mnie!

- Tylko na chwilę, żeby przyprowadzić Lorcana! - Grace się zawahała. - No dobrze...

Najpierw wstań.

Podala jej rękę i pomogła stanąć na nogach. Przez moment obawiała się, że dziewczyna skręciła kostkę albo jeszcze gorzej, ale szybko zrozumiała, co się stało.

- Obcas ci się odłamał.

- Gdzie jest? - spytała Shanti.

Grace zerknęła w przepaść.

- Nieważne, gdzie jest teraz.

- Ale co ja mam zrobić? - Głos Shanti znów wzniósł się panicznie. - Nie mogę iść dalej. Próbowałam, Grace. Prawda, że próbowałam? Staralam się, ale nie potrafię, nie z jednym butem bez obcasa.

Osunęła się na ziemię i skuliła, szlochając głośno.

Grace podjęła decyzję. Schyliła się i uniosła stopę Shanti. Mocno chwyciła ocalały obcas i skręciła z całej siły. Pozostał jej w dłoni.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Shanti.

Grace bez słowa rzuciła obcas w przepaść, za jego towarzyszem. Shanti przyglądała się jej, coraz bardziej przerażona.

- A teraz wstań, zobaczymy, jak utrzymujesz równowagę - poleciła Grace.

- Nie mogę chodzić bez obcasów!

- Najważniejsze, to czy masz zdrową kostkę. Myślisz, że ją skręciłaś?

- Ale moje buty...

- Jeśli ci bardzo niewygodnie, możemy się zamienić - zaproponowała Grace. - Mamy chyba ten sam rozmiar.

- Zrobiłabyś to dla mnie? Ale... mówiłaś, że mnie nie lubisz...

Grace uśmiechnęła się mimo woli.

- Ty chyba też za mną nie przepadasz, Shanti, ale tkwimy w tym razem. Musimy działać jako zespół. - Uśmiech zniknął, gdy spojrzała na dziewczynę stanowczo. - Najważniejsze to doprowadzić Lorcana do Sanktuarium... dla niego i dla ciebie. Za wszelką cenę.

Słowa osiągnęły swój cel. Shanti z wdzięcznością kiwnęła głową.

- A teraz wróć po Lorcana. Pewnie się o nas martwi.

Ale nim przeszła kilka kroków, zobaczyła, że Lorcan sam zbliża się ku nim. Jak udało mu się bez pomocy pokonać ten zdradziecki, niebezpieczny fragment szlaku? Grace przypomniała sobie pasterza, który im pomógł. Czy to możliwe?

- Jesteście całe? - zapytał Lorcan.

- Tak - odparła Grace. - Tak, całe i zdrowe... Shanti upadła, ale już wszystko w porządku. Prawda, Shanti?

- Tak - potwierdziła Shanti. Zrozumiała jakoś, że nie należy dłużej niepokoić Lorcana. - Dziękuję ci, Grace - dodała po chwili. - Może się zamienimy? Teraz ty poprowadzisz.

Grace skinęła głową i ruszyła pierwsza. Spojrzała na zbocze. Jak długo jeszcze będą musiały się wspinać? A gdy pytanie uformowało się w jej umyśle, usłyszała znajomy szept:

- Już niedaleko.

Spojrzała przed siebie i zobaczyła błyski światła na pelerynie kapitana. Musiał na nich czekać, może nawet wrócił. Ale jeśli znajdował się tak blisko, to czemu nie pomógł? Nie była to jedyna tajemnica, jaka pojawiła się podczas tej niezwykłej wspinaczki. I kiedy Grace zaczęła się nad nią zastanawiać, usłyszała za sobą głos Lorcana.

- Śnieg!

Przez moment miała wrażenie, że to całkiem przypadkowe słowo. A potem poczuła, jak pierwszy śnieżny płatek ląduje jej na nosie. W normalnej sytuacji by się ucieszyła, ale nie teraz, nie tutaj. Śnieżyca to ostatnie, czego im trzeba, jeśli chcą w ogóle dotrzeć na szczyt.

Już wkrótce ścieżka zrobiła się biała. Grace zadrzała. Zrozumiała, że jest poddawana próbie do granic fizycznej wytrzymałości.

- To już nie może być daleko - usłyszała jęk Shanti.

- Już niedługo.

- Ciągłe to powtarzasz...

- Spójrz przed siebie - zaszeptał wśród wiatru głos kapitana.

- Gdzie? Nic nie widzę - poskarżyła się Shanti.

Ale Grace zobaczyła. Tam, w dali, jarzyły się w ciemności dwa światełka. Dwie płonące pochodnie tkwiły jak wartownicy po obu stronach wrót. Wrót Sanktuarium. Dotarli. Nareszcie!

- Najwyższy czas - westchnęła Shanti, gdy także zauważyła światła.

- Ależ maruda - szepnął Lorcan do ucha Grace.

Uśmiechnęła się. Dokładnie to samo pomyślała.

- Och, Lorcanie - powiedziała podniecona. - Jesteśmy już niemal na miejscu. Co to była za podróż... Ale doszliśmy prawie do bramy. - Spojrzała. - Widzisz?

I gdy tylko usłyszała własne słowa, miała ochotę się kopnąć.

- Przepraszam cię. Strasznie przepraszam. Nie chciałam...

- Nie szkodzi - uspokoił ją Lorcan. - Nie denerwuj się, Grace. Lepiej mi opisz, co widzisz, tak jakbym pożyczył od ciebie oczu.

- To wrota wykute z żelaza - zaczęła. - Są mniej więcej dwa razy wyższe od ciebie. Na szczycie mają kolce, u dołu taki skomplikowany kołowy wzór, podobny do tarczy zegara. Bardzo piękny.

I tak dotarli do końca swej wędrówki - towarzyszyły im słowa Grace opisującej wyszukane zdobienia oświetlonych pochodniami żelaznych wrót. Zamilkła, kiedy stanęli przed nimi. Nagle uświadomiła sobie znaczenie tej wyprawy. Nie chodziło o to, jak daleko doszli, ale o to, co ich tutaj czekało. W tym miejscu miała się rozstrzygnąć przyszłość Lorcana - przyszłość, co do której była pewna, że jest tak mocno spleciona z jej własną jak grube górskie pnącza z żelaznymi ażurowymi zdobieniami wrót. Niemożliwe było rozdzielenie jednych i drugich.

Rozdział 5

Inny rodzaj tańca

Nad tanecznym parkietem, gdzie w tej chwili Connor obraca swoją partnerkę, znajduje się rząd boksów z kotarami dla tych, którzy pragną - lub potrzebują - odosobnienia. Kiedy orkiestra zaczyna grać tango, wszystkie kotary są zaciągnięte. Ale melodia przenika wkrótce do jednego z boksów. Błada dłoń ostrożnie odchyła aksamitną zasłonę - tylko odrobinę. Po chwili niespokojne oko przysuwa się do szczeliny i spogląda na szachownicę podłogi w dole.

Widok tancerzy łamie serce. Ich kroki nie mają finezji, ale jest w nich tyle życia... Tyle życia w twarzach, w nogach tańczących. Ta dłoń, okryta skórą przypominającą papier, to nerwowe, wilgotne oko oddałyby wszystko za jedną kroplę tego życia.

Trzy pary tańczących wyglądają znajomo. Oczywiście, że tak. I zachowują się, jakby rzuciły patrzącemu w twarz swoje ożywienie. Kiedyś sam byłby tam razem z nimi, dziś jednak oddziela go coś o wiele silniejszego niż aksamitna kotara. Oni są po jednej stronie, przesuając się i wirując na szklanej podłodze. On jest po drugiej, ograniczony do roli obserwatora.

Stuk kroków. Głos - wysoki i śpiewny - zza zasłony na drugim końcu boksu.

- Mogę wejść?

Jego spękane wargi ledwie ułożyły się w słowo „tak”, gdy kotara rozsuwa się i do wnętrza zagląda służąca.

- Dobry wieczór panu. Czy ma pan ochotę na coś do picia?

Ruch głowy. Tak, myśli. Jak dobrze sformułowała to pytanie. Owszem, ma wielką ochotę na coś do picia. Dziewczyna patrzy na niego, czeka na dalszy ciąg odpowiedzi. Patrzy, ale go nie widzi. Jakby mogła? W boksie panuje całkowita ciemność.

- Pańska świeca zgasła. Zaraz ją zapalę.

- Nie - odpowiada. - Nie, nie lubię... ognia.

Ale słowa są zbyt wolne, a jej dłonie zbyt szybkie.

Świeca zapala się, płomień rośnie i jaśnieje za szkłem. Ten widok budzi dreszcze.

- Musi pan wypić coś na rozgrzewkę. Cały pan drży.
- Co proponujesz? - pyta chrapliwie, starając się ukryć irytację.
- Mamy wszystko, czego mógłby pan sobie życzyć. Rum, piwo, wino... Pański wybór.

Przygląda się jej. Piękna dziewczyna... Budzą się wspomnienia.

Ale nie jest pewien, czy pamięta właśnie ją, czy po prostu kogoś o takim typowym wyglądzie. Ostatnio często mu się to zdarza. Twarze się zlewają i coraz trudniej odróżnić jedną od drugiej. Dlatego musi działać szybko, zanim będzie gorzej. Raz jeszcze spogląda na parkiet. Muzyka cichnie, tancerze ściskają się, gratulując sobie i partnerom. Po króciutkiej przerwie tango rozbrzmiewa znowu, pary się zmieniają, ale taniec trwa. Gość opuszcza kotarę i czuje wilgoć w oczach.

- Dobrze się pan czuje?

A zatem nadal tu jest... Jakaś jego część chce jej powiedzieć, żeby wyszła, uciekała stąd... Oczywiście tego nie robi.

- Tak... Dobrze.

- Na pewno? - Dziewczyna podchodzi bliżej, pochyla się. - Jest pan taki blady. Jakby pan zobaczył ducha. Myślę, że może brandy...

- Tak - stwierdza. - Dobry pomysł. Przynieś mi brandy.

Niech sobie idzie. Niech już idzie, a on też stąd zniknie - zanim cokolwiek się zdarzy. Zanim przekroczy granicę.

Migocze płomień świecy, a dziewczyna przesuwając lichterz po stole. Po raz pierwszy może mu się przyjrzeć.

- To zabawne - mówi. - Wygląda pan całkiem jak ktoś, kogo znałam. No, może nie tak całkiem znałam, ale często tu bywał. Bardzo był popularny. Taki młody pirat.

- Naprawdę?

Pragnie, żeby odeszła. Nie może tego słuchać. A jednak chce. Żeby została.

- Tak, proszę pana. Strasznie do pana podobny. Moglibyście być bliźniakami.

Bliźniaki? Uśmiecha się do tej myśli.

- Bardzo to było smutne - ciągnie dziewczyna.

- Co takiego?

- To, co mu się przydarzyło.

- A co się przydarzyło?

- Zginął, proszę pana. Zabity w pojedynku na pirackim statku. Tak mówią.

- Pojedynek...

To słowo brzmi szlachetnie. Całkiem inaczej niż jego wspomnienie tamtego dnia. Gorące ostrze. Płynąca krew. Uciekające z niego życie. Głosy cichnące wokół, aż wszystko stało się zimne, ciche i samotne.

Znowu tam jest, nie po raz pierwszy. Jakoś nie może opuścić tamtego miejsca. Jeszcze nie.

- Jak się nazywał? - pyta. - Ten młody pirat... Jak się nazywał?

- Miał na imię Jez, proszę pana. Jez Stukeley. - Uśmiecha się. - Przystojny chłopak.

On również się uśmiecha, - Sądzisz, że nadal jestem przystojny? - pyta. - Powinam już iść, proszę pana. Owszem, myśli. Już dawno nie powinno cię tu być. Lecz zostałam. A teraz klamka zapadła.

- Zostań.

Słowo wyrywa mu się z ust, a równocześnie dłoń chwyta jej przegub.

- Au! To boli!

- Przepraszam - mówi i zwalnia uchwyt. - Przepraszam. Nie jestem przyzwyczajony... do towarzystwa. Długo mnie nie było...

- Wyruszył pan na wyprawę? - pyta dziewczyna.

Jej wrodzona ciekawość tłumi lęk.

- Wyprawę? Tak, chyba można tak to nazwać. Piekielną wyprawę. Może usiądziesz ze mną... tylko na chwilę... to ci o niej opowiem.

Dziewczyna się waha.

- Nie wolno nam siadać z gośćmi podczas zmiany.

- Proszę. Tylko minutę czy dwie. W końcu, czym jest czas?

- Mówi pan zabawne rzeczy. - Dziewczyna się uśmiecha. - No dobrze, posiedzę z panem minutę czy dwie, a pan mi opowie o wyprawie. A później przyniosę... Zaraz! - Milknie. Dziwny blask zapala się w jej oczach. - O co panu chodziło... kiedy mnie pan pytał, czy nadal jest przystojny? - Zaczyna podnosić głos. - Co pan miał na myśli?

- Chyba wiesz - odpowiada, przyciągając ją do siebie. - Wiesz, co miałem na myśli.

Jest już wczesny ranek, kiedy Ciasteczko odsuwa aksamitną kotarę. Ona i pozostałe dziewczęta robią obchód, wyrzucając klientów, którzy nie chcą - albo zwyczajnie nie mogą - się ruszyć.

Świeca wypaliła się już dawno i w boksie panuje mrok. Ale Ciasteczko czuje zapach śmierci. Kiedy dostrzega na stole na wpół leżącą postać, ból rozrywa jej pierś. Osuwa się na kolana.

- Co się stało? - pyta towarzyszący jej chłopak.

- Idź i sprowadź Mamę - poleca Ciasteczko. Głos ma chrapliwy.

- Ale dlaczego? Co się stało? Daj zobaczyć...

- Idź, sprowadź Mamę - powtarza, tym razem bardziej stanowczo.

Chłopak nie czeka dłużej.

- Och, Jenny... - Ciasteczko ogląda ranę na piersi dziewczyny. - Biedna mała Jenny...

Kto ci to zrobił? I dlaczego?

- Co się dzieje? - pyta Mama Kettle, wchodząc do boks.

Ciasteczko nie potrafi tego powiedzieć, więc tylko odsuwa się, by Mama sama zobaczyła.

- Och, nie! Nie Jenny!

Ciasteczko ogląda się i patrzy, jak z oka szefowej spływa łza. Dawno czegoś takiego nie widziała.

- Zabita - mówi wstrząśnięta Mama Kettle. - Tutaj! Pod naszymi nosami!

Ciasteczko nie może dłużej na to patrzeć. Tyle krwi... Zerka na twarz dziewczyny i zauważa coś dziwnego.

- Spójrz, Mamo - mówi. - Patrz... Całkiem, jakby się uśmiechała. Mimo wszystko.

Mama Kettle wzdycha.

- Dlatego, że odeszła do lepszego świata. Nasza mała Jenny Petrel odleciała w jakieś lepsze miejsce.

Ciasteczko chciałaby uwierzyć, ale coś jej mówi, że to nieprawda.

Rozdział 6

Przybycie

Znużeni wędrowcy przeszli przez żelazne wrota. Przed nimi rząd lamp oświetlał pusty dziedziniec, pokryty cienką warstwą lodu, odbijającego aksamitną czerń nocy. Dziedziniec otaczały z trzech stron niskie, drewniane budynki i pasaż. O ile Grace zdołała dostrzec, nie miały okien ani drzwi - z wyjątkiem jednych, w bloku naprzeciw bramy, po drugiej stronie.

- Doszliśmy! - zwróciła się do Lorcana.

Poczuła radość. Być może tylko chwile dzieliły ich od spotkania z wielkim Mosh Zu Kamalem.

- Tak - zgodził się Lorcan. Jego głos był cichy i chrapliwy. - Doszliśmy.

Nie rozumiała, czemu nie zdradza podniecenia. Ich mozolna wędrówka dobiegła końca, a reszta powinna być już prosta. Lorcan trafi pod opiekę Mosh Zu Kamala i zacznie się proces leczenia. Czy to nie powód do radości? Jednak Lorcan wydawał się znużony, blady i całkiem pozbawiony nadziei. Najwyraźniej wspinaczka wyczerpała go bardziej, niż to okazywał. Nawet kapitan wyglądał na zmęczonego. Wszystkich ogarnęło znużenie po ciężkim wysiłku. Może Lorcan niepokoił się także kuracją, która go czekała.

Grace ścisnęła jego dłoń.

- Nie martw się - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Uniosła głowę i zauważyła, że na dziedzińcu znajduje się kilka osób, ubranych w identyczne karmazynowe szaty. Najwyraźniej ich przybycie zostało dostrzeżone, gdyż dwie z tych postaci zbliżyły się ku nim. Kiedy stanęły przed zmęczoną grupą, zdjęły kaptury. Grace zobaczyła, że to młoda kobieta i mężczyzna.

- Witajcie w Sanktuarium - odezwała się kobieta monotonnym, cichym głosem. - To prawdziwy zaszczyt poznać was i zaprosić do tego wyjątkowego miejsca. - Jasne oczy przyjrzały się całej grupie. - Nazywam się Dani.

Jej towarzysz uśmiechnął się serdecznie.

- Dobry wieczór, kapitanie - rzekł. - Może pamięta mnie pan ze swoich wcześniejszych wizyt?

- Oczywiście, że pamiętam, Olivierze - odparł kapitan. - Miło jest znowu cię zobaczyć.
Olivier uściśnął okrytą rękawiczką dłoń kapitana.

- Mosh Zu nie mógł się doczekać waszego przybycia. - Zwrócił się do pozostałych. - Tym, którzy znaleźli się tutaj po raz pierwszy, muszę coś wyjaśnić. Jesteśmy dwójką asystentów Mosh Zu. Ale, jak widzicie... - wskazał gestem innych w karmazynowych szatach, przechodzących między budynkami -...są też inni.

Kapitan przedstawił Dani i Olivierowi uczestników wyprawy. Asystenci uśmiechnęli się ciepło do Grace i Shanti. Kiedy stanęli przed Lorcanem, Olivier ścisnął go za ramiona.

- Byłeś bardzo dzielny, że wyruszyłeś w tę podróż, bracie - powiedział.
- Dzielny czy lekkomyślny? - roześmiał się Lorcan.

Olivier uściśnął go ponownie.

- Myślę, że tylko dzielny.

Za nimi zatrzasnęły się z brzękiem żelazne wrota. Zasunięto rygle. Odgłos zgrzytu metalu o metal odbijał się echem niczym głuche bicie dzwonu. Ten dźwięk sprawił, że Grace wróciła myślami do Nokturnu, do uderzeń dzwonu obwieszczającego wschód i zachód słońca. Dzwon Świtu. Ten, którego głosowi Lorcan winien być posłuszny. Którego głos zignorował, by ją ratować.

Jakież wspomnienia może przywołać opadająca na miejsce sztaba...

- Chodźcie - polecił Olivier. - Drżycie z zimna. Mróz kąsa mocno. Przejdziemy tam, gdzie jest cieplej.

Razem z Dani poprowadzili ich wzdłuż pasażu, dookoła dziedzińca. Po chwili stanęli przed drzwiami, które Grace zauważyła wcześniej. Olivier otworzył je i zaprosił wędrowców do środka. Zwrócił się do Dani.

- Wystarczy - rzucił. - Dalej sam sobie poradzę. Czy nie powinnaś teraz dostarczyć termosów do Bloku Drugiego?

Dani przytaknęła, pożegnała się i odeszła. Grace zastanowiła się, gdzie - i czym - jest Blok Drugi. I jakie termosy miała dostarczyć Dani? Jednak podążając za Olivierem, szybko zapomniała o tych zagadkach.

Światło wewnątrz było słabe, ale kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczyła, że znaleźli się w długim, wąskim korytarzu, oświetlonym metalowymi lampami, zwisającymi na łańcuchach tuż nad głowami idących. Zakołysały się lekko, gdy do pomieszczenia wdarł się wiatr; płomienie zamigotały i znów zapłonęły równo, kiedy tylko Olivier zamknął drzwi.

Uśmiechnął się.

- Witajcie w Sanktuarium, przyjaciele. Znajdujemy się teraz w Korytarzu Świąteł. Proszę tędy.

Ruszyli. Grace czuła, jak narasta w niej uczucie wyczekiwania. Każdy krok zbliżał ich do spotkania z wielkim człowiekiem, którego kapitan nazwał „guru” i który, jak twierdził, dawno temu zaplanował funkcjonowanie Nokturnu. To właśnie Mosh Zu, według kapitana; pomógł mu stworzyć azyl dla wyrzutków spośród wyrzutków, wampirów, które zostały usunięte poza nawias normalnego społeczeństwa, a potem - okrutnym zrzędzeniem losu - także poza nawias społeczności wampirów, ponieważ odrzuciły bezustanną gonitwę za krwią. To Mosh Zu wymyślił system donorów i pomógł kapitanowi w osiągnięciu stanu, w którym nie musiał już żywić się krwią.

Grace marzyła o tym, by go poznać i porozmawiać z nim. Pamiętała jednak, że sprowadziła ich tutaj ważniejsza sprawa. Przede wszystkim musieli uleczyć Lorcana. Dlatego z wysiłkiem wspięli się na strome zbocze.

Skręcili za róg i korytarz nieco się rozszerzył. Całe szczęście, gdyż na ścianach po obu stronach zamocowano półki, wypełnione różnymi bibelotami i fotografiami. Żaden kawałek ściany nie pozostał wolny, a w niektórych miejscach, jak zauważyła Grace, przedmioty na półkach stały w potrójnych, a nawet poczwórnych rzędach. Miała wrażenie, że weszła do sklepu ze starzyzną albo do kaplicy. Poczowała zaciekawienie, ale i smutek. Skąd pochodziły te drobiazgi? Do kogo należały? Teraz były już tylko rupieciami, ale kiedyś pewnie wiele dla kogoś znaczyły. Może wszystko.

- To Korytarz Rzeczy Odrzuconych - wyjaśnił Olivier, jakby czytając jej w myślach. - Pozostawili je ci, którzy przybyli do Sanktuarium.

Te słowa jeszcze bardziej zaintrygowały Grace. Spostrzegła, że przedmioty, podobnie jak wampiry szukające pomocy u Mosh Zu, pochodzą ze wszystkich stron świata i z różnych okresów historycznych. Tworzyły przedziwny kolaż świata, który przeminął. Grace chciałaby

zatrzymać się tu dłużej, ale Olivier i kapitan maszerowali dalej. Skręcili w następny korytarz, tym razem pusty, co zauważyła z rozczarowaniem.

- Co to za zapach?

Głos Shanti wyrwał ją z zamyślenia. Grace obejrzała się i zobaczyła, jak dziewczyna marszczy nieco zadarty nosek.

- To masło - wyjaśnił z uśmiechem Olivier.

- Masło? Ktoś tu smaży naleśniki?

Pokręcił głową.

- Używamy masła do lamp.

- Przyprawia o mdłości. - Shanti się skrzywiła. - Nie możecie zdobyć świec?

Olivier milczał. Po jego oczach Grace poznała, że Shanti wystawia jego cierpliwość na ciężką próbę.

Za kolejnym zakrętem Grace spostrzegła, że korytarz biegnie w dół, coraz bardziej stromo.

- Schodzimy pod ziemię? - zapytała Oliviera.

- Tak. Główna część kompleksu znajduje się pod ziemią.

Oczywiście, pomyślała Grace. W ten sposób wampiry mogą poruszać się swobodnie, bez narażania się na kontakt ze światłem dnia. Koniecznie musiała zbadać to miejsce. Korytarz, którym szli, przypominał jej oglądane kiedyś wizerunki ludzi wkraczających do egipskich piramid. Ze słów Oliviera domyślała się jednak, że Sanktuarium przypomina raczej odwróconą piramidę, wbijającą się aż do serca góry.

Po chwili zauważyła coś jeszcze: na cienkiej linie, rozciągniętej pomiędzy lampami, wisiały wstążki. Opadały w dół jak pajęczyny, w różnych kolorach i długościach.

- Co to takiego? - spytała.

- Wstążki - odparł krótko Olivier. - Jesteśmy w Korytarzu Wstążek.

- No tak... - Grace nie ustępowała. - Ale co one oznaczają?

- Myślę, że tłumaczenie powinienem zostawić Mosh Zu.

Grace raz jeszcze przyjrzała się powiewającym nad głowami wstążkom. Czuła, że z tymi paskami tkaniny wiąże się coś ważnego. Tym bardziej, uznała, musi poczekać, aż Mosh Zu wyjaśni ich znaczenie.

Gdy korytarz skręcił po raz kolejny, Grace wypatrzyła następne drzwi. Olivier otworzył je i weszli do kwadratowej, lepiej oświetlonej sali. Na wyłożonej płytkami podłodze stały stoły i krzesła - pierwsze krzesła, jakie widziała od opuszczenia statku.

Oczu Shanti rozbłyły.

- Nareszcie! Nie wiem, co bym dała, żeby usiąść.

- Nie krępuj się. - Olivier podsunął jej krzesło i położył na siedzeniu poduszkę. - Rozgość się. Nie będziesz musiała długo czekać.

Shanti usiadła. Westchnęła z rozkoszy, osuwając się na jedwabną poduszkę.

Grace zazdrośnie zerkała na krzesło obok, ale Olivier lekko pchnął ją naprzód.

- Już niedaleko - obiecał.

Spojrzała na niego zdziwiona. Zauważyła, że kapitan również się nie zatrzymał, ale szedł w stronę kolejnych podwójnych drzwi. Zrozumiała, że ta sala to tylko przedpokój.

- Chodź. - Olivier otworzył drzwi. - Mosh Zu czeka na ciebie.

Grace obejrzała się na Shanti. Czy dziewczyna miała być wykluczona z audyencji? Nie należała do osób, które Grace lubiała, ale zostawianie jej tutaj nie wydawało się sprawiedliwe. Zwłaszcza po tym, co przeszła w czasie wspinaczki.

Popatrzyła na Oliviera, a potem znów na Shanti, która zdjęła buty i masowała zmęczone stopy.

- Shanti! - zawołała.

- Cooo? - zabrzmiała płaczliwa odpowiedź.

Grace odetchnęła głęboko dla uspokojenia. Shanti nie ułatwiała życia nikomu, kto chciałby ją polubić.

- Włóż buty i chodź z nami - powiedziała Grace.

- Ale Mosh Zu nie zapraszał... - zaczął Olivier.

- To nie w porządku - przerwała mu. - Przyszliśmy tu razem. Dla Shanti było to równie trudne jak dla nas, pod pewnymi względami nawet trudniejsze. Spadła...

- To bez znaczenia - oświadczył Olivier. - Mosh Zu zdecydował. Ona jest tylko donorem. Kiedy zostawię was z Mosh Zu, odprowadzę ją do kwater donorów.

Grace poczuła się skonsternowana - lekceważącym tonem Oliviera, a jeszcze bardziej rzekomym stosunkiem Mosh Zu do Shanti. Wampir i donor byli od siebie wzajemnie uzależnieni. Kapitan zawsze z szacunkiem wyrażał się o donorach i darze, jaki oferują swym partnerom.

Rzeczywiście, nie istniał chyba dar cenniejszy niż własna krew. I cokolwiek się myśli o indywidualnym charakterze konkretnego donora, trzeba go szanować. Zaskoczyło ją i rozgniewało, że Olivier i Mosh Zu tego nie przestrzegają. Narastający gniew uspokoił dopiero szept kapitana, który pokiwał głową i zwrócił się do Oliviera.

- Grace ma rację - oświadczył. - Shanti zyskała sobie prawo do audyencji u Mosh Zu Kamala. Poza tym Mosh Zu jest dobrym gospodarzem i na pewno zechce nas wszystkich powitać w Sanktuarium.

Grace spostrzegła, że Olivier się zaczerwienił.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Mimo że w pewnym sensie odniosła zwycięstwo, wciąż była wzburzona. Z początku polubiła Oliviera, ale teraz jej uczucia wobec niego gwałtownie ostygły.

Kiedy jednak Shanti przyłączyła się do nich i we czwórkę przeszli do następnego pomieszczenia, gniew szybko się rozwiął i co innego przyciągnęło uwagę Grace. Ten pokój był większy od poprzedniego, z podłogą także wyłożoną płytkami, ale w większej części pozbawiony mebli. Dekoracje ograniczały się do kilku prostych kilimów. Jej wzrok ściągała ku sobie ogolona głowa mężczyzny, odwróconego do nich plecami. Zapalał świece na drugim końcu pomieszczenia. Za sobą Grace usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Olivier wystąpił naprzód.

- Twoi goście przybyli - oznajmił i cofnął się.

Przez moment mężczyzna nie okazywał, że cokolwiek usłyszał. Zapalał kolejne świece. Wreszcie jednak odwrócił się i podszedł. Ubierał się z prostotą, w białą koszulę i obszerne brązowe spodnie; nie miał butów.

Grace nie mogła uwierzyć własnym oczom. Spodziewała się, że guru wampiratów będzie stary. Ale Mosh Zu, jeśli to naprawdę był on, okazał się młodym człowiekiem. Zbliżał się do nich, spowity w cień. Jeśli światło lamp jej nie zmyliło, mógł być zaledwie kilka lat starszy od niej. Albo o wiele więcej, uświadomiła sobie. Może i wyglądał na dwadzieścia parę lat, ale to wskazywało tylko, w jakim wieku umarł. A raczej, poprawiła się, w jakim wieku przeszedł granicę.

- Mosh Zu - usłyszała głos kapitana.

- Kapitanie - odpowiedział młody człowiek.

Więc to naprawdę Mosh Zu... Grace czuła się trochę oszukana. Spodziewała się mądrego starca.

Patrzyła, jak młody człowiek i kapitan kłaniają się, po czym zbliżają do siebie i obejmują serdecznie. Nigdy nie widziała u kapitana tak ludzkiego gestu - stanowił przypomnienie, że mimo stroju przysłaniającego prawie całe ciało ta pancerna skorupa kryła... no, może nie serce, ale duszę.

- To jest Grace - przedstawił ją kapitan. - Sądzę, że ma specjalny dar.

- Tak słyszeliśmy - odparł Mosh Zu.

Zdziwionej Grace pochlebiła ta wymiana zdań. Jednak kiedy Mosh Zu na nią spojrział, przeżyła kolejny szok - tę twarz widziała na ścieżce na zboczu - należała do pasterza, który pomógł jej ocalić Shanti, a potem zniknął w ciemności.

Uśmiechnął się do niej, a oczy błysnęły mu w słabym świetle.

- Witam cię, Grace Tempest.

Patrzył na nią. Czuła, że jego wzrok sięga głęboko. Potem odwrócił się i przyjrzał pozostałym.

- Witam w Sanktuarium. Oby każde z was znalazło tutaj to, czego pragnie.

- Ja na przykład chciałabym się położyć - mruknęła Shanti.

Tym razem nikt nie dał się sprowokować.

Grace zerknęła na Lorcana - drżał. Chwyliła go za rękę. Nie śmiała się odezwać, ale starała się myślą przekazać słowa: „Wszystko w porządku, Lorcan. Wszystko będzie dobrze”.

- Tak - rzekł Mosh Zu, uśmiechając się łagodnie.

- Tak, Grace Tempest. Myślę, że masz rację.

Grace nie była zaskoczona. Oczywiście, to miało sens, że potrafi czytać jej w myślach, tak samo jak kapitan.

- Wiem - powiedział - że macie za sobą długą i trudną drogę, Na zewnątrz już się rozjaśnia. Pora spać. Co o tym myślicie? Pokażemy wam pokoje. Jutro czeka nas ważna noc.

Rozdział 7

Nocna wachta

- Co jest z tym Promykiem? - zapytał Bart, kiedy wraz z Connorem i Brendenem Gonzalesem szli po kei w stronę statku.

- Trudno zaprzeczyć, że dość dziwnie się wam przyglądał - przyznał Gonzales.

- No właśnie! - zawołał Connor. - Całkiem jakby miał do nas jakieś pretensje za to, co mu zrobiliśmy. Ale w jaki sposób? W życiu go wcześniej nie widziałem!

- Wiesz co? On wygląda na takiego dzieciaka, któremu całkiem odbija - uznał Bart. - I jeszcze ma paskudny trądzik. A w dodatku jest chyba z niego niezły maminsynek. Widzieliście, jak się czepia spódnicy Trofie?

Connor pokiwał głową.

- Ale ona jest trochę przerażająca - stwierdził.

- Bardziej niż trochę - zgodził się Gonzales. - Za to Barbarro wydaje się porządnym gościem. Wiem, że on i Molucco mają ze sobą na pieńku, ale od razu widać, że jest w zasadzie przyzwoity. Polubiłem go.

- Ja też - przyznał Connor. - Mam nadzieję, że on i kapitan Wrathe... nasz kapitan Wrathe... jakoś się dogadają.

Bart skinął głową.

- Wiecie, gdyby posadzić ich przy dużej flasce rumu i z zapasem daktyli dla węży, to myślę, że do rana zapanowałaby między nimi święta zgoda. Ale z Trofie i tym pętakiem... sam nie wiem. Czy naprawdę wrócili załagodzić spór, czy raczej zacząć nowy.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Connor.

- Nie jestem pewien. Po prostu mam takie dziwne przeczucie.

- Tak to się kończy, kiedy mieszasz drinki - zaśmiał się Gonzales.

Bart zignorował tę uwagę.

- Musimy mieć oczy i uszy otwarte - powiedział.

- Zobaczymy, jak się to rozwinie.

Tymczasem dotarli już do statku i zaczęli wspinać się po trapie.

- O rany, ale dzisiaj będę spał... - oświadczył Gonzales, zeskakując na pokład. Ziewnął i przeciągnął się. - A wy idziecie się położyć czy zostanieie jeszcze na górze?

Brat spojrział na niego z uśmiechem.

- Ktoś tu chyba zapomniał, że wszyscy mamy dzisiaj nocną wachtę. Wlej w siebie trochę kawy, bo będzie z ciebie tyle pożytku, ile ze śmietankowego miecza.

- Nie, nie... - Gonzales potrząsnął głową. - Jakoś mi wyleciało z pamięci, i tyle. Jedno espresso i będę z powrotem!

- Co to za hałas? - zapytał Connor pięć minut później.

- Sprawdź naszą śpiącą królową! - Bart wskazał bocianie gniazdo.

Nad nimi skulony niewygodnie Gonzales osunął się na barierkę; jedna ręka zwisała mu bezwładnie na zewnątrz. W dziwnym rzeniu Connor rozpoznał chrapanie kolegi.

- Jak on w ogóle może tam spać? Na stojąco?

Bart pokręcił głową.

- Nie nazwałbym tego „na stojąco”. Ale z Gonzalesem tak jest, że potrafi zasnąć właściwie wszędzie. Pomaga nam, nie ma co... Miejmy nadzieję, że fale będą dzisiaj łaskawe. Nie chciałbym budzić naszej dzieciny.

Connor też czuł się zmęczony, ale i przyjemnie podekscytowany wydarzeniami minionego dnia. Takie dni, które zaczynały się od pokonania własnych lęków, a kończyły tańcem w ramionach Ciasteczka, naprawdę nie trafiały się często. No i jeszcze przybycie, Barbarra i jego dziwacznej rodziny... Cokolwiek planowali, spotkanie z nimi było warte przeżycia.

Przeszedł pokładem w stronę dziobu, spoglądając ponad burtą w stronę horyzontu. Niebo lśniło od gwiazd, a on zaczął z przyzwyczajenia wyszukiwać znajomych konstelacji. Oto Ophiuchus, czyli Wężownik. Connor uśmiechnął się na wspomnienie obu kapitanów Wrathe z węzami we włosach. Może w przyszłych tysiącleciach nazwą jakieś konstelacje imionami Molucca i Barbarra. Na razie jednak był Wężownik. Pamiętał, jak w dzieciństwie bardzo się starał, by go zobaczyć, i jak ojciec go pocieszał: „Nie martw się, Con. Większość jego gwiazd jest dość słaba. Szukaj kształtu imbryka”. Od tamtych czasów zawsze wypatrywał Wielkiego Niebiańskiego Imbryka.

Patrząc na niebo, myślał oczywiście o Grace. Gdzie jest teraz? Czy widzi te same gwiazdy? Może i ona go wspomina? Tęsknił za nią. Wiedział, że musi podążyc własną drogą, ale złościło go, że nie ma jej w pobliżu. Wierzył, że wkrótce wróci. Miał już dość żegnania tych, którzy byli dla niego ważni - taty, Jeza, Grace...

- Pensa za twoje myśli...

Connor odwrócił wzrok i zobaczył obok siebie Barta.

- Sprawdzalem tylko Wężownika - wyjaśnił.

- Ach tak... - Bart wzruszył ramionami. - No dobrze, muszę przyznać, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Connor uśmiechnął się i wskazał na niebo.

- Znanego też jako Wielki Niebiański Imbryk! Bart popatrzył w górę, a potem znowu na Connora. - Wiesz co, Tempest? Czasem zapominam, jakie z ciebie dziwadło. - Dziwadło? Kogo nazywasz dziwadłem? Connor stanął przed Bartem i napiął mięśnie. - Aha, chcesz pewnie oberwać, co? - zaśmiał się Bart. Ale Connor nagle pokręcił głową. Szeroko otworzył oczy i zadygotał. - Co się dzieje, kolego? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha! Connor wykorzystał chwilową dekoncentrację przyjaciela i rzucił się na niego. - Ty oszuście... Bart szybko odzyskał równowagę i wyprostował się z wiszącym na nim Connorem. Potem chwycił chłopca, zarzucił sobie na ramiona i zaczął nim obracać.

- Arrgh! Przestań!

- Wiesz, jak to nazywają? - zapytał Bart. - Wiatrak. Nie mam pojęcia dlaczego, a ty?

- Przestań! - jęczał Connor. - W głowie mi się kręci! Niedobrze mi!

- Powiedz: proszę - odparł Bart, bezlitośnie przyspieszając obroty.

Connor aż osłabł ze śmiechu i oszołomienia. W końcu zdołał jednak wykrztusić:

- Proszę... Postaw mnie!

- No, skoro tak ładnie poprosiłeś...

Bart zrzucił Connora do jednej z szalup. Chłopak wylądował ciężko i leżał, rozciągnięty na brezencie i linach. Przez chwilę nie potrafił wstać. Wciąż miał wrażenie, że wiruje.

Bart pochylił się nad nim i pogroził palcem.

- Jest w tym dla ciebie lekcja, młody Tempeście. Może i rośniesz szybciej niż drzewo macarangi, ale nie jesteś jeszcze gotowy, by dać radę Bartholomewowi Pearce'owi.

Connor uspokoił oddech i wreszcie zdołał usiąść. Szukał jakiejś dowcipnej riposty, nie jednak nie przychodziło mu do głowy. I nagle zobaczył coś, co odebrało mu nie tylko mowę, ale i oddech.

- Co się dzieje? - zapytał Bart. - Znowu się trzęsiesz. Aha... - Wyszczrzył zęby. - Jasne. Ale nie możesz jednej nocy dwa razy próbować tej samej sztuczki.

Connor pokręcił tylko głową. Oczy miał szeroko otwarte, pełne lęku i zdumienia.

Za Bartem jaśniało w mroku blade oblicze. Oblicze, którego nie spodziewał się już oglądać.

Wyciągnął drżącą dłoń.

Bart się odwrócił. Przed nimi na pokładzie stał Jez.

- Jak leci, chłopcy? - zapytał. - Może uśmiech dla starego przyjaciela?

Rozdział 8

Sztuka uzdrawiania

- Chodźcie za mną - polecił Mosh Zu. - Lorcanie, twój pokój jest na następnym poziomie.

Kiedy ruszyli znowu korytarzem prowadzącym dalej w dół, Grace uświadomiła sobie, że przypomina to zejście do kajut na statku. Może, pomyślała, cała podziemna struktura Sanktuarium jest zaplanowana nie tylko po to, by wampiry mogły się chronić przed światłem, ale także aby przygotować je do życia na Nokturnie?

- Bardzo dobrze, Grace - powiedział Mosh Zu.

Miała wrażenie, że obserwuje ją z uwagą, ale kiedy spojrzała na niego, twarz miał zwróconą wcale nie w jej stronę, ale na wprost. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że jest taki młody... a przynajmniej wydaje się młody. Poruszał się energicznie i z wigorem. Twarz - gładką jak maska, bez żadnych zmarszczek - można by określić jako przystojną. W niczym nie spełniał jej oczekiwań.

- Dziękuję - uśmiechnął się Mosh Zu. - Potraktuję to jako komplement.

Grace oblała się rumieńcem. Przyzwyczaiła się, że kapitan czyta jej w myślach, ale Mosh Zu? Był dla niej obcy i czuła się przy nim obnażona. Przecież nawet w tej chwili może zaglądać do jej głowy. Czy powinna zatem ukrywać swoje sekrety?

- Nie staraj się ukrywać przede mną - powiedział Mosh Zu. - To dobrze, że jesteś taka otwarta. Inne umysły są jak gęste lasy, pełne poskręcanych gałęzi. Ty jesteś przejrzysta jak świeże górskie powietrze. Uwierz mi, Grace, to dobrze. Bardzo dobrze.

Mimo woli znów się zaczerwieniła. Gdyby tak chciał poświęcić uwagę komuś innemu...

Czy to w reakcji na tę myśl, czy z własnej inicjatywy, tak właśnie zrobił.

- Lorcanie Fureyu, to jest twój pokój - oznajmił.

Otworzył drzwi do niedużego pomieszczenia. Podobnie jak wszystkie inne, było słabo oświetlone. Na środku stało łóżko, w rogu krzesło. Na ścianach wisały kilimy, podobne do tych,

jakie Grace widziała w sali na górze. Przypuszczała, że umieszczono je w miejscach, gdzie mogłyby być okna.

- Wszystkie pokoje tutaj są mniej więcej takie same - wyjaśnił Mosh Zu. - Skromne i proste. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

Lorcan odszukał łóżko i usiadł. Odetchnął z ulgą i schylił się, by rozsznurować buty.

- Dobrze ci zrobi wypoczynek - zauważył Mosh Zu. - Wkrótce wszędzie słońce i powinieneś przespać godziny dnia.

Grace przyglądała się, jak palce Lorcana usiłują odnaleźć sznurowadła. Już miała mu pomóc, gdy nagły impuls kazał jej się zatrzymać. Skądś wiedziała, że musi poradzić sobie sam. Obejrzała się na Mosh Zu i zobaczyła potakujące kiwnięcie głową. Czy odczytał jej myśl, czy przesłał jej własną?

- Zbadasz jego ranę? - zapytała głośno.

Mosh Zu się uśmiechnął.

- Jesteś o krok przede mną, Grace.

Zwrócił się do Lorcana. Oboje zaczekali, aż zdejmie drugi but.

- Połóż się na łóżku, chłopcze. A wtedy, jeśli pozwolisz, rzeczywiście zbadam twoją ranę.

Lorcan przytaknął.

- Oczywiście, sir.

Mosh Zu zaprotestował.

- Nie musisz tak się do mnie zwracać. Wolałbym, żebyś nazywał mnie Mosh Zu.

- Dobrze - zgodził się Lorcan.

- Chodźmy stąd. - Olivier zaczął wypychać z pokoju pozostałych. - Odprowadzę was na kwatery. Pozwolimy Mosh Zu w spokoju postawić diagnozę.

Grace była rozczarowana. Bardzo chciała poznać opinię Mosh Zu na temat rany Lorcana.

- Sądzę, że Grace wolałaby zostać, gdy będę badał jej przyjaciela - stwierdził Mosh Zu. - Zgadłem, prawda?

- Tak - przyznała. - Jeśli to nie przeszkadza... To znaczy, również tobie, Lorcanie. Nie chcę wchodzić nikomu w drogę.

- Bardzo proszę - odparł Lorcan, wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

- No, jeśli ona zostaje, to ja też! - oświadczyła Shanti i chwyciła go za drugą rękę.

- Nie - rzekł Mosh Zu cicho, ale stanowczo. - Nie sądzą.

Shanti nie wypuszczała ręki Lorcana z uścisku.

- Zostaję - powtórzyła. - Grace jest dla niego nikim...

Lorcan chciał zaprotestować, ale Shanti nabierała rozpędu.

- Jestem jego donorem! Moja krew płynie w jego żyłach! Albo płynęłaby, gdyby przestał robić głupstwa i znów zaczął się odżywiać!

- Nie robię głupstw - odparł ze znużeniem Lorcan. - Po prostu nie czuję głodu.

- Nie czujesz głodu! - warknęła Shanti. - To poczuj! Co z ciebie za wampir, który nagle traci ochotę na krew? Kto o takim słyszał?

- Nie. - Lorcan pokręcił głową. - Nie rozumiesz!

- Chodź. - Olivier delikatnie chwycił Shanti za ramię. - Niepokoisz go.

- Nie dotykaj mnie! - Łzy gniewu błysnęły jej w oczach. - Mam prawo go niepokoić! Bóg świadkiem, że on przyniósł mi dość zgryzot!

Kapitan milczał do tej chwili, ale teraz przemówił. Jego szept podziałał jak balsam, łagodzący gniewne nastroje.

- Może, Shanti, byłoby lepiej, gdybyśmy we dwoje poczekali na zewnątrz. W ten sposób usłyszymy diagnozę Mosh Zu, kiedy tylko ją postawi.

Shanti milczała. Jej dłoń zsunęła się z ręki Lorcana, choć Grace nie była pewna, czy puściła go z własnej woli. Kiedy szła do drzwi, na jej twarzy pojawił się wyraz dziwnej błogości. Patrzyli, jak wychodzi na korytarz. Olivier wysunął się za nią...

- Dziękuję, kapitanie - powiedział Mosh Zu. - Pana, oczywiście, chętnie będziemy tu widzieć podczas badania.

- Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewien, że Grace okaże się zdolną asystentką. Pozostawię cię na czas pracy, a na diagnozę zaczekam z innymi na korytarzu.

Mosh Zu spojrział na niego i tylko pokiwał głową. Kapitan wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim.

Grace ogarnął nagły chłód. Poczwała się mocno zdenerwowana. Chwila, na którą czekała - na którą czekali wszyscy, dla której męczyli się na górskiej ścieżce - wreszcie nadeszła. Ale co będzie, jeśli badanie Mosh Zu potwierdzi jej najgorsze obawy? Może lepiej było żyć w niewiedzy, ale z nadzieją...

- Wszystko po kolei. - Mosh Zu uśmiechem próbował dodać jej otuchy. - Lorcanie, wygodnie ci na łóżku?

Lorcan przytaknął.

- Wprowadzę cię w lekki sen - tłumaczył Mosh Zu. - Pomoże nam to nawiązać głębszy kontakt. Czy to ci nie przeszkadza?

- Cokolwiek musisz zrobić... - Lorcan zaśmiał się nagle. - O mało nie nazwałem cię doktorem.

Jego śmiech ucichł nagle, a głowa opadła na poduszkę. Grace spostrzegła, że dłoń Mosh Zu spoczywa na karku Lorcana. Jego ruchy były tak szybkie, że nie zauważyła nawet, kiedy przesunął rękę i go dotknął. Zdziwiałające, jak sprawnie uśpił pacjenta.

- Pomożesz mi, Grace? - zapytał.

- Tak - zgodziła się, choć nie miała pojęcia, co mogłaby robić. - Czy zechcesz odwinąć bandażę? Z tym poradzi sobie bez trudu. Od powrotu na Nokturn zmieniała Lorcanowi opatrunki. Mosh Zu uniósł chłopcu głowę, by Grace mogła rozsupłać węzeł, który sama zawiązała jakiś czas temu. Ostrożnie zdjęła pasy białej tkaniny. Wreszcie oboje mogli zobaczyć ranę.

- Widziałaś to już? - spytał Mosh Zu.

Przytaknęła.

- Kilka razy.

- Czy według ciebie wykazuje jakieś oznaki gojenia?

Spojrzała raz jeszcze. Mogłaby próbować samą się przekonywać, że ciemne, sine barwy rany Lorcana trochę wyjaśniały, ale zdawała sobie sprawę, że ma to związek raczej z delikatnym światłem w pokoju niż z realną zmianą na twarzy. Bardzo jej zależało, by rana zaczynała się goić, ale wyglądała tak samo jak zawsze.

- Nie. - Ponuro pokręciła głową. - Chciałabym móc potwierdzić, ale jest tak samo jak wcześniej.

- A tak z ciekawości, czym smarowałaś ranę?

- Tylko odrobiną jogurtu. Nie byłam pewna, co jeszcze można stosować. Tato zawsze używał jogurtu, kiedy z Connorem za bardzo się spaliliśmy na słońcu. Pamiętam, że łagodził pieczenie delikatnej skóry. Mieli trochę w kuchni na Nokturnie, więc pomyślałam, że spróbuję.

Mosh Zu uśmiechnął się tylko.

- Zrobiłam coś głupiego? - zapytała nagle zakłopotana Grace.

Pokręcił głową.

- Nie śmieję się z ciebie, Grace - uspokoił ją. - Myślę tylko, że istotnie, jak mi mówiono, masz w sobie coś z uzdrowiciela.

- Uzdrowiciela? Naprawdę?

Przytaknął. Teraz poczuła radość.

- Nie martw się, że rana nie zaczęła się goić. Leczenie Lorcana będzie długotrwałym procesem. Skóra wampira potrzebuje więcej czasu niż ludzka, by się odbudować. Komórki w jego ciele są tak samo złożone i tak samo liczne jak w twoim. Krew, jaką pobiera, niezbędna jest do podtrzymywania podstawowych funkcji... siły życiowej, jeśli tak wolisz to nazwać. Potrzebuje krwi, by pomogła w leczeniu, ale nie jest to łatwy i automatyczny zabieg. Musimy go wesprzeć.

Grace przytaknęła. Ale natychmiast w jej głowie pojawiła się straszna myśl. - Ale Lorcan nie przyjmuje krwi... - Rzeczywiście - zgodził się Mosh Zu. - Rzeczywiście. I to jest kolejna trudność w procesie leczenia. Musimy go zachęcić, by znowu zaczął się odżywiać.

Grace energicznie skinęła głową. Była gotowa zrobić wszystko, co konieczne, by przywrócić Lorcanowi zdrowie. Jeśli powinien w tym celu wysać ostatnią kroplę krwi z drobnego ciała Shanti, będzie musiał to zrobić. Zadrzała na tę myśl.

- Jogurt, który zastosowałaś, pomógł złagodzić ból - mówił dalej Mosh Zu. - Ale teraz przepiszę mu środek o bardziej intensywnym działaniu. Olivier przygotuje dla niego maść z czarnego bzu. Może zechcesz się przyjrzeć, jak to robi.

- Tak, bardzo chętnie. Więc myślisz, że da się go wyleczyć?

Mosh Zu potwierdził.

- Z tą raną nie będzie żadnych problemów. Najmniejszych. To tylko kwestia czasu. Kiedy wprowadzimy do organizmu trochę krwi i będziemy regularnie stosować maść, sama zobaczysz, jak znikają te oparzenia. Będzie wyglądał jak nowy.

- I będzie widział! Znow będzie mógł widzieć!

Radość ogarnęła Grace. Mosh Zu okazał się godny swej reputacji. Ledwie przybyli do Sanktuarium, a już wiedział, jak sprawić, by Lorcan odzyskał zdrowie.

Tymczasem Mosh Zu skinął na Grace, by ponownie założyła opatrunek. Uniósł Lorcanowi głowę, żeby ułatwić jej zadanie. Zawiązała węzeł i odstała od łóżka.

Wtedy Mosh Zu znowu przemówił.

- Nie chcę cię niepokoić, Grace. Z tą zewnętrzną raną poradźmy sobie bez kłopotów, jednak przewiduję pewne komplikacje.

- Komplikacje? Jakie komplikacje?

- Zamierzam go zbadać dokładniej. Może cię to wystraszyć. Sama zdecyduj, czy wolisz tu zostać, czy poczekaś z innymi na zewnątrz.

- Nie - stwierdziła stanowczo Grace. - Zostanę.

Cokolwiek miało się zdarzyć, nie chciała opuszczać Lorcana.

- Dobrze - rzekł Mosh Zu. - Ale musisz się przygotować.

Teraz ją przeraził. Co miał zamiar zrobić? Rozgorączkowana wyobraźnia podsuwała jej straszne myśli.

- Położę mu teraz dłoń na piersi - wyjaśnił Mosh Zu. Jego spokojny głos ukoił szalejącą w jej myślach grozę. - Tutaj, ten region między szyją a przeponą, to bardzo ważna część ciała wampira. - Spojrzał na Grace. - Widziałaś kiedyś, jak dokonuje się dzielenie?

- Nie - zaprzeczyła. A potem sobie przypomniała. - Tylko raz widziałam jego i Shanti potem. Spali. - Ale nie oglądałaś ani jego, ani żadnego z wampirów podczas aktu pobierania krwi? Znów pokręciła głową, zła na siebie, że na samą myśl o tym czuje odrazę. - No więc kiedy się pożywiają - tłumaczył Mosh Zu - wgryzają się w klatkę piersiową donora.

Grace się zdziwiła.

- Zawsze myślałam, że kásają szyję ofia... donora.

- Oczywiście - zgodził się Mosh Zu. W oczach błysnęły mu iskierki. - Wszyscy w to wierzą. Często nawet same wampiry. Przecież czytali o tym w książkach, więc to musi być prawda. Podoba im się dramatyzm takich scen. Ale najlepszym miejscem, by dokonać połączenia, jest pierś, tuż nad... Zresztą na pewno sama się domyślisz.

- Tak - przyznała podniecona. - Oczywiście! Tam, gdzie donor ma serce.

- Właśnie. Ale teraz zostawmy donory i zajmijmy się wampirami. Dla wampirów pierś także jest ważna.

Zaskoczył Grace tym stwierdzeniem.

- Ale one... to znaczy wy... nie macie serc, prawda?

- Nie w takim sensie jak wy - odparł Mosh Zu.

- Nieśmiertelność jest darem, być może najwspanialszym ze wszystkich. Ale ma swoją cenę. Wampir pozbawiony jest tej żywej pompy, która dostarcza krew do całego organizmu.

Przestaje działać, kiedy ciało umiera pierwszą śmiercią. Mimo to coś pozostaje pod żebrami. Można to określić jako studnię głębokich emocji. Pewnie można nawet powiedzieć, że to coś najbardziej zbliżonego do duszy.

Grace przyglądała mu się, szeroko otwierając oczy. Mosh Zu wzruszył ramionami.

- To emocjonalne terminy. Jak nazwiemy to coś, pozostaje kwestią otwartą. Ale sama zobaczysz, że to miejsce w ciele Lorcana jest ośrodkiem najgłębszych emocji. - Wyciągnął rękę do piersi chłopca i zatrzymał się. - Jesteś gotowa?

Znowu przytaknęła. Jej własne serce zabiło szybciej.

Mosh Zu położył dłoń po lewej stronie piersi Lorcana. Ten nie zareagował od razu. Grace zastanowiła się, czy Mosh Zu potrafi wyczuć albo usłyszeć coś, co przed nią jest ukryte.

Ale wtedy nagle Lorcan otworzył usta i wydał z siebie niski, głośny krzyk. To był straszny głos - jeden z najstraszniejszych, jakie w życiu słyszała. Zdawał się wydobywać z samej głębi jego istoty. Grace miała ochotę zamknąć oczy i zatkać uszy, ale się powstrzymała. Przyglądała się z uwagą Mosh Zu, który stał nieruchomo nad pacjentem. Gdy krzyk w końcu ucichł, pokiwał głową.

- Nic złego się nie dzieje - powiedział. - Nie bój się. To początek. Próbuje jeszcze raz.

Lorcan znów zaczął krzyczeć, rozdzierająco i długo. Jak można w tej sytuacji mówić, że nic złego się nie dzieje? Grace patrzyła, jak Mosh Zu cały czas trzyma swoją dłoń na piersi chłopca. Trwał nieruchomo, jakby starał się wykryć najdrobniejsze sygnały.

- No dobrze - uznał wreszcie. - Na razie wystarczy.

Cofnął rękę.

Grace była wstrząśnięta do głębi.

- On strasznie cierpi, prawda?

- Tak. Podejrzałem, że taka jest przyczyna. Widzisz, ta rana wokół oczu to drobiazg. Prawdziwa rana tkwi głębiej. To jakby cierń wbity gdzieś wewnątrz.

Poczuła, że jej optymizm ulatnia się gwałtownie.

- Czy możesz... - Bała się pytać. - Możesz się nim zająć? Usunąć ten cierń?

- Mogę spróbować - odparł Mosh Zu. - Ale nie będzie łatwo. To delikatna operacja i nie można jej przyspieszać. Nie użyjemy instrumentów chirurgicznych, ale sztuki uzdrawiania. I będę wdzięczny za twoją pomoc.

Grace była zdziwiona, ale i zadowolona. Miała pewne przeczucia co do ogromu czekającej ich pracy. Ale warto się poświęcić, jeśli tylko stan Lorcana się poprawi.

- Udało nam się zacząć - dodał Mosh Zu już weselej. - Ten krzyk to tylko początek. Wiem, jak musiał brzmieć w twoich uszach, ale w rzeczywistości Lorcan pozbył się w ten sposób części trawiącego go bólu.

Grace zmarszczyła brwi.

- Trudno ci uwierzyć, prawda? Ale popatrz... Zaraz go obudzę i sama się przekonasz, że jest spokojniejszy.

Dotknął głowy pacjenta i Lorcan się poruszył.

- Jak się czujesz? - spytał Mosh Zu.

Lorcan się uśmiechnął.

- Trochę lepiej - powiedział.

Grace nie wierzyła własnym uszom. Mosh Zu obejrzał się i kiwnął głową.

- Ale nagle poczułem się bardzo zmęczony - dodał Lorcan.

- Oczywiście - zgodził się Mosh Zu. - Musisz odpocząć. My również. Teraz cię zostawimy, ale poproszę Oliviera, żeby zaglądał tu od czasu do czasu. Obok twojego łóżka leży dzwonek. Gdybyś czegokolwiek potrzebował, po prostu zadzwoń.

Chłopak przytaknął. Grace stłumiła ziewnięcie. Nie zdołała jednak go ukryć. Nagle i ona poczuła śmiertelne zmęczenie.

Mosh Zu się roześmiał.

- Co ty na to, Lorcanie Fureyu? Siostra Tempest zmęczyła się już opieką nad tobą.

- Jest dla mnie bardzo dobra - zapewnił Lorcan.

- Tak. Jest w niej wiele dobroci. Ale teraz muszę znaleźć pokoje dla niej i jej znużonych towarzyszy podróży. Nie sądzisz?

- Tak - zgodził się. - Powinieneś.

- Śpij dobrze, przyjacielu. - Mosh Zu schylił głowę. - Jesteś w Sanktuarium. Mam nadzieję, że zaznasz w tych murach spokoju.

Grace ścisnęła przyjaciela za rękę.

- Dobranoc - rzekła. - Pchły na noc. Karaluchy pod poduchy.

Ale kiedy go zostawiła i za Mosh Zu wyszła na korytarz, zdała sobie sprawę, że Lorcan ma o wiele więcej powodów do zmartwienia niż tylko pchły i karaluchy.

Rozdział 9

Dziwne współlokatorki

Gdy Grace i Mosh Zu wyszli na korytarz, podbiegła do nich Shanti. Najwyraźniej krzyki Lorcana przedarły się przez to dziwne otępiające zakłęcie, które dotąd ją powstrzymywało.

- Co się stało? - zawołała. - Dlaczego on tak krzyczał?

- Wszystko w porządku - uspokajał ją Mosh Zu.

- Wiem, że brzmiało to rozpaczliwie.

- Brzmiało? Było rozpaczliwe! Całkiem jakby ktoś umierał!

- Nikt nie umarł. Mogę cię o tym zapewnić.

- Mosh Zu rozpoczął leczenie - dodała Grace.

- A co ty o tym wiesz? - rozzłościła się Shanti. - Zresztą nie do ciebie mówiłam.

- Nie ma powodu, żeby tak się zwracać do Grace - upomniał ją Mosh Zu. - Wiem, że jesteś zmęczona, zdenerwowana i martwisz się o Lorcana. Ale postaraj się opanować gniew, jaki odczuwasz. Wyśpij się. I jeśli będziesz miała jeszcze jakieś pytania, spotkamy się później i z przyjemnością na nie odpowiem.

Shanti otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Mosh Zu już się odwrócił.

- Kapitanie, zechce mi pan towarzyszyć. Mamy sobie tyle do powiedzenia...

Kapitan kiwnął głową, a Mosh Zu zwrócił się do Oliviera.

- Mógłbyś odprowadzić Grace i Shanti do ich kwater?

- Oczywiście.

Olivier skinął na dziewczęta, by szły za nim.

- Śpijcie dobrze - rzucił jeszcze Mosh Zu. - Grace, dziękuję ci za pomoc przy Lorcanie.

Proszę, nie martw się zbytnio. Leczenie już się zaczęło.

Grace przytaknęła. Pożegnała się z Mosh Zu i kapitanem. Domyślała się, że mają do omówienia wiele spraw. Spoglądała, jak odchodzą korytarzem, i zastanawiała się, ile jest sekretów znanych tylko im.

- Chodźmy - odezwał się Olivier. - Najpierw pójdziemy do bloku donorów.

Grace rozumiała powody tej decyzji - im szybciej pozbędą się niezdolnej Shanti, tym lepiej.

Skręcili w inny korytarz i zaczęli się wspinać; Grace nie sądziła, by szli już wcześniej tą drogą.

- Kwatery donorów znajdują się na najwyższym poziomie kompleksu - wyjaśnił Shanti Olivier. - To zapewni ci swobodny dostęp do dziedzińca i ogrodów, gdybyś miała ochotę na spacer. Przekonasz się, że jedzenia ci nie zabraknie. Wkrótce podadzą śniadanie.

- Śniadanie? - zawołała Shanti. - Nie potrzebuję śniadania. Potrzebuję łóżka.

- Oczywiście - zgodził się lekko rozbawiony Olivier. - Ale będziesz się trzymać porcji posiłków ustalonych dla donorów. Tak jest prościej.

Rozmawiając, weszli na korytarz, po którym kręcili się już ludzie.

- Dzień dobry, Olivierze - powitał ich mijany mężczyzna.

- Co to za jedne? - zainteresowała się niezbyt sympatyczna z wyglądu dziewczyna. - Nowe? - Zmierzyła wzrokiem Shanti. - Nie jest trochę za stara, żeby zaczynać?

Shanti spojrzała na nią gniewnie.

- Kogo nazywasz nowym? - spytała. - Już od dawna pływam na Nokturnie.

- Akurat... - prychnęła dziewczyna. - Gdyby tak było, to byś tak nie wyglądała. Nie pamiętasz lekcji? Kiedy już zaczniesz się dzielić, stajesz się nieśmiertelna. Wiecznie młoda... zakonserwowana. A popatrz na siebie. To jakby konserwować suszoną śliwkę!

- Dość tego! - uciął Olivier.

Grace zauważyła, że Shanti - choć z wyzywającą miną - zdenerwowała się jednak. Wiedziała, że każda nowa zmarszczka na twarzy - a od czasu wyprawy przybyło ich kilka - jest niczym cios w serce. Zamyślona, nagle zdała sobie sprawę, że początkująca donor patrzy teraz na nią.

- No, z tą jest lepiej. Wyglądasz, jakby twoja krew była smaczna i świeża - stwierdziła. Podniosła rękę i uszczypnęła Grace w policzek.

- Au!

Przypominało to dziobnięcie ptaka.

- Tak - uznała kobieta, cofając dłoń. - Będiesz dla kogoś miłym donorem.

- Nie jestem donorem.

- Nie, moja droga. Oczywiście.

Olivier stanowczym gestem ujął kobietę za ramię.

- Grace mówi prawdę. Nie jest donorem, lecz gościem. A Shanti rzeczywiście pływała na Nokturnie. A teraz, kiedy już sobie to wyjaśniliśmy, może zostawisz nas i pozwolisz, żebym odprowadził zmęczone podróżniczki do ich pokojów.

Mimo uprzejmości w jego głosie dzwięczała stal. Dziewczyna zrozumiała, że została odprawiona.

- Bien sur, Monsieur Olivier. - Dygnęła przed nim.

- Bywajcie, moje panie. Jeszcze się zobaczymy. Gdy oddaliła się korytarzem, Olivier otworzył drzwi. - Tutaj, Shanti. To twój pokój. Tak jak uprzedzono, niewiele się różnił od pokoju Lorcana. - Teraz cię zostawimy. - Olivier wyszedł za próg. - Czekać! - zawołała Shanti. - Kiedy znów was zobaczę? Dokąd zabierasz Grace? - Jesteś donorem - przypomniał jej Olivier. - To twoja kwatery. Będziesz zawiadamiana o posiłkach. Porozmawiaj z początkującymi donorami, spróbuj ich lepiej poznać. Nie wszyscy są tacy jak tamta.

Jak tamta... Nawet jeśli była odpychająca, czy nie mógłby okazać odrobiny szacunku i nazywać jej imieniem? Grace poczuła, że znów ogarnia ją gniew na Oliviera.

Wydawał się radośnie nieświadomy jej emocji.

- Chodźmy, Grace - powiedział. - Odprowadzę cię do twojego pokoju.

Odwracał się, gdy z sąsiedniego pokoju dobiegł cichy skowyt.

- Co to takiego? - zapytała Shanti.

Olivier wzruszył ramionami.

- Niektórym trudno przyzwyczać się do myśli o oddawaniu krwi. Wiesz, jak to bywa. Myślę, że będziesz mogła im pomóc.

- Nie! - odparła Shanti. Twarz miała bledszą niż zwykle. - Proszę cię, Grace, nie zostawiaj mnie tutaj. Pozwól iść ze sobą.

- Niemożliwe - oświadczył Olivier.

- Nie. - Grace podjęła decyzję. - Shanti, weź swój bagaż i chodź z nami. Możemy zamieszkać razem.

- Raczej nie - zaprotestował Olivier.

Grace jednak była niewzruszona.

- Jesteśmy tu gośćmi czy więźniami? - spytała. - Shanti to... to moja przyjaciółka i zapraszam ją, żeby zamieszkała ze mną. Jeśli to jakiś problem, sugeruję, żebyś od razu wezwał Mosh Zu!

Zdawało się, że Shanti rozplacze się z wdzięczności. Olivier uśmiechnął się z przymusem.

- Jeśli to jest twoja przyjaciółka - rzekł - to nie chciałbym być twoim wrogiem.

- Nie - zgodziła się Grace. - Chyba byś nie chciał. A teraz zaprowadź nas do naszego pokoju.

Olivier westchnął i znów ruszył korytarzem.

- To się nie uda - zawyrokował. - Ona będzie się budziła w dzień, a ty według rozkładu zajęć wampirów, które w dzień śpią, a wstają o zachodzie. Nic z tego nie będzie.

- Znajdziemy sposób.

- Dziękuję ci, Grace - szepnęła Shanti, biorąc ją pod rękę.

To dopiero dziwaczny sojusz, pomyślała Grace.

Po chwili przeszły przez Korytarz Rzeczy Porzuconych i Korytarz Wstążek, by w końcu skręcić do kolejnego szeregu drzwi.

- Tutaj - rzekł Olivier ze swą zwykłą wymuszoną grzecznością.

Otworzył drzwi.

Pokój był wyposażony tak skromnie jak poprzednie, z pojedynczym łóżkiem na środku.

- Nie macie żadnego z dwoma łózkami? - spytała Shanti.

- To nie jest motel - burknął. - Mówiłem, że to się nie uda.

- Postaramy się, żeby się udało - odparła Grace cichym głosem. - Dziękujemy ci za opiekę, Olivierze.

- Nie ma za co, panno Tempest - zapewnił. - A teraz życzę miłego pobytu w tym pokoju... i w tym towarzystwie.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Grace i Shanti wreszcie zostały same.

- Och, Grace... - westchnęła Shanti. - Nie wiem, jak ci dziękować. Nie mogłabym zasnąć w tamtym bloku. Po prostu nie... Dziękuję... Dziękuję...

- Nie ma sprawy.

Grace nagle poczuła zmęczenie. Bolała ją głowa, podobnie jak reszta ciała. Musiała się położyć.

- No dobrze. - Shanti spojrzała na wąskie posłanie. - Musimy tylko zdecydować, kto dzisiaj dostanie łóżko.

- To głupstwo. - Grace szybko zrozumiała, jak może się potoczyć ta rozmowa. - Zajmij je. Jestem taka zmęczona, że wystarczy mi podłoga.

- No, jeśli jesteś pewna...

Shanti ułożyła się na posłaniu.

- Tak, jestem. - Grace zdjęła buty i płaszcz. - Gdybyś dała mi tylko jedną poduszkę...

Shanti zmarszczyła brwi.

- Zwykle spiam na dwóch - powiedziała. - Może złożyłabyś swój płaszcz...

Grace spojrzała tylko.

-“Nie, nie, oczywiście. Proszę.

Shanti podała jej poduszkę. - Dzięki. - Aha, i mam coś dla ciebie w dowód wdzięczności - dodała Shanti. Grace zdziwiła się. Jak mogła zdobyć cokolwiek po drodze z bloku donorów? Ale Shanti sięgnęła do kieszeni futra i wyjęła dwie wstążki.

- Jedna dla ciebie, druga dla mnie - oświadczyła, podnosząc je do światła. Wyraźnie próbowała zdecydować, która jest ładniejsza.

Grace poczuła w głowie ostre ukłucie bólu.

- Skąd je wzięłaś?

- A jak myślisz? Z Korytarza Wstążek. Przecież tam nikomu się nie przydadzą. Kołyszają się tylko w przeciagu. A ja pomyślałam, że świetnie się nadają...

Dokonała wyboru, po czym zebrała włosy do tyłu i wstążką ściągnęła je w kucyk, zawiązując zgrabną kokardę.

- Patrz! - zawołała. - Idealnie!

Grace nie podzielała jej entuzjazmu.

- Chyba nie powinnaś ich zabierać.

- Przecież to tylko wstążki, Grace - zdziwiła się Shanti. - Wierz mi, swego czasu podkładałam nie tylko takie drobiazgi. Założę się, że nawet nie zauważyłaś, jak je wzięłam.

Zrobiła dumną minę.

- Nie, rzeczywiście nie - przyznała Grace.

- No właśnie. - Shanti podała jej wstążkę na otwartej dłoni. - Nie weźmiesz? Nie gniewaj się, że to mówię, ale włosy masz trochę rozczochrane...

Grace spojrzała na wstążkę. Ogarnęły ją złe przeczucia...

Chociaż to głupie. Przecież to tylko wstążka. Pamiętała jednak, że Olivier nie chciał wyjaśnić ich znaczenia - wolał zostawić to Mosh Zu. Najwyraźniej były ważne, ale Shanti zachowywała się jak sroka - widziała w nich tylko ładne ozdoby. Jednak pewnie nie da spokoju, dopóki Grace nie przyjmie prezentu.

- Dziękuję. - Wzięła wstążkę. Głowa bolała ją coraz bardziej. Naprawdę musiała się przespać. - Włożę ją pod poduszkę.

- Jak chcesz. - Shanti poprawiła pościel.

Grace położyła się na gołej podłodze i oparła zmęczoną głowę na poduszce. A więc to jest Sanktuarium... Daleko wędrowali, żeby tu trafić. Inaczej je sobie wyobrażała. Zupełnie inaczej. Ale może jutro coś się zmieni na lepsze. Taką miała nadzieję. Naprawdę miała.

Rozdział 10

Zagubiony bukanier

- Nie patrz na niego. - Connor chwycił Barta za ramię. - Nie patrz na niego i nie rozmawiaj z nim. To nie jest... - Nie chciał nawet wymawiać imienia.

- To nie jest on. - Przypomniał sobie, co mówił kapitan wampiratów. - To echo.

Jednakże, mimo stanowczego tonu i słów, sam nie potrafił stłumić dręczącego cierpienia. Widział, że Bart także walczy ze sobą. Wciąż ścisnął go za ramię. Ale po chwili, która zdawała się trwać długie minuty, poczuł ulgę, gdy przyjaciel strącił jego rękę.

- Nic z tego. - Spojrzał na Connora. - Za wiele dla mnie znaczył za życia, żeby go teraz odepchnąć.

Odwrócił się, zrobił dwa kroki i stanął przed Jezem.

- Czy to ty? - zapytał. - Czy to naprawdę ty? - Wyciągnął rękę, ale ta zawisała w powietrzu, jakby Bart lękał się odpowiedzi na to pytanie. - Trzymałem cię w ramionach, kiedy umierałeś. Widziałem, jak uchodzi z ciebie życie. Niosłem twoją trumnę i rzuciłem ją do oceanu. Po tym wszystkim, jak mógłbyś to być ty?

Strumyki łez pociekły mu po twarzy.

Jez stał nieruchomo.

- To ja - powiedział bardzo cicho. - A raczej ta odrobina, która jeszcze ze mnie została.

Bart z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Mówisz tak jak on... - Popatrzył na księżyc. - To takie trudne... - dodał.

Connor nie był pewien, do którego z nich się zwraca.

- Nie podasz mi ręki, kolego? - zapytał Jez.

- Nie podawaj - prosił Barta Connor. - Zostaw go. To jakaś sztuczka. On jest niebezpieczny.

Sam nie umiał rozeznaczyć się we własnych uczuciach. Wymówił te słowa raczej z poczucia obowiązku niż z przekonania.

Patrzył, jak Bart wyciąga dłoń na spotkanie ręki Jeza. Wymienili uściski. Bart załkał gwałtownie.

- To naprawdę ty! Nie wiem, jak to możliwe, ale to ty!

Cofnął rękę i wytarł oczy grzbietem dłoni.

- Spodziewałem się prawie, że moja ręka przeniknie przez twoją - przyznał. - Jakbyś był tylko duchem.

Jez pokręcił głową.

- To, że możecie mnie zobaczyć i dotknąć, nie znaczy jeszcze, że jestem bardziej materialny niż duch.

- Patrzył teraz na Connora. - Proszę, Connor - wyszeptał. - Czy podejdziesz i też uściśniesz mi dłoń? Tak wiele to dla mnie znaczy...

Connor uświadomił sobie, że drży.

- Jak mógłbym ci podać rękę? Kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, próbowałem cię zabić.

Łzy stanęły mu w oczach. I jak przez mgłę znowu zobaczył tamtą straszną noc. Widział żagiew w dłoni i Jeza na płonącym pokładzie, błagającego o litość.

- Wszystko zapomniane - zapewnił teraz Jez. - Chociaż nie, nie powinniśmy zapominać. Ale miałeś powody, żeby starać się mnie zabić. Dokonałem haniebnych, okropnych czynów. Ostatnio sam często chciałem siebie zniszczyć.

Zwiesił głowę.

Connor nie zdołał się dłużej powstrzymać. Podeszedł, wyciągnął rękę i dotknął Jeza. Jego palce były lodowato zimne. Po raz pierwszy pozwolił sobie spojrzeć prosto w twarz dawnego przyjaciela - bladą i wymizerowaną. Za życia miał zawsze rumianą cerę. W śmierci - czy w tym stanie pośrednim, w jakim się znalazł - skóra nabrała barwy śnieżnej bieli, której księżycowy blask dodawał odcienia błękitu.

Poczuł dreszcz. Obejmował ciało martwego człowieka. Jego dawny przyjaciel stał się teraz wampirem. Grace nie miała problemów w kontaktach z wampirami, ale dla niego było to nowe przeżycie. Miał tyle pytań...

- Wiem, jaki to dla was wstrząs - przyznał Jez. - Więcej niż wstrząs. Gdybyście wiedzieli, ile już razy byłem bliski zwrócenia się do was, ale zawsze się cofałem. Po wszystkim, co razem przeszliśmy, nie mogłem znieść myśli, że mnie odepchniecie...

- Nie odpychamy cię, kolego - zapewnił Bart.

- Nie - zawtórował Connor. - Ale co możemy dla ciebie zrobić? Czego od nas potrzebujesz?

- Głównie chciałem was znowu zobaczyć - wyznał Jez. - Jestem taki samotny.

- A co z Sidoriem? - Connor musiał o to zapytać.

- Odszedł - odparł spokojnie Jez. - Zabiliście go. Zniszczyliście ich wszystkich, oprócz mnie.

Connor się zdziwił. W jaki sposób Jez zdołał przetrwać w tym ogniu? Jak przeżył, skoro zginął nawet potężny Sidorio?

Przypomniał sobie jego przechwałki. Ogień czyni mnie silniejszym - ale nie uczynił. Śmierć nie może mnie zabrać! Śmierć nie może z powrotem przyjąć już umarłych! A jednak zabrała Sidorio, a oszczędziła Jeza. Czy powodem mogło być to, że Jez nie był jeszcze zbudowany z tego samego materiału co pozostali? Może nie. stał się jeszcze „echem”, o którym mówił kapitan. Może przetrwało w nim zbyt wiele śladów człowieczeństwa. Mimo to uczestniczył w okrutnej rzezi Porfiria Wrathe'a i jego załogi. Według jego własnych słów, dokonywał „strasznych czynów”. I patrząc na niego, Connor zdał sobie sprawę, że wielu rzeczy nie wiedzą na temat działań Jeza.

- Czego od nas chcesz? - zapytał.

- Już mówiłem. Towarzystwa.

- Nie. Jest coś więcej. Czegoś od nas oczekujesz.

Jez się uśmiechnął.

- Pamiętam, jak pojawiłeś się na Diabłu - powiedział. - Uczyliśmy cię szermierki. Byłeś moim wsparciem w czasie ataku. Minęło parę miesięcy, ale wydaje mi się, że już całe lata. Zmieniłeś się. Urosłeś. Z trudem cię poznałem.

Connor zmarszczył czoło.

- Wszyscy się zmieniliśmy. Niektórzy z nas bardziej niż inni.

- Tak, masz rację - przyznał Jez. - Wróciłem nie tylko po to, żeby się przy was pokręcić.

Wróciłem prosić o przysługę. I to wielką.

- O co? - spytał Connor.

- Zrobimy wszystko - obiecał Bart.

- To bardzo proste - wyjaśnił Jez. - Chcę, żebyście pomogli mi znaleźć drogę powrotną. - Urwał na chwilę, nim podjął: - A jeśli to niemożliwe, chcę, żebyście mnie zabili. Raz na zawsze.

Rozdział 11

Śnieg

Grace męczyła się, nie mogąc zasnąć. Po trudach wędrówki do Sanktuarium czuła się śmiertelnie zmordowana, mimo to jednak nie potrafiła uspokoić rozbieganych myśli. Była taka podekscytowana pobytom tutaj - ucieszona, że Lorcan rozpoczął już leczenie, i tym, że zobaczy Mosh Zu Kamala przy pracy.

W końcu, pomyślała, udało się jej dostosować swój rytm dobowy do stylu życia wampirów - przesypiała dzień i budziła się z nadejściem nocy. Wprawdzie brakowało jej światła, ale nie miała wyjścia, jeśli chciała ich lepiej poznać. Pamiętała swoje pierwsze dni i noce na pokładzie Nokturnu, kiedy - zamknięta w kabinie - czuła się, jakby wypadła poza czas. Dobrze jest działać w pewnym rytmie, nawet jeśli nie jest to rytm normalnego śmiertelnika.

Obok niej Shanti stękała i wierciła się na swoim łóżku. A raczej na łóżku Grace. Zajęła jedyne posłanie, więc mogłaby mieć choć tyle przyzwoitości, żeby zachowywać się spokojnie. Tymczasem rzucała się, kręciła i przewracała... całkiem jakby dręczyły ją złe sny. Grace myślała, czy jej nie obudzić, uznała jednak, że Shanti śpiąca - choćby i niespokojnie - mimo wszystko jest łatwiej strawna od Shanti rozbudzonej.

Ułożyła głowę na poduszce. Lubiła spać wyżej, więc wsunęła pod nią plecak. Przy okazji zauważyła na podłodze wstążkę, którą dostała od Shanti. Podniosła ją w palcach i położyła się znowu. Z plecakiem zrobiło się jej wygodniej. Przesunęła się, by jakoś ułożyć ciało na cienkim kocu. Delikatnie trzymała w dłoni wstążkę, pozwalając, by przesunęła się między palcami niczym wąż. I wtedy zaciążyły jej powieki. Zamknęła je z wdzięcznością i w końcu odpłynęła w sen.

Wkrótce zaczęła śnić. Choć wizja była jaskrawa, na początku Grace zdawała sobie sprawę z tego, że to sen. Leżała na wznak i patrzyła na nocne niebo - doskonale czyste i pełne gwiazd, jak bela materiału, rozwinięta tak daleko, jak sięgała wzrokiem.

Coś uwierało ją w kark. Uniosła się, obejrzała i odkryła, że pod głową zamiast poduszki ma siodło. Zaskoczona, roztarła obolałą szyję i położyła się znowu. Niedaleko siebie usłyszała rżenie. Znowu odwróciła głowę i zobaczyła stojącego w pobliżu konia z uzdą uwiązaną do drzewa.

Widząc, że koń jest na miejscu, uśmiechnęła się i ponownie oparła głowę na siodle. Leżała tak, patrząc w gwiazdy, w całkowitej harmonii ze światem.

Poczuła, że coś łaskocze ją w nos. Pomyślała, że to koń trąca ją pyskiem.

- Przestań, Whiskey! - zachichotała. Znała skądś imię zwierzęcia.

Ale łaskotanie trwało, coraz bardziej wilgotne.

- Whiskey! - zawołała i otworzyła oczy.

Ale koń stał z boku, tak jak poprzednio. Uświadomiła sobie, że łaskotały ją drobiny śniegu - gęste i puszyste, opadały dostojnie z nieba. Pokrywały ziemię bielą. Dziwne, ale leżąc tak, nie czuła chłodu. Była zbyt pochłonięta pięknem padającego śniegu, spływającego na nią jak płatki kwiatów... W końcu okrył ją gruby, biały pled.

Potem znalazła się na koniu - na Whiskey - biegnącym po śniegu. Przed sobą widziała znajome sylwetki ojca i brata. W pobliżu jechali też inni, biegło stado bydła. Ogarnęło ją poczucie przynależności, takiej samej harmonii jak wtedy, kiedy leżała w śniegu. Tu była jej rodzina. Tu był Whiskey. Tu był dom - w siodle, na tym koniu.

- Permanezca alli, Johnny - zawołał ojciec. - Subimos adelante.

„Zostań tu, Johnny. My pojedziemy naprzód”.

I jakoś jej nie zdziwiło, że nazwał ją Johnnym. Uświadomiła sobie, że jest chłopcem. Spojrzała na swoje ręce - ręce chłopca, młode, ale o skórze już stwardniałej od trzymania wodzy. No cóż, to przecież sen. We śnie może się zdarzyć wszystko. W snach rozumiała po hiszpańsku. Potrafiła nawet mówić w tym języku.

- Si, padre! - odkrzyknęła.

Osunęła się na siodło Whiskey, brnącego wytrwale przez śnieg. Teren wznosił się szybko i coraz gęściej wirowały dookoła białe płatki. Po obu stronach widziała tylko najbliższych jeźdźców.

- Niezła jazda, Johnny - usłyszała z boku głos zachęty.

- Całkiem jak papcio - dodał inny, niski głos.

Potem wszystko się zmieniło - jakby ziemia przesuwiała się pod kopytami Whiskey. Słyszała krzyki z góry i ze wszystkich stron - ludzkie krzyki i niskie muczenie krów. Czowała, że wraz z wierzchowcem popychana jest na boki.

- Trzymaj się mocno, Johnny! Cofaj się! Trzymaj mocno!

Robiła, co mogła, ale to takie trudne... Śnieg oślepiał, odcinał ją od pozostałych. Jak najmocniej chwyciła wodze Whiskey, ale koń szarpał się i próbował ją zrzucić. Trzymając z całej siły, uświadomiła sobie, że nie pędzi już przez śnieżycę. Był upalny dzień, pot ściekał jej z czoła, a ona dosiadała konia - nie Whiskey - na padoku. Czerwony pył pod kopytami stykał się z najbardziej błękitnym niebem, jakie w życiu widziała.

- Patrzcie, jak Johnny sobie radzi! - zawołał stojący za ogrodzeniem mężczyzna.

Miał na głowie stetsona, a Grace uświadomiła sobie, że ona także.

- Jeśli Johnny jej nie złamie, to nikt nie zdoła - odezwał się drugi.

Razem się przyglądali, jak ujeżdża dzikiego rumaka. Spojrzała na swoje dłonie - nie należały już do chłopca. Skórzane wodze ścisnęły dłonie młodego mężczyzny.

Rozległy się okrzyki i brawa - najgłośniejsze pochodziły od dwóch ludzi tuż za ogrodzeniem. Ale gdy uniosła głowę, przekonała się, że nie jest już na padoku. Teraz znalazła się na arenie, a ze wszystkich stron oklaskiwały ją tłumy. Utrzymując się na grzbiecie dzikiego konia, zauważyła fragment wymalowanego na płótnie napisu: „...County, Siedemnaste Doroczne Rodeo”. Tłum krzyczał ogłuszająco i wiedziała, że musiała zwyciężyć. Ale jakoś nie ogarniała jej radość. Czegoś brakowało. Ta harmonia, jaką odczuwała wcześniej - leżąc pod gwiazdami, potem jadąc przez śnieżycę - teraz zniknęła i skądś wiedziała, że już nie wróci. To tylko sen, powtarzała sobie. Tylko sen. W każdej chwili mogę otworzyć oczy... ale nie otwierała. Mocno trzymała wodze i pozwalala, by sen niósł ją od jednego rodeo do następnego.

Wszystko zaczęło przyspieszać. Jechała przed siebie, wciąż jechała. Ale teraz podróżowała przez kraj. W śniegu i w słońcu, przez wiatr i deszcz. Czasami samotnie. Czasami z kimś. Niekiedy ze stadem bydła pomiędzy sobą a towarzyszem. Ciągle jechała. Zaczynało ją ogarniać znużenie. Niedługo będzie musiała skończyć z tą jazdą, zatrzymać się gdzieś na długi, bardzo długi sen.

Potem znowu spadł śnieg. Tak samo gęsty i piękny jak dawniej. Ale tym razem wywołał uczucie smutku i samotności, nieznośnej samotności. Otaczała ją biel, w której rysowały się tylko szare sylwetki nagich drzew. Podążała dalej z ciężkim sercem, a śnieżycy atakowała otaczające ją

stado. Pod chmurnym niebem krowy wydawały się szare. Wszystko stało się teraz szare - zabawne, jak szybko czysty biały śnieg może zrobić się taki brzydki. W pewnej odległości rozmawiali jacyś ludzie. Nie rozróżniała słów, ale coś w ich głosach wzbudziło dreszcz.

- Brawo, Johnny! - usłyszała wołanie. - Świetna robota! Jak zawsze!

Ale choć słowa dodawały otuchy, ona czuła tylko chłód. Miała wrażenie, że wszystko zbliża się do końca.

I nagle nie jechała już na koniu. Była na ziemi. Znowu w śniegu, ale tym razem nie wydawał się puszysty. Nie wydawał się nawet chłodny. Miała wrażenie, że ją pali. Nad nią rozciągało się nocne niebo i mimo padającego śniegu jaśniało od gwiazd, jak wtedy, za pierwszym razem - tak dawno temu... Przesuwała się szybko po ziemi, gdyż ktoś włókł ją na sznurze. Bardzo bolało i modliła się, by już się skończyło. I nagle skończyło się rzeczywiście. Ruch ustał i znowu leżała, widząc nad sobą tańczące, puszyste płatki. Przez chwilę wszystko było piękne i pełne spokoju.

Ale po chwili dwie pary rąk postawiły ją i pchnęły mocno. Ktoś coś wołał, ale inne głosy także krzyczały i w tym białym szumie słowa stały się niezrozumiałe.

- Podciągnąć go! Obok tamtych!

Poczuła, że zakładają jej coś na szyję - jakby nagle z jeźdźca stała się koniem. Ale ta uprzęż była zbyt ciasna. O wiele za ciasna. Uciskała krtań. Rozchyliła usta do krzyku. I wtedy, w końcu, otworzyła oczy.

- Shanti!

Twarz Shanti zawisła w górze, oczy wpatrywały się w nią, dzikie i pełne nienawiści. Grace spojrzała niżej i zobaczyła ręce Shanti, zaciskające się na jej szyi. Shanti ją dusiła!

- Co... ty... ro... bisz? - wychrypiała z trudem, nim dziewczyna chwyciła ją jeszcze mocniej.

Ogarnięta zgrozą, Grace patrzyła jej w oczy - zobaczyła w nich tylko pustkę.

- Nie broń się - powiedziała Shanti głosem zimnym jak metal. - To nie ma sensu. Jestem silniejsza od ciebie. Będzie łatwiej, jeśli się poddasz.

Rozdział 12

Cztery słowa

- Prędko! - syknął Bart do Jeza, gdy zobaczył Molucca na pokładzie. - Wskakuj do szalupy!

Jak na martwego, Jez poruszał się całkiem sprawnie.

- Connor! - zawołał kapitan, zbliżając się szybko.

Miał na sobie wspaniały szlafrok z metalicznymi nitkami, ozdobiony klejnotami, które migotały w blasku księżyca. Włosy, rozczochrane jeszcze bardziej niż zwykle, sterczały na wszystkie strony niczym maszty statku. Connor zauważył, że nad czołem podtrzymuje je coś, co z początku wziął za przepaskę. Dopiero po chwili rozpoznał maskę do spania. To wszystko zapewne stanowiło nocny ekwipunek kapitana, zresztą nie mniej fantastyczny niż jego zwykły kostium.

- Tak, kapitanie? - zapytał. - Myśleliśmy, że poszedł się pan położyć do kajuty.

- Tak było, mój chłopcze - odparł Molucco, badając wzrokiem pokład.

Connor nie śmiał się obejrzeć, ale modlił się, by Jez zdążył się bezpiecznie ukryć. Molucco wzruszył ramionami.

- Nie mogłem zasnąć - wyjaśnił. - Za wiele myśli tłucze się po mojej starej głowie.

- Może chciałby pan o tym porozmawiać? - zaproponował chłopiec.

Gestem zachęcił Wrathe'a, by oddalili się od szalupy i przeszli na drugi koniec pokładu. Kapitan ruszył razem z chłopcem. Connor zerknął szybko przez ramię i zobaczył, że Bart wystawia kciuki do góry. Uff! Niebezpieczeństwo minęło.

- Nieźle mną wstrząsnęło, kiedy zobaczyłem dzisiaj mojego brata i rodzinę.

- Jestem pewien - zgodził się Connor.

- Porządny wstrząs! Wiesz, że ja i Barbarro od dłuższego czasu ze sobą nie rozmawialiśmy?

- Tak. Słyszałem.

Czyżby Molucco zamierzał opowiedzieć mu o początkach braterskiej wrogości?

- Widzisz, śmierć wszystko zmienia. - Obrzucił chłopca spojrzeniem szeroko otwartych oczu. - Ty dopiero zaczynasz podróż swego życia. Ale kiedyś się o tym przekonasz, mój chłopcze. Śmierć zmienia wszystko.

Connor milczał; pomyślał jednak, że śmierć już zmieniła wszystko dla niego i jego siostry. Nie znaleźliby się na morzu, gdyby nie umarł ich ojciec.

Wolno dotarli do połowy długości statku. Chłopiec wspominał swoją rodzinę: zmarłego ojca i ukochaną siostrę, gdziekolwiek się teraz znajdowała.

Odgłos kroków sprawił, że powrócił myślami do chwili bieżącej.

- Witaj, Bartholomew - zahuczał Molucco. - Jak tam wachta?

- Bardzo spokojna - odparł Bart. - Spokojna noc, co? Connor?

Connor przytaknął.

- Świetnie. - Molucco się uśmiechnął. - Wypijmy zatem po kropelce rumu, dobrze? - Wskazał najbliższą szalupę. - Z twojego prywatnego zapasu?

Bart zrobił zakłopotaną minę, ale kapitan tylko się roześmiał.

- To sztuczka tak stara jak piractwo: ukrywanie w szalupie poręcznej flaszki rumu. Żeby stare kości nie przemarzły i żeby w żołądku grzało podczas długiej nocnej wachty. No już, Bartholomew, przestań się czerwienić i nalej nam po kropelce.

Bart podniósł brezent i wszedł do łodzi. Podał Connorowi butelkę i trzy emaliowane kubki. Molucco z uśmiechem odebrał chłopcu butelkę i nalał do kubka solidną porcję rumu. Oddał go Bartowi, po czym rozlał do dwóch pozostałych, które trzymał przed nim Connor.

- Chodźcie, siądziemy sobie na rufie.

Weszli na górną część pokładu i usiedli pod drewnianym daszkiem za kołem sterowym. Nad kołem wisiała latarnia.

Connor usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok Barta i kapitana. Zamyślił się nad tym, jak w tej szczególnej chwili zniknęła wszelka hierarchia - byli po prostu trójką piratów, odpoczywających w czasie, gdy ich statek kołysał się na spokojnych wodach.

- Toast. - Molucco wznosił kubek. Bart i Connor poszli za jego przykładem. - Za życie krótkie, ale wesołe.

- Życie krótkie, ale wesołe! - powtórzyli młodszy piraci.

Wszyscy trzej stuknęli się kubkami. Connor pamiętał, że Molucco wznosił już kiedyś taki toast. Te cztery słowa wyrażały ideę pirackiego życia.

Skrzywił się, przełykając odrobinę rumu. Alkohol nadal mu nie smakował i miał nadzieję, że dwaj towarzysze nie zauważą, jeśli zrezygnuje z dalszych toastów.

- Cieszy się pan ze spotkania z bratem? - zapytał kapitana Bart.

- O tak - przyznał Molucco. - Dobrze, że się pogodziliśmy. Bardzo dobrze. Ta kłótnia trwała zbyt długo. - Uśmiechnął się, ale uśmiech znikł szybko, kiedy kapitan znów napił się rumu. - Ale to smutne, że trzej bracia Wrathe nigdy się już nie spotkają. A przynajmniej dopóki obaj nie dołączymy do Porfiria w skarbcu Neptuna.

To, jak Connor wiedział, w pirackim slangu oznaczało dno oceanu. Wyobraził sobie leżących tam trzech braci Wrathe - w grobowcu otoczonym przez koralowce i algi, odwiedzanym jedynie przez jeżowce i rozgwiazdy. Wizja zbyt ponura, by długo ją rozważać.

- Chciałbym tylko - mówił dalej Molucco - by Barbarro pogodził się z faktem, że Porfirio odszedł. I żeby dał już spokój tej sprawie.

- A nie potrafi? - spytał Bart.

Molucco zaprzeczył.

- Nie. Barbarro ma obsesję zemsty. Trofie również. Rozumiem to. Oczywiście, że rozumiem. Też chciałem się zemścić. Ale powiedziałem im: zemsta już się dokonała. Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy osaczyliśmy statek morderców Porfiria... i go zniszczyliśmy.

Connor także nie mógł jej zapomnieć. I podejrzewał, że nie uda się to żadnemu z piratów, którzy wyruszyli wtedy na morze.

- Opowiedziałem im o tym - ciągnął kapitan. - O tym, jak pan, panie Tempest, wpadł na świetny pomysł, by walczyć z tymi potworami ogniem. Jak płomienie wzniosły się pod samo niebo i porwały te monstra do piekła, gdzie ich miejsce.

Te pełne emocji słowa przypomniały Connorowi o Jezie. W tej chwili wprawdzie ukrywał się w szalupie, ale z tego, co mówił, wynikało, że piekło to dobre określenie dla jego obecnej egzystencji. Co do Sidorii i innych wampirów - których pochłonął ogień - może naprawdę przebywali teraz w piekielnej czeluści. Dla Connora najważniejsze było, że odeszli i nigdy już nie wrócą. To prawdziwy cud, że Jez przetrwał, ale może to jego wewnętrzna dobroć go ocaliła. Connor zastanawiał się chwilę. Jez powinien teraz trafić między podobnych sobie... Gdyby udało

się dostarczyć go na statek wampiratów, poprosić o pomoc ich kapitana, może cierpienia przyjaciela by się skończyły.

Molucco zmarszczył czoło i przerwał rozważania chłopca.

- Ale Barbarro i Trofie tam nie było, więc nie rozumieją. Chcą wiedzieć, dlaczego zginął Porfirio i kim byli ci zbrodniarze, którzy go zabili. Tłumaczyłem im, że pewnie nigdy nie zrozumiemy, kim byli i dlaczego to zrobili. A gdyby nawet, nie przywróci to Porfiria. Nic tego nie dokona prócz wspomnień, jakie o nim zachowaliśmy.

- Ma pan rację! - oświadczył Connor.

Dwaj pozostali spojrzeli na niego, być może zaskoczeni stanowczością tonu.

- Chcę powiedzieć, że bitwa się skończyła. Nie ma już wrogów, z którymi trzeba walczyć.

Molucco przytaknął, po czym obrzucił chłopca badawczym spojrzeniem. - Są przecież inni wampiraci, prawda? Jest z nimi twoja siostra. - Tak. Ale oni nie odpowiadają za to, co się stało. Nie można skazywać całej grupy za występki nielicznych.

- No, nie wiem - westchnął Molucco. - Z tego, co mówi Barbarro, podejrzewam, że chętnie wytropiłby wampiratów i wybił do nogi.

Bart zadrżał.

- Nie chciałbym oceniać jego szans. Po tym, co zobaczyliśmy tamtej nocy...

- Poza tym - dodał Connor, któremu wspomnienie o Grace dodało odwagi - to nie byłoby sprawiedliwe. To jakby zniszczyć wszystkich piratów z powodu tego... tego, co nas spotkało z rąk Narcisosa Drakoulisa.

Molucco spojrzał mu w oczy.

- Masz rację, chłopcze. Obaj macie rację. Nie chcemy znowu szarpać się z wampiratami. Gdybym tylko potrafił przekonać Barbarra... Ale on jest uparty jak muł. No, a jego żona...

- Trzeba jakoś odwrócić ich uwagę od tych planów - oświadczył Connor bardzo śmiało, być może z powodu rumu.

- Odwrócić uwagę... - powtórzył Molucco. Oczy mu błysnęły.

- Connor ma rację - zgodził się Bart. - Musimy zaproponować coś takiego, co sprawi, że przestaną myśleć o zbrodni i o zemście.

Molucco pokiwał głową.

- Wszystkim nam się to przyda. Ale co?

Zastanawiali się przez chwilę, sącząc rum z kubków. Connor krzywił się, przelękając. I wtedy wpadł na pomysł.

- Rajd! - wykrzyknął.

- Tak jest! - Bart klepnął go po plecach. - Dobry, piracki rajd.

- Nie! - Molucco wyglądał na równie podekscytowanego. - Nie, chłopcy, nie zwykły piracki rajd. Matka wszystkich rajdów! Tak! Podsunęliście mi pewną myśl! - Zdawało się, że zaraz eksploduje z emocji. - Szybko, Bartholomew, dolej mi jeszcze i nie bądź sknerą. Czuję, że rodzi się plan...

Rozdział 13

Pomiędzy

Czy był to element snu? Pod wieloma względami scena wydawała się bardziej nierzeczywista niż wszystko, czego Grace doświadczyła wcześniej, ale patrząc w szalone oczy Shanti, wiedziała, że to dzieje się naprawdę. Dziewczyna nigdy jej nie lubiła, a teraz - z niewiadomych powodów - postanowiła zabić.

Palce Shanti zaciskały się nieubłaganie, a Grace poczuła, że traci świadomość. Zaraz umrę, pomyślała. Naprawdę umrę, tu, w tym pokoiku... Ogarnął ją żal. Jakże przedwczesna byłaby ta śmierć. Po wszystkim, przez co przeszła, o czym marzyła, że jeszcze ją czeka, zginąć z rąk obłąkanego donora, bez żadnej zrozumiałej przyczyny... to po prostu okropne.

Chciała krzyczeć, ale Shanti zbyt mocno uciskała jej gardło, by mógł się przez nie przecisnąć jakikolwiek dźwięk. Musiała jednak jakoś sprowadzić pomoc... Zaczęła bębnić piętami o podłogę. Stopy miała bose i nie robiły takiego hałasu, jak by chciała. Czy to wystarczy? Przesuwała nogi z boku na bok w nadziei, że na coś trafi. Cokolwiek. Najlepiej coś dużego i kruchego... Ale niczego nie wymacała. Wiedząc, że zbliża się koniec, biła stopami o podłogę, nie czując bólu, jedynie rosnące odrętwienie.

Nagle drzwi otwały się z trzaskiem. Grace zobaczyła, że oszalałą Shanti chwytają dwie pary rąk. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dziewczyna puściła jej szyję - miała wrażenie, że wciąż się dusi.

Odetchnęła. Była już tak bliska śmierci... Dopiero teraz pozwoliła sobie na drżenie, poczuła ból w obitych piętach. Ale udało się! Podziałało!

- Wiedziałem, że to błąd - rzekł Olivier, trzymając z tyłu ręce Shanti.
- Puść mnie! - warknęła, szarpiąc głową na boki.
- Puść mnie, bo cię zabiję!
- Nikogo nie zabijesz, moja droga. Dani, zajmij się nią, a ja sprawdzę, co z Grace.

Towarzyszka Oliviera zbliżyła się i na wąskich przegubach Shanti zatrzasnęła kajdanki. Mimo to dziewczyna wyginała się i wyła jak dzika bestia.

- Jak się czujesz? - zapytał Olivier, lekko dotykając szyi Grace.

- Au! To boli!

- Przepraszam. Masz sine ślady. Naprawdę chciała cię zabić.

- Tak. - Grace kiwnęła głową, ale to zabolalo. - Tylko dlaczego? Nie rozumiem. Co w nią wstąpiło?

Oboje spojrzeli na Shanti, która - choć trzymana mocno przez Dani - wciąż się pienila i mamrotała pod nosem najgorsze przekleństwa.

- To jasne. - Olivier podszedł do niej. - Widzisz, twoja przyjaciółka zabrała coś, co do niej nie należało.

Sięgnął do włosów Shanti i zdjął wstążkę, która je podtrzymywała. Dziewczyna uspokoiła się natychmiast. Szaleństwo zniknęło z jej oczu, ciało zaprzestało gwałtownych ruchów, głos ucichł. Przypominała teraz zwiotczalą marionetkę, której ktoś odciął nitki.

Olivier owinął wstążkę wokół nadgarstka.

- Widzisz? - powiedział. - Już po wszystkim.

Grace nie mogła ukryć zdumienia.

- To wstążka? Wstążka tak ją odmieniła?

Olivier przytaknął.

- Jak już mówiłem, nie należała do niej.

Grace usiadła na podłodze.

- Czyli Shanti nie chciała mnie skrzywdzić? Tylko ta wstążka? A właściwie nie, raczej osoba, do której ta wstążka należała?

- Nie przyszedłem, żeby odpowiadać na twoje pytania. Mam tylko dopilnować, żeby znowu nic się nie wydarzyło. - Olivier skinął na Dani. - Odprowadź ją do kwater donorów.

- Nie! - zaprotestowała Grace.

Ale Olivier rzucił Dani spojrzenie, niepozostawiające cienia wątpliwości, czyim słowem ma być posłuszna. Wyszła, prowadząc Shanti. Dziewczyna podążała za nią bezwolnie, jakby cała energia odpłynęła z jej ciała.

- Może teraz zrozumiesz, Grace Tempest, że w Sanktuarium działają potężne siły. I lepiej zrobisz, słuchając tych, którzy się na nich znają, a nie żądając zmian reguł.

Grace poczuła się odpowiednio zbesztana, ale też urażona zachowaniem Oliviera. Czyżby obawiał się, że stanowi dla niego zagrożenie? Dlatego ciągle podkreślał swoją większą wiedzę?

- Dziękuję ci - rzekła. - Uratowałeś mi życie.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Chyba rzeczywiście.

- A teraz co?

- Teraz, jeśli czujesz się na siłach, zapraszam cię na śniadanie. Zaczekam na zewnątrz, aż się ubierzesz.

- Śniadanie? - zdziwiła się Grace. - Przecież wampiry nie jadają śniadań. - To prawda. Ale ponieważ ani ty, ani ja, według mojej wiedzy, nie jesteśmy wampirami, musimy się posilić.

- Nie jesteś wampirem?

- Jeśli wciąż będziesz zadawać pytania, nigdy do niczego nie dojdziemy. - Westchnął. - Nie, nie jestem wampirem. Pracuję dla Mosh Zu. I zanim zapytasz: nie, nie jestem również donorem. Jestem kimś podobnym do ciebie. Kimś pomiędzy, można powiedzieć, z braku lepszego określenia.

- Pomiędzy - powtórzyła Grace. Nie brzmiało to najlepiej.

- Właśnie. Teraz poczekam na korytarzu, a ty się zbieraj. Byle szybko. Ratowanie dam w opałach zawsze zaostrza mi apetyt.

- Jak długo tu jesteś? - spytała Grace, kiedy wraz z Olivierem zasiedli do śniadania.

- Pytania, pytania... Mamy tu, w Sanktuarium, zasadę, która mówi: żadnych pytań.

- No to jak mogę się czegoś dowiedzieć?

- Znowu zaczynasz - upomniał ją Olivier. - Dla ciebie wszystko jest pytaniem. Och, to nie znaczy, że nie jestem równie ciekawski jak ty. Też łaknę wiedzy. Ale przy pracy z Mosh Zu nauczyłem się, że lepiej pozwolić, by inni sami się przed tobą otworzyli, w odpowiednim czasie. W ten sposób dowiesz się wszystkiego, co cię interesuje, i jeszcze trochę więcej.

- A co zrobić, jeśli inni nie chcą się otworzyć?

Olivier się uśmiechnął. Wyjął z misy pomarańczę, wprawnie przejechał palcami po powierzchni i zdjął skórkę.

- Musisz nauczyć się zaglądać ludziom w ich wnętrza - stwierdził.

- Ale czy... - zaczęła Grace.

- To brzmi całkiem jak początek kolejnego pytania - przerwał jej Olivier, dzieląc owoc na cząstki.

Westchnęła i wzięła śliwkę.

Posiłek dokończyli w milczeniu. Tylko oni dwoje siedzieli w pokoju i Grace miała ochotę zapytać, czy w Sanktuarium są też inni żyjący „pomiędzy”. Pomyślała jednak, że powinna zapamiętać to pytanie i czekać na odpowiedni moment.

- Skończyłaś - odezwał się Olivier.

- Ha! - zawołała Grace. - To było pytanie!

- Nie pytanie - zaprzeczył - tylko obserwacja. Wydaje się, że zjadłaś już wszystko, co miałas na talerzu. Ja również. Zatem śniadanie skończone, a teraz zaprowadzę cię do Mosh Zu.

- Mosh Zu chce się ze mną spotkać. Olivier spojrział na nią z wyrzutem. Grace wzruszyła ramionami. - To nie pytanie, tylko obserwacja. Czyżbyś nie wiedział, że Australijczycy często wydają się pytać, ponieważ wznoszą głos przy końcu zdania. To się nazywa kadencja wznosząca, dla wyjaśnienia. No i widzisz, właśnie udzieliłam ci informacji, o jakie nie prosiłeś. Chyba zacznym już łapać, o co w tym chodzi.

- Widzę, że twoje towarzystwo będzie prawdziwym wyzwaniem - zauważył Olivier.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Rzucił jej kpiący uśmiešek.

- Lubię wyzwania.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Dani.

- Przepraszam, że przeszkadzam w śniadaniu - powiedziała. - Ale kapitan szykuje się do powrotu.

- Spojrzała na Grace. - Chciałby cię zobaczyć, zanim odejdziesz.

Grace poderwała się, zdziwiona.

- Oczywiście.

Nie spodziewała się, że kapitan tak szybko ich opuści. Czy miał dość czasu, by poradzić się Mosh Zu we wszystkich sprawach? Czy może jakiś inny powód kazał mu spieścić z powrotem na Nokturn?

Rozdział 14

Tyfon

Środkowy trap został opuszczony, by umożliwić kapitanowi i jego towarzyszom łatwe przejście z Diabla na Tyfona.

- A co to właściwie jest Tyfon? - zapytał Connor, widząc nazwę statku.

- To stwór mitologiczny - wyjaśniła Cate. - Potwór mający sto głów oraz sto węży zamiast nóg. Podobno potrafił wywoływać straszliwe sztormy.

- Miło - uznał chłopiec.

Czuł się trochę niezdarnie w wykrochmalonej koszuli, marynarce i z krawatem, które pożyczył mu Molucco. Bart miał chyba podobne kłopoty, choć jemu bardziej przeszkadzała aksamitna marynarka, elegancka, lecz odrobinę za wąska na jego szerokie ramiona.

- Czy naprawdę musimy nosić te ciuchy? - zapytał.

- Przynajmniej obaj porządnie się wyszorowaliście - stwierdziła Cate z uśmiechem.

- Nabijasz się z nas? - spytał Bart.

- Ależ skąd - odparła. Jej twarz była wcieleniem niewinności. - Po prostu miło na ciebie popatrzeć, kiedy jesteś ogolony i dla odmiany pachniesz cytrynami, a nie potem.

Connor z rozbawieniem zauważył rumieniec przyjaciela. Spostrzegł też, że choć Cate odmówiła włożenia „stroju wizytowego”, o który prosiła Trofie, umyła jednak włosy i zawiązała na głowie czystą bandanę. Teraz skinęła na Connora.

- Pilnuj, żeby nie zamoczyć map - uprzedziła.

- Aye, aye - odparł i zasalutował kpiąco wolną ręką.

- Nie bądź bezczelny, Tempest - ostrzegła, jednak z pobłażliwym uśmiechem.

Za pomostem, już na pokładzie Tyfona, czekał na gości prawdziwy czerwony dywan. A na nim, z wyciągniętą ręką, stał siwowłosy kamerdyner w galowym stroju.

- Dobry wieczór, kapitanie Wrathe - powiedział i skłonił się lekko. - Witamy na pokładzie Tyfona.

- Dziękuję - rzucił Molucco. Wyminął go i ruszył po dywanie. - Muszę przyznać, że mój brat i jego żona mają takie wytworne potworne kaprysy. Można by pomyśleć, że to statek pasażerki, a nie piracki! Ani się człowiek obejrzy, a zaczną rzucać z burty wstążki.

Connor uśmiechnął się i razem z Bartem zeskoczyli za Cate i kapitanem na czerwony dywan. Zobaczył, że Barbarro i Trofie czekają na nich przy końcu pokładu, stojąc na dywanie jak królewska para - prawdziwa piracka arystokracja. Jak można było oczekiwać, oboje ubrani w wykwintne stroje - Barbarro miał wieczorową marynarkę, spodnie przepasane błękitną szarfą i złoty medal na piersi, Trofie u jego boku przypominała łabędzia - skrzyła się w obcisłej sukni z przezroczystego materiału, który lśnił w świetle księżycy i lamp stawionych wzdłuż pokładu. Nosila naszyjnik podobny do pajęczej sieci, z rubinami w każdym połączeniu. Connor nie próbował sobie nawet wyobrazić, ile mógłby być wart.

- Dobry wieczór. - Molucco rozpromienił się i serdecznie uściśnął bratu dłoń.

Skirmish i Scrimshaw wyjrzały, by się przywitać. Kiedy skończyły, Molucco przesunął się i ucałował Trofie w policzek.

- Dobry wieczór, Molucco - powiedziała, spoglądając nad jego ramieniem na pozostałych.
- Jak miło, że się wszyscy postaraliście. Zapewne niezbyt często ubieracie się tak do kolacji.

- No... nie - przyznał Connor, poprawiając kołnierzyk.

Posiłki na Diabłu były zwykle swobodne i proste. Jeśli człowiek choćby brał prysznic, zanim usiadł do stołu, bywał celem licznych żartów i szturchańców.

- Witajcie, witajcie wszyscy - powtarzał Barbarro.

Trofie pstryknęła palcami i kamerdyner pojawił się przy nich z tacą zastawioną wysokimi kieliszkami. Podsunął ją Connorowi.

- Szampana, sir?

Connor wyciągnął rękę.

- Nie na służbie. - Cate odstawiła kieliszek na tacę.

- Bez przesady - uspokoił ją Molucco. - Trochę bąbelków na pewno mu nie zaszkodzi, prawda?

- Słusznie - zgodził się Barbarro. - Promyk uwielbia szampana.

Cate pokręciła głową, gdy Connor, który znalazł się między kapitanem i jego zastępcą, wziął jednak kieliszek.

Barbarro zwrócił się do Trofie.

- A gdzie nasz Promyk?
- W swojej kajucie, jak sądzę.
- Mówiłem mu, żeby był tu na czas!
- Nie bądź takim zrzędą. Znasz Promyka. Zawsze jest taki zajęty...
- Zajęty nieróbstwem, i tyle - burknął Barbarro.

Trofie, nie zmieniając wyrazu twarzy, syknęła do męża:

- Nie bądź gościach, kochanie. Dzisiaj jesteśmy szczęśliwą rodziną. Zapomniałeś?
- Sashimi z rozdymki, sir?

Kamerdyner znów stanął przed Connorem, trzymając dużą złotą tacę, a na niej, ułożone jak płatki kwiatu, niewielkie paski surowej ryby. Na środku migotała rybia skóra z małą limonką. Chłopiec przyjrzał się potrawie i uznał, że wyglądałaby dobrze w galerii sztuki. Natomiast jedzenie jej to całkiem inna sprawa.

- Czy te rozdymki nie są trujące? - zapytał.

Trofie wybuchnęła śmiechem.

- Boisz się, że spróbujemy cię otruć, min elskling? Gdyby tak, myślę, że zabralibyśmy się do tego nieco subtelniej.

- Nie obawiaj się, chłopcze - uspokoił go Barbarro. - To rzadki smakołyk.

Stojący obok Molucco skinął zachęcająco.

Connor wziął parę złotych pałeczek i uniósł do ust wąski pasek ryby. Zaszczypał go w język. Z początku wystraszył się, że może to jednak trucizna, ale zaraz zrozumiał, że to po prostu niezwykle smak ryby, ostro przyprawionej sosem z limonek, szalotek i chrzanu.

- I co? - zaśmiała się Trofie. - Nie umarłeś? Następnym razem musimy się bardziej postarać.

Mrugnęła do niego żartobliwie, ale Connor poczuł dreszcz. Wciąż nie umiał zdecydować, czy śmieje się z niego, czy do niego.

Trzydzieści minut później, po drugim kieliszku szampana i jednym czy dwóch kawałkach sashimi, Connor poczuł się pewniej. Pławił się w aurze dobrobytu, obejmującej cały pokład Tyfona. Było jasne, że Barbarro i Trofie niczego sobie nie odmawiają, a także - wbrew jego wcześniejszym obawom - są miłymi, serdecznymi gospodarzami.

Wreszcie pojawił się Promyk. Connor zwrócił uwagę, że rodzice obściskali go ciasno jak muszla mięczaka. Trofie poprawiła mu muszkę, a Barbarro zażądał (niebyt cichym głosem)

wyjaśnień, co powstrzymało chłopaka przed zjawieniem się pół godziny wcześniej. Nie usłyszał odpowiedzi, gdyż zabrzmiał gong, a kamerdyner oznajmił:

- Kapitanowie, panie i panowie, podano do stołu.

Barbarro odwrócił się i skinął na pozostałych, by zeszli z nim pod pokład.

- Doskonale - ucieszył się Molucco. - Te kawałki ryby zawsze budzą we mnie ochotę na porządne jedzenie.

Connor się uśmiechnął. Można wyrwać Molucca z Diabla, ale i tak zawsze będzie wierny własnym regułom.

- Przywitaj się z wujkiem Molucco - powiedziała Trofie, popychając syna w stronę kapitana.

- Hej - mruknął Promyk, najwyraźniej bardziej zainteresowany zaczesywaniem długich czarnych włosów na oczy.

- A to Cate i Bart. No i Connor, pamiętasz go chyba, kochanie?

Słyszac to, Promyk kiwnął głową tak energicznie, że włosy zsunęły mu się z twarzy.

- O tak, pamiętam Connora. Jak leci?

Wyciągnął rękę i Connor uznał, że powinien ją uścisnąć. Kiedy jednak to zrobił, poczuł ostry ból w dłoni. Co się...?

Gdy Promyk puścił jego rękę, Connor zobaczył, że krwawi.

Skrzywił się i spojrzał na tamtego, a potem dookoła siebie, by sprawdzić, czy przyjaciele coś zauważyli. Ale zapowiedź kolacji sprawiła, że nagle zostali na pokładzie sami.

- Ojoj... - zmartwił się Promyk. - Tak mi przykro. Musiało mi się to wysunąć z rękawa.

Pokazał shuriken - ostrą gwiazdkę, służącą do rzutów. Jeden z kolców lśnił krwią Connora.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał Connor, ledwie panując nad złością i zdenerwowaniem.

- Pomyślałem, że to pomoże twojej pamięci.

- Mojej pamięci? O czym ty mówisz?

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś - rzucił złośliwie Promyk. - Mówię o Calle del Marinero. Coś ci się kojarzy, tępaku?

Calle del Marinero. Ulica Żeglarzy albo Pasma Grzechu, zależy, z kim człowiek rozmawiał. Tam właśnie wybrał się na przepustkę wraz z Bartem i Jeżem jakiś miesiąc po przybyciu na Diabło. Samozwańczy Trzej Bukanierzy zeszli ze statku w piątkową noc, a kiedy

wrócił po nich w niedzielny wieczór, żaden nie pamiętał, co się wydarzyło w czasie minionych czterdziestu ośmiu godzin. Co dziwniejsze, koledzy znaleźli ich tylko w bieliźnie i z identycznymi tajemniczymi tatuażami. Dwa miesiące później Connor i Bart wciąż byli z tego powodu obiektem żartów. Mimo to nic nie mogli sobie przypomnieć. Zdawało się, że Promyk wie więcej niż oni.

- Byłeś tam? - zapytał Connor. - Spotkaliśmy się tam?

Promyk parsknął z niechęcią, aż pękł mu pryszcz z boku nosa.

- Daj sobie spokój, Connor - powiedział. - Dobrze wiesz, co się działo w Calle del Marinero. Przez ciebie i twoich kumpli odebrali mi ochronę. Tato uznał, że psuję mu opinię. Ale ja mu pokażę... i tobie też. W każdej chwili spodziewaj się zapłaty.

Zapłaty? Czy ten shuriken w dłoni nie był wystarczającą zapłatą? Co jeszcze Promyk dla niego planował?

- Czy to nie miłe? - napłynął głos Trofie, a zaraz potem w drzwiach zajaśniała jej twarz. - Zdążyliście się już zaprzyjaźnić?

- Tak, mam - odparł Promyk głosem słodkim jak przejrzały melon. - Ale Connor miał drobny wypadek.

Wskazał rozcięcie na dłoni Connora.

- Och, nie... - Trofie obejrzała ranę. - Ty krwawisz...

- Nic mi nie będzie - uspokoił ją chłopiec. - To tylko skaleczenie.

- Wejdz do środka, przyniosę maść z jeżowców. Może trochę szczypać, ale zatamuje krwawienie. W jaki sposób się tak skaleczyłeś? Nie, nawet nie mów. - Zachichotała. - Chłopcy zawsze są chłopcami.

Pchnęła ich przez drzwi na wyłożony dywanem korytarz z masywnym kandelabrem.

Connor rzucił Promykowi spojrzenie pełne nienawiści.

- Rusz się, mutancie. - Promyk szturchnął go lekko. - Nie chcę się spóźnić na deser.

Rozdział 15

Odejście

- Ach, jesteś, Grace - zauważył kapitan. On i Mosh Zu stali razem w korytarzu. Odwrócili się, kiedy podeszła z Olivierem. - Wracam na Nokturn - wyjaśnił. - Ale naturalnie chciałem pożegnać się z tobą osobiście.

Grace uśmiechnęła się, choć i trochę zaniepokoiła. Nie spodziewała się, że odejdzie tak szybko. Jakaś jej część pragnęła iść razem z nim. Oczywiście, na pewno nie chciałyby zostawić Lorcana, ale Nokturn stał się dla niej nowym domem. Sanktuarium intrygowało, ale nie czuła się tu jak u siebie. Jeszcze nie. Mosh Zu zrobił na niej wielkie wrażenie, ale nie był kapitanem. Nigdy nie zdoła zająć miejsca kapitana.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił, obejmując ją za ramię. - Zostawiam cię w dobrym towarzystwie. Chciałbym zostać dłużej, ale muszę wracać na statek.

Grace skinęła głową. Rozumiała to. Oczywiście, że tak. Pamiętała słowa Darcy: „Bardzo rzadko się zdarza, by kapitan opuszczał statek. Teraz zdecydował się podjąć to ryzyko, co pokazuje, jak bardzo mu zależy na poruczniku Fureyu”.

- Proszę się nie martwić - odezwał się Mosh Zu.

- Dobrze się zaopiekujemy Grace i Lorcanem.

- Czy sprowadzić pana na dół? - zapytał Olivier.

- Mógłbym wziąć muła.

Kapitan pokręcił głową.

- Jesteś bardzo uprzejmy, Olivierze, ale lubię spacerować. Poza tym, jak zwykle, Mosh Zu dostarczył mi wielu tematów do przemyśleń.

Mosh Zu uśmiechnął się skromnie.

- No więc... - zaczął kapitan.

Nagle usłyszeli tupot, a potem krzyk. Wszyscy spojrzeli w głąb korytarza i zobaczyli biegnącą w ich stronę Shanti. Ledwie zdołała wyhamować, by nie doprowadzić do ogólnej katastrofy.

- Shanti - powiedział kapitan. - Miło cię widzieć. Właśnie ruszam z powrotem na statek.

- Proszę mnie ze sobą zabrać! - zawołała.

- Ależ, Shanti... - usiłował zaprotestować kapitan.

- Niech mnie pan zabierze! Błagam, musi mnie pan zabrać! Nienawidzę tego miejsca! Jest obrzydliwe!

Z każdym zdaniem jej głos wznosił się coraz wyżej.

- Proszę - odezwał się Mosh Zu. - Spróbuj się uspokoić. Powiedz, co cię tak poruszyło...

- Nie każ mi się uspokajać! - wrzasnęła. - Zgroza! Czysta zgroza! Nienawidzę bloku donorów! Nie zostanę tam! Nie!

Kapitan zbliżył się do niej.

- Shanti, bardzo mi przykro, jeśli coś cię tak zirytowało, ale na pewno wolałabyś tu zostać, żeby być przy Lorcanie.

- Nie zostanę ani minuty dłużej! - odparła histerycznym tonem. - Nie!

- Przecież Lorcan cię potrzebuje - tłumaczyła jej Grace. - Wiem, że jesteś przestraszona, ale musisz zmierzyć się ze swoim lękiem. Dla Lorcana.

- A dlaczego? - Shanti zwróciła się do Grace. W jej głosie obok lęku zabrzmiał gniew. - Czemu mam tak cierpieć dla Lorcana? W ogóle nie musieliśmy tu przychodzić. Dobrze nam było na statku. Dopóki ty się nie zjawiałaś. To przez ciebie tu jesteśmy. Dla ciebie wyszedł na światło dnia. Wtedy zaczęły się jego problemy. A właściwie nie, zaczęły się w dniu, kiedy weszłaś na pokład!

- Shanti! - oburzył się kapitan. - Nie powinnaś zachowywać się tak agresywnie wobec Grace.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Grace. - W końcu dziś rano próbowała mnie zabić. Jakoś zniosę kilka zniewag.

Stały naprzeciw siebie. Grace była teraz równie mocno zagniewana jak Shanti.

- Jesteś taka samolubna - powiedziała. - Przecież prosimy cię tylko, żebyś została tu i pomogła nam przekonać Lorcana, by znów zaczął przyjmować krew...

- Nie po prostu krew - przypomniała Shanti. - Moją krew! Moją, słyszysz? Jak śmiesz się do tego wtrącać? Gdyby naprawdę zależało ci na Lorcanie, oddałabyś mu własną. Ale nie, puszysz się tylko, jakbyś była kimś wyjątkowym. - Zaczynała się rozpędzać. - A najgorsze, że wszyscy ci wierzą. Słuchają cię. Uważają, że jesteś wyjątkowa. Za to ja się zupełnie nie liczę, w ogóle!

Zaczęła szlochać.

I znowu podszedł do niej kapitan.

- Liczysz się, Shanti! Jesteś niezbędna, jeśli Lorcan ma odzyskać zdrowie.

- Przykro mi. - Shanti pokręciła głową. - Życzę mu jak najlepiej... ale nie mogę tu zostać. Prosiłście mnie o wiele, ale tego już za dużo. Za dużo, mówię. Proszę mnie stąd zabrać, kapitanie! Niech mnie pan weźmie ze sobą!

Objęła kapitana i przyłgnęła do niego z całych sił. Łkania wstrząsały jej drobnym ciałem. Grace chyba nigdy nie widziała kogoś tak zrozpaczonego.

Kapitan spojrział na Mosh Zu.

- Myślę, że lepiej zabiorę ją na statek.

- Wie pan, jakie są implikacje tej decyzji? - zapytał Mosh Zu.

Kapitan kiwnął głową.

- Znajdę sposób, by to naprawić.

Mosh Zu zmarszczył czoło i westchnął.

- Co panu mówiłem, kapitanie? Za wiele bierze pan na swoje barki.

- Naprawdę nie widzę innej możliwości - odparł kapitan.

- Więc zrobi pan to? - upewniła się Shanti. Oczy jej błysnęły. - Zabierze mnie pan ze sobą?

- Tak, dziecko. Spakuj swoje rzeczy. Musimy iść.

- Moje rzeczy nie są ważne. Chodźmy stąd jak najszybciej.

- Dobrze - zgodził się kapitan takim tonem, jakby uspokajał małe dziecko. - Dobrze.

Wyruszymy natychmiast. - Spojrział na pozostałych. - Olivierze, zechcesz otworzyć nam bramę?

Olivier przytaknął i odszedł korytarzem, a za nim kapitan i Shanti.

Grace nie wierzyła własnym uszom. Potrafiła zrozumieć obawy Shanti, ale jak ona mogła zostawić Lorcana? I jak kapitan mógł się na to zgodzić?

- W twojej głowie kłębią się pytania - zauważył Mosh Zu.

- Tak - przyznała.

Zostali tylko we dwoje.

- Przejdźmy się razem, Grace - zaproponował. - Spróbuję jak najlepiej na nie odpowiedzieć.

- Jak ona mogła tak porzucić Lorcana? - zapytała Grace.

Mosh Zu pokręcił głową.

- Nie o to tak naprawdę pytasz. Martwisz się o Lorcana. Myślisz: jak zdoła przeżyć bez swojego donora?

- Tak - przyznała Grace. Rzeczywiście, o tym właśnie myślała.

- Zdołamy sobie z tym poradzić. Na razie musimy tylko skłonić Lorcana, żeby znów zaczął się odżywiać. Ale masz rację, w odpowiednim czasie będziemy musieli znaleźć mu innego donora, przynajmniej na czas jego pobytu tutaj, a możliwe, że na stałe. - Mosh Zu spojrzał na Grace. - Związek między wampirem i donorem jest złożony. Nie można ich zmieniać co pięć minut.

Kiedy szli do pokoju medytacji Mosh Zu, Grace przypomniała sobie swoją ofertę złożoną kapitanowi - że sama zostanie donorem Lorcana. Ta decyzja nie przyszła jej łatwo, więc z ulgą przyjęła fakt, że w owej chwili okazała się zbędna. Ale może teraz jest inaczej... Jeśli tak, zrobi to. Zrobi wszystko, by pomóc Lorcanowi. Nie cofnie się nawet przed tym.

Dotarli do pokoju medytacji. Mosh Zu otworzył drzwi i skinął na Grace, by weszła za nim.

- Usiądź, proszę - powiedział. - Może napijesz się herbaty, by ukoić zszarpane nerwy?

- Nie. Nic mi nie jest. - Poderwała się. - Zrobię to - oświadczyła. - Zostanę donorem Lorcana. Zrobię wszystko, żeby mu pomóc.

- Tak. Wierzę ci. - Mosh Zu usiadł na poduszkach.

- Grace, doceniam twoją propozycję. Wiem, że płynie z głębi serca. Wiem również, że rozumiesz, z czym wiąże się ta decyzja...

- Tak - potwierdziła. - Wiem.

- Ale widzisz, Grace, uważam, że możesz ofiarować o wiele więcej. Mówiłem już: masz talent uzdrawiania. Gdybyś została donorem Lorcana, twoje życie byłoby dość ograniczone.

Uśmiechnęła się.

- Jak to ograniczone? Byłabym nieśmiertelna.

Mosh Zu pokiwał głową.

- Zawsze o krok przed innymi - rzekł. - Tak, byłabyś nieśmiertelna, ale nie myl nieśmiertelności z brakiem ograniczeń. To o wiele bardziej skomplikowane.

Ale Grace zaczął ogarniać zapał.

- Pamiętam, co mówiłeś - powiedziała. - Nazwałeś nieśmiertelność darem, być może najwspanialszym ze wszystkich.

Jego bystre oczy wpatrywały się w nią z uwagą.

- Dla wampira, tak. Ale dla donora sytuacja jest inna.

- To znaczy?

- Relacja między wampirem i donorem to współzależność. Rozumiesz to, prawda?

Przytaknęła.

- Dopóki wampir przyjmuje krew donora, donor się nie starzeje. - Tak. I widziałaś, co się dzieje, kiedy ta więź zostaje zerwana. - Chodzi o to, jak szybko starzeje się Shanti? - Tak. Kapitan popełnił błąd. Byłoby lepiej, gdyby nie pozwolił Shanti iść ze sobą. - Ale mówiłeś, że Lorcan wyzdrowieje... - Grace znowu ogarnął lęk. - Lorcan wróci do zdrowia. Znajdziemy dla niego donora. Ale obawiam się, że przyszłość Shanti nie rysuje się zbyt jasno...

Grace zrozumiała, o co mu chodzi.

- Bez wampira, który się żywi jej krwią, Shanti będzie się nadal starzeć. Aż...

Mosh Zu skinął głową. Opuszczając Sanktuarium, Shanti praktycznie podpisała na siebie wyrok śmierci. A kapitan jej na to pozwolił.

- Jak mógł? - zwróciła się do Mosh Zu.

- Motywy kapitana, jak zawsze, godne są szacunku. Nie chciał zostawiać Shanti takiej nieszczęśliwej. Podejrzewam też, że według niego, jej obecność wywoływałaby u Lorcana większe napięcie. Wie, że możemy znaleźć inne źródła krwi.

- Ale nadal nie rozumiem, czemu pozwolił jej iść z sobą.

Mosh Zu spoważniał.

- Kapitan zawsze wierzy, że zdoła ich uratować - oświadczył. - Na tym polega problem. Uważa, że potrafi uratować wszystkich. Ale niepokoję się o niego, Grace. Wszystko to bardzo mu ciąży. W naszym świecie następują zmiany. Widziałaś, jak niektórzy się buntują. A to dopiero początek. Musimy być silni. Musimy się przygotować. Kapitan jednak tego nie

dostrzega. Jest pełen dobra, ale w ten sposób oddaje sam siebie. Kiedy powinien być coraz silniejszy, on słabnie.

Te słowa wstrząsnęły Grace. Zawsze spoglądała na kapitana jak na postać heroiczną, pozbawioną wad i złych stron. Wystraszyła się, słysząc o jego słabościach.

- Nie wolno ci rozmawiać na ten temat z innymi - uprzedził Mosh Zu. - Nawet z Lorcanem czy Olivierem. Z nikim.

- Dobrze - zgodziła się. - Rozumiem.

- Mówię ci to wszystko jak jeden uzdrowiciel drugiemu. Ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Grace poczuła skrępowanie, ale i dumę.

- Ale tak wiele jeszcze muszę się nauczyć - powiedziała.

- Jak my wszyscy - odparł Mosh Zu. - I lepiej, żebyśmy uczyli się szybko.

Rozdział 16

Cesarz

- Przyszliśmy - oświadczył Molucco - by zaproponować rajd. Barbarro zainteresował się natychmiast. - Rajd? - Twoja załoga i moja - ciągnął Molucco. - Tyfon i Diabło. Razem, jak za dawnych czasów. Connor zauważył, że Trofie odłożyła sztucce i słucha uważnie, delikatnie opierając brodę na złożonych dłoniach.

- Czy chodzi o jakiś konkretny statek? - spytała.

Molucco się uśmiechnął.

- Nie o statek - rzekł. - To coś o wiele bardziej niezwykłego.

Napił się wina.

- No? - ponaglił go Barbarro. - Wyrzuć to z siebie, bracie! To znaczy plan, a nie moje znakomite bordo!

Całkowicie spokojny, Molucco skinął głową Cate. Na ten znak otworzyła tubę, którą niósł Connor, a z niej wyjęła i rozwinęła na stole dużą mapę. Connor i Bart poderwali się z krzeseł, by przytrzymać rogi arkusza.

- Fort Zachodzącego Słońca - oznajmiła. - Położenie: Radżastan, Indie.

Lekko puknęła w mapę ostrzem szpady, by wskazać cel wyprawy.

Promyk ziewnął. Wciąż zmagał się ze stosem pizzy i skrzydełek kurczaka, które mu podano zamiast potraw, jakie jedli pozostali.

Trofie uśmiechnęła się słodko do Cate.

- Dzięki za tę lekcję geografii, min elskling, ale chyba wszyscy słyszeliśmy o Forcie Zachodzącego Słońca.

- Doskonale. - Cate skinęła głową, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Wiecie zatem, że został zbudowany w roku 1640 przez księcia Yashodhana dla jego żony Savarny.

- Nu-u-da - mruknął Promyk. - Auć! - zawołał, jakby ktoś kopnął go pod stołem.

Z drwiącym uśmiechem sięgnął po następne skrzydełko.

Trofie znowu uśmiechnęła się do Cate.

- Właściwie - stwierdziła - Yashodhan zbudował dla Savarny dwa ufortyfikowane pałace. Jeden, by mogła podziwiać wschód słońca, i drugi, by oglądała zachód.

Connor podniósł rękę.

- Słucham, Connorze - rzuciła Cate.

- Mam pytanie. Dlaczego dwa pałace? Czy nie mogli z jednego fortu oglądać, jak słońce wschodzi i zachodzi?

Trofie roześmiała się i potrząsnęła głową.

- Tuman - mruknął Promyk tak cicho, że tylko Connor go usłyszał.

- Jedyne młody chłopiec, który nie poznał jeszcze prawdziwej miłości, może stawiać takie pytania - odpowiedział z uśmiechem Barbarro. Przykrył dłonią złote palce Trofie. - Ja sam zbudowałbym pałac na każdą godzinę dnia, nie, na każdą minutę, by uhonorować moją ukochaną żonę.

Trofie się rozpromieniła.

- Nie podsuwaj mi takich pomysłów, min elskling - szepnęła i wycisnęła pocałunek na policzku męża.

- Oczywiście - podjęła Cate - pałac zamieszkuje teraz ktoś inny. - Wszyscy zwrócili się ku niej. - Fort Zachodzącego Słońca od dawna już nie jest siedzibą książęcego rodu. Przez setki lat stał porzucony i wiele zewnętrznych budowli popadło w ruinę. Ale centralna struktura pozostała nienaruszona i fort ma nowego lokatora. Przedstawia się po prostu jako Cesarz.

- Cesarz? - Barbarro był wyraźnie zaintrygowany. - Cesarz czego?

Cate wzruszyła ramionami.

- Nie jest cesarzem w zwykłym sensie tego słowa. Nie ma cesarstwa poza samym fortem. I nie pragnie go zdobyć. Nie interesuje go władza jako taka. Nie interesują go nawet ludzie. Jest kolekcjonerem skarbów. One są całym jego światem. Książę Yashodhan napełnił fort skarbami, by wyrazić swe uczucie dla pięknej Savarny. Ale Cesarz kocha je dla nich samych. Całe życie poświęcił na zbieranie ich po świecie. I zgromadził niezwykle rzadką i cenną kolekcję. Dzieła sztuki, o których sądzono, że zaginęły w powodziach, jakoś do niego trafiły. Kiedyś były wystawiane w muzeach, galeriach i domach bogaczy. Dzisiaj ukryte są przed ludzkim wzrokiem w skarbcach fortu...

- Widzę, do czego zmierzasz - wtrącił Barbarro.

- Rajd na fort! To mi się podoba!

Cate przytaknęła energicznie.

- Tak, tak. Trafił pan, kapitanie. No więc chcecie teraz usłyszeć dobre czy złe wieści?

Barbarro zastanawiał się przez chwilę. - Może załatwmy najpierw te złe. Cate zaczęła mówić. - Oryginalnie Fort Zachodzącego Słońca został wzniesiony, podobnie jak jego bliźniaczy pałac, na szczycie wzgórza. Jednakże, gdy nadeszły powódzie, podniósł się poziom wód. Dzisiaj morze otacza fort ze wszystkich stron. Kiedyś wejście od stóp wzgórza do bramy było męczącą wspinaczką, dzisiaj znajduje się prawie na poziomie wody.

- Tym łatwiej dotrzeć tam statkiem - zauważył Barbarro.

- W zasadzie tak - przyznała Cate. - Ale to nie jest łatwy rejs. Morze wokół fortu jest burzliwe, zdarzają się gwałtowne fale. Wiele pirackich załóg usiłowało przedostać się do fortu, ale wszystkie wyprawy źle się kończyły, zanim jeszcze napastnicy dotarli do bramy pałacu.

- Trzeba mieć najmocniejsze statki i wybitnych żeglarzy, by wypłynąć na takie wody - stwierdził Molucco.

- Słyszę, bracie. - Oczy Barbarra błyszczały. - To robota dla Wrathe'ów, nikogo innego.

- Ocean to pierwsza ze złych wieści, ale jest ich więcej - podjęła Cate. - Skarbiec w Forcie Zachodzącego Słońca należy do najbardziej niedostępnych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Cóż, książę Yashodhan nie chciał, żeby ktoś uciekł ze skarbami, jakie zgromadził dla ukochanej Savarny. Ta właśnie natura skarbcza była powodem, dla którego Cesarz wybrał fort na swoją siedzibę. I oczywiście skarbiec jest bez przerwy pilnowany przez elitarny oddział ochrony Cesarza.

- Czyli możemy się spodziewać prawdziwej bitwy - uznał Barbarro. - Nie jestem pewien... - Wszyscy spojrzeli na niego, zdumieni zmianą nastroju. - Nie unikam porządnej walki - mówił dalej. - Ale ta sytuacja wygląda mi na całkiem beznadziejną. Nawet jeśli wdrzemy się do fortu i dzięki talentom i szczęściu pokonamy ochronę, nadal będziemy musieli wydobyć skarby i sami się stamtąd wydostać. - Zmarszczył brwi. - Chyba że coś przeoczyłem?

Cate uśmiechnęła się szeroko.

- Kazał mi pan, kapitanie, zachować dobre wieści na koniec. No więc oto one. Nie musimy szturmować fortu, nie musimy walczyć z ochroną. Więcej: oni nam pomogą.

- Nie rozumiem - przyznał Barbarro. - Czyżby Cesarz miał u siebie rebelię?

- Jak długo jeszcze potrwa ta fascynująca dyskusja? - jęknął Promyk i rzucił za siebie ostatnie kostki kurczaka. Kamerdyner podszedł natychmiast i dłonią w rękawiczce usunął gorszące obiekty. Promyk znów ziewnął. - I kiedy dostaniemy deser?

Connor posłał mu gniewne spojrzenie. O niczym innym nie marzył, niż o tym, by Promyk dostał wreszcie to, na co zasługuje.

- Uspokój się, Promyk! - warknął Barbarro, wyraźnie zirytowany zachowaniem syna. - Mów dalej, Cate, wszyscy słuchamy.

- Po ostatnim podniesieniu się poziomu morza Fort Zachodzącego Słońca przestał już być bezpiecznym schronieniem dla Cesarza i jego skarbów. Skarbcowi grozi zalanie. Cesarz możliwie długo nie podejmował żadnych działań. Izolowane położenie fortu bardzo mu odpowiadało. Teraz jednak istnieje realne zagrożenie, że jeden solidny sztorm zmyje jego kryjówkę i wszystko, co tak kocha.

- A zatem... - Trofie pstryknęła palcami. - Przeprowadza się!

- Otóż to.

- I założę się, że wiem dokąd - oświadczyła Trofie. - Do Fortu Wschodzącego Słońca!

- Brawo! - Cate kiwnęła głową. Oczy płonęły jej z podniecenia. - Jak wiecie, Fort Wschodzącego Słońca wznosi się na nieco wyższym terenie. Skarby Cesarza będą tam bezpieczne, przynajmniej do końca jego życia.

- Nadal nie rozumiem - poskarżył się Barbarro.

- Jaką my mamy z tego korzyść?

- Czy to nie oczywiste, min elsklingi - Trofie spojrzała na męża. - Cesarz musi przetransportować swoje cuda z Fortu Zachodzącego Słońca do Wschodzącego...

Barbarro wciąż chyba nie rozumiał, więc Cate tłumaczyła dalej.

- Wynajął jedną z najlepszych firm, która przetransportuje jego majątek z punktu A do B, z Zachodu na Wschód. Płaci im najwyższe stawki, by zapewnić swoim skarbowi bezpieczeństwo.

- Rozumiem! - ucieszył się Barbarro. - A my zaatakujemy tę firmę w drodze od jednego fortu do drugiego...

- Niezupełnie - odparła Cate.

Barbarro i Trofie spojrzeli na nią tak samo zaskoczeni.

Molucco odchrząknął lekko i wstał, by zadać coup de grace.

- Nie będziemy atakować firmy transportowej... - oznajmił rozpromieniony ...ponieważ to my jesteśmy firmą transportową. - Skinął na Barta i Connora. - Bardzo proszę, chłopcy.

Ustawili na stole onyksową szkatułkę. Molucco wyjął z kieszeni mały klucz i wsunął go do zamka. Wieko odskoczyło z cichym stuknięciem i nagle blask wypełnił salę. W szkatułce leżał pierścień okrągłych brylantów, które każdą doskonałą fasetą odbijały światło świec.

- Jakie piękne - szepnęła Trofie.

Sięgała już ręką, jak gdyby szkatułka była magnesem, przyciągającym ją do siebie. Skóra migotała srebrzyście w blasku klejnotów.

- Robią wrażenie, co? - uśmiechnął się Molucco.

- To pierwsza zaliczka Cesarza - wyjaśnił. - Wynajął nas.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się do swego zastępcy kapitan Tyfona.

Trofie zastanawiała się tylko przez moment.

- Czy w posiadaniu Cesarza nie znajduje się ta wysadzana brylantami czaszka? - spytała. - Zawsze marzyłam, by dołączyć ją do swojej kolekcji. - Urwała na chwilę. - Zróbmy to! - zdecydowała.

Barbarro zwrócił się do Molucca.

- To śmiały plan, bracie - stwierdził. - Wchodzimy. - Pstryknął palcami. - Transom, otwórz jeszcze szampana. Musimy wypić za sukces naszego przedsięwzięcia.

Zapanowało poruszenie; wszyscy przekrzykiwali się nawzajem.

- Mam tylko nadzieję, że nie skończy się to jak poprzedni plan Cate - odezwał się Promyk. Jego głos, mimo gwaru, zabrzmiał ostro.

- Przestań, Promyk - mruknął Barbarro.

- O co chodzi? - spytał Molucco.

- Mówiłem, że spodziewam się, że tym razem strategia Cate okaże się bardziej skuteczna niż wtedy, kiedy zaatakowaliście Albatrosa. To była spaprana akcja, delikatnie mówiąc.

Cate zaczerwieniła się mocno, Molucco siedział oniemiały. Trofie zmarszczyła czoło. Za to Barbarro zapienił się z wściekłości.

- Idź do swojej kajuty, Promyk! - ryknął. - Natychmiast!

Nawet Promyk wyglądał na lekko wystraszonego tym wybuchem. Trofie, zawsze dbająca o pozory, uśmiechnęła się z przymusem.

- To dobry pomysł - powiedziała. - Kochanie, może weźmiesz Connora i pokażesz mu wszystkie swoje śliczne rzeczy?

- Wszystko jedno. - Promyk wzruszył ramionami i pomaszerował do drzwi.

Connor odwrócił się, by iść za nim. Usłyszał jeszcze, jak Trofie szepcze gniewnie do męża:

- Szczęśliwa rodzina, pamiętasz? Nie chcemy, żeby Molucco źle myślał o Promyku. W końcu, min elskling, to on wszystko odziedziczy.

- W tej chwili wolałbym chyba, żeby fortuna Molucca przypadła młodemu Tempestowi - warknął Barbarro.

- Nie wygaduj bzdur - szepnęła lodowato Trofie.

- Promyk jest prawowitym dziedzicem. A ten chłopak jest dla nas nikim.

Connor zastanowił się, czy Trofie wie, że ją słyszy... Nagle jakby zauważyła jego obecność i odwróciła się z czarującym uśmiechem na twarzy.

- Jeszcze tu jesteś, min elskling? Biegnij już, Promyk na ciebie czeka. My, dorośli, mamy do omówienia wiele ważnych, rodzinnych spraw.

Rozdział 17

Powitanie

- Hej, to ja, Grace! Mogę wejść? Pchnęła drzwi. - Grace! - Lorcan przeciągnął się po długim śnie. Było już po zmierzchu. - Oczywiście, że możesz wejść. - Usiadł na łóżku. - Co u ciebie? - Wszystko dobrze - odparła z nadzieją, że brzmi to przekonująco. Na pewno nie chciałaby teraz opowiadać Lorcanowi o dramatycznych scenach, jakie poprzedziły odejście kapitana i Shanti. - Ale ważniejsze, jak ty się czujesz.

- Nie tak źle - odparł. - Naprawdę dobrze spałem. O wiele lepiej, niż ostatnio pamiętam. Może jest tu coś w powietrzu...

- Skoro o powietrzu mowa, to może później wy-szlibyśmy na spacer?

- Myślisz, że to dozwolone? - zdziwił się Lorcan.

- Przecież to nie więzienie - powiedziała. - To miejsce leczenia. Na pewno możemy bez przeszkód wyjść na świeże powietrze. Jeśli masz ochotę.

- Może później...

Grace przytaknęła i usiadła przy nim na łóżku. I zauważyła, że o mało co nie zgmiotła kartki papieru.

- Co to takiego? - Wyjęła kartkę spod siebie. - Jakiś papier. Wiedziałaś, że tu leży?

- A tak - przypomniał sobie Lorcan. - Olivier to dla mnie zostawił. Powiedział, że to coś w rodzaju listu powitalnego. Proponował, że mi przeczyta, ale byłem zbyt zmęczony. - Uśmiechnął się. - Poza tym miałem nadzieję, że ty mi przeczytasz. Twój głos jakoś bardziej lubię.

- Oczywiście.

Grace także się uśmiechnęła. Lorcan potrafił poprawić jej samopoczucie. Wspomnienia o Shanti odpłynęły.

Podniosła kartkę i zaczęła czytać.

Witaj, zagubiony duchu. Witaj w Sanktuarium.

Wszystko, co uważasz za pewne, wkrótce ulegnie zmianie.

Myślisz, że jesteś istotą ograniczoną. Ale jesteś ograniczony nie bardziej niż niebo albo ocean.

Myślisz, że istnieje tylko jedna ścieżka. Istnieje wiele ścieżek.

Myślisz, że nie możesz się zmienić. Możesz się zmienić.

Myślisz, że jesteś zbyt znużony, by kontynuować wędrówkę. Wkrótce odzyskasz potrzebną energię. Już nigdy nie poczujesz znużenia.

Myślisz, że twój najlepszy czas minął. Najlepszy czas rozciąga się przed tobą jak cudowny ogród.

Myślisz, że twoja egzystencja jest pusta. Pomożemy ci wypełnić tę pustkę.

Twoje błędzenie się skończyło. A przynajmniej ma szansę się skończyć. Wybór tkwi w tobie. Fakt, że dotarłeś tutaj - co nie jest łatwą ani zwyczajną wyprawą - dowodzi, że chcesz się zmienić.

Będziesz zdumiony, jakich możesz dokonać przemian. Teraz wydaje ci się, że tkwisz w okowach głodu, który nie daje się zaspokoić i wciąż żąda więcej. Czujesz się uwięziony w nieskończonym cyklu polowania i głodowania. Ten cykl spowija cię w gęstą mgłę, niepozwalającą spojrzeć poza niego. Możesz się lękać, że nie ma innej drogi. Jest inna droga. Usuniemy mgłę i otworzymy ci oczy. Przygotuj się na to, że spojrzysz na wszystko zupełnie inaczej.

Twoje leczenie tutaj będzie przebiegać w trzech etapach. Nie ma ustalonego czasu trwania każdego z etapów ani też całego procesu. Nie musisz spełniać niczyich oczekiwań. Zostań tak długo, jak długo jest ci to potrzebne. Nie przejmuj się, jak szybko ani jak wolno inni pokonują kolejne fazy leczenia. Pozwól sobie na postęp w takim tempie, jakie jest dla ciebie najlepsze.

Wrota Sanktuarium nigdy nie są zamknięte. Witają każdego, kto uznał, że powinien tu przyjść. Możesz też odejść, kiedy tylko zechcesz. Kiedy będzie ci ciężko - a będzie - możesz odczuwać pokusę, by odejść. Proces leczenia narzuca wielkie wymagania fizyczne, psychiczne i emocjonalne. Te wyzwania mogą się wydać trudniejsze niż wszystko, z czym się dotąd spotkałeś - w życiu, w śmierci i poza nią. Wiedz, że możesz im sprostać. Przystąp do walki. Dzięki niej staniesz się silniejszy. Bądź pewien, że czas walki dobiegnie końca.

Może ci się wydawać, że bardzo się oddaliłeś od człowieczeństwa. Niezależnie od tego, jak dawno przeszedłeś granicę, przypominaj sam sobie, że kiedyś byłeś człowiekiem.

Zachowaj najlepsze z tego, co możemy nazwać ludzkimi cechami, a równocześnie ucz się, jak akceptować i rozwijać resztę tego, czym jesteś.

Jest w tobie wielkość. Naucz się ją rozpoznawać.

Jest w tobie spokój. Naucz się dbać o niego. Istnieje inna droga. Wkrótce ją odkryjesz.

Wielu przybywa tutaj, sądząc, że złożono im na barki ogromny ciężar. Pokażemy ci, że otrzymałeś nie brzemień, ale cudowny dar. Być może najwspanialszy ze wszystkich. Bądź gotów go odpakować.

Mosh Zu Kamal

Niezwykłe emocje ogarnęły Grace przy czytaniu. Skończyła i ostrożnie położyła kartkę na nocnej szafce Lorcana.

- Jest się nad czym zastanawiać - powiedział.

- Tak. - Grace wzięła Lorcana za rękę. - To niezwykle miejsce, ale myślę, że znajdziesz tu pomoc. Mosh Zu wydaje się wyjątkowym... człowiekiem.

Lorcan przytaknął.

- I jestem pewna - dodała - że jeśli ktokolwiek może ci pomóc, to właśnie on.

Rozdział 18

Jama Promyka

- Moja kajuta jest na samym dole - oznajmił Promyk, prowadząc Connora korytarzem do głównej klatki schodowej, opadającej aż do serca Tyfona. - Zwykle kabiny VIPów są na górnym pokładzie, ale ja chciałem mieć swoją jak najniżej. A zawsze stawiam na swoim.

Wskoczył na poręcz i zaczął zjeżdżać po zwężającej się spirali. Connor obserwował go z góry - w swoim ciemnym ubraniu Promyk wyglądał jak czarownica na miotle. Idąc za jego przykładem, także usiadł na poręczy. Jazda była krótka, ale ekscytująca. Kiedy zeskokczył na najniższym pokładzie, zobaczył, że Promyk maszeruje już w stronę mocno zaryglowanych drzwi. Wisiało na nich tyle klódek, że przypominały ozdoby na choince. Swymi bladymi dłońmi wybierał kombinacje szyfrów i otwierał kolejne zamki.

- Moi rodzice bardzo dbają o bezpieczeństwo - wyjaśnił. - A poza tym cenię swoją prywatność.

Patrząc na rosnący stos otwartych klódek na podłodze, Connor doszedł do wniosku, że to jednak przesada. Ale może... może... jest to usprawiedliwione - jeśli prawdziwe były plotki o porwaniu Trofie. Myślał, czy ośmieli się zapytać Promyka o metalową dłoń jego matki. Chyba jeszcze nie.

Wreszcie drzwi stanęły otworem, a w nozdrza Connora uderzył intensywny zapach, mieszanina kadzidła, niemytego ciała i czegoś zwierzęcego.

- Witaj w piekle! - rzekł Promyk z uśmiechem. Wszedł do środka, nie oglądając się nawet na Connora. - I żeby to było jasne: fakt, że cię tu wpuszczam, nie oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi, czy czegoś równie głupiego. Rozumiesz?

- Mnie to pasuje - zapewnił Connor.

Kajuta okazała się ogromna - przynajmniej tak duża jak kajuta Molucca Wrathe'a na Diabłu. Nadawałaby się dla księcia... a Connor podejrzewał, że tym właśnie jest Promyk -

pirackim księciem. Sama ta myśl, nawet bez panującego tu wstrętnego zapachu, przyprawiała go o mdłości.

Ściany w kajucie Promyka były pomalowane na czarno. Pośrodku stało duże, żelazne łóżko z baldachimem. Zamiast zasłon wisały nad nim żelazne łańcuchy i dzwoniły o siebie przy każdym ruchu statku. Ten dźwięk wystarczył, by człowieka rozboleła głowa - nawet bez trashszantowej muzyki, którą Promyk włączył zaraz po wejściu, ustawiając głośność na maksimum.

Connor żywił głęboką nienawiść do trashszant, zwłaszcza granych tak głośno. Melodia - jeśli można ją tak nazwać - wydawała się jakby znajoma. Ale w końcu, pomyślał, wszystkie trashszanty brzmią tak samo.

Po załatwieniu muzyki Promyk podszedł do wielkiego automatycznego bilardu po drugiej stronie kajuty.

- Piracki Pinball - rzucił przez ramię tytułem wyjaśnienia. - Ojciec kazał go dla mnie zrobić. Jedyny w swoim rodzaju.

Connor wzruszył ramionami. Kiedy go słuchał, kiedy oglądał tę ogromną kajutę, Promyk robił na nim wrażenie rozpuszczonego bachora, któremu nikt nigdy nie powiedział „nie”, którego wszystkie zachcianki były spełniane natychmiast.

Całą ścianę kajuty pokrywały zastawione półki. Na jednej z nich Connor zauważył kilka modeli statków. Promyk zajął się Pirackim Pinballem, więc Connor podszedł bliżej, by przyjrzeć się modelom. Były imponująco szczegółowe i precyzyjnie pomalowane. Connor wyobraził sobie młodszego, sympatyczniejszego Promyka, jak do późnej nocy męczy się ze statkami. Zauważył, że jeden jest chyba repliką samego Tyfona. Obok stał drugi, trochę większy. Na burcie spostrzegł wymalowaną małymi literkami nazwę: „Diablo”. Wyciągnął rękę.

Promyk obejrzał się nagle.

- Niczego nie dotykaj! - wrzasnął, odwrócił się od automatu i podszedł gniewnie.

Connor zmarszczył czoło. Odstawił model na półkę.

- Przepraszam - powiedział. - Ale naprawdę jest dobry. Ile czasu go robiłeś?

Promyk się uśmiechnął - jakby sztormowe chmury rozstały się nagle, odsłaniając słońce.

- No, robiliśmy ten statek razem z tatą. Zajęło nam to cały weekend. Tak nas wciągnęła robota, że w końcu zasnęliśmy z pędzelkami w rękach i mama musiała zejść tu z kocami, żeby nas nie budzić... - W zadumie potrząsnął głową. - Ech, szczęśliwe czasy...

Connor był zaskoczony. Relacje Promyka z ojcem ukazały mu się w zupełnie nowym świetle.

Nagle jednak rozanielony uśmiech Promyka zniknął, zastąpiony typowym drwiącym grymasem.

- A jeśli myślisz, że to prawda, Tempest, to jesteś większym tumanem, niż sądziłem. Naprawdę ci się wydaje, że piracy kapitanowie mają czas na budowanie z synami modeli statków? Akurat... Sam go zrobiłem, z niewielką pomocą Transoma... - Widząc tępy wzrok Connora, wyjaśnił: - Transom, nasz majordomus. - Connor nadal nie rozumiał. - Nasz główny służący, głupku! Ten, który przed bankietem podawał ci sushi i szampana!

- Ach, on... - Connor kiwnął głową.

- Tak, on - potwierdził Promyk. - I nie myśl, że łączy nas jakaś szczególna przyjaźń albo że jest dla mnie substytutem ojca. Zszedł tu na dół z klejem i farbami, bo mama wsunęła mu solidną premię.

Connor pozostał niewzruszony.

- Ach, więc miałeś ciężkie dzieciństwo? - powiedział. I mruknął pod nosem: - Wyrośnij już z tego.

Biedny mały piracki książkę, pomyślał. Ale szczerze mówiąc, wcale nie było mu żal Promyka.

Dalej oglądał półki. Przesuwał wzrok od kolekcji rzadkich muszli do rzędu książek o Życiu najsłynniejszych piratów. Zauważył Tom XVI: Bracia Wrathe. Już miał po niego sięgnąć, gdy jego uwagę przyciągnęły dziwne piski, które zdołał jakoś usłyszeć mimo głośniejszej muzyki.

Obejrzał się. Promyk stał przy dużej klatce, wcześniej osłoniętej czarną tkaniną, teraz odrzuconą na bok.

- Cześć, moje ślicznotki - mówił pieszczotliwie.

Sięgnął do wnętrza i wyjął parę zwierzaków. Gdy się odwrócił, Connor zobaczył, że to dwa spore szczury. Uradowane wolnością, biegały teraz po uśmiechniętym chłopcu.

- Nazwałem je Flotsam i Jetsam - wyjaśnił Promyk. - Flotsam to ta z białą łatką. Śliczna jest, nie?

- Urwał na chwilę. - To bliźniaki - dodał z dziwnym uśmiechem.

- Naprawdę? - odparł Connor.

Wciąż usiłował jakoś sklasyfikować tego chłopaka.

Przez chwilę Promyk przypatrywał się z zachwytem swoim szczurom. Biegały tam i z powrotem po rękawach, a on wyglądał na spokojniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Usiadł w niemal kulistym fotelu, zwisającym na łańcuchu z sufitu.

- A jakie ty miałeś dzieciństwo? - zapytał nagle, głaszcząc Flotsam i Jetsam.

Pytanie zaskoczyło Connora. Ale postanowił przyjąć je za dobrą monetę.

- Przyzwoite - odparł. - Mój ojciec pracował jako latarnik. Nigdy nie znałem mamy. Żyliśmy we trójkę: tato, moja siostra Grace i ja. Nie mieliśmy wiele, ale byliśmy szczęśliwi. Mieszkaliśmy w latarni...

- Ach... - przerwał mu Promyk, strosząc futerko pod pyszczkiem Flotsam. Z niezwykłą delikatnością traktował oba szczury. Nagle uniósł głowę i spojrzał przez grube strąki włosów. - Szczęśliwe dni w Księżycowej Zatoce! Jaka szkoda, że tatuś umarł, co? Pa, pa, Dexterze Tempest! Pa, pa, miła Zatoko Księżycowa!

Oj... Tego się Connor nie spodziewał. Złośliwość Promyka sięgała głębiej, niż przypuszczał. Uderzyło go jednak coś innego.

- Dużo o mnie wiesz - zauważył.

- Odrobiliśmy pracę domową - odparł Promyk. - Trofie i ja zawsze odrabiamy pracę domową.

Connor zaczynał pojmować, że jakaś dziwna więź łączy Promyka z matką.

- A jak tam twoja zdziwaczała siostra? - zapytał Promyk. - Dalej włóczy się z Braćmi Nocy?

Connor nie zareagował. Postanowił, że nie da się więcej sprowokować temu dziwnemu chłopcu. Promyk ciągnął, niespieszony.

- Wygląda na to, że mała Gracie odziedziczyła w twojej rodzinie wszystkie interesujące geny. Mój pech, że trafiłem na niewłaściwego bliźniaka.

- Nie ma sprawy. - Connor się rozżościł. - Mogę wyjść w każdej chwili.

- Tak - zgodził się Promyk. - Tak, możesz wyjść. Możesz wrócić na Diabło i spać w hamaku obok tego ćwoka Barta. Możesz wrócić do ćwiczeń z mieczem i podlizywania się mojemu wujowi. Ale lepiej pamiętaj o jednym, Tempest. Choć on może zapewnić, że jesteś dla

niego jak syn, to jednak nie jesteś jego synem. To ja będę dziedzicem fortuny Wrathe'ów. Nie ty! Ja!

- Wszystko jedno - odparł Connor. - Nie jestem łowcą spadków, jeśli o to mnie podejrzewasz.

- Ach, nie? Chcesz powiedzieć, że naprawdę siedzisz tutaj, bo wujek Łucko stał się dla ciebie substytutem ojca? - Promyk zaśmiał się głucho. - Lepiej, żebyś coś zrozumiał. Molucco Wrathe nie jest takim dobrotliwym morskim wilkiem, za jakiego go uważasz. Bywa ostry jak mój shuriken. Wykorzystuje ludzi. Pozwala im wierzyć, że należą do rodziny, a potem wysyła ich na pierwszą linię ognia. Na przykład twój przyjaciel Jez...

- Przestań - przerwał mu Connor łamiącym się głosem. - Zabraniam ci mówić o Jezie.

Promyk uśmiechnął się złośliwie.

- Ale ja muszę, Connorze - oświadczył. - Muszę mówić o Jezie Stukeleyu, by zilustrować moją tezę. Molucco Wrathe udawał, że Jez Stukeley jest cenionym członkiem załogi. A jednak wysłał go do walki z tym zabójcą z załogi kapitana Drakoulisa...

- Wcale go nie posłał - zaprotestował Connor. - Jez sam się zgłosił!

- Żadna różnica. Molucco pozwolił mu walczyć, choć Jez w żaden sposób nie mógł wygrać. Molucco posłał go na śmierć. I pewnego dnia, mimo wszystkich zapewnień, że jesteś prawie jego synem, postąpi z tobą tak samo.

- Nie - sprzeciwił się Connor.

- Tak - oświadczył Promyk z podobnym przekonaniem. - Tak robi. Bo my, Wrathe'owie, tak właśnie postępujemy. Wykorzystujemy. Tacy jesteśmy: ja, moi rodzice. Wujek Łucko. Nawet dobry stary wuj Porfirio. Jesteśmy z jednej gliny. Powiemy wszystko, co konieczne, by dostać to, czego chcemy. Ale kiedy przychodzi co do czego, zależy nam tylko na tym, co możemy zabrać dla siebie.

- Nie - powtórzył znowu Connor. - Może to prawda dla ciebie i twoich rodziców, ale Molucco nie jest taki. Uratował mi życie. Zawsze się o mnie troszczył.

Promyk parsknął śmiechem.

- Jak dawno pojawiłeś się na scenie, Tempest? Trzy miesiące temu? Nic nie wiesz o tym świecie, nic nie wiesz o tej rodzinie. Ale nie martw się. Już niedługo przejrzysz na oczy. Jeśli wujek Łucko jest teraz dla ciebie miły, to dlatego, że jeszcze nie wymyślił, jak cię wykorzystać. Ale wymyśli. Zawsze wymyśla. Jak my wszyscy. A jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, jacy są

Wrathe'owie, popatrz na mnie. Może ci się nie spodobać to, co zobaczysz, ale w tej obłąkanej dynastii jestem jedyny, który przedstawia rzeczy, jakie są.

Connor spojrział na twarz Promyka, obsypaną pryszczami i krostami. Widział ciemną, siną bliznę. Nie był to piękny widok, ale malowany przez chłopaka wizerunek rodziny też nie zachwycał.

Odór w kajucie nagle wydał się nie do zniesienia. Obfity posiłek i napoje zaciążyły Connorowi w żołądku i zaczął się obawiać, że zwymiotuje. Potrzebował świeżego powietrza, i to zaraz!

Odwrócił się i szybkim krokiem opuścił norę Promyka. Wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie. Zauważył, że drży cały, jakby trucizna dręczyła jego ciało. Może to jednak ta rozdymka, tyle że zadziałała z opóźnieniem? Nie, pomyślał. Trucizna pochodziła z ust Promyka - żrące słowa samotnego, zazdrosnego, zagrożonego dzieciaka. W tym, co powiedział, nie było ani odrobiny prawdy. W ogóle.

Za sobą słyszał, jak Promyk zamyka i rygluje drzwi. Zasuwy trzaskały, jedna po drugiej. Jakież to symboliczne, myślał Connor, że Promyk postanowił zamieszkać tu, na samym dole, ze swoimi dwoma szczurami, w cuchnącej ciemności. Jak obrzydliwą jest istotą...

Ale choć próbował nie myśleć o słowach Promyka, część z tego, co tamten powiedział, dosięgła celu. Ziarno wątpliwości zostało zasiane.

Rozdział 19

Wstążka

- Możesz odchylić głowę do tyłu? - zapytał Mosh Zu. Tak zrobiła, a on przysunął się, żeby obejrzeć jej szyję. - A zatem Shanti odchodzi, ale zostawia po sobie ślad, co? - Odsunął się z uśmiechem. - Obrażenia chyba nie są zbyt poważne. Wiem, że bolą. Przygotuję maść, żeby przyspieszyć gojenie. - Dziękuję. - Muszę przyznać, że jesteś bardzo opanowana. Inni trochę by się chyba zdenerwowali, gdyby zbudzili się z cudzymi rękami na gardle.

Mówiąc, zdejmował z półki słoje ziół i olejków. Dodawał z nich do moździerza po odrobinie różnych substancji.

Grace obserwowała go.

- Możesz mi wierzyć: byłam zdenerwowana - przyznała. - Ale wiem, że Shanti wcale nie chciała mnie skrzywdzić. - Zastanowiła się. - To była wstążka.

Mosh Zu pokiwał głową.

- Tak, Grace, masz rację. To była wstążka. Słuszne spostrzeżenie.

Zaczął tłuczkiem rozcierać zioła na jednolitą masę.

- Wiem, że nie lubisz, kiedy zadaje ci się pytania - powiedziała Grace.

Mosh Zu spojrzał na nią zaskoczony. - Skąd ci to przyszło do głowy? - Olivier mi mówił, że taka zasada obowiązuje w Sanktuarium: nie należy zadawać pytań. Będę musiała jakoś się z tym pogodzić.

- No tak... - Mosh Zu odłożył tłuczek. - Rozumiem. Tak, wiedziałem, że coś cię powstrzymuje. Spodziewałem się, że wpadniesz tutaj z mnóstwem pytań. Wiem, że sam bym się tak zachował po pierwszym dniu w nowym, intrygującym miejscu.

Grace przytaknęła.

- Tak właśnie jest. To znaczy tak, mam pytania. Ale Olivier mówił, że powinnam czekać, aż ludzie sami się przede mną otworzą, a nie wypytywać.

Mosh Zu westchnął.

- Widzisz, Grace, powinnaś wiedzieć o pewnych sprawach. Po pierwsze, Olivier to dobry człowiek. Bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki. Kiedy do mnie przyszedł, był niewiele starszy od ciebie. I z czasem stał się prawie niezastąpiony.

Grace zauważyła, że powiedział „prawie”. Zaskoczyło ją to. Coś kryło się za tym słowem - jak gdyby Mosh Zu przekazywał jej jakąś dodatkową informację. Nie potrafiła jej jednak rozszyfrować.

Mosh Zu mówił dalej.

- Po drugie, w pewnym sensie ma rację. Od tych, którzy do nas przychodzą, nie należy zbyt szybko wymagać zbyt wiele. Przybywają tutaj, bo dręczą ich własne pytania, na które pomagamy im szukać odpowiedzi. To jest dla nas priorytet. - Uśmiechnął się do Grace. - Ale ty możesz mnie pytać o wszystko. Te reguły, jeśli już chcesz je tak nazywać, nie mają zastosowania do naszych rozmów.

Grace z ulgą przyjęła to zapewnienie.

Mosh Zu wyjął nieduży szklany słoiczek i przelał do niego zawartość moździerza.

- Gotowe - oznajmił. - Wcieraj tę maść co jakiś czas, dopóki rana nie przestanie boleć, nieco więcej dzisiaj przed snem.

Grace odkręciła słoiczek. Mikstura miała ostry zapach. Rozpoznała niektóre jego składniki.

- Jest w tym rozmaryn?

Mosh Zu przytaknął.

- Jest. Nie potrzebujesz tego wiele. Wystarczy odrobinę po obu stronach.

Grace nałożyła maść i wytarła ręce ściereczką, którą jej podał.

- A teraz herbata i pytania? - Wskazał krąg poduszek w kącie pokoju.

Usiedli ze skrzyżowanymi nogami. Mosh Zu napełnił jej filiżankę, a potem drugą dla siebie.

Grace przyglądała się z uwagą, jak podnosi naczynie do ust. Była zaskoczona. Kiedy człowiek przebywa w towarzystwie wampirów tak długo jak ona, wypatruje znaków. Skoro Mosh Zu pije herbatę, czy to oznacza, że nie jest wampirem? Czy jest kimś pomiędzy, jak ona i Olivier? Czy guru wampiratów - by użyć określenia kapitana - może żyć pomiędzy?

- Tak... - Mosh Zu uśmiechnął się zachęcająco. - Widzę, że dręczą cię pytania. Zastanawiam się tylko, od czego zaczniemy.

Grace nie miała wątpliwości.

- Opowiedz mi o wstążkach - poprosiła.

Mosh Zu wypił łyk herbaty.

- Spróbujmy trochę to uatrakcyjnić - powiedział.

Czekała na dalszy ciąg.

- Może ty mi opowiesz o wstążkach?

- Nic o nich nie wiem - odparła.

Mosh Zu znów uniósł filiżankę.

- Wiesz więcej, niż podejrzewasz.

Grace pokręciła głową.

- W drodze do pokojów Olivier prowadził nas przez Korytarz Wstążek, ale nie chciał nam nic wyjaśnić. Mówił, że ty wszystko wytłumaczysz.

Mosh Zu odstawił naczynie.

- Rozważmy to, co wiemy - zaczął. - Shanti wzięła wstążkę z korytarza. Sądziła, że to tylko ładny pasek materiału, więc ściągnęła go i przewiązała sobie włosy. Zasnęła potem, a zawarta we wstążce energia zaczęła na nią oddziaływać. - Spojrzał na Grace. - Zauważyłaś coś dziwnego w jej zachowaniu, zanim sama zasnęłaś?

- Tak - przyznała Grace. - Wydawała się bardzo niespokojna. Rzuciła się i przewracała tak bardzo, że chciałam nawet ją obudzić. Myślałam, że dręczy ją zły sen...

- I rzeczywiście, nie byłaś daleka od prawdy. Wstążka opanowała jej myśli. Zawarta w niej mroczna energia przesączała się do głowy i zmieniała sposób myślenia.

Grace szeroko otworzyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że sama wstążka jest zła?

Mosh Zu pokręcił głową.

- Zastanów się, jakie osoby tutaj przychodzą: to wampiry. Wkrótce niektórych poznasz. Wampiry, które tu docierają, to te, które cierpią. Może niedawno przeszły granicę i starają się zaakceptować swoją nową egzystencję; nazywam ją Postśmiercią. Mogły też przejść dawno temu, ale ciągle jeszcze walczą.

- Walczą o co? - zdziwiła się Grace.

- To może być wiele różnych spraw. Może chodzić o głód... nad tym możemy popracować... albo wciąż nie potrafią zostawić za sobą światła, by wkroczyć w ciemność. Są też

takie, których przytłacza sama myśl o wiecznej egzystencji. Staramy się pomóc im zapanować nad tymi emocjami.

- Ale jaki to ma związek ze wstążkami?

- Kiedy ktoś przybywa do Sanktuarium, niezależnie od powodów jego cierpienia, zawsze rozpoczynamy leczenie w ten sam sposób. Staramy się, by wypchnął z umysłu wszystkie dawne krzywdy. Nadażasz za mną?

Przytaknęła.

- Im więcej bólu z siebie usunie, tym większe mamy szanse osiągnięcia sukcesu. Dlatego każdy z nich dostaje wstążkę. Staramy się ich nakłonić, by uwolnili wszystkie niedobre przeżycia, wszystkie cierpienia, jakich doznali w życiu, w chwili śmierci i potem. A także cierpienia, jakie sprawili innym.

- I te doznania przenoszą się do wstążki?

- Właśnie - potwierdził Mosh Zu. - A kiedy pacjent jest gotów, by przejść do następnego etapu, wieszamy jego wstążkę w Korytarzu Wstążek. Jest wtedy uwolniony od swej przeszłości, chociaż mroczna energia pozostaje zamknięta we wstążce.

- Czy przechowywanie tych wstążek nie jest niebezpieczne?

- Najwyraźniej. - Mosh Zu pogładził palcami szyję. - Ale gdzie jeszcze można ją przekierować? Bo gdzieś przecież musi spłynąć. Poza tym, chociaż bardzo mi zależy, by uwolnili się od cierpień, nie chcę, by zapomnieli, jaką drogę przebyli. Czasami trzeba im ją przypomnieć. Czasami trzeba ją przypomnieć nam wszystkim.

- Zatem ta wstążka, którą wzięła Shanti, zawierała mroczną energię?

Mosh Zu przytaknął.

- Czy wiesz, do kogo należała? Jakie przeżycia się w niej mieściły?

Mosh Zu kiwnął głową raz jeszcze.

- Ale mi nie powiesz?

Uśmiechnął się.

- Może ty mi opowiesz o tej drugiej - zaproponował. - Tej, którą ci dała.

- Wiesz o tym? - zdziwiła się Grace.

- Olivier widział ją u ciebie w dłoni, kiedy przybiegł cię ratować. Zabrał ją i przyniósł do mnie.

Tak... Grace uświadomiła sobie, że w ferworze walki całkiem o niej zapomniała. A teraz Mosh Zu otworzył dłoń i położył wstążkę między nimi.

- Przepraszam - powiedziała. - Shanti dała mi ją, zanim się położyliśmy. Wiedziała, że nie powinna ich zabierać. Ale nie chciała zrobić nic złego. Miałam zamiar skłonić ją, żeby je oddała, ale nie przewidziałam takiego rozwoju wypadków.

Mosh Zu pokręcił głową.

- Nie gniewam się na ciebie - zapewnił. - Ani na Shanti, prawdę mówiąc. Masz rację, nie wiedziała, co robi. Ale powiedz, co się działo z twoją wstążką?

- W każdym razie nie zmuszała mnie, żebym kogokolwiek zabijała - stwierdziła Grace.

- Nie, rzeczywiście - uśmiechnął się Mosh Zu. - Czy to nie ciekawe?

- Moje sny! - uświadomiła sobie Grace. - Miałam niezwykle wyraziste sny! Czy to przez wstążkę? Czy odebrałam niektóre z zawartych w niej przeżyć?

- Możliwe. Opowiedz mi o swoich snach.

Zastanowiła się. Chłopiec leżący na ziemi i wpatrzony w rozgwieżdżone niebo. Chłopiec i koń Whiskey. A chłopiec miał na imię Johnny...

Streściła Mosh Zu fragmenty swego snu. Słuchał cierpliwie, zachęcał, by się nie spieszyła i dokładnie przypomniała sobie każdą scenę. Kiedy przeszła od Johnny'ego ujeżdżającego konia na padoku do Johnny'ego jeżdżącego w rodeo, pamięć zaczęła ją zawodzić.

- Jeśli potrzebujesz pomocy - poradził Mosh Zu - weź jeszcze raz wstążkę.

Spojrzała na nią, zwiniętą w drewnianej miseczce. Wyglądała całkiem niewinnie, ale gdy tylko wzięła ją do ręki, poczuła nagły przyływ energii. Odruchowo zamknęła oczy.

- Dobrze, Grace. Teraz poszukaj właściwej chwili. Znajdź Johnny'ego na padoku.

- Jestem - powiedziała.

- I co?

- To nie rodeo - stwierdziła zdziwiona. - On ujeżdża inne konie. Jest w różnych miejscach i z różnymi ludźmi, ale to nie rodeo. A potem zaczyna jeździć po kraju, to się zgadza.

Otworzyła oczy i wypuściła wstążkę.

- Nie rozumiem - oświadczyła. - To rodeo było takie wyraźne... Nie mogłam go sobie wyobrazić.

- Nie wyobraziłaś sobie - uspokoił ją Mosh Zu. - Ono nadeszło później. Kiedy już umarł.

Grace zadrżała. Kiedy umarł... Oczywiście.

- No więc zaczyna jeździć po kraju. Wróć do tego miejsca.

Grace podążyła za historią życia Johnny'ego. Pozostała część snu nabrała wyrazistości - aż do chwili, kiedy podnieśli ją ze śniegu i poczuła pętlę na szyi.

- Do tego momentu doszłam, kiedy poczułam na gardle ręce Shanti. Całkiem jakby sen i rzeczywistość splotły się w jedno.

- To nie jest aż takie dziwne. Bardziej zaskakuje twoja umiejętność odbioru historii Johnny'ego. Czy czujesz się gotowa, by zobaczyć, jak ona się kończy?

Grace nie była pewna. Kiedy doświadczała przeżyć Johnny'ego, nie tylko je oglądała, ale odbierała także emocje, jego ból - ten ból, który przelał we wstążkę.

- Może nie jesteś całkiem gotowa do tego kroku - ostrzegł Mosh Zu. - A może tylko myślisz, że nie jesteś gotowa. Ja uważam, że jesteś.

Chciała się dowiedzieć. Nie mogła zostawić tej historii. Odetchnęła głęboko i znowu sięgnęła po wstążkę. I znowu poczuła nagły dopływ energii.

- Vigilantes zakładają mi pętlę na szyję - powiedziała niepewnie. - I na szyje moich dwóch compadres. Tłumaczę im, że to niesprawiedliwie. Nie zrobiłem nic złego, nie wiedziałem, że ci dwaj kradną bydło. A oni, chociaż do tej chwili mnie okłamywali, zaczynają przekonywać łowców, że to prawda. Nie jestem bydłokrądem. Nie miałem pojęcia, co robią. Wiedzą, że skończą na gałęzi, ale błagają, żeby mnie oszczędzić. Ale pętla się zaciska. Podnoszą mnie. Wisimy obok siebie jak pranie na sznurze. Pętla się zaciska... Wiszę, spoglądając na prerię, na nieskończony przestwór nieba i gwiazd. I myślę: więc to tyle. Mam osiemnaście lat, przejechałem od Teksasu do Południowej Dakoty... po to. A potem wszystko wypełnia czerń, nie... wszystko wypełnia nicość.

Grace otworzyła oczy, czując, że pod powiekami wzbierają gorące łzy.

- Spokojnie. Oddaj mi wstążkę - poprosił łagodnie Mosh Zu.

Po twarzy Grace pociekły łzy. Jak przez mgłę widziała, że Mosh Zu się do niej uśmiecha.

- Masz tak niezwykle zdolności - zauważył. - Nie rozumiesz? Kiedy Shanti nosiła wstążkę, wzięła z niej tylko mrok i przemoc. Ale ty... ty odczytałaś całą historię.

- Ale czyja to była historia? - spytała Grace.

- Wkrótce się dowiesz.

Rozdział 20

Nocna misja

- A po co właściwie potrzebna wam w nocy szalupa? - spytał pirat dowodzący nocną wachtą.

Pieskie szczęście, pomyślał Connor, że służbę ma akurat porucznik Wścibski, czyli Jean de Cloux.

- To prywatne polecenie kapitana Wrathe'a - wyjaśnił z konspiracyjną miną Bart.

- Jakie polecenie? - De Cloux natychmiast nabrał podejrzeń.

- Gdybym powiedział, nie byłoby prywatne, prawda?

- Myślę, że lepiej zapytam kapitana.

- Jak sobie życzysz. - Bart był swobodny jak zawsze. - Kapitan na pewno będzie szczęśliwy, że zakłócasz mu cenny sen, by kwestionować jego polecenia.

- No... - De Cloux raz jeszcze rozważył sprawę. Wszyscy wiedzieli, że kapitan Wrathe nie lubi, kiedy go budzono, zwłaszcza z powodu jakichś głupstw. - No dobrze - rzekł wyniośle. - Pomogę wam. Ale zapytam kapitana zaraz rano.

- Jasne - zgodził się Bart. - Zrozumiałe. Tyle że kapitan wyraźnie prosił, żeby żaden z nas nie wspominał już o tej sprawie ani jemu, ani żadnemu z członków załogi.

Connor uśmiechnął się z zuchwałości Barta. Ciekawe, czy de Cloux się na to nabierze...

De Cloux przyjął chyba słowa Barta za dobrą monetę.

- Tak powiedział?

- Tak. - Bart przygotował się do zadania ostatecznego ciosu. - I prosił, żeby przekazać ci to...

Sięgnął do kieszeni, wyjął małą paczuszkę i upuścił ją na dłoń porucznika.

De Cloux powąchał ostrożnie.

- Czy to jest to, co myślałem? - Rozerwał opakowanie. - Czekolada? - powiedział rozanielonym głosem.

- Marzyłem o czekoladzie... ciemnej, gorzkiej czekoladzie...

Nie zdołał się opanować i odłamał kawałek. Kiedy topniał mu w ustach, na jego twarzy pojawił się wyraz czystej rozkoszy.

- Wiedział o tym - rzekł Bart, jakby dobijał targu. - I prosił, żeby ci ją przekazać w dowód wdzięczności za milczenie.

- Kapitan Wrathe osobiście kazał wam dać mi czekoladę?

Bart z powagą kiwnął głową.

- Z jego prywatnych zapasów. - Urwał na chwilę, po czym chwycił de Cloux za ramię. - Powiedział też, że jeśli potrafisz dochować tajemnicy, możesz liczyć na awans i to w niezbyt długim czasie.

- Awans? - De Cloux wytrzeszczył oczy. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Connor zresztą też nie. Nie należało to do przygotowanych wcześniej argumentów. Co innego przekupić kogoś szmuglowanymi słodyczami, a co innego obiecywać mu awans... Zakaszłał, żeby zwrócić ich uwagę.

- Powinniśmy już ruszać - przypomniał. - Czas ucieka.

- Tak. - Porucznik skinął głową. - Wy dwaj wsiadajcie do łodzi, a ja was opuszczę.

Wezwał do pomocy jeszcze jednego pirata.

- Ale gdzie oni płyną po nocy? - zdziwił się tamten.

- Nie bądź bezczelny, Gregory! - odparł de Cloux, ociekając wręcz autorytetem. - To osobisty rozkaz kapitana, więc pomóż mi i chociaż raz nie kłap paszczą.

- Tak jest, sir! - odpowiedział posłusznie Gregory.

Connor uśmiechał się do siebie, gdy wsiadał do szalupy, uważając, by nie nadepnąć na ukrytego pod brezentem Jeza. Bart podał mu dwie latarnie i wsiadł również. De Cloux zaczął opuszczać łódź na wodę.

- Pamiętaj! - Bart wystawił kciuki do góry. - Gęba na kłódkę!

- Gęba na kłódkę - powtórzył de Cloux i z nietypowym dla siebie humorem mrugnął porozumiewawczo.

Po chwili szalupa opadła na ciemną powierzchnię wody, Bart zwolnił mocujące ją liny i skierował łódź na otwarty ocean.

Pokonali najwyżej kilka metrów, kiedy blada dłoń odsunęła brezent i pojawiło się równie blade oblicze Jeza. Ta bladość wciąż Connora szokowała, ale śmiech, jaki zabrzmiał, był tym samym śmiechem dawnego Jeza Stukeleya.

- Biedny de Cloux... - chichotał Jez. - Będzie czekał do świąt, żeby kapitan Wrathe zaprosił go do swojej kajuty i omówił przyszłą karierę.

- Będzie czekał nawet dłużej. Ale nikomu nie powie. - Dzięki, chłopcy. - Jez usiadł obok nich, gdyż dostatecznie oddalili się od Diabła, by nikt z pokładu go nie zobaczył. - Dzięki za wszystko, co dla mnie robicie.

- Wszyscy za jednego - przypomniał Bart - i jeden za wszystkich. - Wyszczrzył zęby. - Czy nie pomagaliśmy sobie zawsze? To, że jesteś martwy, kolego, nie wykreśla cię z Trzech Bukanierów. Mam rację, Connor?

Connor się uśmiechnął. - Tak łatwo się od nas nie uwolnisz. Jez się rozpromienił. - A już myślałem, że pozwolicie, by moje miejsce zajął Brenden Gonzales. - Gonzales? - Bart pchnął rumpel. - Skąd taki pomysł? Jez wzruszył ramionami. - Widziałem, jak razem tańczycie. Parę nocy temu u Mamy Kettle. - Byłeś u Mamy? - wykrzyknął zdumiony Bart. - Tak. Chciałem już wtedy z wami pogadać, ale brakło mi odwagi. Siedziałem w jednym z tych boksów za kotarą i tylko wyglądałem na was na parkiecie. Towarzyszył wam Gonzales.

Przez minutę czy dwie panowało milczenie. I nagle twarz Barta stała się blada jak u Jeza.

- Zaczekaj chwilę... - powiedział. - Byłeś u Mamy w tę noc, kiedy ktoś zabił Jenny Petrel.

- Jenny Petrel? - powtórzył obojętnie. Najwyraźniej to imię nic dla niego nie znaczyło. - Jedna z dziewcząt pracujących u Mamy Kettle. Na pewno pamiętasz Jenny. Śliczna jak letni dzionek.

- Zmarszczył brwi. - Znaleźli ją w jednym z boksów nad tanecznym parkietem. Nikt niczego nie zauważył. Mała Jenny nie krzyczała. Nie było słychać nawet jęku. Ale kiedy ją odkryli... Cięcia na całej piersi... wykrwawiła się na śmierć.

Jez ze smutkiem pokręcił głową. - Biedna Jenny - westchnął. - Czyli - ciągnął Bart - siedziałeś w jednym z boksów, gdzie ją zabito. Aby żyć, musisz pić ludzką krew, zgadza się? - Odetchnął głęboko. - Nie rozumiesz, co chcę powiedzieć? - Wyglądał na załamanego. - Ty to zrobiłeś, prawda?

- Ja? - Jez zrobił taką minę, jakby ta sugestia była nie tylko obrzydliwa, ale też całkowicie absurdalna. Potem jego twarz przybrała zwykły wyraz. - Mogłem - przyznał. - Nie pamiętam.

- Co to znaczy: nie pamiętam? - spytał przerażony Connor.

- Jak można kogoś zabić i nie pamiętać? - dodał Bart.

- To przez głód - wyjaśnił spokojnie Jez. - Kiedy kogoś dopada głód, nie ma innej możliwości, niż go zaspokoić. On człowieka napędza, a potem otępia.

Później wszystkie zmysły są na pewien czas wytłumione i trzeba odpocząć.

Connor nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Najwyraźniej Bart również. Wcześniej, kiedy wyruszali łodzią, zdawało się, że wróciły dawne czasy. Ale choćby bardzo się starali udawać, że nic się nie zmieniło, że to kolejna zwariowana przygoda Trzech Bukanierów, jednak sytuacja była inna. Jakaś granica oddzielała jego i Barta od Jeza. Dziwne, ale nie chodziło o to, że jest martwy, jest żywym trupem, wampirem... jakkolwiek by go nazwać. Ale właśnie się przyznał, że jest nieopanowanym mordercą; nie okazał też najmniejszych skrupułów, śladu współczucia dla ofiary...

- Wiem, co obaj myślicie - odezwał się Jez. - Nie jestem głupi. Nie rozumiecie? Nienawidzę tego, czym się stałem! Mówiłem wam przecież. Potrzebuję pomocy. Zrobię wszystko, co konieczne. Jeśli zabiłem tę dziewczynę... a owszem, prawdopodobnie zabiłem... to straszne. I straszne, że tego nie pamiętam. Ale wy nie rozumiecie, jak to jest, kiedy nadchodzi głód. Nie panuję wtedy nad własnym ciałem, własnymi myślami, chęciami... Gdy ogarnia mnie głód, kiedy płynie we mnie, nic nie mogę zrobić, żeby z nim walczyć.

Te słowa trochę pocieszyły Connora. Jez nie jest potworem, tłumaczył sobie. A przynajmniej nie takim, który z własnej woli postanowił czynić zło. Udało mu się blado uśmiechnąć.

- Kapitan wampiratów ci pomoże - zapewnił. - Będzie wiedział, co robić.

Bart spojrzał na niego, nagle poważny i rzeczowy.

- Dobrze - rzucił. - Trzeba skończyć to, co zaczęliśmy. Jak znajdziemy drogę do statku wampiratów?

- Wiesz, gdzie kotwiczysz? - spytał z nadzieją Jez.

Connor pokręcił głową. - Nie - przyznał. - Ale spotkałem kapitana. I powiedział, że gdybym kiedyś chciał go znaleźć, to nie będzie trudne.

Kapitan zdradził mu też wiele innych rzeczy, myślał Connor. Na przykład jak zabić Jeza - czy też to coś, czym Jez się stał. Poradził, żeby zaatakować ogniem. Ogień jednak nie zabił Jeza, tylko Sidorii i pozostałych wampiratów. Jak to możliwe, że Jez przetrwał tamtą noc? Czy z

powodu resztek człowieczeństwa, które zachował jako jedyny z wampiratów? Chociaż nie dosyć, zreflektował się, by powstrzymało go to przed zamordowaniem Jenny Petrel. Trzeba dostarczyć go na statek wampiratów i prosić kapitana o pomoc, zanim dojdzie do kolejnej zbrodni.

Zerknął na dawnego przyjaciela, próbując jakoś go ocenić. Jez także na niego spojrzał. I nagle kontury jego twarzy zmieniły się, a oczy zniknęły, jakby gałki oczne wpadły w głęboką, mroczną studnię. Z tej ciemności uniosły się dwie kule ognia. To było przerażające i hipnotyczne równocześnie. Potem, tak samo szybko, ogień zniknął. Jez mrugnął i znowu patrzył na Connora dawnymi, dobrze znanymi oczami.

- Co się stało, kolego? - zapytał. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Zachichotał. Ale tym razem Connor nie docenił żartu.

- Twoje oczy zniknęły, tylko na moment. - Zwrócił się do Barta. - Też to widziałeś?

Bart przytaknął. Twarz miał napiętą, wystraszoną.

- Oczy ci zniknęły - powtórzył Jezowi Connor. - A zamiast nich pojawił się ogień.

- Ach... - odparł Jez, spokojnie i rzeczowo, jak zawsze. - To zwykle oznacza, że potrzebuję krwi.

- Potrzebujesz krwi? - powtórzył Bart. Jego głos wznosił się coraz wyżej. - Jesteśmy sami na środku ciemnego oceanu i nagle ty nabierasz ochoty na krew! Przypomnijcie mi, kto wymyślił ten genialny plan?

Widząc, że Barta ogarnia histeria, Connor przejął dowodzenie.

- Jak szybko? - zapytał. - Kiedy będziesz potrzebował krwi?

Oczy Jeza schowały się znowu i powróciły ognie Piekła.

Trzeba krwi teraz - oznajmił. - Trzeba krwi teraz.

Rozdział 21

Ceremonia wstążek

Grace zapukała do drzwi. - Proszę! - zawołał Mosh Zu. Zanim otworzyła, ścisnęła Lorcana za rękę. Pokój był niewielki, prawie bez mebli. Dwie osoby - mężczyzna i kobieta - siedziały już na środku; obok stało puste krzesło, zapewne dla Lorcana. Kiedy Grace prowadziła go tam, dyskretnie zerknęła na tę dwójkę. Mężczyzna był od stóp do głów odziany w biel, a twarz miał równie bladą jak ubranie. W przeciwieństwie do niego kobieta nosiła wyszukaną suknię balową. Przyjrzawszy się bliżej, Grace odkryła jednak, że suknia zwisa w strzępach. Na szyi kobiety w delikatnym świetle migotała brylantowa kolia. Kobieta zauważyła, że Grace się jej przygląda, i z lekkim uśmiechem przesunęła palcami po naszyjniku. Mężczyzna odwrócił się, wbijając wzrok w podłogę. Gdy Lorcan usiadł, Grace zorientowała się, że nie ma więcej krzeseł. - Powinnam wyjść? - spytała Mosh Zu. - Nie - odparł. - Chciałbym, żebyś została. Jeśli wam to nie przeszkadza - zwrócił się do siedzącej trójki.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Pourquoi pas?

Mężczyzna milczał, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Usiądź na podłodze, gdzie tylko chcesz - polecił Mosh Zu. Grace kiwnęła głową i usiadła ze skrzyżowanymi nogami. - Jesteśmy już wszyscy, więc zaczniemy - rzekł Mosh Zu. - Pragnę was przywitać w Sanktuarium. Cieszę się, że odnaleźliście ścieżkę, która was tu doprowadziła. Możecie zostać tak długo, jak tylko zechcecie. Z pewnością przez długi czas wędrowaliście po świecie.

Grace obserwowała twarze trójki wampirów. Zauważyła, że kobieta już się nie uśmiecha, a mężczyzna oderwał wreszcie wzrok od podłogi i wpatruje się w Mosh Zu.

- Wiem, jak musicie być zmęczeni - ciągnął Mosh Zu. - Sanktuarium pomoże wam się uwolnić od tego zmęczenia. - Uśmiechnął się do nich. - Będziemy ciężko pracować, by usunąć brzemię, które dźwigacie od tak dawna.

W jego głosie jest coś niezwykle kojącego, uznała Grace. I choć nie zwracał się do niej, poczuła, że podczas pobytu tutaj i jej brzemię może stać się lżejsze.

- Dzisiaj nie będę od was wymagał zbyt wiele - oświadczył. - Dzień dzisiejszy wyznacza tylko początek nowej podróży. Mam nadzieję, że ta podróż sprowadzi na was ukojenie. Myślcie o Sanktuarium jak o miejscu, w którym zrzucicie z siebie wszystko, co przynosi cierpienie.

Zaczekał, aż dotrze do nich znaczenie tych słów. Grace dostrzegła ulgę na twarzach wampirów.

- Powiedzcie mi, jak się nazywacie - poprosił Mosh Zu. - Kiedy i gdzie się urodziliście. Kiedy i gdzie umarliście. W tej chwili to wszystko, czego potrzebuję.

Skinął na kobietę. Grace zauważyła, że wciąż czubkami palców gładzi naszyjnik.

- Nazywam się - zaczęła - Maria Luiza, księżniczka de Lamballe. - Przerwała, jakby spodziewała się podziwu, a przynajmniej rozpoznania. Mosh Zu pokiwał tylko głową i czekał na dalszy ciąg. - Urodziłam się w Turynie w roku 1749. Zginęłam w Paryżu w 1792. Byłam towarzyszką i zaufaną...

- Tyle wystarczy, dziękuję. - Mosh Zu przerwał jej delikatnie.

Grace widziała, że kobieta chętnie opowiedziałaby więcej. Jednak Mosh Zu skinął już na człowieka w bieli.

- Jestem Thom Feather - oznajmił. - Urodzony w Huddersfield, 1881. Zmarły w Wakefield, 1916.

Inaczej niż księżniczka, Thom nie zdradził innych informacji.

- Dziękuję. - Mosh Zu podszedł i położył Lorcanowi dłoń na ramieniu. - Teraz ty - powiedział.

Grace obserwowała go pilnie.

- Nazywam się Lorcan Furey. Urodziłem się w 1803 w Connemara, umarłem w 1820 w Dublinie.

- Dziękuję - rzekł znowu Mosh Zu. - Dziękuję wam wszystkim, że postanowiliście tu przyjść.

Grace zastanawiała się, gdzie usłyszeli o Sanktuarium. I jak tutaj dotarli? Czy tak jak ekspedycja z Nokturnu, musieli się wspinać górską ścieżką? Jeśli tak, to w jaki sposób ubranie Thoma Feathera zachowało śnieżną biel? Jak księżniczka pokonała tę drogę w tak niepraktycznej sukni? W sprzyjającej chwili musi o to zapytać Mosh Zu.

- Mam coś dla każdego z was - oznajmił Mosh Zu. Wyjął drewniane pudełko i jako pierwszej podał je księżniczce. - Wybierz sobie wstążkę.

- Muszę?

Dziwne, ale kobieta zadrżała.

- Tak - zapewnił Mosh Zu. - Wiem, że budzi w tobie bardzo przykre skojarzenia, ale to konieczne.

O co mu chodzi? Grace spostrzegła, że księżniczkę zaskoczyły te słowa. Jednak wyjęła z pudełka zieloną wstążkę i teraz trzymała ją w drżących palcach.

Pudełko trafiło do Thoma Feathera. Zajrzał do wnętrza i zaśmiał się głucho.

- Przypuszczam, że ta jest dla mnie - stwierdził i wyjął biały pasek.

W końcu Mosh Zu przysunął pudełko Lorcanowi. Grace widziała, jak chłopak, szukając go, macha przed sobą ręką. Mosh Zu czekał cierpliwie. Kiedy Lorcan zmarszczył czoło, znowu położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie ma pośpiechu, Lorcanie Fureyu. Spokojnie.

Palce Lorcana trafiły w końcu na pudełko i wyjęły z niego wstążkę.

- Brawo.

Mosh Zu zatrzaskał wieczko i odstąpił.

- A teraz - odezwał się - niech każdy chwyci mocno wstążkę, zaciskając dłoń w pięść. - Spojrzał na całą trójkę. - Dobrze - uznał. - Musicie być dzielni. Poproszę teraz, żebyście uwolnili swój ból, nieważne, skąd może pochodzić: z życia, ze śmierci czy z Post-śmierci. Nie zmuszajcie się. Z początku pewnie nie zdołacie zrzucić z siebie zbyt wiele. Ale będziemy to powtarzać, noc po nocy. I z czasem staniecie się wolni od tego straszego brzemienia.

Uśmiechnął się.

- Skupcie się teraz na uwolnieniu bólu. Trzymajcie mocno jeden koniec wstążki, a drugi niech zwisa swobodnie.

Zaczekał, aż wypełnią polecenie. Siedząca z tyłu Grace z napięciem obserwowała całą trójkę. Czy to możliwe? Czy ból naprawdę może przepłynąć do wstążki? Widziała wyraz koncentracji na ich twarzach. Choć Lorcan miał zasłonięte oczy, jednak zaciśnięte zęby świadczyły o determinacji.

Mosh Zu uniósł prawą rękę - i wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Trzy wstążki nie zwisały już luźno, ale zaczęły szukać jego dłoni, jakby przyciągał je magnes. Pozostali też to zauważyli i zdziwieni unieśli brwi.

- Nie patrzcie na mnie - polecił Mosh Zu. - Skupcie się na sobie. Zrzućcie ból swego ciała i pozwólcie mu przepłynąć do wstążki.

Wstążki były coraz bardziej napięte, jak gdyby Mosh Zu ściągał je do siebie. Wokół krawędzi zbierały się strumyki światła. Gdyby Grace nie była jeszcze przekonana o mocy całego procesu, wystarczyło jej spojrzeć na wampiry.

Księżniczka płakała. Oczy miała zamknięte, ale łzy spływały po jej policzkach. Grace popatrzyła na Mosh Zu, ale on się nie poruszył. Pewnie całą swą uwagę poświęcał wstążkom.

Zabrzmiał przeraźliwy jęk - to był Thom Feather. On także miał zamknięte oczy. Jęk trwał ciągle, niski i długi. Przypomniała sobie, że zmarł w 1916 roku. Ale teraz wydawało się, że to ból sześciuset lat z wolna opuszcza jego ciało. Głos był z początku niepokojący, ale po chwili wyobraziła sobie, że to tak, jakby we wnętrzu tego człowieka pękł jakiś pęcherz i fale rozpaczcy wreszcie się uwolniły.

Gdy jęki Thoma Feathera zaczęły cichnąć, Grace przyjrzała się Lorcanowi. Na jego twarzy nie widziała łez; nie wydawał żadnego dźwięku. Zmarszczyła czoło. Wyczuwała, że nie jest to dobry znak.

W końcu Mosh Zu opuścił rękę i zerwał połączenie z trzema kolorowymi paskami materiału.

Księżniczka powoli uniosła powieki. Nadal ścisnęła swoją wstążkę. Wolną ręką sięgnęła do sukni, znalazła koronkową chusteczkę i otarła łzy.

Thom Feather również otworzył oczy. Wydawał się wstrząśnięty, jakby właśnie się obudził i zaskoczyło go otoczenie. Po chwili wrócił do równowagi, choć Grace pomyślała, że jest bardziej ożywiony.

Lorcan nie poruszył się, ale Mosh Zu wyczuł chyba, że on również zrobił wszystko, co potrafił.

- Macie za sobą pierwszy krok - powiedział. - Ból, jaki przynieśliście ze sobą do Sanktuarium, pozostawicie tutaj. Czy staracie się opanować głód, czy zaleczyć stare lub nowe rany, czy jesteście po prostu zmęczeni, bardzo zmęczeni tułaczką, tutaj znajdziecie nowy początek.

Grace zauważyła, jaki spokój niesły jego słowa - niby woda pluszcząca o brzeg.

- Idźcie teraz - polecił Mosh Zu. - Wróćcie do swoich pokojów, a jeśli wolicie odetchnąć świeżym powietrzem, pospacerujcie w ogrodach. Spędźcie czas w samotności, a jeśli wolicie, spróbujcie lepiej poznać siebie nawzajem albo tych, którzy przyszli tu wcześniej. Spotkamy się jutro w nocy. Przez cały czas trzymajcie swoje wstążki przy sobie i przynieście je jutro.

Uśmiechnął się i odwrócił. Było jasne, że sesja się skończyła.

- Mam pytanie - odezwała się księżniczka.

Jej oczy skierowały się ku Grace. Z niejasnych powodów to spojrzenie budziło dreszcze.

Mosh Zu odwrócił się do niej.

- Tak?

- Krew - powiedziała. - Potrzeba krwi jest we mnie mocna. Mówili, że powiadomisz nas o możliwościach.

- Nie będziesz przyjmowała krwi - oznajmił Mosh Zu z uśmiechem.

- Bez krwi! To przecież absurd!

Pokręcił głową.

- Nie potrzebujesz jej. Umiem to poznać. Musisz nauczyć się odróżniać prawdziwą potrzebę od przyzwyczajenia.

- Ale... - zaczęła znowu.

- Kiedy naprawdę będziesz potrzebowała krwi - przerwał jej Mosh Zu - zajmiemy się tą kwestią. Żyj z tym pragnieniem. Pozwól, żeby głód cię opanował. A potem powstrzymaj go. I patrz, jak się cofa.

- Nie potrafię... - szepnęła księżniczka. - Jestem słaba.

- Nie - zaprzeczył. - Jesteś silna. Wszyscy jesteście silniejsi, niż wam się wydaje. Ale już wkrótce lepiej poznacie samych siebie.

Uśmiechnął się. A potem, ku zaskoczeniu Grace, po prostu wyszedł z pokoju i zniknął w labiryncie korytarzy.

Rozdział 22

Tawerna Krwi

- I co teraz zrobimy? - spytał Bart. Wraz z Connorem wpatrywali się w płomienie, szalejące w oczodołach Jeza. Głód wyraźnie narastał, ale Jez starał się chyba z nim walczyć. - Nie obawiajcie się - wychrypiał. - Nic wam nie zrobię. - Potrzebujesz krwi, kolego, a jesteśmy sami na morzu i mamy tylko kropelkę rumu w butelce - stwierdził Bart. - Sam mówiłeś, że kiedy ogarnia cię głód, nie możesz nad sobą zapanować. Wydaje mi się, że mamy powody do obaw.

- Zabierzcie... mnie... - Zdawało się, że Jez z najwyższym trudem formułuje słowa. - Zabierzcie... mnie... do... Tawerny... Krwi...

Bart spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Tawerna Krwi? O czym ty mówisz, kolego?

W odpowiedzi Jez wyciągnął rękę i podwinął rękaw. Connora znów zaszokowała bladość jego skóry. Była niemal przezroczysta, a pod nią wyraźnie rysowały się niebieskie żyły. Na wewnętrznej stronie przedramienia widniał tajemniczy tatuaż trzech kordów, z jakim wszyscy obudzili się po utraconym weekendzie w Calle del Marinero. Jez jednak wskazywał miejsce powyżej tatuażu, na świeższy tusz. Napis nie był wytatuowany, ale przypominał raczej pospiesznie zapisaną notkę:

Tawerna Krwi

Zatoka Otchłani

Czarne drzwi

Lilith

- Zabierzcie mnie - powtórzył Jez. Oczy mu płonęły, a usta zdawały się coraz węższe. Connor zadrzał. - Znasz Zatokę Otchłani? - zapytał Barta. - Tak. To niedaleko stąd. - Bart zmieniał już kurs łodzi. Connor zwrócił się do Jeza, który wyglądał, jakby rozpaczliwie usiłował zapanować nad obezwładniającą żądzą. Zdawało się jednak, że traci kontrolę nad ciałem.

- Ile jeszcze mamy czasu? - zapytał Connor.

Jez odwracał twarz, ale raz jeszcze wycharczał:

- Trzeba krwi teraz.

Nocny wiatr im sprzyjał i Bart szybko doprowadził szalupę do Zatoki Otchłani.

- Zrobione - oznajmił. - Jesteśmy na miejscu.

Jez kołysał się w przód i w tył, przez co ich mała łódka robiła to samo.

- Jesteśmy na miejscu - powtórzył Connor.

Ostrożnie wyciągnął rękę do Jeza. Kiedy ten na niego spojrzał, Connor musiał odwrócić wzrok. Z każdą mijającą chwilą przyjaciel zdawał się zrzucać kolejną warstwę ludzkiego wizerunku.

- Byłeś tu kiedyś? - zapytał Connor.

Jednak zamiast odpowiedzieć, Jez znów powtórzył:

- Trzeba krwi teraz.

Bart westchnął ciężko.

- To nie ma sensu. Nic już z niego nie wyciągniesz - stwierdził. - Musimy sami znaleźć tę Tawernę Krwi.

Connor przyznał mu rację.

- Czyli szukamy czarnych drzwi - powiedział.

- Na początek znajdziemy jakiegokolwiek - odparł Bart. W jego głosie brzmiały niepewność i lęk.

Zbliżyli się do skały u wejścia do zatoki. Jak dotąd nie zauważyli żadnych zabudowań ani śladów pobytu człowieka.

- Nie pamiętam, żebym widział tu jakieś budynki - odezwał się ponuro Bart.

Connor tracił nadzieję. Jeśli szybko nie znajdą tej Tawerny Krwi, czeka ich marny koniec - w powracającej szalupie może zabraknąć jednej osoby. Może nawet dwóch.

- Zaczekaj! - krzyknął Bart, wskazując skalną ścianę. - Tam! Czy to nie drzwi? - Gdzie? - Connor widział tylko ciemną skałę. - Szybko! Podaj latarnię! Bart uniósł ją przy skale. Zobaczyli półkę, a nad nią - przesłonięty dzikimi pnączami - kontur drzwi.

- To muszą być one - uznał Connor.

- To są drzwi i na pewno czarne! - Bart wyszczerzył zęby. - Jak dla mnie to wystarczy.

Jez uniósł głowę i rozchylił opuchnięte wargi. Connor nie zauważył wcześniej, że zęby wydłużyły się jak kły... I nadal zdawały się rosnąć. Dziaśła były przekrwione.

Na szczęście Jez zamknął usta.

- Nie ma gdzie zacumować łodzi - oznajmił Bart.

- Będę musiał tutaj zaczekać, Connor. Ty wejdź z nim do środka.

- Ja? - wystraszył się Connor.

Bart ścisnął go za ramię.

- Idź, kolego. Cokolwiek tam zastaniesz, nie będzie gorsze od tego, co może nas spotkać.

Connor nie był tego pewien. Tawerna Krwi wydawała się miejscem, w którym bardzo nie chciałby się znaleźć. Zadrżał, czekając, aż Bart ustawi szalupę tak, by mogli przejść na skalną półkę.

- Łap! - Wyciągnął rękę do Jeza. - Chodź ze mną.

Pomógł mu wspiąć się na skałę. Miał wrażenie, że wlecze zdziczałego psa.

Rozrośnięte krzaki tworzyły coś w rodzaju altany, prowadzącej do czarnych drzwi. Z boku wisiał sznur dzwonka. Starając się opanować nerwy, Connor pociągnął mocno.

Po chwili zgrzytnął metal i w drzwiach pojawił się nieduży otwór. Para mlecznych oczu skierowała się na przybyszów. Connor niemal słyszał, jak szybko bije mu serce.

- Tak? - odezwał się głos ze środka.

- Czy to Tawerna Krwi?

Żadnej odpowiedzi. Mleczne oczy patrzyły nieruchomo, całkowicie pozbawione wyrazu. Connor zaczął się zastanawiać, czy nie są to oczy ślepeca.

- To jest Zatoka Otchłani i jedyne czarne drzwi. Musiałem trafić do Tawerny Krwi! Proszę nas wpuścić. Mój... mój kolega potrzebuje krwi. Bardzo.

Oczy nie przejawiały zrozumienia. Connor przypomniał sobie ostatnie słowo, wypisane na ręce Jeza.

- Lilith - rzucił. - Szukamy kogoś o imieniu Lilith.

Drzwi otworzyły się natychmiast, odsłaniając tunel w skale. Connor pochylił się i wszedł do środka, ciągnąc za sobą Jeza.

Mleczne oczy zdawały się wisieć w mroku - odźwierny miał na sobie ciemne ubranie. Bez słowa uniósł rękę i wskazał w głąb wygiętego korytarza. Connor widział przed sobą poblask światła i słyszał głosy.

- Krew? - odezwał się pytająco Jez.

- Tak - uspokoił go Connor. - Krew. Już niedługo.

Ruszył ciemnym korytarzem i po chwili dotarł do niewielkiego, kwadratowego westybulu. Pośrodku stała szklana budka - całkiem podobna do tej w Galerii Malarstwa w Księżycowej Zatoce. Wewnątrz siedziała kobieta. Czarne włosy miała zaczesane w wielki kok, powieki grubo pokryte szmaragdowozielonym brokatowym cieniem. Wydawało się, że trochę to nie pasuje do otoczenia i do jej twarzy, która dawno już pożegnała się z młodością.

Osobnik stojący przed nim w kolejce obejrzał się i Connor ze zgrozą zobaczył taki sam ogień w jego oczach. Następny wampir... Już na łodzi nie czuł się bezpiecznie, choć mieli nad Jezem przewagę. Tutaj było gorzej. Tutaj, w pomieszczeniu w skale, wampiry przewyższały liczbą śmiertelników. Patrzył, jak stojący przed nim sięga do kieszeni, wyjmując garść monet - i jego własna krew zastygła w żyłach. Będą musieli zapłacić. Oczywiście. Dlaczego tego nie przewidział?

- Pokój trzy - rzuciła kobieta w szklanej budce.

Zsunęła pieniądze wampira do szuflady i wskazała otwór przesłonięty czerwonym aksamitem. Wampir pokiwał z aprobatą, odsunął kotarę i zniknął za nią w mroku.

- Następny - zawołała kobieta.

Connor podszedł niepewnie.

- Potrzebna nam krew - wykrztusił.

- Trafiliście we właściwe miejsce - oświadczyła.

- Połówka, ćwiartka czy dawka specjalna?

Connor spojrział na Jeza, po czym zwrócił się do kobiety.

- Nie wiem. To dla niego, nie dla mnie.

Od stóp do głów zmierzyła Jeza wzrokiem.

- Moim zdaniem połówka - uznała.

- Dobrze. - Po czym Connor zadał pytanie, którego się obawiał. - Ile kosztuje?

Nie była to duża suma. Ale większa, niż miał przy sobie.

- Masz jakieś pieniądze, Jez? - zapytał.

Jez pokręcił głową.

- Krwiiiiii... - jęknął. - Nie ma pieniędzy, nie ma krwi - oświadczyła kobieta. - Przykro mi, kochany, ale to nie jest instytucja dobroczynna. A teraz odsuń się, zrób miejsce następnym.

Connor nie mógł uwierzyć, że dotarli tak daleko tylko po to, by w końcu przegrać. Odwrócił się ze smutkiem. Wtedy kobieta znowu się odezwała.

- Czekaj! Ten medalion, który nosisz na szyi... Moim zdaniem jest trochę wart.

Obejrzał się.

- Mój medalion?

Chwycił go palcami. Ten medalion podarował Grace, a ona zostawiła mu, kiedy odchodziła. Był dla niego jak talizman; dzięki niemu miał wrażenie, że siostra jest blisko.

- Nie mogę go pani oddać - powiedział. - Nie mogę.

- Jasne - odparła. - Tak sobie tylko pomyślałam. Następny!

Rozdział 23

Alternatywa dla krwi

Kwatera Oliviera składała się z kilku pokoi, chociaż z tego, co zaobserwowała Grace, wszystkie były skromne i spartańskie, jak inne w Sanktuarium. Sypialnia za otwartymi drzwiami wyglądała na umeblowaną równie oszczędnie jak Lorcana czy jej własna. Co świadczyło, że „personel” Sanktuarium nie ma żadnych przywilejów w porównaniu do gości czy tych, którzy przechodzą leczenie. Inne drzwi ukazywały nieduży gabinet. Wcale jej nie zdziwiło, że jest idealnie posprzątany. Stało tam małe biurko i krzesło, a za nimi półka z równo ustawionymi segregatorami i książkami. Na ścianie wisiała jakby drewniana szafka z kartami w szufladach. Wyglądała jak kartoteki w szpitalu albo w bibliotece. Grace bardzo by chciała podejść bliżej i zobaczyć, co to takiego.

- Dobrze się już porozglądałaś? - spytał Olivier.

Założył na swoją szatę prosty fartuch i zawiązał go w tali.

- Przepraszam. - Grace się zarumieniła. - Nie mogę się powstrzymać przed badaniem nowych miejsc.

- Nie ma sprawy. Mi casa su casa i tak dalej.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- To znaczy: mój dom jest twoim domem - wyjaśnił Olivier.

- Aha.

Grace odeszła od drzwi gabinetu i zbliżyła się do blatu, na którym Olivier stawiał właśnie duży moździerz.

To pomieszczenie było największe w jego kwaterze, a przypominało połączenie kuchni z apteką. Dominował w nim wielki blat. Ścianę za nim od lewej do prawej i od podłogi po sufit pokrywały półki. Ugiwały się pod ciężarem mnóstwa szklanych słoiczków z przyprawami, buteleczek olejków, koszy świeżych ziół, owoców i jarzyn, kawałków kory, orzechów i innych przedmiotów, których Grace na razie nie umiała zidentyfikować. Do najwyższej półki

umocowano drewnianą drabinę, dzięki czemu Olivier miał łatwy dostęp do swoich specyfików. Każdy szklany pojemnik był opisany, ale wydawało się to niepotrzebne, Olivier zdawał się instynktownie wiedzieć, gdzie są umieszczone potrzebne składniki. Ustawiał je na blacie, obok moździerza z tłuczkiem.

- Przysuń sobie stołek, Grace - zaproponował.

Ustawił słoiki i buteleczki we właściwej kolejności i przygotował się do pracy.

- Dziękuję - powiedziała. - Co jest w tej maści?

- Sproszkowany bluszcz... piołun... wosk z naszych własnych uli... olej słonecznikowy... bez lekarski... liście babki...

Wyliczając składniki, Olivier otwierał kolejne pojemniki i odmierzał do miski właściwą ilość. Wymieniał coraz to nowe substancje, ale Grace już się pogubiła. Patrzyła zafascynowana; Olivier zawsze wiedział, jaką ilość składnika dodać, choć nie używał wagi, miarek ani żadnej aparatury.

Nagle uniósł głowę.

- Co się stało?

- Czy zawsze przygotowujesz swoje leki bez żadnych pomiarów?

- Ależ ja mierzę, Grace - zapewnił. - Tyle że nie narzędziami. Wiele razy już przygotowywałem tę maść.

- Imponujące - uznała.

Wzruszył ramionami.

- Niespecjalnie. To dość pospolite lekarstwo. Najważniejszym składnikiem jest czarny bez lekarski. Czy wiesz coś o magicznych mocach czarnego bzu, Grace?

Pokręciła głową.

- W takim razie spróbuję ci opowiedzieć. - Zaczął kruszyć rozmaite liście i gałązki. - W Rosji ludzie wierzyli, że krzewy czarnego bzu odpędzają złe duchy. Na Sycylii używali ich, by odganiały węże i złodziei! Serbowie wykorzystywali czarny bez podczas ceremonii zaślubin, aby przyniósł szczęście młodej parze. A w Anglii ludzie zbierali liście czarnego bzu w ostatnim dniu kwietnia, a potem wieszali je w drzwiach i oknach, żeby do ich domów nie mogły wejść czarownice. Tutaj, w Sanktuarium, używamy go na zewnętrzne rany i sińce, jak wokół oczu twojego przyjaciela.

Zaczął ugniatać mieszaninę tłuczkiem. Grace przyglądała się, jak różne substancje stopniowo tworzą gęstą pastę. Nie do końca wierzyła w ludowe przesady, o których mówił. A jednak sposób, w jaki z wielu składników powstawała maść, wydawał się działaniem alchemika.

- Wygląda tak ładnie, że można by to zjeść - stwierdziła, kiedy Olivier odłożył tłuczek.

- Lepiej nie - odparł z uśmiechem.

Sięgnął po pusty szklany słoiczek i łyżeczką przełożył do niego pastę.

- Proszę, weź to - powiedział. - Później pójdziemy opatrzeć twojego przyjaciela. Za pierwszym razem ja nałożę maść, ale potem ty będziesz za to odpowiedzialna. Pamiętaj, dwa razy dziennie, kiedy się zbudzi i zanim zaśnie. Częściej, jeśli okaże się to konieczne.

Grace trzymała w dłoni słoiczek maści, zadowolona, że może pomóc Lorcanowi.

Olivier włożył tłuczek i moździerz do głębokiego zlewu, po czym zalał je wodą, by odmokły. Następnie energicznie umył ręce i podszedł do wielkiego miedzianego rondla, stojącego na wygasłym piecyku.

- Co tam jest? - zainteresowała się Grace.

- Chodź, sama zobacz.

Zsunęła się ze stołka i obeszła stół. Rondel był jeszcze ciepły, choć nie palił się pod nim ogień. Wewnątrz znajdował się gęsty czerwony płyn, na powierzchni którego uformował się cienki kożuch. Olivier sięgnął po chochlę, rozerwał kożuch i zamieszał zdecydowanie. Do nozdrzy Grace dotarł dość wyraźny i niezbyt przyjemny zapach.

- Co to takiego? - spytała.

- Skosztuj - odparł Olivier. Nalał trochę do kubka, który jej podał. Spojrzał na umieszczony w rondlu termometr. - Jest jeszcze trochę ciepłe. Najlepiej to pić w temperaturze około trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza.

Grace trzymała kubek w dłoni i wpatrywała się w czerwoną ciecz. Była rzadsza niż zupa, ale gęściejsza od soku owocowego. W tym odcieniu czerwieni dostrzegła coś znajomego... I nagle straszna myśl wpadła jej do głowy.

- Chwileczkę... Trzydzieści siedem stopni to przecież temperatura ciała! - Zmarszczyła czoło. - To nie jest to, o czym myślę, prawda?

- Skosztuj - powtórzył Olivier. - Już dostatecznie wystygło.

Nie była pewna, czy chce próbować. Na pewno nie, jeśli to właśnie to, co podejrzewa. - Nie bój się, Grace! Podniosła kubek do ust i krzywiąc się, wypła mały łyk. Płyn miał dziwny,

dość gorzki smak i charakterystyczną konsystencję. Zdawało się, że pozostał jej na języku i w gardle. Większość płynów gasi pragnienie, ale nie ten. Po jednym łyku zapagnęła szklanki wody, by wypłukać usta.

- Smakuje? - zapytał Olivier.

- Nie bardzo. - Grace pokręciła głową. Po czym zapytała po raz trzeci: - Co to jest?

- Wywar jagodowy - wyjaśnił wreszcie Olivier. - Gotujemy go z siedmiu gatunków dzikich jagód. Niektóre są dość rzadkie, ale rosną tutaj, na górze.

- To prawdziwa ulga. Już myślałam, że to...

- Myślałaś, że to krew - dokończył bez zdziwienia. - Ten wywar podajemy wampirom podczas pierwszego etapu ich leczenia. Jego konsystencja jest bardzo zbliżona do krwi, a co ważniejsze, także cała jego biochemia. Jest bogaty w minerały i inne składniki odżywcze.

Myśli Grace szalały.

- Karmicie wampiry tą namiastką krwi? Ale czy pozbawienie prawdziwej krwi nie wywołuje osłabienia?

- Nie, zupełnie nie. Jak się przekonałaś na Nokturnie, wampiry potrzebują do przetrwania stosunkowo niewielkiej ilości krwi, przyjmowanej regularnie. Ważna jest jej jakość. Większość wampirów, jakie tutaj trafiają, opijała się krwią z wielu często nieznanymi źródłami. I sporo tej krwi to zwykła lura. Podczas pierwszego etapu leczenia staramy się usunąć im tę krew z organizmów i zmienić ich poglądy na kwestię głodu. Kiedy znowu wprowadzamy krew do diety, koncentrujemy się na tym, żeby pobierali ją spokojniej, z jednego znanego źródła.

- Ich donora - domyśliła się Grace.

Olivier przytaknął.

Grace była zdumiona.

- Nie sądziłam, że mogą strawić cokolwiek oprócz krwi!

- O tak - zapewnił Olivier. - System trawienny wampira różni się naturalnie od systemu żywego człowieka. Na przykład niemożliwe byłoby dla nich trawienie stałego jedzenia. Fizjologiczne wyjaśnienie tego faktu jest dość skomplikowane, ale możesz sobie wyobrazić, że ciało po śmierci przypomina ciało po narodzinach. A przecież nie podałybyś steku nowo narodzonemu dziecku. - Uśmiechnął się. - Podobnie wampir może trawić tylko płyny. Owszem, docelowo tym płynem musi być krew. Ale zaletą tego wywaru jagodowego jest to, że wyglądem i

gęstością bardzo ją przypomina. Zaspokaja pierwsze pragnienie. W dodatku, jak mówiłem, jest zbliżony do krwi także pod względem składu chemicznego.

Grace kręciło się w głowie.

- Czy mogą przeżyć na tym zamiast krwi?

- Nie w nieskończoność, niestety - odparł Olivier.

- A przynajmniej tak się nam wydaje. To tylko chwilowy środek zastępczy. Ale naprawdę jest cudownym lekiem. Zwykle używamy go, by odzwyczaić wampiry od krwi. Mosh Zu mówił jednak, że podamy ten wywar Lorcanowi, żeby go skłonić do przyjmowania krwi. - Zanurzył w płynie termometr i sprawdził temperaturę. - Aha! Idealnie.

Przysunął tacę zastawioną metalowymi termosami i zaczął je odkręcać.

- Powiedziałeś, że tę zastępczą krew dajecie wampirom na pierwszym etapie leczenia. Co się dzieje potem?

Olivier nalewał wywar do termosów.

- Leczenie odbywa się w trzech etapach - tłumaczył. - Pierwszym jest inicjacja i przełamanie uzależnienia od krwi. Wywar gra w tym swoją rolę, ale ważniejsza jest praca nad psychiką. Głód krwi, obsesja polowania... są to w równym stopniu potrzeby psychiczne i umysłowe, jak fizyczne. - Zakręcił jeden termos i zaczął napełniać następny. - Drugi etap to ponowne wprowadzenie krwi, ale w nowy, umiarkowany sposób.

Na tym etapie otrzymują prawdziwą krew, dostarczaną przez naszych miejscowych donorów, ale na razie nie ma żadnej fizycznej interakcji między nimi i wampirami. Krew dostarczamy w termosach, takich jak te.

- Zakręcił termos, sięgnął po następny. - Dopiero na trzecim, końcowym etapie leczenia zestawiamy wampiry i donorów w pary. Wtedy zaczyna się dzielenie. To końcowe przygotowania do wejścia na pokład Nokturnu.

Grace pokiwała głową.

- Czyli ostatecznym celem każdego wampira, który przechodzi przez Sanktuarium, jest dołączenie do załogi statku wampiratów?

- Tak, oczywiście.

- A jak to się dzieje, że na statku nie brakuje miejsca?

- Nokturn zawsze ma tyle miejsca, ile potrzeba dla tych, którzy chcą na nim pływać. Poza tym niektórym nie udaje się przejść procesu leczenia i wracają do dawnych zwyczajów. To

rozczarowujące, ale nie każdy daje radę. - Olivier zakręcił kolejny termos. - Niekiedy wampir i donor kończą etap zestawiania w pary, ale postanawiają nie dołączać do załogi Nokturnu.

- A dokąd odchodzą? - zdziwiła się Grace. Taka możliwość nie przyszła jej wcześniej do głowy. - Dokąd zechcą. - Olivier się uśmiechnął. - Bez wątplenia wybierają trudniejszą drogę. Muszą żyć w ludzkiej społeczności i dochowywać tajemnicy.

- Naprawdę chcesz powiedzieć, że gdzieś tam, w wioskach, miasteczkach i wielkich miastach żyją pośród nas wampiry ze swymi donorami?

Spojrzała zdumiona.

- Intrygująca myśl, prawda? - Olivierowi błysnęły oczy. - Cóż, nigdy nie wiadomo. To mogą być twoi sąsiedzi. Co mogłabyś zauważyć? Tylko tyle, że jeden partner się nie starzeje, a drugiego nikt nigdy nie widział przy jedzeniu. Ludzie w większości nie są tacy spostrzegawczy. Łatwo ich oszukać historyjkami o superdietach i środkach pomagających zachować młodość.

Grace podejrzewała, że nie ma logicznego powodu, by wampir i donor nie mogli żyć w społeczności ludzi. Oszalamiająca myśl...

- Skończone. - Olivier zakręcił ostatni termos. - Wszystko gotowe. W tych termosach wywar zachowa ciepło jeszcze przez kilka godzin. Potem zrobimy obchód, ale na razie mamy pilniejsze sprawy.

Zaczął rozkładać na stole kolejne garnki, rondle i noże. Grace spoglądała z podziwem - zdawało się, że praca Oliviera nigdy się nie kończy.

- A co teraz będziesz robił? - zapytała.

- Widzisz, nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu - odpowiedział. - Pomyślałem, że szybko przygotuję nam obiad.

Rozdział 24

Pokój numer cztery

Connor widział ognie płonące w oczodołach Jeza. Zdawało się, że zaraz pochłoną jego twarz.

- No dobrze - powiedział i gwałtownie ściągnął z szyi medalion. - Dobrze, weź go! Tylko daj krew mojemu przyjacielowi. Już!

- Żaden problem, złotko - odparła kobieta. Chwyliła medalion i wciągnęła go do budki. - Pokój siedem.

Connor doprowadził Jeza do czerwonej aksamitnej zasłony.

Kobieta przerwała następną transakcję i zawołała:

- Nie możesz z nim iść! Zaczekaj tutaj! Mamy kawę i magazyny.

Connor poczuł ulgę.

Kiedy Jez wchodził za kotarę, obejrzał się i jego twarz znów stała się normalna - jednak tylko przez chwilę.

- Dziękuję ci - powiedział i odszedł.

Pół godziny, jakie Connor spędził w poczekalni, należało do najdziwniejszych momentów w jego życiu. Z początku napływał tu równy strumień wampirów, które płaciły kobiecie i wchodziły za aksamitną kotarę. Connor, jak mógł, starał się unikać z nimi kontaktu wzrokowego, ale czuł, że każdy klient, przechodząc, mierzy go wzrokiem. Może się domyślali, że nie jest jednym z nich, i zastanawiali się, co tu robi. A może po prostu patrzyli na niego jak na wygodny pojemnik z krwią. Starał się stłumić panikę, jaką ta myśl w nim wzbudziła. Sięgnął po jakiś magazyn i zaczął przewracać kartki, ale nie potrafił się skupić na zawartości. Mógł myśleć wyłącznie o tym dziwnym miejscu, o niezwykle ścieżce, jaka go tutaj doprowadziła, i zagrożeniu, które wyczuwał przez cały czas.

Kątem oka obserwował wchodzących. Wampiry wywodziły się ze wszystkich ludzkich kategorii. Mężczyźni i kobiety. Biali, czarni, żółci i smagli. Młodzi, starzy i wszystkie kategorie

pomiędzy. Łączył ich tylko widoczny w spojrzeniu straszliwy głód. Niewielu widział w stanie takiego krańcowego wyczerpania, w jakim znalazł się Jez, ale na ich twarzach migotał ten sam rozpoznawalny ogień. I za każdym razem, kiedy Connor go dostrzegał, przypominał sobie wcześniejsze słowa Jeza: „Nie panuję wtedy nad własnym ciałem, własnymi myślami, chęciami... Gdy ogarnia mnie głód, kiedy płynie we mnie, nic nie mogę zrobić, żeby z nim walczyć”.

Może zbyt pochopnie potępił Jeza za jego napad na biedną Jenny. Jez nie prosił o taką egzystencję. Zginął śmiercią pirata. Connor nie był pewien, co leży po drugiej stronie śmierci, ale jeśli spokój, to Jez został go pozbawiony. Wkroczył Sidorio. Sidorio przywrócił go do istnienia, do tej karykatury życia. A teraz Sidorio już nie ma, a Jez musi sam dźwigać swoje brzemię.

Ile by dał, żeby była przy nim Grace... Jak ona może tak swobodnie czuć się w obecności wampirów? Jego siostra dysponowała największymi zasobami odwagi, jakie tylko mógł sobie wyobrazić. Ze smutkiem sięgnął do szyi, gdzie jeszcze pół godziny temu wisiał medalion. To okropne, że musiał go tak tanio oddać - czuł się, jakby w pewnym sensie zdradził Grace. Ale jaki miał wybór?

- Chcesz kawy?

Uniósł głowę. Przed nim stała kobieta ze szklanej budki. Była o wiele niższa, niż wydawała się przy kasie, gdzie siedziała na wysokim stołku.

- Kawy? - powtórzyła. - Mam teraz przerwę, a ty wyglądasz, jakbyś chciał zaraz zemdleć.

- Tak, poproszę - odparł Connor, zaskoczony propozycją i przyjaznym uśmiechem.

Po chwili przyniosła tacę i wsunęła mu w dłonie ciepły kubek.

- Weź sobie cukier i śmietankę.

Zabrała swój kubek, zapaliła papierosa i usiadła obok niego.

- Nie jesteś jednym z nich, prawda? - zapytała. - Nie należysz do tego świata.

Pokręcił głową.

- Nie. Pomagam tylko dawnemu przyjacielowi.

Kobieta wypuściła idealne kółko z dymu.

- Tak myślałam. Jest w tobie coś czystego. Niewinnego.

Connor wzruszył ramionami. Nie chciał o tym mówić, ale w tej chwili na pewno nie czuł się czysty. To miejsce budziło w nim pragnienie długiej i gorącej kąpieli.

- Co się dzieje? - zapytał. - Za tą kotarą? W pokojach? Co się tam dzieje?

Kobieta milczała, zajęta pić kawy i zaciąganiem się dymem - co dawało jej podwójne uderzenie: kofeiny i nikotyny.

- A jak myślisz, złotko? Klienci potrzebują krwi. A moje dziewczęta... i chłopcy zaspokajają ich potrzebę.

Connor, wbrew sobie, był zaintrygowany.

- Pani dziewczęta i chłopcy... Kim są? Skąd przyszli? Dlaczego chcą to robić?

Kobieta odłożyła papierosa do popielniczki.

- Wiesz, nie wyobrażam sobie, żeby któreś z nich wchodziło w życie, myśląc: „Och, wiem, kim chciałbym zostać: dawcą krwi dla wampirów”. Ale w tej okolicy nie ma zbyt wielu możliwości. Niewiele trafia się okazji, żeby coś zarobić... nie obecnie. A co w życiu, złotko, jest główną siłą napędową? Forsa. Chęć przetrwania.

- Ale oddawać krew... W taki sposób... - Connor zadrżał.

- A ty co robisz? - spytała.

- Jestem piratem.

- Naprawdę? - Zaśmiała się i nie był to śmiech przyjemny. - Pirat. Oto szlachetna profesja, nie ma co... - Jej twarz złagodniała nagle. Uśmiech stał się cieplejszy. - No tak... Myślisz, że jest szlachetna, prawda? Jesteś aż tak zielony...

Nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Czekał. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła medalion. - Zabierz go sobie.

Wcisnęła mu go w dłoń.

- Nie - zaprotestował. - Nie mogę, to była uczciwa wymiana.

- Cicho, mały. - Zamknęła jego palce na medalionie. - Widzę, że należysz do dobrych ludzi. Nie czułabym się w porządku, gdybym wzięła ten drobiazg. Noc zapowiada się przyzwoicie, wytrzymam niewielką stratę.

- No dobrze - ustąpił. - Dziękuję.

- Popatrz - rzuciła nagle. - Twój przyjaciel wrócił.

Jez wyszedł zza aksamitnej kotary. Stary, znajomy Jez; uśmiechał się szeroko. Wydawał się odnowiony, jakby zbudził się z długiego snu i zjadł solidne śniadanie. Zbliżył się do Connora i kobiety.

- Lepiej? - zapytał Connor.

- O wiele - zapewnił Jez. - Czuję się jak nowo narodzony. Wracajmy do łodzi, dobrze?

I ruszył korytarzem do wyjścia. - No cóż - mruknęła kobieta. - Idź, piracie. Na co czekasz? Nie pobiegiesz za nim? - Tak. - Connor wstał. - Dziękuję za kawę. - Zamilkł, ale po chwili dodał: - Jestem Connor. Connor Tempest. A pani?

- Lilith. - Kobieta się uśmiechnęła. - Mam na imię Lilith. - Mruknęła do niego, a potem wykonała gest, jakby go przeganiała. - Idź już stąd, Connorze Tempeście. Wracaj na oceany, gdzie twoje miejsce.

Podziękował i wyszedł za Jezem w noc.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, spod skały dobiegło wołanie.

- Connor? Jez? Wskakujcie!

Szalupa kołysała się na wodzie tuż pod nimi. Connor zeskoczył zwinnie, a zaraz po nim Jez. Bart natychmiast odbił, sterując ku ujściu zatoki.

- Następny przystanek: statek wampiratów - rzekł.

W ciemności pod skałą wysunęła się z trzcin inna łódka. Miała tylko jednego pasażera - młodego, ubranego w wytartą skórzaną kurtkę. Uśmiechał się do siebie. I nie mógł się powstrzymać od głośnej uwagi:

- No, no... Ta noc robi cię coraz ciekawsza.

A potem Promyk Wrathie ustawił dziób w kierunku odpływającej szalupy i pożegłował za nią w kolejnym etapie niezwykłej wyprawy.

Tej samej nocy, nieco później, inna łódź wpływa do Zatoki Otchłani. Jej jedyny pasażer wyraźnie zna okolicę. Nie potrzebuje mapy, by odnaleźć czarne drzwi. Energicznie szarpie sznur dzwonka. Mleczne oczy pojawiają się w szczelinie, ale on nie zwraca na nie uwagi. Wypowiada tylko jedno słowo:

- Lilith.

Gdy drzwi się otwierają, wchodzi do środka i bez wahania rusza korytarzem do westybulu.

Ona siedzi w swojej szklanej budce i piłuje paznokcie. Kiedy gość się zbliża, podnosi głowę, początkowo zdziwiona. Ale zaraz uśmiecha się przyjaźnie.

- Słyszałam, że zginąłeś.

On odpowiada uśmiechem.

- Dobrze. To znaczy, że plotka już krąży. Zyskam więcej czasu.

- Plotka krąży, to fakt - przyznaje, odkładając pilniczek. - I chętnie ją czasem nagłośnie.

- Zrób to.

Sięga do kieszeni, po czym kładzie przed okienkiem plik banknotów. - Ktoś tu dobrze sobie radzi - stwierdza kobieta i podnosi jeden z banknotów do światła.

- Wszystkie prawdziwe - uspokaja ją.

- Jestem pewna - odpowiada. - Ale muszę sprawdzić. - Milczy przez chwilę, a potem oświadcza:

- Miałam tu wcześniej jednego z twoich. Tego młodego.

- Stukeleja? - pyta. - Doskonale. A zatem wszystko idzie zgodnie z planem.

- Zastanawiam się, co knujesz. - Kobieta chichocze. - Nie, lepiej mi nie mów. Wiesz, że jestem straszną plotkarą.

Potakujące skinienie głową.

- Przyszedłeś sobie pogadać czy chcesz wpuścić trochę świeżej krwi w te twoje grube żyły? - pyta kobieta.

- Jestem głodny.

- Połówka? Dwie...?

- Bez ograniczeń.

- To będzie sporo kosztować - ostrzega kobieta.

- Wiem.

- Trzeba jakoś pozbyć się ciała. I znaleźć kogoś na to miejsce...

Podsuwa jej kolejny plik banknotów.

- To powinno pokryć koszty wszelkich niedogodności.

Kobieta bierze pieniądze i kładzie je na tych, które dostała poprzednio. Zastanawia się przez chwilę.

- Pokój numer cztery - decyduje.

Przybysz kiwa głową i podchodzi do aksamitnej kotary.

- Postaraj się... nie nabrudzić - woła za nim kobieta.

Uśmiecha się.

- Miło cię znowu zobaczyć, Lilith.

- Ciebie również, Sidorio.

Rozdział 25

Pokój rekreacyjny

Grace przyglądała się, jak Olivier starannie nakłada maść wokół oczu Lorcana. Wciąż cierpiała, widząc sine ślady oparzeń na twarzy przyjaciela, ale pocieszała się myślą, że rany wreszcie zaczną się goić. To będzie warte wszystkich trudów - ten dzień, kiedy Lorcan znowu otworzy oczy i spojrzy na nią tak jak dawniej. Na chwilę wróciła pamięcią na Nokturn, do czasów, kiedy szelmowski urok i błyszczące oczy Lorcana ratowały ją przed obłędem.

- Widzisz, Grace - tłumaczył Olivier - potrzebna jest tylko niewielka ilość. To mocny środek. - Zwrócił się do Lorcana: - Teraz nałożę maść bezpośrednio na powieki. Obawiam się, że będzie trochę szczypać.

Lorcan skrzywił się mimo delikatnego dotyku palców Oliviera.

- Przepraszam - powiedział Olivier. - Wiem, że to nieprzyjemne. Ale będzie coraz lepiej.

- Już dobrze - syknął Lorcan.

Grace ścisnęła go za rękę.

- Widziałam, jak Olivier przygotowuje tę maść - zagała. - Głównym składnikiem jest czarny bez. Opowiedział mi o różnych wierzeniach na jego temat. Wiesz, że na Sycylii ludzie używali go, żeby odpędzał węże i złodziei?

Lorcan uśmiechnął się lekko.

- W Irlandii też. Więcej: w Irlandii czarny bez jest rośliną tak świętą, że nie wolno ułamać nawet najmniejszej gałązki. Ludzie wierzą, że czarownice używają grubych gałęzi czarnego bzu jako magicznych wierzchowców. Wyobrażasz sobie?

- Gotowe - oznajmił Olivier. - Skończyłem. Nie było tak źle, prawda?

Wyjął z torby rolkę świeżego bandaża i nożyczki, a potem zawahał się nagle. - Może ty założysz opatrunek, Grace? - zaproponował. - Jesteś ekspertem. Grace kiwnęła głową, wzięła bandaż i nożyczki, po czym zabrała się do pracy. Olivier patrzył, jak zręcznie mocuje opatrunek na głowie Lorcana.

- Znakomicie - pochwalił. - Masz szczęście, Lorcanie Fureyu, że zajmuje się tobą tak wprawna pielęgniarka.

- Przecież wiem - uśmiechnął się Lorcan.

Grace mocniej zabiło serce. Dwa uśmiechy, jeden po drugim... Już dawno nie widziała u Lorcana czegoś takiego.

- Przyniosłem ci też coś do picia - oznajmił Olivier.

Uśmiech znikł natychmiast.

- Nie jestem spragniony.

- To nie jest to, co myślisz - tłumaczyła Grace. - To substytut krwi. Wywar przygotowany z siedmiu odmian dzikich jagód, które rosną na tej górze. Zawiera mnóstwo minerałów i różnych substancji odżywczych.

- To prawda - potwierdził Olivier. - Nie żądamy, żebyś zaczął przyjmować krew, zanim będziesz gotowy. A tymczasem ten wywar doda ci sił.

Lorcan pozostał obojętny.

- Znowu czuję się zmęczony - obwieścił.

- Nic dziwnego - ocenił Olivier. - Jeśli czujesz się zmęczony, musisz odpocząć. Po to tutaj jesteś. Wszystko to jest elementem procesu leczenia.

- Chcesz, żebym z tobą została? - spytała Grace.

- Tak. Jeśli możesz...

- Oczywiście.

Uśmiechnęła się znowu i raz jeszcze ścisnęła go za rękę.

- Zostawię was - oświadczył Olivier. - Termos z wywarem stawiam na szafce. Gdybyś chciał się napić, poproś Grace, żeby ci nalała. Nie naciskam, Lorcanie, ale gdybyś wypił choć kropelkę, przyspieszyłoby to twoją kurację.

- No dobrze... Prześpię się, a potem pomyślę o wywarze.

- Dla mnie to wystarczy. - Olivier zebrał swoje rzeczy do torby. Wstał i podszedł do drzwi. - Grace, jeszcze słówko - dodał i skinął na nią.

Wyszła z nim na korytarz.

- Pozwól mu się wyspać - powiedział. - Ale kiedy się zbudzi, spróbuj go namówić, żeby wypił trochę wywaru. Nie naciskaj... ale jeśli ktokolwiek potrafi go do tego nakłonić, to tylko ty.

- Uśmiechnął się. - I chyba lepiej mu nie mówić, że twoim zdaniem wywar jest obrzydliwy.

Pokiwała głową.

- Zjrzę tu później - obiecał. - Aha, byłbym zapomniał. Mam coś dla ciebie.

Otworzył torbę i wyjął z niej książkę. Podał jej.

- Co to takiego? - spytała.

Spodziewała się, że może zbiór informacji o Sanktuarium albo przepisy na ziołowe leki...

Kiedy jednak spojrzała na grzbiet, ucieszyła się.

- „Tajemniczy ogród” - Jedna z moich ulubionych.

- Pomyślałem, że chętnie coś poczytasz, kiedy on będzie spał.

- Dziękuję.

Po raz kolejny Grace zrewidowała swoją opinię o Olivierze. Jej pierwsze wrażenie okazało się błędne - w rzeczywistości był bardzo troskliwy. Patrzyła, jak z torbą na ramieniu odchodzi korytarzem, puka do jakichś drzwi i znika w pokoju innego wampira. Potem wróciła do Lorcana. Po równym oddechu poznała, że zasnął, usiadła więc na krześle u stóp łóżka i otworzyła książkę. Pierwszy raz czytała ją wiele lat temu, a potem często do niej wracała. Znajomy początek był jak balsam dla jej duszy: „Kiedy Mary Lennox została wysłana do Misselthwaite Manor, gdzie miała zamieszkać w domu wuja...”.

Z westchnieniem satysfakcji raz jeszcze zagłębiła się w opowieść o przybyciu biednej Mary Lennox do samotnego domu na wrzosowiskach.

- Co czytasz?

Głos dobiegał znikąd. Grace uniosła głowę.

- Co czytasz? - powtórzył.

- A skąd wiesz, że czytam? - zapytała speszona.

- Bo słyszę, jak przewracasz kartki - zachichotał Lorcan. - Nie trzeba wybitnych zdolności, żeby się domyślić.

- Dawno nie śpisz?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami i usiadł.

- Czekał - powiedziała. - Poprawię ci poduszki.

- Dziękuję. Naprawdę jesteś dobrą pielęgniarką. I przepraszam, że sprawiam ci tyle kłopotów. To niesprawiedliwe.

- Bzdura. Też się mną opiekowałeś. Uratowałeś mnie przed utonięciem, a potem, na Nokturnie, chroniłeś... Poprawienie poduszek to najmniej, co mogę dla ciebie zrobić.

- Mimo wszystko... - Sięgnął po jej dłoń. - Jestem ci bardzo wdzięczny, Grace.

Kątem oka zauważyła termos, który Olivier zostawił na nocnej szafce. Lorcan miał taki dobry nastrój, że chyba można znowu wspomnieć mu o wywarze. Zbierała się na odwagę, ale on odezwał się pierwszy.

- No więc zdradzisz mi ten głęboki, mroczny sekret?

- Co takiego? - spytała. Poczula się winna, ale nie bardzo wiedziała dlaczego.

- Co czytasz! - przypomniał.

- Ach... Tajemniczy ogród. Olivier dał mi tę książkę. To jedna z moich ulubionych.

Znasz ją?

- Słyszałem o niej - odparł. - Ale nie czytam zbyt często. O czym jest?

- No więc jest tam taka dziewczynka, Mary Lennox.

- Grace usiadła na brzegu łóżka. - Mieszkała w Indiach, ale jej rodzice umarli, więc odesłano ją do Anglii, do wuja w takiej wielkiej rezydencji. Miejsce jest piękne, ale opustoszałe. Żona wuja zmarła, a on ciągle o niej myśli. Ta żona miała otoczony murem ogród, ale kiedy umarła, jej mąż zamknął go i zakopał klucz.

- To brzmi raczej smutno.

- Bo jest smutne. Ale ja lubię smutne książki. Jest też bardzo piękna.

- Przeczytałabyś mi kawałek? - spytał Lorcan.

- Oczywiście. - Grace wróciła na krzesło i znowu otworzyła książkę na pierwszej stronie.

- Siedzisz wygodnie?

- O co ci chodzi? - zdziwił się.

Grace się uśmiechnęła.

- Nasz tato zawsze o to pytał Connora i mnie, zanim zaczął nam czytać.

- Aha... No cóż, panno Tempest, rzeczywiście jest mi całkiem wygodnie. Posłuchajmy więc o tym pani tajemniczym ogrodzie.

Grace zaczęła czytać.

- Może lepiej przerwę w tym miejscu - uznała Grace. - Zaczynam dostawać chrypki.

- To wspaniała opowieść - przyznał Lorcan. - A ty bardzo dobrze ją czytasz.

- Dziękuję.

Lorcan ziewnął.

- Znowu jesteś śpiący? - spytała.

- Nie. Prawdę mówiąc, czuję się całkiem rozbudzony. Mam ochotę wstać i się przejść.

- Naprawdę? - Grace była zaskoczona.

- Tak. Wybierzemy się na małą wyprawę?

- Pewnie. Mosh Zu mówił, że możemy wyjść na zewnątrz, prawda? - Zastanowiła się. -

Ale nie... Jest widno.

- No to zbadajmy wnętrze - zaproponował Lorcan.

- Pewnie! Czemu nie?

Grace ucieszyła się, że Lorcan ma ochotę na spacer. Uważała, że to musi być dobry znak.

Zamknęła książkę, zaznaczając miejsce, w którym skończyła czytać, i podeszła, by pomóc mu wstać.

- Zsuń nogi na ziemię - poleciła. - Zostawili ci tu jakieś miękkie obuwie.

- Kapatki, Grace - poprawił ją. - Nie ma co udawać. Jestem inwalidą, więc oczywiście dostałem kapatki. W porządku. Jeśli postawisz mi je przed stopami, to je wsunę.

Zrobiła, o co prosił.

- Gotowe - rzekł. - A teraz ruszajmy na naszą magiczną tajemniczą wyprawę.

Grace zerknęła na stojący na szafce termos.

- Zanim pójdziemy - zaczęła - może wypiłbyś odrobinę wywaru?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie jestem spragniony - odrzekł wreszcie. - Może później, kiedy wrócimy.

Grace czuła się trochę zawiedziona... Ale przynajmniej próbowała. A Olivier mówił przecież, żeby nie naciskać.

- Dobrze - zgodziła się. - Jesteś gotów?

Przytaknął. Otworzyła drzwi i puściła go przodem.

- W lewo czy w prawo? - spytała.

- Ty wybierasz.

Postanowiła ruszyć w prawo. Początkowo Lorcan szedł dość niepewnie, ale dzięki jej pomocy wkrótce wpadł we właściwy rytm. Słabo oświetlony korytarz był pusty, drzwi po obu stronach zamknięte. Przypomniało to Grace Nokturn, kiedy wampiry spały, albo czas po Uczcie, kiedy za zamkniętymi drzwiami następowało dzielenie.

Każdy korytarz łączył się z następnym i Grace zaczęła się zastanawiać, czy jeśli będą szli naprzód, obejdą całe Sanktuarium dookoła, czy też - jak w labiryncie - trafią na ślepy zaułek lub

miejsce, skąd trudno im będzie znaleźć drogę powrotną. Mimo to szła ciągle dalej, niepewna, czy znaleźli się w nowym korytarzu, czy też w takim, przez który już przechodzili.

- Jest bardzo cicho - zauważył Lorcan.

- Tak - przyznała Grace. - Inni pewnie odpoczywają.

- Widzisz? - parsknął Lorcan. - Ruszam się więcej niż cała reszta, nawet w tym stanie.

- Rzeczywiście, więcej.

Za kolejnym zakrętem Grace zobaczyła otwarte drzwi i sączący się z wnętrza blask.

Przystanąła odruchowo, a Lorcan zapytał:

- Co się dzieje? Czemu stanęliśmy?

- Przed nami są otwarte drzwi.

- No to na co czekamy? Zajrzyjmy tam!

Grace była zachwycona jego doskonałym nastrojem. Poprowadziła go korytarzem w stronę wylewającego się przez drzwi światła.

- Jesteśmy - szepnęła, z wahaniem prowadząc go do pomieszczenia.

- I co? - spytał Lorcan, także szeptem. - Co to za pokój?

- Jest większy niż twój i mój - relacjonowała. Uspokoila się, widząc, że to całkiem zwyczajne pomieszczenie. - Prostokątny. Jest tu sofa i parę krzeseł przy niskim stoliku. Po jednej stronie sofy stoi regał z książkami, pudła z grami i... - Odwróciła się.

- Och, przepraszam.

- Co się stało?

- Ktoś tu jest...

Grace spojrzała w oczy siedzącego przy stole przystojnego chłopaka. Skinął jej głową i uśmiechnął się. W ciemnych, czekoladowobrązowych oczach zamigotały iskierki. Przed sobą miał szachownicę. Gra trwała już od pewnego czasu, sądząc po pionkach i figurach leżących po obu stronach. Ale jego przeciwnik musiał chyba wyjść.

- Przepraszam - powtórzyła Grace. - Nie chcieliśmy przeszkadzać.

- No problema - odparł. - Miło wiedzieć, że ktoś jeszcze nie śpi i coś robi.

- Jak idzie gra?

- Dość wyrównana partia - stwierdził chłopak i przeczesał palcami włosy. - Ale też gracze reprezentują zbliżony poziom.

Przeniósł wzrok z Grace na Lorcan, a ona skorzystała z okazji, by mu się lepiej przyjrzeć. Nosił takie same szaty jak Lorcan, więc to jasne, że był wampirem przechodzącym proces leczenia. Ale pod szatą, jak zauważyła, miał na szyi czerwoną chustę. To ją zastanowiło... Ale musiała przerwać swe rozmyślenia, gdyż chłopak znów na nią popatrzył.

- Nie przypuszczam, żeby któreś z was grało w szachy? - zapytał z nadzieją. - Gra z samym sobą staje się nudna, nawet jeśli ktoś jest świetnym szachistą.

- Ja gram - oświadczył Lorcan. - Ale w tej chwili byłoby to dość trudne.

- A tak. Przykro mi. Mam nadzieję, że nie cierpisz bardzo.

Chłopak spojrzał na Grace. Jego brązowe oczy patrzyły rozbijająco szczerze. To otwarte spojrzenie było jak magnes, przyciągający ją do niego. Zachęcało, co wprawiało ją w zakłopotanie. Nie, nie w zakłopotanie. Raczej budziło lęk. Jak gdyby jakiś instynkt podpowiadał, żeby się nie zbliżać. Żeby odwrócić się teraz, póki to jeszcze możliwe.

- A co z tobą, piękna panienko? Zdołam cię skusić na partyjkę?

Głos miał delikatny, równie ciepły jak spojrzenie.

- Powinniśmy już chyba wracać - odpowiedziała. - Wszyscy potrzebujemy snu...

- Nie! - zaprotestowali równocześnie Lorcan i obcy chłopak.

- Nie - powtórzył Lorcan. - Nie jestem jeszcze gotowy, żeby wracać do pokoju.

- A ja nie mam ochoty tracić jedynej od wielu tygodni okazji na miłe towarzystwo - dodał nowy towarzysz. - Siadajcie, ludziska. Rozgośćcie się. Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak niewiele osób korzysta z tego pokoju rekreacyjnego. - Nagle wyciągnął rękę nad stołem. - Przepraszam, ale chyba się sobie nie przedstawiliśmy.

- Jestem Grace. Grace Tempest.

Uścisnęła mu rękę i zauważyła dwie rzeczy. Po pierwsze, miał mocny uścisk. Po drugie, skóra na jego dłoniach była trochę stwardniała. Coś zaskoczyło w jej umyśle.

- Ładne imię: Grace - stwierdził.

Zauważyła ślad akcentu. Myśli pędziły w jej głowie. Przedtem powiedział „problema”. Nie „problem”, ale „problema”.

- A to Lorcan Furey - dodała, starając się nad sobą panować.

Chłopak podał Lorcanowi rękę.

- Miło cię poznać, Lorcanie.

- A ty jesteś... - spytał Lorcan.

- Jestem Johnny. Johnny Desperado.

Oczywiście! To Johnny! Ten młody kowboj, którego wstążkę trzymała w dłoni. Ten, którego wspomnienia przesączyły się do jej snów. Ten, którego samotną śmierć przeżyła, gdy zawisł na gałęzi ponad śniegiem. Grace znieruchomiała. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Nie uszło to jego uwagi - mrugnął do niej porozumiewawczo, a potem znów się odezwał, cały czas na nią patrząc.

- No więc macie zamiar stać tak przez całą noc czy może usiądziecie i opowiecie Johnny'emu coś o sobie?

Rozdział 26

Stracony

- Jak to jest? - zastanawiał się Bart, kiedy ich łódź wypływała z Zatoki Otchłani. - Tawerna Krwi to lokal jedynej w swoim rodzaju czy mają całą sieć?

- Łatwo ci żartować... - Connor się skrzywił. - Nie musiałeś wchodzić do środka.

- To nie żarty, tylko poważne pytanie. - Bart zwrócił się do Jeza. - Czy to wyjątkowa firma, czy może wszędzie są tawerny krwi, jeśli tylko ktoś wie, gdzie ich szukać?

Jez wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie pamiętam nawet, czy już tu kiedyś byłem. Dopiero w środku wyglądało znajomo.

- Hm... A jak właściwie tam jest?

Connor westchnął. W tej chwili usiłował zostawić za sobą świat dziwnej „tawerny”. Spróbował myśleć o Mamie Kettle. Tak właśnie powinna wyglądać tawerna - miejsce, gdzie można się napić i zabawić z kolegami. A nie miejsce, gdzie się przychodzi, żeby wysysać z kogoś krew.

- Pewnie będziecie teraz udawać wielkich wtajemniczonych, co? - mruknął Bart.

Jez przytaknął.

- Skoro nie miałeś cojones, żeby tam z nami wejść, to będziemy raczej milczeć. - Westchnął. - Poza tym naprawdę nie chcę o tym mówić. Potrzebowałem krwi i dostałem porcję. Koniec sprawy.

- Dobra, dobra... Pojąłem aluzję.

- Zabierzcie mnie teraz na statek wampiratów.

Bart spojrzał ponuro na dawnego przyjaciela.

- Nie jestem pewien, czy podobaś mi się w tym nowym wydaniu - stwierdził. - „Zabierzcie mnie do Tawerny Krwi...”, „Zabierzcie mnie na statek wampiratów...” Przykro to

mówić, kolego, ale odkąd umarłeś, strasznie się rządzisz. A w ogóle po co ten pośpiech? O ile pamiętam, jesteś teraz nieśmiertelny. Na moje oko to masz tyle czasu, ile zechcesz.

Jez pokręcił głową.

- O to właśnie chodzi. Może nie jestem jeszcze nieśmiertelny. Może nie całkiem zmieniłem się w wampira. Jeśli istnieje szansa... jakakolwiek szansa, że kapitan wampiratów potrafi odwrócić ten proces, chcę, aby spróbował. Na moje oko czas jest tu sprawą kluczową.

- Ale jeśli kapitan odwróci proces, czy nie staniesz się znowu martwy? - zapytał Connor.

Powróciło wspomnienie Jeza konającego w ramionach Barta, Jeza zakrwawionego i bladego po tragicznym pojedynku.

Jez kiwnął głową.

- Wolę raczej być martwy, niż taki jak teraz - oświadczył.

- Jest aż tak źle?

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

Twarz Barta wyrażała bezdenny smutek. Kiedy przemówił, jego zwykle dzwięczny głos zaczął się łamać.

- Nie możesz znowu umrzeć. To nieuczciwe... wobec nas. Już raz cię straciliśmy. Potem wróciłeś...

- Nadal jestem dla was stracony - przerwał gwałtownie Jez. - Stracony dla was i stracony dla siebie.

Connor zobaczył w jego oczach skrajną rozpacz. W pewien sposób przeraziła go nawet bardziej niż płonąca żądza krwi.

- Musimy cię dostarczyć na ten statek - stwierdził. - Kapitan potrafi ci pomóc. Jestem pewien.

- Mam nadzieję - odparł Jez. - Nigdy w ży... No, nigdy jeszcze tak bardzo niczego nie pragnąłem.

- Gdyby tylko życzenia wystarczyły, żeby tam trafić - westchnął Bart. - Wciąż nie wiem, jak odnajdziemy ten statek. Co powiesz, Connor?

Connor rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na otwartym oceanie. Nigdzie nie widzieli lądu. Nie było też żadnych statków... I nagle wszystko stało się jasne.

- Zatrzymaj łódź - polecił.

- Co? - zdziwił się Bart.

- Słyszałeś - odparł Connor. - Przestań nią sterować. Niech przez chwilę dryfuje.

Bart miał wątpliwości.

- Nie wiem. Jestem na środku oceanu z dwoma głupkami.

Mimo to wykonał polecenie Connora. Łódź się zatrzymała.

- Co teraz?

Connor usłyszał w myślach głos ojca.

- Teraz - rzekł - nauczymy się ufać fali.

Bart spojrzał na niego zdziwiony, ale Connor nie powiedział nic więcej. Oparł się tylko o burtę drewnianej szalupy.

Dłuższą chwilę czekali w milczeniu. Jedynie pluskanie fal o burty zakłócało ciszę. Na wyjątkowo spokojnym morzu szalupa wydawała się kolebką, łagodnie kołyszącą do snu trójkę zmęczonych dzieci.

Do chwili, kiedy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, morze stało się wzburzone. Connorowi wolno opadały powieki, teraz jednak gwałtownie otworzył oczy. Bart także rozglądał się czujnie.

- Morze strasznie szybko robi się strasznie burzliwe - oświadczył. Nie zdołał ukryć niepokoju.

- Możliwe - przyznał z uśmiechem Connor. Właściwie spodziewał się tego. Bart spojrzał na niego pytająco.

- Co ty kombinujesz, Tempest?

- Zaczekaj... Uderzenia fal zaczęły obracać łódź - z początku wolno, potem coraz szybciej, aż zakręciło im się w głowach.

- Co się dzieje? - zawołał Jez. - Wpadliśmy w jakiś maelstrom?

Barta ogarniała panika. Łódź kręciła się coraz szybciej.

- Podobno wiele łodzi zaginęło w okolicy Zatoki Otchłaaaani...

Łódź wirowała tak prędko, że niemal unosiła się nad wodą.

- Nic złego nam się nie stanie! - uspokajał Connor, podniecony szaleńczą jazdą. Sam nie wiedział, skąd bierze się w nim ta pewność. - Bądź cierpliwy!

- Cierpliwy? - wrzasnął Bart, zagłuszając ryk wód.

- Zaufać fali? Na pewno w tym krwawym barze nikt ci nie podał czegoś podejrzanego?

Connor zaprzeczył z uśmiechem. Włosy miał całkiem mokre, tak samo jak koszulę. Ale kiedy wyrzwał za burtę, zobaczył, że zawrotne wirowanie zwalnia. Fale, obracające łódź, teraz zaczęły z podobną siłą popychać ich naprzód.

- Co do... Co się dzieje? - zapytał Bart.

- To kapitan wampiratów - odparł z satysfakcją Connor. - Prowadzi nas do swojego statku.

Nie była to spokojna podróż po nocnym oceanie. Nie musieli sterować, lecz tylko trzymać się mocno. Ale w niewielkiej łodzi cała trójka potrzebowała wszystkich sił, by nie wypaść za burtę. W Connorze budziło to niemiłe wspomnienia sztormu, który zmienił jego życie. A równocześnie czuł się w pewien sposób chroniony. Wiedział, że kapitan wampiratów panuje nad wszystkim równie pewnie, jak gdyby siedział obok nich jako czwarty pasażer łodzi. Przypomnił sobie coś - ten przelotny moment u Mamy Kettle, kiedy spotkał kapitana i uściśnął mu rękę. Ogarnęło go dziwne uczucie, gdy okryta rękawiczką dłoń kapitana chwyciła jego dłoń - był pewien, że już kiedyś ją trzymał.

I nagle poczuł lodowate zimno. Drżąc, wyrzwał nad burtę - i nie zobaczył nic. Ze wszystkich stron spowijała ich zasłona mgły. Zdawało się, że łódź zwolniła, ale może było to tylko złudzenie. Mgła szybko zgęstniała tak bardzo, że ledwie mógł dostrzec dwóch towarzyszy. Wydawali się tylko srebrzystymi cieniami - widmową załogą.

- Przypuszczam, że to należy do planu - zawołał Bart.

- Tak!

Głos Connora zabrzmiał głucho w pustce.

Uśmiechnął się do kolejnego wspomnienia. Kiedy po raz pierwszy i jedyny widział statek wampiratów, otaczała go mgła. Czyli na pewno są już blisko. Bardzo blisko.

Mgła zaczęła rzednąć. Connor przekonał się, że zmysły go nie myliły - łódź naprawdę płynęła wolniej. I bardzo dobrze, bo przecież nie chcieliby zderzyć się z majestatycznym galeonem, który kołysał się na falach dwadzieścia metrów przed nimi.

- Tam jest! - krzyknął Jez. Znowu mogli wyraźnie widzieć jego twarz. - To na pewno on!

Connor kiwnął głową. Przed nimi wyrastał statek wampiratów. Kapitan mówił, że w razie potrzeby chłopiec zawsze potrafi go odnaleźć - i nie kłamał. Kiedy się zbliżyli, Connor spojrzał na dziób, szukając pięknego drewnianego galionu, który widział przelotnie w czasie burzy. Wymalowane oczy drewnianej kobiety jakby mu się wtedy przyglądały... Teraz jednak niczego

nie znalazł. Dziób statku, gdzie wówczas znajdowała się figura, był pusty. Uśmiechnął się, wspominając opowieści Grace. O zachodzie słońca galion ożywał... A przecież słońce zaszło już dawno. Nic dziwnego, że na noc porzuciła swoje stanowisko.

Cieszył się, że zobaczy Grace. Wciąż zajmował się innymi sprawami, ale teraz, kiedy dotarł do statku, uświadomił sobie, że niczego nie pragnie tak bardzo, jak spotkania z siostrą. Uściśnie ją, porozmawiają o dawnych czasach... Zanurzą się w normalności. Tak, coś takiego na pewno mu się przyda.

Kiedy podpłynęli do burty statku, usłyszał rozmowy na pokładzie i zobaczył blask latarni. Wielkie, podobne do skrzydeł żagle kołysały się wolno w przód i w tył, a dziwny materiał rozbłyskiwał światłem.

Connor obejrzał się na kolegów. Bart wyglądał na oszołomionego. Jez patrzył wyczekująco; oczy mu lśniły. Connor wiedział, że statek jest dla niego ostatnią nadzieją. Pomodlił się bezgłośnie o to, by kapitan zdołał pomóc utraconemu przyjacielowi.

- No, a jak niby dostaniemy się na pokład? - spytał Bart.

Connor uniósł latarnię i wskazał zwisającą z burty sznurową drabinę.

- Moglibyśmy liczyć na taki przypadek? - uśmiechnął się Bart. - Wy pierwsi, chłopcy. Młodość przed urodą.

Connor potrząsnął głową i sięgnął do szorstkiego powrozu drabinki. Kiedy wspiął się na szczebel powyżej łodzi, obejrzał się jeszcze.

- Jeden za wszystkich - powiedział.

Bart położył dłoń na ramieniu Jeza.

- Wszyscy za jednego - odpowiedzieli chórem.

Connor odwrócił się i zaczął wspinać. Nie myślał o wysokości. Choć wzburzone wody w dole wirowały i syczały, statek pozostawał dziwnie nieruchomy.

Całkiem jakby unosił się nad falami. Jak wtedy, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

I nagle w myślach usłyszał szept - tak delikatny i nieuchwytny jak kapanie wody.

- Witaj, Connorze Tempest. Nie spieszyles się.

Rozdział 27

Vaquero

Po pewnym czasie Grace spostrzegła, że czyta już sama sobie. Spojrzała na Lorcanę, zastanawiając się, jak dawno zasnął. No cóż, pomyślała, potrzebuje wypoczynku. Po to przecież przybyli do Sanktuarium. Nie miała tylko pojęcia, jak bardzo będzie tutaj samotna.

Sięgnęła do nocnej szafki, by znaleźć coś, co posłuży za zakładkę, i zamknęła książkę. Wstając, postanowiła zabrać ją ze sobą. Przewidywała, że podczas bezsennych godzin książka na pewno się jej przyda.

- Śpij dobrze, Lorcanie - szepnęła.

Pochyliła się, by pocałować go w czoło, a potem wyszła na korytarz. Miała ochotę się przewietrzyć, więc ruszyła w górę, w stronę dziedzińca. Wyszła głównymi drzwiami i odetchnęła głęboko, wciągając do płuc chłodne, świeże powietrze. Noc była pogodna. Może przejdzie się za bramę i spojrzy na zbocze góry?

Ale kiedy szła przez dziedziniec, usłyszała wołanie.

- Hej, piękna panienko! Grace, prawda?

Obejrzała się i zobaczyła siedzącego na murze Johnny'ego Desperado. Dzisiaj nie miał na sobie sanktuaryjnej szaty, ale dżinsy, wysokie buty i kraciastą koszulę z podwiniętymi rękawami. I stetsona. Pomachał do niej kapeluszem.

- Witaj, Johnny - powiedziała.

- A gdzie się podziewa nasz Lorcan? - zapytał, pomagając jej wspiąć się do siebie.

- Zasnął.

Usadowiła się na murze.

- I poczułaś się trochę samotna, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- No więc ja miałem to samo, więc pewnie sprzyjało nam szczęście, że oboje nabraliśmy ochoty na świeże powietrze.

Przytaknęła. Patrząc na jego dłonie, raz jeszcze zauważyła, że są stwardniałe. A nad przegubem, po wewnętrznej stronie przedramienia, zauważyła jakieś znaki. Wyglądały jak pismo, ale nie była pewna.

- Na co tak patrzysz? - zapytał.

- Co to za tatuaż?

- Ach, ten...

Wyciągnął rękę, by mogła się przyjrzeć.

- Jazda się jeszcze nie skończyła” - przeczytała. Johnny cofnął rękę i przeczesał palcami gęste, zwichrzone włosy.

- Tak sobie myślę, że ten tatuaż niezłe podsumowuje moją historię. - Rzucił Grace przenikliwe spojrzenie. - Nie sądzisz, piękna panienko?

- O co ci chodzi? - spytała zaniepokojona. - O to, że wiesz o mnie wszystko, nie? Miałś moją wstążkę. Przeczytałaś ją. Mosh Zu mi powiedział. To dość osobista rzecz, taka wstążka.

Grace ogarnęło zakłopotanie. Zdała sobie sprawę, że wdarła się na absolutnie prywatny teren.

- Przepraszam - wybąkała. - Nie chciałam. Dostałam tę wstążkę. - Nie ma sprawy. Dobry stary Johnny się nie gniewa. Ani trochę. Wiesz, jestem zaskoczony... i pochlebia mi... że siedzisz tu ze mną, chociaż poznałaś moją historię i w ogóle.

- A dlaczego miałabym nie siedzieć? - Zmarszczyła czoło. - Robiłem bardzo złe rzeczy, Grace - odparł. - Ale znowu zaczynam... Przecież już to wiesz.

- Prawdę mówiąc - stwierdziła - mam wrażenie, że bardzo złe rzeczy robiono tobie. Uśmiechnął się. - Tak to widzisz? Naprawdę tak myślisz? Z uśmiechem kiwnęła głową. A potem wpadła na pewien pomysł. - A może sam byś mi opowiedział? Własnymi słowami? - Moją historię? - Wzruszył ramionami. - Przecież ją znasz. - Nie. Spojrzałam tylko przez wąskie okno na fragment twojego życia... i śmierć. Ale chcę wiedzieć, czy się nie mylę. I dowiedzieć się więcej.

- Naprawdę? Przytaknęła. - Bardzo bym chciała. Uwielbiam słuchać historii o ludziach. - No, jeśli taka jest cena za twoje towarzystwo, to zgoda. Tylko najpierw usiądź wygodnie, bo mam wiele do opowiedzenia.

Grace uśmiechnęła się i mocniej owinęła swetrem. Johnny zaczął opowieść. - Urodziłem się w 1869 roku w Teksasie. Miałem na imię Juan, ale wszyscy ranczerzy w okolicy nazywali

mnie Johnny. Bo dorastałem na ranczo, rozumiesz. Ja, mój tato i mój brat Rico. Sądzę, że mama też była w pobliżu, ale nie spędzałem z nią zbyt wiele czasu. Naśmiewali się ze mnie, że za prawdziwych rodziców uważam konie. I powtarzali, że umiałem jeździć, zanim nauczyłem się chodzić. Bo widzisz, ja nie byłem zwykłym kowbojem. Byłem „vaquero” Meksykański kowboj, najlepszy ze wszystkich. Jeździectwo miałem we krwi, jak mój brat i mój tato, a przed nim jego tato. Rico i tato mnie uczyli. Kiedy skończyłem jedenaście lat, wziąłem udział w pędzeniu stada. Wtedy właśnie pierwszy raz zdarzyło mi się nieszczęście. Widzisz, na szlaku szybko się dorasta. Przyzwyczajasz się do wrednej pogody, do stampede i do śmierci. Rico i mój tato prowadzili stado. Dociągnęliśmy z Teksasu aż do Denver, zanim wybuchło wielkie stampede. Padał gęsty śnieg. A bydło zwyczajnie dostało szału. Rico z tatą robili, co mogli, żeby temu zapobiec. Ale szliśmy pod górę, rozumiesz, a te zidiodziałe krowy zaczęły spadać z urwiska.

Przerwał na chwilę.

- Tego dnia - podjął - straciliśmy w tej przepaści trzysta sześćdziesiąt jeden krów i dwa konie. Spadły z dziewięćdziesięciu pięciu stóp, na śmierć. Straciliśmy też dwóch ludzi.

- Twojego brata i ojca?

Przytaknął.

- Powinnaś zobaczyć ich ciała, Grace. Nigdy nie zapomniałem tego widoku. I nigdy nie zapomnę.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Wiesz, ranczerzy są jak rodzina. No więc kiedy straciłem tatę i Rica, a wkrótce potem i mamę (mówią, że umarła, bo pękło jej serce), oni się mną zajęli. Dobrze się zaopiekowali małym Johnnym. Już wtedy wiedzieli, że w posługiwaniu się lassem przewyższam każdego z nich. Miałem czternaście lat, kiedy chciały mnie przyjąć wszystkie rancza w Teksasie. Byłem kimś, kogo nazywali bronco-busterem. Wiesz, co to znaczy? Że ujeżdżałem najdziksze konie. Przez jakiś czas bawiło mnie, że mogłem zakasować mężczyzn dwa, trzy razy starszych ode mnie. Ale ujeżdżanie to niebezpieczna robota za nieduże pieniądze, a ja chciałem od życia czegoś lepszego. I tu popełniłem pierwszy błąd. Powinienem trzymać się tego, co miałem, nawet jeśli nie było tego wiele.

- I co zrobiłeś? - spytała zafascynowana Grace.

- Wyruszyłem na szlak. Opuściłem Teksas i już nigdy nie wróciłem do domu. Jeździłem po kraju. Zresztą, nie tylko pracowałem. Miałem czas na zabawę. Zaliczyłem trochę szaleństw. Walki byków, walki kogutów, fiesty, uliczne festyny...

Uśmiechnął się i zamknął oczy, a ona wiedziała, że wraca tam we wspomnieniach. Kiedy znów otworzył oczy, błyszczały jasno.

- Jedzenie na tych festynach, Grace... Nigdy nie próbowałaś lepszego: tamale, tortille, dulcie... I whiskey! Dużo whiskey. - Zaśmiał się. - Zabawne, bo tak miał na imię mój pierwszy koń. Przypomniałem sobie...

I znowu zamilkł, znów wrócił do swej podróży.

- No więc tak wyglądało moje życie. Prowadziłem stado, zarabiałem pieniądze, a potem znajdowałem tysiące sposobów, żeby je przepuścić. Próbowałem też sił w rodeach, jeszcze zanim stały się takie popularne. W końcu poczułem, że ciągną mnie szerokie, otwarte przestrzenie. I to był mój błąd numer dwa. Chyba naprawdę nie znam się na ludziach. - Pokręcił głową. - Miałem osiemnaście lat. To było zimą 1887 roku. Tkwiłem gdzieś na pustkowiach Południowej Dakoty, kiedy usłyszałem o dwóch hodowcach prowadzących stado. Szukali kowboja, podobał im się mój styl, położyli na stół dobre, naprawdę dobre pieniądze. Co mogło się nie udać? Wyglądało, że zawarłem najlepszy układ w moim życiu. Okazał się najgorszym.

Zamilkł na chwilę, a potem znów wspominał.

- Te zimy od 1885 do 1887 były bardzo ostre - wyjaśnił. - Jedna śnieżycy po drugiej, burze tak ciężkie, że wybiły miliony sztuk bydła na Wielkich Równinach. Padło trzy czwarte zwierząt na północnych terytoriach. Koniec epoki... Nazywali to Wielkim Wymieraniem. Ostatnie ogromne spędy i ostatnie wędrówki na szlakach. Dla mnie też skończył się pewien etap. Czasy były trudne, bydło zdychało na prawo, lewo i w środku. Komu jeszcze coś zostało, dobrze tego pilnował. A jak już mówiłem, ci dwaj, co mnie wynajęli, mieli całkiem duże stado. Problem w tym, że kradzione.

Grace syknęła cicho.

- Wiem. Ale musisz mi uwierzyć: nie miałem o tym pojęcia, kiedy mnie zatrudnili. Nie miałem pojęcia do samego końca. Dopiero pod koniec zacząłem wszystko rozumieć. Dlatego dawali takie pieniądze. A ja przyplaciłem to życiem. Przez cały czas, kiedy harowałem dla nich, aż tyłek mi odpadał, tropili nas wigilanci. Wysłał ich prawowity właściciel, żeby dokonali zemsty.

Grace wiedziała, co stanie się potem. Miała nadzieję, że oszczędzi jej szczegółów.

- Wigilanci dopadli nas. Powiesili obu tych złodziei. Powiedziałem im, że o niczym nie wiedziałem. Zastanawiali się nawet, czy mnie nie puścić, ale w końcu uznali, że nie mogą ryzykować. Chyba trudno mieć do nich pretensje. Powiesili mnie na tym samym drzewie.

Obraz w jej głowie był tak żywy - całkiem jak wtedy, kiedy trzymała wstążkę Johnny'ego. Teraz jednak, zamiast patrzeć w dół z gałęzi, wyobrażała sobie Johnny'ego, wiszącego obok dwójki złodziei, którzy doprowadzili go do śmierci.

- Czyli umarłeś, mając osiemnaście lat? - spytała. - W 1887? Przytaknął. - To była ciężka zima dla bydła i dla głupich vaqueros, którzy powinni zadać kilka dociekliwych pytań.

- A co się stało potem? Jak przeszedłeś?

- Podobają ci się te historie, co?

- Myślisz, że to dziwne? - spytała.

Zastanowił się.

- Tak, Grace. Uważam, że jesteś dziwadłem.

Mocno ją to dotknęło, ale zaraz zobaczyła, że na twarzy Johnny'ego pojawia się szeroki uśmiech. Roześmiał się, a ona wraz z nim. Ten śmiech usunął skrępowanie, jakie mogłoby się pojawić między nimi.

- Ja widzę to tak - rzekł Johnny - że interesują cię ludzie. Ciekawa jesteś, co ich popycha. No więc każdy powinien czasem zwracać uwagę na takie rzeczy. Gdybym ja zwracał uwagę przed laty... No cóż...

Umilkł zamyślony, gładząc palcem swój tatuaż.

- Fascynują mnie opowieści o przejściu - wyjaśniła Grace, zadowolona, że może mówić szczerze. - Zaczęłam nawet je spisywać, tylko że powoli mi to idzie. Mam historię Darcy, to znaczy Darcy Flotsam, jest galionem na Nokturnie. Była śpiewaczką na wielkim transatlantyku, który zatonął po trafieniu potężną błyskawicą. W chwili katastrofy jej dusza złączyła się z galionem.

- Świetna historia - pochwalił Johnny.

- Tak. I mam jeszcze Sidoria. Żył w czasach rzymskich. Był piratem na Cylicji, tej pirackiej twierdzy, która zagrażała rzymskiemu imperium. On i jego wspólnicy porwali młodego Juliusza Cezara. - Urwała na moment, po czym spytała: - Wiesz, kim był Juliusz Cezar?

- Pewnie, że wiem, do licha - odparł Johnny. - Za życia jedynymi imionami, jakie znałem, były imiona moich krewnych i przyjaciół. Może jakiejś gwiazdy rodeo. Ale odkąd przeszedłem, przeczytałem parę książek.

- Dobrze. No więc Sidorio rzeczywiście porwał Cezara, kiedy ten wyruszył, żeby się kształcić.

- Rewelacja! - ucieszył się Johnny.

Grace zaczęła rozumieć, o co mu chodziło, gdy mówił, że nie zna się na ludziach.

- Ale dalszy ciąg już nie okazał się taki rewelacyjny - kontynuowała. - Cezar nie darował swoim porywaczom i kazał ich wszystkich zabić.

- Mimo wszystko, jeśli już ktoś ma cię zabić, niech to będzie wielki rzymski cesarz.

Grace przewróciła oczami.

- O tak - przyznała. - Powinieneś słyszeć, jak Sidorio o tym opowiada. Pęka z dumy.

- On też pływa na Nokturnie? - zapytał Johnny.

- Chętnie bym go poznał.

Grace pokręciła głową.

- Nie, Johnny, wcale byś nie chciał. Jest zły. Kapitan musiał wypędzić go z Nokturnu, bo zaczął się buntować. Nie godził się na rozsądne ilości krwi. Zawsze pragnął więcej. Zabił swojego donora!

- Nie! - Johnny szeroko otworzył oczy.

Grace nie była całkiem pewna, czy to szok, czy wyraz podziwu.

- Tak. Potem kapitan go wygnał. Ale nie odszedł spokojnie. Znalazł innych podobnych sobie i wspólnie dokonywali morderstw. Zabili bardzo sławnego kapitana piratów... brata dowódcy statku, na którym przebywa mój brat.

- Twój brat jest na pirackim statku?

Grace przytaknęła.

- Brat zajmuje się piractwem, a siostra... czym właściwie?

- Poznawaniem rzeczy. Sam mówiłeś: chcę wiedzieć, co ludzi napędza. Connor... to mój brat... no więc Connor i ja wychowaliśmy się w małym miasteczku. Niewiele wiedzieliśmy o świecie poza naszą zatoką. To długa historia, w jaki sposób on znalazł się tam, gdzie jest teraz, a ja trafiłam tutaj. Ale wszystko to pozwoliło mi zobaczyć rzeczy, o jakich wcześniej nawet nie śniłam.

- Nie możesz tak robić - uśmiechnął się Johnny.

- Jak?

- Namawiasz mnie, żebym opowiedział ci historię mojego życia, a swoją streszczasz w paru zdaniach.

Wzruszyła ramionami.

- Myślę, że twoja jest o wiele ciekawsza.

- Na drugim brzegu trawa zawsze jest bardziej zielona - stwierdził filozoficznie. - Mnie się wydaje, że ty i twój brat mieliście bardzo ciekawe życie. A jeszcze przecież nie jesteś martwa!

- Może... - mruknęła.

- Może... - powtórzył, niezbyt udanie ją naśladowując. I natychmiast wrócił do własnego głosu. - Lubię cię, Grace - oświadczył. - Lubię cię i chciałbym wiedzieć o tobie więcej. Opowiedziałem ci swoją historię. Teraz chciałbym wysłuchać twojej.

- No dobrze - ustąpiła. - Kiedyś ci opowiem. Ale nie dzisiaj. Najpierw ty musisz skończyć. Na razie doszedłeś tylko do tego miejsca, gdy zginąłeś. - Oczy znów jej rozblęły. - Opowiedz, jak przeszedłeś.

Johnny pokręcił głową.

- Wiesz co, Grace? Założę się, że byłaś takim dzieckiem, które uwielbia straszne historie przed snem.

- Oczywiście.

- No cóż, prawdę mówiąc, nie ma wiele do opowiadania. A przynajmniej ja wiele nie pamiętam. Jak sobie przypominasz, wisiałem na gałęzi ze złamanym karkiem. Trwało to dwa, może trzy dni. Możesz mi wierzyć, przez ten czas widok stracił na uroku. Śnieg ciągle padał, a mróz i stężenie pośmiertne zmieniały mnie w prawdziwy sopel lodu. Trzeciego dnia pojawił się jeździec. Tylko że to nie był zwyczajny jeździec. Nie taki normalny facet, który wędruje przez pustkowia. Oczywiście, wtedy moje zmysły już nie funkcjonowały, więc o tym, co się zdarzyło, wiem tylko tyle, ile mi powiedział. A według niego, odciął mnie z tej gałęzi i załadował na swojego konia. Potem rozmroził przy ognisku i doprowadził do życia. Czy może śmierci, jeśli wolisz tak o tym myśleć. Inaczej mówiąc, to on stał się moim stwórcą.

- Dlaczego wybrał ciebie? - spytała Grace. - Dlaczego właśnie ciebie, a nie jednego z tej dwójki, która wisiała obok?

Johnny pokiwał głową.

- O to samo go spytałem. A on powiedział mi dwie rzeczy. Po pierwsze, było we mnie coś, co przypominało mu jego samego. A po drugie, wydało mu się, że mam o wiele więcej do przeżycia. - Johnny zaśmiał się cicho. - Miał rację. I wiesz, potem wszystko zaczęło się lepiej układać. Ja i Santos... tak miał na imię, a za życia też był vaquero. No więc ja i Santos daliśmy sobie spokój z pędzeniem bydła. Jak już mówiłem, spędy skończyły się tamtej zimy, razem z moim życiem. Ale rodeo... Tak, rodea rozkręcały się na dobre. Santos i ja jeździliśmy od stanu do stanu, zdobywaliśmy nagrody i bawiliśmy się z tymi wszystkimi pięknymi paniami...

Grace potrząsnęła głową.

- Ty, wampir, startowałeś w rodeach?

- Tak, do diabła! Widać było, że niektóre konie coś wyczuwają. Zwierzęta mają lepszy zmysł życia i śmierci niż ludzie. Ale kowboje, ci tępi kowboje... Nie mieli o niczym pojęcia.

Johnny uśmiechnął się raz jeszcze, ale potem zwiesił głowę i zamilkł. Grace zastanawiała się, czy wraca pamięcią do brutalnych zdarzeń swego życia... i śmierci. Cisza zaległa ciężko między nimi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała w końcu.

- Ja? Jasne, wszystko w porządku. Tak sobie tylko myślałem o tych historiach przejścia. Opowiedz mi jeszcze jakąś... Opowiedz mi o Lorcanie.

Jego ciemne oczy lśniły w blasku księżyca.

- Ja nie... - zająknęła się Grace. - Bo widzisz... Lorcan nigdy nie mówił o swojej historii.

- Co? - zdumiał się Johnny. - Przecież to bez sensu. Wydaje się, że jesteście sobie naprawdę bliscy, a nie znasz jego historii?

- Nie. Oczywiście, zawsze mnie to interesowało. Ale wiem tylko, gdzie się urodził i gdzie umarł. Nic więcej.

Johnny z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Widzisz - mówiła dalej Grace - myślę, że jeśli bym знаła jego historię, mogłabym mu pomóc. Mosh Zu uważa, że w umyśle Lorcana tkwi coś, co utrudnia wyzdrowienie. Gdybym odkryła, co to takiego, pomogłabym mu sobie z tym poradzić i wtedy naprawdę zaczęłby wracać do zdrowia.

Johnny uśmiechnął się do niej.

- No proszę. Jesteś osobą mającą plan.

- Tak. - Grace wzruszyła ramionami. - Ale to nie takie proste. Lorcan przecież nie zacznie mi się zwierzać.

A teraz jest nawet bardziej zamknięty w sobie niż zwykle. Wolę go nie pytać.

- Ale przecież wcale nie musisz - zauważył Johnny.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Dobrze ci idzie odczytywanie wstążek, prawda?

Przytaknęła. Wzrok chłopca skierował się ku książce, którą położyła między nimi. Spomiędzy kartek wystawała wstążka Lorcana. Oczywiście! Całkiem nieświadomie użyła jej jako zakładki.

Zrozumiała, co sugeruje Johnny. Serce zabiło jej szybciej. W końcu mogłaby przełamać tajemnicę otaczającą Lorcana Fureya. Czy się ośmieli? Czy to uczciwe?

- Nie - powiedziała. - Nie mogę.

Johnny parsknął.

- Nie miałaś oporów przed czytaniem mojej wstążki. Jaka to różnica?

- To był przypadek! Tłumaczyłam ci... Johnny zepchnął książkę z muru. Kiedy spadała na ziemię, wyciągnął rękę i chwycił wstążkę.

- Oj! - zawołał, unosząc ją w mocnej dłoni.

Grace patrzyła na nią, zwiniętą niczym wąż. Jakie sekrety skrywała?

Johnny podsunął jej wstążkę. Pokręciła głową.

- Naprawdę nie powinnam...

- Ja widzę to tak - odparł - że właściwie nie masz wyboru. Chcesz pomóc przyjacielowi, a ona ci powie, w jaki sposób.

Owinął jej wstążkę na szyi i delikatnie zawiązał w kokardę. Potem zeskoczył na ziemię.

- Zostawię cię teraz samą, Grace. Odszukaj mnie, kiedy już skończysz.

Milczała. Przeszył ją dreszcz, gdy wstążka dotknęła skóry.

- Hej - zawołał. - Nie bądź taka wystraszona. Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze.

Skłonił się lekko, wcisnął stetsona na głowę i odszedł przez dziedziniec.

Rozdział 28

Prośba

Pokład statku wampiratów był zatłoczony. Gdy Connor, Bart i Jez wspięli się przez reling, umilkły rozmowy, a twarze zaczęły obracać się w ich stronę. Wampiry w milczeniu ruszyły ku nim. Czy Connor tylko to sobie wyobrażał, czy rzeczywiście przypominały stado wilków okrążających ofiarę? Wszystkie oczy obserwowały ich w skupieniu, mierzyły i oceniały.

Na czele grupy znajdowali się dwaj mężczyźni - jeden krępy, drugi wysoki - i młoda dziewczyna.

- Kim oni są? - spytała dziewczyna.

- Może nowi donorzy? - zgadywał niższy, grubszy mężczyzna. Wpatrywał się w Barta, przechylając głowę na bok, by lepiej widzieć wysokiego przybysza.

- Z niego byłby niezły donor.

Connor widział, jak rozchyła wargi, odsłaniając długie zęby.

Wyższy parsknął śmiechem.

- Nie możesz tak zwyczajnie wymienić donora - zauważył. - To tak nie działa. - Popatrzył na Connora, a w jego oczach błyskały płomienie. - Ale to jednak kuszące, prawda? Strasznie jestem dzisiaj głodny.

Connor czuł się jak kawał mięsa, rzucony do klatki w zoo. Czy coś im groziło? Z pewnością kapitan ich obroni...

- Kim oni są? - powtórzyła dziewczyna i zbliżyła się o krok. Miała wiecznie zdziwiony wyraz twarzy. - Kim oni są?

Otworzyła wąskie usta i Connor zobaczył jej zęby, wydłużone i ostre jak igły. Nie był pewien, jak długo jeszcze to wytrzyma.

Nagle na pokładzie rozległ się inny głos.

- Przepuście mnie! Przepuście!

W tłumie powstało zamieszanie. Connor widział, jak młoda kobieta przeciska się do przodu i staje obok zdziwionej dziewczyny. Miała duże, szeroko otwarte oczy i włosy ściągnięte w krótki kucyk. Spotkał ją kiedyś, więc teraz uśmiechnął się z ulgą.

- Darcy Flotsam - powiedział. - Zgadza się, prawda? A ja jestem...

Odpowiedziała uśmiechem.

- Jesteś Connor Tempest. Pamiętam cię. Poza tym masz oczy takiego samego koloru jak twoja siostra.

Przytaknął. - Jest tutaj? - Nie - odparła Darcy. - Zeszła ze statku i jest teraz w tak zwanym Sanktuarium. - Sanktuarium? - To miejsce, gdzie wampiry są uzdrawiane - wyjaśniła. - Grace ruszyła tam z Lorcanem Fureyem. Słyszałeś o Lorcanie?

Przytaknął. Tak, słyszał o Lorcanie. Jego i Grace łączyła jakaś dziwna więź; to przez niego nie potrafiła zrezygnować z powrotu na ten statek. Choć wyglądało to na zadurzenie, było znacznie silniejsze. Connorowi to się nie podobało. Nie miał nic przeciwko Lorcanowi osobiście, ale wolałby, żeby nigdy nie pojawił się w życiu Grace. Jednak z drugiej strony, gdyby nie Lorcan, Grace by utonęła. Całkiem jakby ratując jej życie, zyskał nad nią władzę. Czego od niej chciał? Głowa bolała od takich myśli.

- Jeśli słyszałeś o Lorcanie - mówiła Darcy - to pewnie wiesz także o jego nieszczęściu. On stracił wzrok. Ruszyli do Sanktuarium, żeby szukać lekarstwa. Kapitan poszedł z nimi, ale właśnie wrócił.

Ślepy? Czy to możliwe? Connora ogarnęło zakłopotanie. Poczucie winy łączyło się z rozczarowaniem, że jednak nie spotka Grace. A to spotkanie rysowało się jako jedyny jasny punkt na mrocznym horyzoncie.

No cóż, skoro siostry nie ma, to może ód razu przejść do rzeczy.

- Trudno. Bo chociaż bardzo chciałbym się zobaczyć z Grace, tak naprawdę mamy sprawę do kapitana. - Connor wskazał dwójkę towarzyszy. - Darcy, poznaj moich przyjaciół. To jest Bart.

- Miło mi. - Darcy dygnęła lekko i podała Bartowi dłoń. - Chociaż wydaje mi się, że już się spotkaliśmy. Byłeś z Connorem, kiedy poprzednio przybył na nasz statek.

- Tak. - Connor skinął głową. - Zgadza się. A to... To jest Jez.

Jez wyciągnął rękę.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedział, przez chwilę trzymając jej drobną, bladą dłoń w swojej.

Darcy się zarumieniła.

- Mnie również, drogi panie... Jez, prawda?

- Rzeczywiście - potwierdził z uśmiechem.

Wydaje się zdenerwowany, pomyślał Connor; cóż, ma powody.

Zabrział jeszcze jeden głos - ale nie należał do żadnej z osób na pokładzie. Ten głos był szeptem. Connor rozpoznał go natychmiast.

- Przeprowadź ich do mojej kajuty, Darcy. Rozkaz kapitana wystarczył, by Darcy oprzytomniała. Odwróciła się i odchrząknęła. - Słyszeliście kapitana - zwróciła się do stojących wokół wampirów. - Chce, żebym odprowadziła gości do jego kajuty. Odsuńcie się, proszę. Właśnie. Zróbcie przejście.

Wampiry rozstępowały się niechętnie, ale w końcu utworzyły ścieżkę przez swoje szeregi. Connor starał się żadnemu nie patrzeć w oczy. Przebywając na pokładzie, odczuwał głęboki niepokój. Jak Grace wytrzymywała cały czas wśród tych istot - to prawdziwa zagadka. Im szybciej on i Bart przekażą Jeza pod opiekę kapitana i powrócą do świata żywych, tym lepiej.

Idąc za Darcy, jeszcze raz usłyszał tę wiecznie zdziwioną dziewczynę.

- Ale kim oni są? Chcę jednego. Chcę, żeby ten najmłodszy był moim nowym donorem.

- Przepraszam za moich współpodróżnych - powiedziała Darcy. - Jutro przypada Noc Uczty, rozumiecie, więc są apatyczni i niezdolni nawet do normalnej rozmowy.

- Noc Uczty? - powtórzył zdumiony Jez.

- Tak. To noc, kiedy każdy wampir pobiera krew, jakiej potrzebuje na następny tydzień.

Jez skinął głową. Connor zastanowił się, co przyjaciel sądzi o tym nowym świecie z jego dziwnymi rytuałami.

Darcy doprowadziła ich do drzwi. Oczekali chwilę, aż się otworzą. Potem dziewczyna weszła do wnętrza i skinęła na nich.

- Kapitanie, przyprowadziłam naszych gości.

- Dziękuję ci, Darcy - zabrzmiał szept kapitana.

- Możesz nas teraz zostawić.

Była wyraźnie rozczarowana. Wychodząc, wyciągnęła jeszcze rękę i musnęła ramię Jeza.

- Do zobaczenia, panie... To znaczy Jez.

- Do zobaczenia - odparł.

I znowu Connor wyczuł jego zdenerwowanie, kiedy odwracał się od Darcy. Tak wiele zależało od kapitana. Decydowała się sprawa życia lub śmierci Jeza, a właściwie życia po śmierci lub nicości.

Panna Flotsam wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Trójka przybyszów znalazła się w mroku. Serce Connora biło jak oszalałe. Ale przecież, uspokajał sam siebie, znał kapitana. Już się kiedyś spotkali. Opiekował się Grace. Nie ma się czego obawiać. A jednak... A jednak był to statek z załogą wampirów, a oni - najprościej mówiąc - dali się zamknąć w ciemności z ich dowódcą.

- Wejdźcie dalej - zabrzmiał szept.

Posłuchali i wkroczyli w oświetloną świecami część kajuty. Connor zobaczył fałdy kapitańskiej peleryny - mężczyzna stał zwrócony do nich plecami. Migotanie światła znaczyło żyłki w materiale. Widział to już wcześniej, ale domyślał się, że u Barta i Jeza może budzić lęk. Chciałby ich uspokoić, ale nie odważył się przemówić.

Kapitan odwrócił się do nich przodem. Bart syknął.

- Proszę o wybaczenie - zaczął kapitan. - Zapomniałem, że choć ja cię już wcześniej widziałem, Bartholomew, ty mnie nie. Proszę, niech cię nie wystraszy mój wygląd. Jestem pewien, że się do niego przyzwyczaisz.

- Przepraszam, sir. Widział mnie pan wcześniej?

- Owszem. To było w Calle del Mañnero, o ile pamiętam. Mieliście wtedy... trudności, a mnie udało się wam pomóc.

Calle del Mañnero... Ich „utracony weekend”. Connor się zdumiał.

- Pan tam był? - zapytał z niedowierzaniem.

- Byłem - przyznał kapitan. - Ale nie roztrząsajmy tego w tej chwili. Connorze, miło mi, że znowu cię widzę. Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję panu.

- Z pewnością ucieszą cię wieści o siostrze. - Kapitan wyciągnął dłoń w rękawiczce i oparł ją na ramieniu Connora. - Czuje się dobrze i wydaje się z każdym dniem nabierać siły i mądrości. My wszyscy tak wiele możemy się od niej nauczyć.

Connor zaczerwienił się z dumy.

- Podejrzewam, że wybór, jakiego dokonała, musi ci się wydawać dziwaczny - ciągnął kapitan. - Ale każde z nas powinno samodzielnie wybierać drogę przez świat. Myślę, że Grace jest właśnie tam, gdzie być powinna.

- Też tak uważam, sir.

Kapitan cofnął rękę. Minął Connora i Barta, by zatrzymać się przed Jezem.

- To Jez... - zaczął Connor.

- Nie musisz nas sobie przedstawiać - przerwał mu kapitan. - Wiem, kto przede mną stoi. To ten, o którym sądziłem, że go zniszczyłeś. Ten, którego stworzył Sidorio.

Głos brzmiał zimno. Całe ciepło, jakie kapitan okazywał Connorowi, teraz uleciało.

Zwrócił się wprost do Jeza.

- Jest w tobie wiele ciemności - rzekł.

- Tak - przyznał Jez słabym głosem. - Czemu tu przybyłeś? - Chcę usunąć z siebie tę ciemność. Pragnę zmienić to, czym się stałem. Kapitan stał chwilę bez ruchu i obserwował Jeza. Z oczu młodego człowieka popłynęły łzy.

- Nie prosiłem o to - wyznał. - Pogodziłem się ze śmiercią... Ale on mnie znalazł i, jak pan powiedział, stworzył. - Grzbietem dłoni otarł łzy. - Popelniałem straszne czyny. Niektóre dlatego, że mi kazał. Inne z powodu głodu. Tego okropnego głodu, nad którym nie panuję.

Zadrżał.

- I myślisz, że ja mogę ci pomóc?

- Słyszałem o pewnych sprawach, sir. Że są sposoby, by odwrócić to, co się stało. By znowu uczynić mnie śmiertelnikiem. Że mogę znów odzyskać dawne życie.

- Owszem. To rzeczywiście jest możliwe, ale droga do tego celu najeżona jest trudnościami. W tym nie umiem ci pomóc. Ale mogę cię do kogoś zabrać...

- To pańskiej pomocy szukam, sir - zapewnił Jez.

- Kiedy byłem śmiertelny, słyszałem, co o panu mówiła siostra Connora: że jest pan silny i litościwy. Że udziela pan schronienia takim jak ja...

- Nie - zaprzeczył kapitan. - Udzielam schronienia tym, którzy panują nad swoim głodem. Nie mogę ryzykować przyjęcia cię na pokład.

Connor nie mógł uwierzyć. Czyżby dotarli tak daleko tylko po to, by kapitan powiedział im „nie”? Przypomniawszy sobie, co mówił Jez jeszcze na Diabłu: „Chcę, żebyście pomogli mi

znaleźć drogę powrotną. A jeśli to niemożliwe, chcę, żebyście mnie zabili. Raz na zawsze”. Musiał coś zrobić.

- Kapitanie - odezwał się. - Czy naprawdę w żaden sposób nie może mu pan pomóc?

- Nie powiedziałem, że nie mogę pomóc. Powiedziałem, że nie pomogę. - Kapitan się cofnął. - Powinieneś go zniszczyć, kiedy miałeś okazję. Byłoby lepiej dla wszystkich.

- Ale, kapitanie...

- Nie, Connorze. Już raz ci tłumaczyłem. On nie jest tym, za kogo go bierzesz. Jest tylko echem. Może wyglądać jak twój przyjaciel i mówić jak on, ale przepelnia go ciemność. Za tę ciemność możemy podziękować Sidorio.

Jez zapłakał i padł na kolana.

- Błagam, sir, by mi pan pomógł! Sidorio już nie ma i nie ma jego towarzyszy! Zostałem sam. Taki samotny! Czuję samotność nawet wśród przyjaciół. Rozdziela nas przepaść, której nie umiem przekroczyć... Błagam...

Zamilkł. Przez chwilę trwała cisza. - No dobrze - rzekł w końcu kapitan. - Nie klęcz tak. Wstań. Jez stanął na nogach. - Pozwolę ci podróżować z nami przez jakiś czas. A jeśli wykazesz swoją wartość, zabiorę cię do tego, kto może ci pomóc w dalszej drodze. Ale nie spodziewaj się, że to będzie łatwe. Czeka cię wiele pracy i tylko ty możesz ją wykonać.

- Tak, kapitanie... Mój kapitanie... Dziękuję.

- Najlepszym podziękowaniem będzie przekonanie mnie, że to, co mówiłeś, jest prawdą. Jeśli mnie zawiedziesz, opuścisz ten statek i nigdy nie powrócisz. Zrozumiałeś?

- Tak, sir. - Jez kiwnął głową.

- Powiem Darcy, żeby znalazła ci kajutę. I donora. Jest chyba ktoś, kto mógłby pełnić tę rolę.

Connor zbladł nagle.

- Nie ty, Connorze - uspokoił go kapitan. - W tej chwili mamy na pokładzie samotnego donora. Ma na imię Shanti. Myślę, że świetnie będą do siebie pasować.

Zdawało się, że kapitanowi humor się poprawił.

- Connor, Bart... Chcecie, żebym przygotował dla was kajutę?

- Nie - odpowiedział szybko Connor. - To znaczy...

- Connor próbuje wyjaśnić - wtrącił Bart - że musimy już wracać na Diabło, zanim zaczną nas szukać.

- Jak sobie życzycie. - I kiedy kapitan znów się odezwał, nie do nich już się zwracał. - Darcy, przyjdź tu i zabierz Jeza, dobrze? Pokaż mu jedną z zapasowych kajut. Przez jakiś czas będzie płynął z nami.

Po chwili drzwi się otworzyły i weszła rozpromieniona Darcy.

- Chodźmy - zwróciła się do Jeza. - Zaraz cię ulokujemy.

- Dziękuję, Darcy - rzucił kapitan.

- Dziękuję panu, sir - rzekł Jez z wyraźną ulgą.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem, Jez. Nie będzie następnej szansy.

- Tak, sir! - Jez uściskał kolejno Barta i Connora.

- Dzięki za pomoc, chłopaki.

Connor wypuścił z objęć Jeza i zastanowił się, jaka przyszłość czeka przyjaciela. Czy jeszcze kiedyś się spotkają? Był wyczerpany - powrotem Jeza i wspólną wyprawą na statek wampiratów. Odczuwał ciekawość, chciałby dowiedzieć się więcej o statku - ale wiedział, że to nie jego świat. Grace kochała takie sekrety, on jednak wolał bardziej materialny świat piractwa.

- A zatem znów się zegnamy - zwrócił się do niego kapitan.

- Tak - zgodził się Connor. - Na razie. Mam jednak przeczucie, że znowu się spotkamy.

Wydało mu się, że kapitan uśmiecha się do niego pod maską...

- O tak, Connorze, spotkamy się na pewno. A tymczasem będę cię obserwował.

Choć słowa te mogły się wydać groźne, Connorowi jednak dodały otuchy. Uścisnął kapitanowi dłoń... i nagle nawiedziła go dziwna wizja: znajdował się w wodzie, a ta dłoń wyciągała go w bezpieczne miejsce. Czy coś takiego zdarzyło się w Calle del Marinero? Starał się utrzymać tę wizję, ale rozwiała się szybko.

I kiedy wraz z Bartem szli przez pokład do swej małej łodzi, w głowie kłębiły mu się myśli i pytania na temat kapitana wampiratów.

Zanim weszli na zwisającą z burty drabinkę, obejrzeni się jeszcze. Jez i Darcy rozmawiali ze sobą; Connor słyszał ich śmiech.

- Myślę, że Jez sobie poradzi - stwierdził.

- Jasne - zgodził się Bart. - Zawsze umiał dogadać się z dziewczętami, ten nasz Stukeley. Kapitan wydaje się surowy, ale sprawiedliwy. A skoro o kapitanach mowa, to lepiej szybko wracajmy, zanim Wrathe wykryje, że nas nie ma.

Connor przytaknął i zaczął schodzić po szczeblach. Z góry usłyszał jeszcze znajomy głos.

- Ale kim oni są? Kim są? Jestem głodna. Jestem taka głodna.

Zabawne, pomyślał. Oni są tak samo ciekawi nas jak my ich.

Zeskoczył do łodzi i wyobraził sobie ogromny ocean - tak ogromny, że znalazło się na nim miejsce dla wielu rodzajów ludzi.

Dołączył do niego Bart. Podnieśli kotwicę i pożeglowali z powrotem, prowadzeni wąskim srebrnym sierpem księżyca.

Rozdział 29

Wstążka Lorcana

Wstążka wyraźnie zaczynała działać. Gdy tylko Johnny zawiązał ją na szyi Grace, dziewczyna poczuła się senna. Całkiem jakby wstążka szykowała się, by do niej przemówić - a raczej przygotowywała ją do słuchania.

Grace zsunęła się z muru; uznała, że lepiej znajdzie sobie wygodniejsze miejsce. Najlepiej byłoby wrócić do pokoju, jednak bała się, że nie wystarczy jej czasu. Mogła oczywiście rozwiązać wstążkę, ale teraz, kiedy proces już się rozpoczął, chciała go jak najszybciej kontynuować. Słyszała, jak Olivier mówił o ogrodzie warzywnym i fontannie po drugiej stronie dziedzińca. Brzmiało to zachęcająco - będzie mogła tam usiąść w spokoju.

Ogród był dokładnie taki, jak opisywał Olivier, z okrągłą fontanną pośrodku. Plusk wody uspokajał; co ważniejsze, wokół fontanny stały trzy ławki. Grace usiadła na jednej z nich, po czym uznała, że będzie jej wygodniej, jeśli się położy. Zdjęła sweter i zwinięty wsunęła sobie pod głowę. Wyciągnęła się, zamykając mocno oczy - i natychmiast została przeniesiona w inne miejsce.

Było ciemno. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że znalazła się pod wodą. I zobaczyła ciało. Ciało dziewczyny, unoszące się w wodzie. Zadrżała - rozpoznała swe ciało. Patrzyła, jak tonie. Przykuwało to jej uwagę, ale i przerażało. Pierwszy odruch nakazywał otworzyć oczy, ale wiedziała, że musi pozostać w świecie wizji, choćby i niepokojących.

Mocnymi ruchami ramion dopłynęła do ciała, chwyciła je i wyniosła na powierzchnię. Czowała jego słabość, kiedy wysunęła je na nocne powietrze.

A potem patrzyła na siebie, rozciągniętą na pokładzie. Oczywiście! Zrozumiała, że ogląda swoje pierwsze spotkanie z Lorcanem, ale z jego punktu widzenia.

Patrzy zdziwiony na leżącą dziewczynę. Jej oczy są zamknięte. Może już nie żyje? Nie, to niemożliwe. Czekaj. W końcu powieki drgają i spogląda na niego. Patrzy, ale go nie widzi - zbyt jest zajęta szukaniem drogi powrotnej do świata. On za to widzi dobrze - i nagle doznaje

wstrząsu. Dziewczyna ma oczy zielone jak szmaragdy. Widział już takie - na trzech twarzach. Czy to możliwe? Czy to może być prawdą?

- Wpakujesz mnie w kłopoty - mówi.

Wydaje się zagubiona, jakby go nie rozumiała.

Pasma kasztanowych włosów opadły jej na twarz. On wyciąga rękę i je odgarnia. Widok tych włosów w bladych palcach przywołuje kolejne wspomnienie. Włosy dokładnie w takim odcieniu... Czuje dreszcz, myśląc o konsekwencjach. Ale ona zaczyna wydawać jakieś pomruki, ściągając go z powrotem do chwili obecnej.

Dziewczyna trzęsie się i trudno zrozumieć, co mówi. Pojmuje, że jest rozpaczliwie odwodniona. Sięga po manierkę i podaje jej. Gdy ona pije wodę, on wolną ręką ściąga kurtkę i wsuwa jej pod głowę. Znowu widzi kasztanowe włosy i odczuwa wstrząs rozpoznania.

- Kim jesteś?

W końcu jej słowa nabierają sensu. Wywołują prawdziwą gonitwę myśli i wspomnień. Zaczyna wpadać w panikę. Ale jednocześnie jest zaintrygowany, podekscytowany. Ta chwila jest darem, na jaki nie liczył.

- Mam na imię Lorcan - mówi. - Lorcan Furey.

Dziewczyna chce wiedzieć, gdzie jest, jak tu trafiła. Jak najlepiej, starannie dobierając słowa, odpowiada na jej pytania. Po chwili ona wspomina o bracie. Wymienia jego imię.

- Connor! Jesteśmy bliźniakami! Jesteśmy dla siebie wszystkim...

Bliźniaki... Wymówiła to słowo. I teraz nie ma już cienia wątpliwości. Patrzy na nią i ma nadzieję, że nie dostrzeże lęku w jego oczach. Czuje ulgę, ogromną ulgę, kiedy słyszy wzywający go szept kapitana.

- Zbudź się! Zbudź się, powiadam!

Wizja blednie. Dziewczyna rozplywa się, potem cały pokład znika jak we mgle.

- Zbudź się!

Poczuła, jak czyjś palec kłuje ją w pierś.

- Auu...

Grace otworzyła oczy i spojrzała w twarz kobiety. Chwilę trwało, nim doszła do siebie, przypomniała sobie, że leży w ogrodzie na dziedzińcu Sanktuarium. I że widziała już kiedyś tę twarz, choć nie tak zagniewaną jak w tej chwili.

- Jest pani księżniczką! - powiedziała. Usiadła na ławce.

- Zgadza się - odrzekła kobieta, którą Grace obserwowała podczas ceremonii wstążek - Jestem Maria-Luiza, księżniczka de Lamballe.

Grace spuściła nogi na ziemię.

- Co pani tu robi?

- Przykro mi - burknęła księżniczka. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to twoje prywatne ogrody. - Wskazała na szyję Grace. - Co to ma znaczyć?

Grace dopiero po chwili zrozumiała, o co jej chodzi, i że wskazuje palcem wstążkę. Natychmiast się zawstydziała.

- Należy do mojego przyjaciela... - zaczęła.

Kobieta przerwała jej niegrzecznie. - To nieważne, do kogo należy! - Pociągnęła nosem. - Bardzo mnie uraziłaś, nosząc ją w taki sposób.

Grace zmarszczyła brwi. O czym ona mówi?

- Proszę... - Księżniczka wyciągnęła dłoń, by rozwiązać kokardę. - Zdejmij to! Zdejmij natychmiast!

- Dobrze. - Grace odsunęła jej rękę i sama rozwiązała węzeł. - Jeśli to panią irytuje...

Złożyła wstążkę i ukryła ją w dłoni.

- Tak lepiej - stwierdziła już spokojniej księżniczka.

Usiadła obok Grace i poprawiła swoją podartą suknię. Najwyraźniej zamierzała tu zostać. Grace patrzyła na nią niecierpliwie. Była zawiedziona, że tamta przerwała jej wizję. To fascynujące, oglądać siebie oczami Lorcana; miała wrażenie, że znalazła się o krok od odkrycia czegoś ważnego.

- Przepraszam, że się rozgniewałam - powiedziała księżniczka bardziej przyjaznym tonem. - Oczywiście, nie chciałam mnie zirytować. Przecież nie wiesz. Skąd mogłabyś wiedzieć?

- Prychnęła. - Nie wiesz nawet, kim jestem, prawda? Biedne, niedouczzone dziecko.

Pochyliła się do Grace i odsunęła jej kosmyk włosów za ucho. Dotyk jej dłoni wydawał się zaskakująco delikatny.

- Byłam kiedyś bardzo potężną osobą - mówiła dalej. - Towarzyszką i powiernicą Marii Antoniny. Królowej Francji. - Odwróciła głowę, a Grace oślepił na moment błysk jej naszyjnika.

- Słyszałaś o Marii Antoninie, jak sądzę.

- Tak - potwierdziła Grace. - W ostatniej klasie w szkole uczyli nas o rewolucji francuskiej.

- Ach... - uśmiechnęła się księżniczka. - A więc słyszałaś o mnie.

Grace pokręciła głową.

- Tylko trochę o pani przyjaciółce, królowej.

Księżniczka zmarszczyła brwi.

- Może powinnaś więcej poczytać na ten temat. Przypadkiem wiem, że trafiłam do większości lepszych książek historycznych. Byłam jej najbliższą przyjaciółką, główną ochmistrzynią królewskiego dworu. To ona dała mi ten naszyjnik. - Księżniczka uniosła palce do szyi, gdzie w promieniach księżyca błyszcząły pięknie oszlifowane brylanty. - Wspaniały, prawda? Ale nie noszę go tylko dla jego piękna.

Patrząc prosto w oczy Grace, sięgnęła do karku i odpięła klamerkę. Klejnoty opadły jej na dłoń. Grace syknęła zdumiona - wokół szyi księżniczki biegła sina, poszarpana blizna.

- To mój wieczny naszyjnik. - Kobieta dotknęła ostrożnie szramy. - Oszalały motłoch uciął mi głowę, nabił ją na pikę i nosił po ulicach, a w karczmach ludzie pili za moją śmierć. Ale co gorsze, o wiele gorsze, przeszli z tą głową pod balkonem królowej. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie moje poniżenie? Jej zgrozę?

Zadziwiająco, że księżniczka potrafiła tak spokojnie opowiadać o swych straszliwych doznaniach. Grace zobaczyła ją w całkiem nowym świetle.

- Ich okrucieństwo, ich barbarzyństwo nie miały granic - mówiła dalej. - Jeden z mężczyzn wyrwał mi serce i zjadł je. - Grace wstrzymała oddech, ale księżniczka wzruszyła ramionami i zaśmiała się z goryczą. - Przeżył szok, kiedy noc czy dwie później złożyłam mu wizytę. Cierpiał wtedy nie tylko na niestrawność. Był chyba trochę zaskoczony, że udało mi się zebrać wszystkie części mojego ciała... no, w każdym razie większość. Królewska szwaczka pozszywała mnie razem. Nie miała sobie równych w tym rzemiośle. Oczywiście, łązy stały jej w oczach, ale igła w dłoni nie zadrżała.

Grace nie mogła uwierzyć. Raz jeszcze oszołomiła ją historia przejścia wampira.

- Ale dlaczego moja wstążka tak panią rozgniewała?

- Widzisz, w okresie, kiedy zginęłam, istniał taki rytuał. Każdej nocy arystokracji, których oszczędzono, wydawali wspaniały bal. Panował tam niezwykle przepych... Wyobraź sobie te wina, potrawy, suknie... Tańczyli aż do świtu, bo wiedzieli, że może robią to po raz ostatni. W takim balu uczestniczyli tylko ci, których motłoch pozbawił kogoś bliskiego. A wszyscy nosili na szyjach wstążki, tak samo jak ty swoją.

- Ale czy nie chcieli w ten sposób uhonorować swoich przyjaciół i krewnych? - spytała Grace. - Czy nie była to oznaka szacunku?

- Honor? Szacunek? Phi! - Księżniczka znowu się rozgniewała. - Powinni walczyć, nie tańczyć. Gdyby bale odbywały się rzadziej, może sprawy ułożyłyby się inaczej dla mnie i dla wielu z nas. - Podniosła do szyi diamentową kolię. - Pomóż mi ją zapiąć, proszę.

Grace wykonała polecenie.

- Już lepiej. - Kobieta wstała. - Teraz jestem zmęczona. Ten brak krwi bardzo mnie wyczerpuje.

Spojrzała na Grace, a głód wyraźnie czaił się w jej oczach. Grace zastanawiała się, czy nie powinna obawiać się ataku. Jednak księżniczka tylko ujęła jej dłoń - tę, w której trzymała wstążkę.

- Wiem, czyja to wstążka - oznajmiła.

- Wie pani?

- Oczywiście. Tego chłopca. Tego, który utracił wzrok. Przyszedł razem z nim. Myślę, że jesteś w nim trochę zakochana.

Grace się zarumieniła.

- Bądź ostrożna - ostrzegła księżniczka.

- O czym pani mówi?

- Wiem, co chcesz zrobić. Szukasz w tej wstążce jakiejś odpowiedzi.

- Tak, chyba... - zaczęła Grace, ale kobieta jej przerwała.

- Bądź ostrożna. Żyłam o wiele dłużej niż ty i dobrze opanowałam pewną lekcję.

- Jaką?

Grace miała nadzieję, że księżniczka zwolni uścisk.

- Nie zadawaj pytań, jeśli nie jesteś gotowa, by poznać odpowiedzi. Comprenez?

Grace przytaknęła.

Księżniczka puściła wreszcie jej dłoń.

- Słuchaj mnie, dziecko. Znam się na takich sprawach. Jestem dobrą powiernicą. Najlepszą, jak twierdziła królowa.

- Dziękuję - powiedziała Grace. - Bardzo dziękuję za radę.

- Mon plaisir. Dobranoc zatem, dziecko. Przejdę się jeszcze po ogrodzie, a potem do łóżka.

Odeszła za fontannę. Kiedy znikwała w cieniu, strzępy jej sukni wyglądały jak piękna koronka. Poruszała się z gracją najelegantszej damy.

Znów sama, Grace poczuła narastające w dłoni ciepło. Spojrzała i zobaczyła zwiniętą w palcach wstążkę. Czyżby chciała zacząć od nowa? Ale może księżniczka miała rację? Czy powrót do wizji może być niebezpieczny? Czy znalazła się na granicy odkrycia, na które nie była jeszcze gotowa? Wahala się; może powinna skończyć i odnieść wstążkę na nocną szafkę Lorcana?

Jednak nie potrafiła się oprzeć pokusie. Pierwsza wizja zdradziła jej już, że więź między nią a Lorcanem sięga głębiej, niż sądziła. Może kryła się w tym wskazówka dotycząca jego choroby, a więc i leczenia? Musiała dowiedzieć się więcej. Nawet jeśli wypływała na niebezpieczne wody, nie miała wyboru. Dla jego dobra. I dla siebie.

Położyła się na ławce, mocno ścisnęła wstążkę i zamknęła oczy. I natychmiast znalazła się w świecie wizji. Znów panowały ciemność i mgła. Grace zastanowiła się, czy trafiła w tę samą część historii, ale nie - tym razem nie znalazła się pod wodą. Stała na pokładzie statku... Nokturnu. Obejrzała się i zobaczyła siebie, odbiegającą w mrok. Zrozumiała, że jeszcze raz stała się Lorcanem. I równocześnie pojęła, na jaki moment trafiła. Teraz wreszcie się czegoś dowie.

- Connor! - słyszy krzyk tamtej Grace.

I widzi Connora, ale nie tak, jak siostra brata, którego spotykała każdego dnia swego życia. Widzi go tak jak Lorcan. I teraz patrzy na niego z tym samym zdumieniem jak na Grace, gdy pierwszy raz otworzyła oczy na pokładzie. Chłopiec jest wyższy, szerszy w ramionach, włosy ma o odcień ciemniejsze. Ale szmaragdowe oczy są takie same.

Patrzy, jak się obejmują. Ich spotkanie jest radosne, ale w nim radość zakłócają ból i lęk.

Odwraca wzrok. Zdaje sobie sprawę, że światło zaczyna już przebijać mrok. Jego czas ucieka jak ziarnka piasku w klepsydrze. Zaczyna wpadać w panikę i to nie tylko z powodu czasu. Dociera do niego, że chłopiec nie zjawił się tu z powietrza, ale przeszedł ze statku. Statku, który właśnie staje się widzialny we mgle. A wzdłuż burty czekają hordy uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Co to za sztuczka? Jakieś niebezpieczeństwo? Musi chronić Grace! Musi chronić ich oboje! Dawno temu złożył obietnicę...

Uderza Dzwon Świtu. Słyszy wołania Darcy, proszącej, by się schował. Wie, że musi, ale stoi jak sparaliżowany. Nie może odejść. Nie bez niej. Bez obojga. Światło dezorientuje i dopiero w ostatniej chwili widzi biegnącego w jego stronę pirata. Dobywa swój kord. Pirat kontruje

pałaszem. Dziewczęta krzyczą. Darcy błaga, by wszedł do kajuty. Grace tłumaczy, że nie zrobił nic złego, ale teraz Lorcan pojmuje, że wszyscy są w niebezpieczeństwie. Nie może uciec od walki. Sięga do ostatnich rezerw energii, atakuje i trafia pirata w ramię. Znowu słyszy wołania, ale teraz zna już swój los.

- Przyrzekłem, że będę bronił Grace, i to właśnie mam zamiar zrobić - krzyczy.

Będzie jej bronił, będzie bronił obojga. Tak jak kiedyś. Do ostatniego tchu będzie bronił tych bliźniąt. Inaczej cóż byłyby warte obietnice? A teraz z dawnymi obietnicami mieszają się nowe emocje - uczucia, do jakich nie chce się przyznać nawet sobie. Są zbyt niebezpieczne.

Światło go pokonuje. Musi zamknąć oczy. Ale i tak macha rapierem, tylko że bezskutecznie. Tłumaczy mu, że nie ma żadnego ataku. Nie wierzy im, nie od razu. Dopiero wtedy, kiedy przemawia ten chłopiec, Connor. Słyszy taką moc w głosie młodego człowieka... Nic dziwnego, że odziedziczył tę siłę. I to wystarcza, by go przekonać, że może się schować.

Obserwuje ich przez szczelinę w drzwiach. To bolesne. Bolesne na tak wiele sposobów. Ogarnia go rozdzierające poczucie straty. Zamyka oczy i nagle widzi obraz dwójki dzieci, owiniętych w miękkie kocyki. Ktoś mu je podaje, po jednym do każdej ręki. Patrzy to na jedno, to na drugie. Rzeczywiście są jak dwie krople wody.

A teraz widzi je znowu, jak się obejmują. Ona odejdzie z bratem. Musi odejść. Daleko stąd... Będą bezpieczni z dala od tego statku i jego załogi. A jednak... jednak nie chce, by odchodziła. Czy to źle, że to przyznaje? Czy to takie złe, że pragnie czegoś dla siebie?

Kogoś. Jej.

Nagle obraz pęka i znów patrzy na dziewczynę, leżącą na pokładzie. Otwiera oczy. Promieniuje z nich zielone światło. Oślepiające. A potem, kiedy jego wzrok się wyostrza, bliźniaki nadal się ściskają.

I ponownie opatulone niemowlęta. W jego ramionach, kiedy schodzi do niedużej łodzi i przygotowuje się do wypłynięcia.

- Nie mogą się dowiedzieć - mówi do siebie. - Nigdy nie mogą się dowiedzieć.

W tym miejscu wizja się kończy, zmienia w czerń. I ciszę.

Grace otwiera oczy - są mokre od łez. Czego się dowiedziała? Zbyt wiele, a jednak nie dosyć.

Rozdział 30

Winni

Molucco Wrathe krążył wściekły po swojej kajucie. Connor nigdy jeszcze nie widział go tak zagniewanego.

- No więc... - zaczął, ciskając z oczu błyskawice. - Może ktoś zechce mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Popatrzył gniewnie na Barta i Connora. - I chcę usłyszeć prawdę, całą prawdę i nic tylko tę piekielną prawdę!

Zatrzymał się wreszcie obok Cate. Z jej twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje, w przeciwieństwie do wykrzywionej furią twarzy kapitana.

Connor zerknął niepewnie na Barta. Bart odpowiedział podobnym spojrzeniem. Zanim jednak któryś odważył się przemówić, Molucco wybuchnął znowu.

- Może spróbuję trochę to przyspieszyć, panowie. Wiem, że zabraliście jedną z moich szalup i pożeglowaliście w noc. Wiem, że odwiedziliście jakieś dziwne miejsce, gdzie sprzedają KREW, a potem odpłynęliście, żeby znaleźć statek... WAMPIRÓW!

Connor był oszołomiony. Skąd kapitan się o tym dowiedział? Nikt ich przecież nie widział. Tak bardzo uważali... Czuł, że Bart też się nad tym zastanawia. Ale nie mogli przecież zapytać wprost - to tylko wzmogłoby wściekłość kapitana.

- No więc? - Molucco znów do nich podszedł. Cate zmarszczyła czoło. Nawet Scrimshaw ukrył się we włosach. - No mówcie! Co żeście wyprawiali?

Wreszcie odezwał się Bart.

- Chcieliśmy pomóc Jezowi, sir - powiedział cicho.

- Głośniej! - ryknął Molucco z taką mocą, że aż zaboląły uszy.

- Chcieliśmy pomóc Jezowi, sir... Jezowi Stukeleyowi - powtórzył Bart trochę głośniej.

- Jez Stukeley? - Molucco zdziwił się bardzo. Najwyraźniej jego tajemniczy informator nie wspominał o Jezie. - Przecież Jez zginął!

- Tak, sir - zgodził się Bart. - Zginął, ale nie odszedł.

- Nie rozumiem...

Na czole kapitana pojawiły się głębokie zmarszczki.

Connor podjął opowieść.

- Wszyscy wiemy, że Jez zginął w pojedynku na Albatrosie. Pochowaliśmy go w morzu. Ale później znalazł go jeden z wampiratów, Sidorio, i zmienił w następnego wampira.

- Tak, wiem to wszystko - przyznał posępnie Molucco. - Jez był jednym z wampirów, które zamordowały mojego brata i jego załogę...

- Nie! - wykrzyknął wzburzony Connor. - Owszem, był z nimi. W tej kwestii nie miał wyboru. Ale nie wiedział o ataku... tym strasznym ataku... dopóki się nie zaczął. Nie wszedł nawet na pokład statku pańskiego brata. Nie brał udziału w...

- Zmieniłeś śpiewkę, Tempest - warknął Molucco. - Tamtej nocy, kiedy osaczyliśmy wampiry, twierdziłeś, że jest winny. Co więcej, ty rozpocząłeś atak na niego. Ty rzucałeś pochodnie i ty zabiłeś go po raz drugi!

- Tak. - Connor skinął głową. - Chociaż właściwie nie...

- Co to znaczy? - huknął Molucco.

- Myślałem, że go zniszczyliśmy, ale nie. On przetrwał. - Urwał na chwilę. - On jedyny przetrwał.

- I cierpi - dodał Bart. - Czuje straszne wyrzuty sumienia z powodu tego, w czym uczestniczył...

- Mam nadzieję - mruknął kapitan.

- I nienawidzi tego... tego wampira, którym jest teraz. Chce znowu stad się śmiertelnikiem. Błagał nas, żebyśmy mu pomogli, sir. Nie mogliśmy odmówić.

Molucco stał w milczeniu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Czekał na dalszy ciąg. Cate skinęła na Connora, by kontynuował.

- Zabraliśmy go na statek wampiratów, sir. Ten sam, który poprzednio uratował moją siostrę. Ich kapitan jest łagodnym czło... łagodną istotą. Nie taką krwiożerczą jak Sidorio. Myślimy, że zdoła pomóc Jezowi.

- Jak to miło - rzekł Molucco już spokojniejszym tonem. - Jak to na siebie mówiliście? Trzech Bukanierów?

Connor przytaknął. Bart uśmiechnął się lekko.

- I połączyliście się jeszcze raz, by pomóc staremu kumplowi?
- Tak. - Connor pokiwał głową z ulgą, że kapitan w końcu zrozumiał.
- Właśnie - potwierdził Bart.

Przez chwilę trwała cisza. A potem Molucco wrzasnął:

- Nie macie pojęcia, jakich szkód narobiliście! Już prawie udało mi się przekonać brata, żeby przestał myśleć o zemście za śmierć Porfiria! A wy robicie coś takiego i on teraz wie, że jeden z zabójców brata jest cały i zdrowy...

Urwał. Twarz miał tak czerwoną, że Connor zaczął się obawiać, czy nie trafi go apopleksja.

- Przepraszam, sir - wtrącił. - Ale skąd Barbarro o tym wie?
- Czy to nie oczywiste? - warknął Molucco. - Byliście śledzeni.
- Przykro mi - rzekł smętnie Connor. - Przepraszam, że narobiłem kłopotów.
- Chcieliśmy tylko pomóc przyjacielowi - dodał Bart.

- Nie przerywać! - ryknął Molucco. - Obaj powinniście w końcu oprzytomnieć i wywąchać wodorosty! Jez Stukeley zginął na pokładzie Albatrosa. Koniec sprawy. Nie zamierzam się przejmować tymi bzdurami z zombie i życiem po śmierci! Straciliśmy Jeza w pojedynku na statku Drakoulisa! - Przerwał na chwilę, nim dokończył: - To wielkie nieszczęście, ale takie rzeczy się zdarzają.

Connor i Bart skrzywili się, słysząc, jak obojętnie przechodzi nad śmiercią przyjaciela.

- Nie interesuje mnie, co się działo z Jezem, kiedy już rzuciliśmy jego trumnę do oceanu. Nie interesują mnie wampiraci. I na pewno nie chcę ich znowu spotykać. Dopóki należycie do mojej załogi... a jeśli mnie pamięć nie myli, podpisaliście kontrakty, zobowiązując się służyć mi do końca swoich dni... więc dopóki należycie do załogi, na pokładzie tego statku nie wymówicie nawet słowa „wampir” czy „wampirat”. Czy to jasne?

- Tak, kapitanie - odpowiedzieli słabymi głosami.
- Przepraszam, czy ktoś tu coś mówił?
- Tak, kapitanie - powtórzyli Bart i Connor, tym razem głośniejszym głosem.
- No to zamykamy sprawę - zdecydował Molucco.

- A teraz całą energię poświęcimy na ratowanie sytuacji i przekonanie mojego brata, by skupił się na rajdzie w Indiach. - Odwrócił się i ciągnął już spokojnie.

- Cate, idę teraz spotkać się z Barbarro. Tobie powierzam wyznaczenie dla tych dwóch odpowiedniej kary.

- Znowu spojrzął na Barta i Connora. - Bardzo mnie zawiedliście. Obaj. - Connor nie śmiał nawet spojrzeć na kapitana. - Byliście dla mnie jak synowie. Teraz... Sam nie wiem. Zwyczajnie nie wiem. Mam nadzieję, że w przyszłości nie zapomnicie, komu jesteście winni lojalność. - Po czym raz jeszcze podniósł głos, by rzucić końcowy rozkaz. - Rozejść się!

Cate podeszła i wypchnęła ich z kajuty kapitana. Wszyscy wyglądali jak po bitwie. Na pokładzie słońce oślepiło ich swym nieproszonym blaskiem. W milczeniu ruszyli przed siebie, myśląc o gniewnych i surowych słowach kapitana.

- Co się stało? - odezwał się jakiś głos i zza masztu wyskoczył Promyk Wrathe. - Wyglądacie, jakbyście wracali z pogrzebu.

- Nie teraz, Promyk - rzuciła Cate. - Czy nie powinnaś zwracać się do mnie „poruczniku Wrathe”? - Jestem zastępcą kapitana Diabła. A ty jesteś na moim terenie. Promyk uniósł brew. - Bardzo jesteś agresywna, Cate. Ciekawe czemu. Czy nie masz czasem wrażenia, że nie dajesz rady?

- No dobra, Promysiu - warknął Bart. - Dość tego. Nie masz jakiejś muchy do wyrwania skrzydełek czy czym tam jeszcze paskudnym się zajmujesz?

Promyk zaśmiał się głośno.

- Bardzo zabawne, Bartholomew. Uważaliśmy cię dotąd za bezmózgiego mięśniaka, ale chyba trzeba będzie zrewidować tę opinię.

Bart westchnął zniechęcony.

- A co z tobą, Connor? - ciągnął Promyk. - Co cię gryzie? Tęsknisz za wampirycznymi przyjaciółmi? Błado wyglądasz. Może znowu odwiedzisz Tawernę Krwi?

Promyk spoglądał złośliwie. Connor i Bart osłupieli.

- To ty! - stwierdził Connor. - Ty popłynąłeś za nami! A potem wróciłeś i powiedziałeś kapitanowi Wrathe'owi!

Promyk wzruszył ramionami.

- Najwyższy czas, żeby wujek Łucko dowiedział się o dziwnych predylekcjach swojej załogi.

Bart przyglądał mu się nieruchomo.

- O co chodzi? - parsknął Promyk. - Nie rozumiesz, co to znaczy „predylekcje”?

Bart potrząsnął głową i zamachnął się pięścią.

- To zrozum! - wrzasnął.

Ale Cate uniosła rękę i powstrzymała cios.

- Zostaw - powiedziała. - On nie jest tego wart. Masz dość kłopotów z kapitanem Wrathe'em. Nie pogarszaj sytuacji.

Promyk uśmiechnął się szeroko.

- Słusznie, Cate. Przynajmniej jedna osoba z tej trójki amigos ma chociaż uncję mózgu.

- No dobrze! - Głos Cate zabrzmiał twardo. - Myślę, że dość już od ciebie usłyszeliśmy.

Znikaj stąd.

I bądź wdzięczny, że uratowałam cię przed masakrą.

Promyk już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale nagle zrezygnował. Wyminął ich i odszedł.

Jednak po kilku krokach nie wytrzymał i się obejrzał.

- Na razie! I nie chciałbym być w waszej skórze!

Poszedł dalej, śmiejąc się do siebie. Kiedy zniknął, Bart zwrócił się do Cate.

- Dzięki. Z przyjemnością zapoznałbym jego gębę z moją pięścią, ale dobrze, że mnie powstrzymałaś.

Cate uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie ma sprawy. - Westchnęła. - Och, ależ się wszystko pogmatwało...

- Wyznaczysz nam teraz karę? - spytał pośpiesznie Connor.

Cate ujęła go za ramię.

- Karę? A niby czemu? Pewnie, wymyślę jakąś historyjkę dla kapitana Wrathe'a, ale uważam, że dość już wycierpieliście. Wszyscy wycierpieliśmy. Zostawmy to już za sobą i spróbujmy iść dalej.

- Ale pomogłabyś Jezowi, Cate, prawda? - zapytał Bart. - Pomogłabyś staremu przyjacielowi?

Cate westchnęła ciężko.

- Zrobiłabym wszystko, żeby pomóc Jezowi. Wszystko, co w mojej mocy. Nieważne, czym jest teraz. To moja wina, że zginął. Ja zawałam planowanie ataku. Powinnam się zorientować, że coś nie gra w danych rozpoznania. Powinnam wiedzieć, że specjalnie chcą nas zwabić na ten statek...

- Nie - rzekł Bart. - To nie była twoja wina.

Cate pokręciła głową.

- Wiem, Bart, że chcesz mnie pocieszyć i dzięki ci za to. Naprawdę. Ale jestem zastępcą dowódcy tego statku. Do moich obowiązków należy przygotowanie nas do ataku. I zawałam. Jeśli to nie moja wina, to nie wiem czyja.

- No to ja ci powiem. - Oczy Barta pociemniały.

- Przede wszystkim nie zwabiliby nas na Albatrosa, gdyby nie dawny spór Molucca Wrathe'a z kapitanem Drakoulisem. A kiedy sytuacja już się wyjaśniła, trudno uznać, że kapitan Wrathe nie lał oliwy na wzburzone fale. Nie, on jak zwykle tylko pogorszył sprawę.

- Nie mógł powstrzymać pojedynku - zauważyła Cate. - Drakoulis nie dałby się przekonać.

- I nikt nie mógł powstrzymać Jeza - dodał Connor.

- Owszem - zgodził się Bart. - To zrozumiałem. Ale ktoś jednak powinien to zrobić. Konflikt dotyczył dwóch kapitanów, więc to oni powinni stoczyć pojedynek. Tylko że kapitan Wrathe nie jest znany z tego, że sam załatwia swoją brudną robotę.

- Bart... - W głosie Cate zabrzmiała nuta ostrzeżenia. - Nie wracaj już do tego. Nie powinieneś nawet myśleć w ten sposób, a co dopiero...

- Nie, Cate. Nie mam zamiaru dłużej owijać w bawełnę. Na tym statku jest jeden człowiek, który odpowiada za śmierć mojego kumpla Jeza. To nie jestem ja i na pewno nie ty. To Molucco Wrathe!

Rozdział 31

Blokada

- Gdzie jest Mosh Zu? - spytała Grace. - Tobie również miłego wieczoru - odparł Olivier. Stał przy palniku i przygotowywał nową porcję wywaru z jagód. - Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu chcę z nim porozmawiać, a nie mogę go znaleźć. - Medytuje - wyjaśnił Olivier. - Nie wolno mu przeszkadzać. - Zamieszał w rondlu. - Ale gdy tylko go zobaczę, na pewno przekażę, że go szukałaś.

Myśli kotłowały się w głowie Grace. Wizje, jakie przesłała jej wstążka Lorcana, raz po raz stawały jej przed oczami. Koniecznie musiała porozmawiać o tym z Mosh Zu.

- Grace, dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Olivier. - Wyglądasz, jakbyś doznała wstrząsu. Co się stało?

- Nic - odparła, świadoma, że kłamie. - Naprawdę. Chciałam tylko zobaczyć się z Mosh Zu.

- A wiesz... - powiedział, zmniejszając płomień palnika. - Możesz porozmawiać ze mną. O wszystkim. Jak początkujący uzdrowiciel z początkującym uzdrowicielem.

Przez chwilę rozważała taką możliwość. Ale jej przeżycia ze wstążką były zbyt osobiste; nie czuła się jeszcze z Olivierem tak swobodnie, by mu się z nich zwierzać.

- To bardzo miłe z twojej strony - zapewniła. - Ale jednak zaczekam i porozmawiam z Mosh Zu, kiedy tylko znajdzie wolną chwilę.

Olivier patrzył na nią i po minie poznała, że nie jest zadowolony. Ale skinął tylko głową.

- Jak sobie życzysz.

- Dzięki.

Grace wyśliznęła się na korytarz. Nie wiedziała, dokąd pójść. Czuła się zmęczona, ale wiedziała, że wobec tej gonitwy myśli sen nie przyjdzie łatwo. Mogłaby wrócić na dziedziniec i pospacerować, aż się uspokoi. Mogłaby poszukać Johnny'ego i z nim porozmawiać. Rozważała

wszystkie możliwości, ale w głębi duszy wiedziała, że jest tylko jedno wyjście, po którym poczuje się lepiej.

Otworzyła drzwi.

- Lorcan... - odezwała się cicho. - Lorcan, nie śpisz?

- Co? - wymamrotał. - To ja, Grace. Nie śpisz? - No, teraz już nie - odpowiedział. Nie wydawał się bardzo niezadowolony. - Przepraszam, nie chciałam cię budzić. - Nic nie szkodzi. Ale wydajesz się trochę zdenerwowana. Coś się stało? - Tak - przyznała. Westchnęła ciężko. - Co takiego? - Nagle znowu stał się tym dawnym Lorcanem, który opiekował się nią przez pierwsze dni na Nokturnie. - Chodź, usiądź i opowiedz mi o tym.

Przysunęła sobie krzesło, a on sięgnął po jej rękę.

- Drżysz - zauważył. - Co się stało?

Dotyk jego dłoni dodawał otuchy.

- Och, Lorcanie - powiedziała. - Zrobiłam coś złego.

- Ty? - Uśmiechnął się. - Grace Tempest zrobiła coś złego? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Lorcanie, odczytałam twoją wstążkę.

- Co?

Drgnął zaskoczony i jego ręka zsunęła się z jej dłoni.

- Wiem, że nie powinnam. Ale wzięłam ją przypadkiem. Włożyłam do książki. A Johnny uznał, że to dobry pomysł.

- Johnny? - zdziwił się Lorcan. - Ten chłopak, którego spotkaliśmy przy szachach? A co on ma z tym wspólnego?

- Przepraszam. Opowiedziałam mu, jak się o ciebie martwię, jak bardzo pragnę ci pomóc, ale nie potrafię.

- Pomagałaś mi bardzo dobrze. Nie powinnaś tego robić, Grace.

- Wiem - przyznała. - Teraz już wiem. Ale myślałam, że w tej wstążce znajdę odpowiedzi.

- I znalazłaś?

Grace potwierdziła ruchem głowy. Potem przypomniała sobie, że on przecież jej nie widzi, więc powiedziała głośno:

- Tak, znalazłam.

- Może spróbujesz mi o tym opowiedzieć? - zaproponował. - Powiedz, co zobaczyłaś.

- Miałam dwie wizje - zaczęła. - Obie dotyczyły ciebie i mnie. Pierwsza ukazywała nasze pierwsze spotkanie, kiedy uratowałeś mnie przed utonięciem...

Opowiedziała mu całą scenę tak, jak jej doświadczyła z jego punktu widzenia. Lorcan siedział nieruchomo jak posąg. Kiedy skończyła, zapytał krótko:

- Jaka była druga część?

- To ta noc, kiedy straciłeś wzrok. Kiedy Connor zjawił się na Nokturnie, a ty myślałeś, że grozi nam niebezpieczeństwo...

I znów opisała mu wszystko, co widziała. Miał do niej jedno, ostatnie pytanie.

- I to wszystko, co zobaczyłaś? Tylko te dwie chwile?

- Tak. Potem już nie mogłam patrzeć. Odłożyłam wstążkę na miejsce. Leży na twojej szafce. - Spojrzała w tamtą stronę.

Lorcan wyciągnął rękę; jego wygięte palce przypominały białego pajaka, szukającego swej nici. Znalazł wstążkę, zabrał i schował pod poduszkę.

- Teraz zostanie tutaj - oświadczył.

- Tak mi przykro - wyznała Grace. - Na pewno nie chciałam cię zdenerwować.

Westchnął.

- Myślisz, że jak się czuję, wiedząc, że szpiegowałaś moje myśli? Jak byś zareagowała, gdyby tobie ktoś zrobił to samo?

- Próbowałam pomóc - przekonywała go. - Wiem, że źle postąpiłam. Ale naprawdę szukałam tylko sposobu, żebyś mógł poczuć się lepiej.

- Lepiej?

- Mosh Zu uważa, że twoje dolegliwości są tylko w części fizyczne - wyjaśniła. - Że głębsze są rany psychiczne, emocjonalne. Pomyślałam, że jeśli odczytam twoją wstążkę, uda mi się ustalić, gdzie tkwi blokada.

- Blokada...?

- Tak. - Poczula, że wraca na pewniejszy grunt.

- Gdybyśmy wiedzieli, co cię powstrzymuje, moglibyśmy tę blokadę przełamać.

- Naprawdę byśmy mogli?

W jego głosie zabrzmiała nuta gorczy.

- Moglibyśmy spróbować.

- Grace, już ci mówiłem. Ostrzegałem cię. To nie jest twój świat. Pełno w nim rzeczy, których nie rozumiesz.

- Tak - zgodziła się. - Jestem nowa w tym świecie. Ale chcę go zrozumieć. - Urwała na moment. - Chcę zrozumieć ciebie - dodała. - Może właśnie tego chcę najbardziej.

- Widzę. Naprawdę to widzę, ale są sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć.

- Dotyczą ciebie? - spytała. - Czy mnie? Czy nas obojga?

Zastanowił się. - Wszystkich trzech. Poczwała rozczarowanie - znowu się przed nią zamykał. - Ale, Lorcanie, jeśli to chodzi o mnie, przynajmniej w części, to czy nie mam prawa tego wiedzieć? Jest tyle pytań...

- Tak, wiem. Ale na tym polega kłopot, Grace. Nie jestem jeszcze gotów, żeby na nie odpowiedzieć. Dochodziłem do tego na własny sposób, we własnym tempie, a nagle ty robisz coś takiego.

Pokręcił głową.

- Znałeś mnie. - Nie potrafiła utrzymać tego w sobie. - Kiedy mnie uratowałeś, kiedy zobaczyłeś. To nie było nasze pierwsze spotkanie. Wiedziałeś, kim jestem. I kim jest Connor. Widziałeś nas jako małe dzieci. Ale jak to możliwe?

Pytanie zawisło w powietrzu.

- Proszę cię, Lorcan. Muszę się dowiedzieć.

- Nie ode mnie. Nie teraz.

Miała uczucie, że głowa jej zaraz pęknie.

- Proszę - powtórzyła.

- Wiem, jak musisz się czuć, Grace - rzekł. - Wiem, jak działa twój umysł. Te pytania są dla ciebie jak swędzenie i musisz się podrapać. Dlatego wzięłaś moją wstążkę. Ale nie rozumiesz, że to jak puszką Pandory? Rozpoczęłaś coś, czego nie da się już powstrzymać. I dla nas wszystkich skończy się strasznie.

Nie rozumiała tych słów. O co mu chodzi? Wszystko, co mówił, prowadziło tylko do dalszych pytań. Poważniejszych.

- Proszę cię, Grace - powiedział. - Zostaw mnie.

- Nie mogę - odrzekła. - Nie mogę cię teraz zostawić. Musisz ze mną porozmawiać.

- Nie. Nie muszę. Po prostu wyjdź.

- Nie możesz się tak przede mną zamykać.

- Muszę - zapewnił. - Dla dobra nas obojga.

Drżała, gdy wstała i ruszyła do drzwi. Nie mogła jednak odejść bez jeszcze jednej próby.

- Przecież wiem, jak bardzo ci na mnie zależy. Wyczytałam to ze wstążki.

Lorcan westchnął.

- Naprawdę musiałaś czytać moją wstążkę, by wiedzieć, że mi na tobie zależy? - zapytał. -
Doprawdy, Grace, czy ty w ogóle mnie nie znasz?

- Myślałam, że znam - odparła i pchnęła drzwi. Wybiegła na korytarz, by oszczędzić mu dźwięku swoich szlochów. - Hej! Johnny uniósł głowę znad szachownicy, gdy Grace stanęła w drzwiach pokoju rekreacyjnego. Widząc jej mokrą od łez twarz, podszedł, po czym objął ją i przytulił. Zamknął drzwi.

Grace poczuła się lepiej, ale - kiedy łzy przestały płynąć - dostrzegła ironię tej sytuacji. To Johnny namówił ją do czytania wstążki Lorcana, a teraz u Johnny'ego szukała pocieszenia.

- Zrobiłaś to? - Odsunął się od niej. - I poszło źle, prawda? Strasznie mi przykro, Grace, nie powinienem cię namawiać...

- Nie, właściwie nie poszło źle. Odkryłam kilka rzeczy. Poszłam porozmawiać o tym z Lorcanem, a on się na mnie rozzłościł.

- Myślę, że można było się tego spodziewać. Wiem, że ci ciężko. Ale nie powinnaś na razie mu o tym mówić.

- Musiałam - stwierdziła. - To, co wyczytałam ze wstążki... To było bardzo osobiste. O nim i o mnie.

- Ach... - mruknął Johnny.

- To skomplikowane - dodała. - I chyba nie powinnam o tym mówić.

- Oczywiście - zapewnił. - Szanuję to. Ale gdybyś zmieniła zdanie, zawsze możesz poszukać starego Johnny'ego. Wiesz o tym, prawda?

Przytaknęła.

- A teraz osuszemy ci oczy.

Sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę w czerwone grochy. Na jej widok Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- No proszę - powiedział. - Dobry stary Johnny już ci poprawił humor. - Wcisnął jej chusteczkę w dłoń. - Lepiej na razie ją zatrzymaj. Na wypadek, gdybyś dzisiaj planowała jeszcze jakieś łzawe deszcze.

Wsunęła chustkę do kieszeni. Johnny przysunął jej krzesło i usiadł obok.

- Co do jednego miałaś rację - przyznała.

- Tak? - Uniósł brew.

- Odczytanie wstążki zdradziło mi, czemu Lorcan nie może wyzdrowieć. To moja wina.

To wszystko moja wina.

Poczuła łzy pod powiekami i szybko sięgnęła po chustkę, by je osuszyć. Johnny czekał cierpliwie. Grace odetchnęła głęboko i mówiła dalej.

- Ślepoty Lorcana nie da się uleczyć tylko fizycznymi środkami. Mosh Zu mówił, że przyczyną jest dodatkowy element, może nawet silniejszy. Uważa, że ślepotą jest psychosomatyczna, to znaczy wywołana napięciem i lękiem, że na pewnym poziomie sam ją spowodował.

Johnny zmarszczył czoło.

- Sam postanowił nie widzieć?

- No, nie tak całkiem świadomie. Nie pomyślał: „Wolałbym oślepnąć”, ale w pewien sposób blokuje organizmowi możliwość wyzdrowienia.

- Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszałem.

- Mosh Zu twierdzi, że takie rzeczy się zdarzają - tłumaczyła Grace. - Mówi, że może pracować z Lorcanem nad tym, co go blokuje.

- To chyba dobrze, prawda?

Grace wzruszyła ramionami. Naprawdę, sama już nie wiedziała, co myśleć.

- Wiem, Grace, że chciałabyś, by jak najszybciej wyzdrowiał. Ale myślę sobie, że na takie rzeczy trzeba czasu. Pamiętaj, po tej stronie ogrodzenia mamy mnóstwo czasu na wszystko.

- To ja - oświadczyła. - Ja jestem winna ślepoty Lorcana. Nie wyszedłby na światło dzienne, gdyby nie chciał mnie bronić. Zawsze wiedziałam, że jestem odpowiedzialna za jego fizyczną ślepotę...

Johnny przerwał jej łagodnie.

- Nawet jeśli jest w tym ziarno prawdy, to przecież sama mówiłaś, że ta fizyczna rana się goi.

- Tak - zgodziła się. - Ale teraz wiem, że jestem też przyczyną tej głębszej rany. Przedtem miałam pewne podejrzenia, ale teraz odczytałam wstążkę i jestem pewna. Przyczyna, dla której nie chce wrócić do zdrowia, ta jego bariera, związana jest ze mną.

Powiedziała to. Lepiej się czuła, kiedy ubrała w słowa tę ponurą myśl. Dalej źle, ale lepiej.

- Jak już mówiłem - odparł Johnny - musisz zostawić tej sprawie trochę czasu. Lorcan nie mógłby trafić pod lepszą opiekę niż Mosh Zu. Przecież to guru wampiratów! Jest najlepszy! Jeśli ktokolwiek może Lorcana z tego wyciągnąć, to tylko on.

- A jeśli nie może? - Grace czuła, jak zalewają ją lodowate fale strachu. - Jeśli Lorcan postanowi nadal być ślepym? Powinieneś go słyszeć, Johnny. Odpycha mnie od siebie. A jeśli zepsułam wszystko tym, co zrobiłam?

- Spokojnie. - Johnny objął ją ramieniem. - Przyjmij od starego Johnny'ego pewną radę. Sam ją odkryłem na szlaku, prowadząc bydło. Grace, musisz się nauczyć pokonywać jedną rzekę naraz.

Rozdział 32

Droga do Indii

Connor z pewnym smutkiem patrzył, jak znajoma flaga z czaszką i skrzyżowanymi kośćmi zsuwa się z masztu Diabla. Maszt bez niej wydawał się nagi.

- To tylko na jakiś czas - wyjaśniła Cate, gdy Gonzales złożył flagę i wciągnął na górę inną. - To element naszego maskowania, Connor. Nie można pozwolić, by Cesarz albo ktoś z jego ludzi choćby przez moment pomyślał, że jesteśmy statkiem pirackim. Tak samo przygotowują się na Tyfonie. Będzie jeszcze kilka innych zmian, głównie kosmetycznych. Nic, co by utrudniało nam działanie. A kapitanowie będą wyłączeni z operacji. Ich twarze są zbyt znane.

Connor podniósł głowę. Wysoko na bocianim gnieździe Bart umocował nową flagę. Była ciemnoniebieska z białym logo - parą wyciągniętych rąk niosących statek. Pod obrazkiem widniały trzy litery: OKT.

- Podoba ci się? - spytała Cate.

- Co to oznacza?

- Obraz powinien sugerować pewność i bezpieczeństwo. To godło Oceanicznej Kompanii Transportowej. - Spojrzała na Connora. - Czyli nasze.

Dała Bartowi sygnał, wystawiając kciuki do góry.

- Dobra robota, Bart! A teraz szybko na dół, zaczynamy ćwiczenia z bronią!

W ramach przygotowań do rajdu Cate zwiększyła zakres pokładowych zajęć. Teraz ćwiczyli codziennie. Zastępczyni kapitana cieszyła się tak dużym szacunkiem wśród piratów, że Barbarro i Trofie wysłali na Diabla także część swojej załogi.

- Przy tym ataku ważne jest, aby nasze załogi działały jak jeden zgrany zespół - wyjaśnił Barbarro, przekazując im tę wiadomość.

Mieli zatem na Diabłu dwudziestu pięciu nowych ludzi. Szkolili się wspólnie, jedli w tej samej mesie i spali w tych samych kajutach. W większości byli porządnymi piratami, myślał Connor, kiedy zjawił się na zajęciach.

- Cześć, Tempest! Jak leci?

Dwaj nowi koledzy klepnęli się z nim dłońmi, gdy stanął przy nich, gotów do rozgrzewki. Bart przyszedł tuż przed Cate. Przyjemnie było - przy tych wszystkich zmianach - nadal mieć u boku najlepszego przyjaciela.

- Zaczynamy! - zawołała Cate. - Na początek fizyczna rozgrzewka! Trzymajcie przy sobie broń. I biegiem, trzy razy dookoła pokładu.

Connor usłyszał czyjś śmiech za plecami.

- No nie, litości - mrucał ktoś złośliwie. - Gimnastyka dla przedszkolaków.

Odwrócił głowę i zobaczył, że to Promyk Wrathe podśmiewa się wraz z którymś ze swych kumpli. Rzucił Connorowi wrogie spojrzenie i ruszył biegiem. Connor dogonił Barta.

- Widzę, że Promyczek znowu jest dziś w szczytowej formie - stwierdził Bart.

- O tak... Przypomnij mi, proszę, jak w ogóle się dostał do grupy szturmowej?

Bart się roześmiał.

- Chyba nie łudziłeś się, że go nie puszczą? Mówiłem ci, że przypadkiem słyszałem, co Barbarro mówił do Molucca?

- Co takiego?

- Że chciałby, aby Promyk był podobny do ciebie. I że musi zmęźnieć, jeśli ma kiedyś zostać prawdziwym piratem.

- No, no... - mruknął Connor.

Pochlebiało mu, ale też dziwiło, że Barbarro Wrathe dokonał takiego porównania.

- Oczywiście, Trofie miała pewnie inne powody, by przysłać swego syneczka do oddziału. Sądzę, że jej zdaniem należy mu się to miejsce jako dziedzicowi fortuny.

- Tak - zgodził się Connor. - Szkoda tylko, że nie można bardziej na nim polegać w szermierce.

Bart kiwnął głową.

- Święta racja, Tempest. Może jest złośliwy, ale na pewno nie godny zaufania.

- Dziękuję wszystkim, dobrze się spisaliście! - zawołała Cate, kiedy ostatni z biegnących dotarł z powrotem na środkową część pokładu. - Teraz ustawcie się w parach i poćwiczcie ataki i obrony.

Tej części zajęć Connor szczerze się obawiał. Ponieważ, naturalnie, ustawili go w parze z Promykiem.

- Ale dlaczego? - skarżył się Cate po pierwszych ciężkich zajęciach. - Tylko dlatego, że jesteśmy najmłodszy? Jestem wyższy od niego i o wiele bardziej doświadczony!

- Wiem, Connorze - odpowiedziała wtedy Cate.

- Ale mam związane ręce. Prośba, a właściwie rozkaz, nadeszła z samej góry. Barbarro Wrathe bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że ty i Promyk macie ćwiczyć w jednej parze.

A kiedy Connor odszedł, kręcąc głową, Cate zawołała za nim:

- Powinieneś być dumny! Najwyraźniej kapitan Wrathe uważa, że jego syn może się czegoś od ciebie nauczyć.

Może dobrze to brzmiało, ale rzeczywistość codziennych sparringów była całkiem inna. Piracki synalek nie miał ochoty uczyć się czegokolwiek od kogokolwiek, ale upierał się, by wszystko robić na swój własny, wyjątkowy i nieprzewidywalny sposób.

- Do roboty! - Cate klasnęła w dłonie. - Zaczniemy od manewru, który trenowaliśmy wczoraj. Mam nadzieję, że poćwicyliście trochę między wachtami!

Connor ćwiczył prawie do świtu ten manewr z Bartem. Kątem oka zobaczył, jak przyjaciel oraz jego partner z załogi Tyfona perfekcyjnie wykonują sekwencję ataków i zasłon.

- Ehem, ehem - usłyszał chrząknięcie Promyka. - Jest szansa, że chociaż na moment oderwiesz wzrok od swojego ukochanego Barta, żebyśmy mogli wziąć się do ćwiczeń?

Connor odwrócił się w jego stronę.

- Jak tylko będziesz gotów.

Promyk zaatakował, a Connor bez wysiłku przesunął swój rapier i odbił klingę przeciwnika. Po kilku prostych manewrach stało się jasne, że Promyk - jak zwykle - zupełnie sobie nie radzi.

- W ogóle tego nie ćwiczyłeś, co? - spytał Connor, kiedy po raz czwarty bezskutecznie usiłowali zacząć sekwencję walki.

- Bym ćwiczył - odparł Promyk. - Słowo morskiego skauta i w ogóle. Tylko że, widzisz, miałem naprawdę ciężki wieczór.

Connor mógł to sobie wyobrazić. Promyk, jako jedyny z przybyłych z Tyfona, miał prawo wracać co noc na statek. Najwyraźniej nie mógł się zniżyć tak dalece, by dzielić z kimś jedną kabinę. A zatem, zamiast pirackiego życia... przyjemna kolacja z pięciu dań w towarzystwie szanownych rodziców, a potem powrót do nory, gra w Piracki Pinball i świetna zabawa z ukochanymi szczurami.

- Poza tym - dodał Promyk - do rajdu jeszcze całe tygodnie. Dość czasu na ćwiczenia.

Ale choć mijały dni i tygodnie, umiejętności szermiercze Promyka nie wzrastały. Czasem jakoś sobie radził, ale niekiedy miało się wrażenie, że zaczyna od zera. Owszem, jeśli chodzi o gwałtowność, Promyk nie miał sobie równych - skaleczenia i sińce Connora były tego wyraźnym dowodem. Ale w złożonych zespołowych działaniach agresja nie wystarczy. Connor z doświadczenia wiedział, że współdziałanie jest kluczem do zwycięstwa w bitwie na zatłoczonym pokładzie. Owszem, w pewnym zakresie można improwizować, ale trzeba stale i rygorystycznie koncentrować się na swoim fragmencie układanki. W przeciwnym razie - z pięćdziesięcioma mężczyznami i kobietami w oddziale - aż nazbyt łatwo cała strategia mogła się zmienić w chaos.

Któregoś wieczoru, przy kolacji, zwierzył się Bartowi ze swych obaw.

- Jest nieobliczalny - stwierdził. - Nigdy nie wiadomo, co za chwilę zrobi.

- Wiem, kolego - zgodził się Bart. - Masz rację. Ale kiedy rzeczywiście zacznie się akcja, to nie będzie już miało znaczenia. Jeśli wszystko pójdzie według planu, to w ogóle nie sięgniemy po broń. Jak się dobrze zastanowić, w tej akcji więcej jest biegania niż walki. Miecze będą potrzebne tylko wtedy, kiedy zawali się nasza legenda. A poświęciliśmy na nią tyle czasu i wysiłku, że nie bardzo widzę, jak mogłoby do tego dojść.

Connor wzruszył ramionami.

- Wiem to wszystko. Ale co mówi zawsze Cate? Spodziewaj się niespodziewanego. I nie tylko martwię się o Promyka, ale o to, że sam tracę technikę, bo z nim nie mogę porządnie potrenować.

- Czy chcesz w ten sposób powiedzieć, że chciałbyś zaliczyć dodatkowy sparring z niżej podpisanym?

- Byłoby świetnie! Jeśli ci to nie przeszkadza.

- Postaw mi jedno piwo, a będę do twojej dyspozycji.

Connor zmarszczył brwi.

- Nie powinienes pić podczas ćwiczeń - przypomniał, myśląc o zasadach Cate.

- Daleko mi jeszcze do limitu, kolego - roześmiał się Bart. - Muszę tylko nasmarować migdałki i będzie dobrze.

Później spędzili na pokładzie czterdzieści pięć minut - walczyli, a słońce zachodziło za horyzont, barwiąc świat na czerwono i pomarańczowo. Starcie skończyło się tym, że Connor rzucił się z masztu w kierunku Barta. W sytuacji bojowej powaliłby Barta, ale teraz tylko zasygnalizował swój zamiar, więc przyjaciel zdążył odskoczyć. Kiedy obaj się otrzepali, Bart klepnął Connora w plecy.

- Zero powodów do zmartwień - powiedział. - Twojej technice nic nie brakuje. Zupełnie nic.

Kiedy do rajdu zostało tylko kilka dni, największym wyzwaniem stały się trudności żeglugi. Dwa galeony, sunące przez fale w stronę Fortu Zachodzącego Słońca, napotkały najgorsze warunki, jakie Connor pamiętał od czasu swego przybycia na Diabło. Ćwiczenia walki musiały pójść w ką, gdy cała załoga pracowała razem, by pokonać burzliwe wody.

Pod pokładem ludzie chorowali i wygłaszali ponure uwagi, że nie wiadomo, czy w ogóle uda się dotrzeć do celu, zanim pochłonie ich ocean.

Cate wezwała Connora do swojej kajuty. Siedziała przy biurku i spokojnie gryzła kanapkę z serem, popijając mlekiem.

- Nie czujesz żadnych mdłości? - zapytał.

Cate pokręciła głową.

- Choroba morska nigdy mi nie dokucza - oświadczyła. - Mam szczęście.

Chór jęków za ścianą kajuty wskazywał, że inni nie są tak szczęśliwi.

- No więc... Jak się czujesz przed atakiem? Gotów do akcji?

Connor przytaknął. On i Bart zdążyli stoczyć jeszcze kilka starć, nim morze stało się zbyt wzburzone. Odzyskał wiarę we własne umiejętności. Teraz czuł już dopływ adrenaliny; nie mógł się doczekać ataku. Powiedział o tym Cate.

- Doskonale. - Stuknęła w rozłożony na biurku plan. - Ustalam teraz ostateczny układ par - wyjaśniła z ołówkiem w dłoni. - I postanowiłam ustawić cię z Promykiem Wrathe'em.

Connor jęknął.

- Wiem, że nie o tym marzyłeś, ale chyba musiałeś coś takiego podejrzewać. Przez ostatnie tygodnie byłeś jego partnerem. Na swój sposób czuje się przy tobie swobodnie. A ty,

lepiej niż ktokolwiek z nas, znasz jego mocne i słabe strony. Możesz go ochraniać, gdyby zrobiło się gorąco.

- Ochraniać? - zdumiał się Connor. - Zdawało mi się, że dokonujemy rajdu po skarby. Czy nie one są celem, do którego powinniśmy dążyć? A nie ochrona słabeuszy!

Cate zamrugła.

- Connorze, będę z tobą szczerą. Jesteś wysoko cenionym członkiem załogi i dobrym przyjacielem. Oczywiście, głównym celem tej operacji jest możliwie czyste wejście do fortu i wyjście z niego oraz powrót z taką częścią skarbów Cesarza, jaką tylko zdołamy wynieść.

Ale... żebyśmy się dobrze rozumieli... twoja rola polega na tym, że masz dopilnować, by w czasie ewentualnej walki nic nie przytrafiło się Promykowi.

Connor westchnął ciężko.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Ponieważ dzień i noc nie dawałbyś mi spokoju i stale błagał, żebym zmieniła decyzję. Ale przecież musiałaś się domyślać. Jak ci się wydaje, czemu zestawiałam jednego z moich najlepszych szermierzy z najsłabszym?

- Czyli te bzdury o Barbarro, który specjalnie o mnie poprosił...

- Nie bzdury... urocze określenie, nawiasem mówiąc. Wcale nie bzdury. Naprawdę. Rzeczywiście tak powiedział. Nie wydaje mi się, żeby miał jakiegokolwiek złudzenia na temat umiejętności bojowych swojego syna. Chociaż nie jestem już tego pewna co do Trofie. Kto może wiedzieć, co się dzieje w jej głowie?

- Może wyjaśnijmy to sobie jeszcze raz - rzekł Connor. - Chcesz powiedzieć, że podczas ataku moim głównym zadaniem jest pilnowanie Promyka?

Cate pokręciła głową.

- Nie głównym zadaniem, Connor. Twoim jedynym zadaniem. Musisz pozwolić, żeby inni zajęli się zasadniczą akcją. Ty masz doprowadzić Promyka Wrathe'a z powrotem na statek, żywego i w jednym kawałku. Inaczej źle się to skończy dla nas wszystkich.

Sięgnęła po kanapkę i ugryzła kęs.

- A teraz - rzekła, przeżuując chleb z gorgonzolą i wodorostami - jeśli nie masz dalszych pytań, lepiej zajmę się dokumentacją strategii rajdu. Jeszcze dzisiaj muszą ją zatwierdzić obaj kapitanowie.

Connor wyszedł ponury; świat wirował wokół niego. „Ty masz doprowadzić Promyka Wrathe’a z powrotem na statek, żywego i w jednym kawałku”. Nie mógł uwierzyć w taką niesprawiedliwość.

I kiedy schodził pod pokład, do mesy, właśnie z Promykiem zderzył się na schodach. Chłopak był jeszcze bledszy niż zwykle - widmowo blady z leciutkim odcieniem seledynu.

- Dobrze się czujesz? - spytał Connor.

Statek zakołysał się i Promyk pośliznął się na stopniach, wymachując rękami. Connor chwycił go mocno za ramię.

- Już dobrze - zapewnił. - Trzymam cię.

Promyk popatrzył dziwnie i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Po namyśle zrezygnował i zamknął je. A potem otworzył znowu i z wymiotował na Connora.

Connor znieruchomiał ze zdumienia, a na wpół strawione resztki obiadu Promyka - curry, jeśli się nie mylił - ściekały mu na pierś.

- Przepraszam - wybełkotał Promyk i przynajmniej raz wydawało się, że mówi szczerze.

A potem znowu szarpnął się do przodu i następna fontanna wymiocin trafiła Connora w twarz.

Rozdział 33

Zbieracze jagód

Drzwi do pokojów Oliviera stały otworem. Kiedy Grace weszła, z uśmiechem uniósł głowę.

- Dostałam twoją wiadomość - oznajmiła. - Co to za pilna sprawa? Coś się stało?

- Nic się nie stało, Grace - odparł. - Ale muszę coś załatwić i pomyślałem, że zechcesz mi towarzyszyć.

Grace westchnęła lekko.

- Załatwić? I to jest ta ważna sprawa, dla której przerwałeś mi cenny sen?

Najwyraźniej nieczuły na sarkazm w jej głosie, wskazał stos koszy na blacie.

- Idziemy na jagody! Chwytaj po koszu do każdej ręki i chodź! Aha, i może włóż tę kurtkę. Na zewnątrz bywa bardzo zimno.

Pomyszkował chwilę w jednym z magazynów na skraju zewnętrznego dziedzińca i wynurzył się z ręcznym wózkiem.

- Tutaj będziesz mogła składać pełne kosze - oświadczył. - W tej chwili są jeszcze lekkie, ale kiedy skończymy, będziesz się cieszyć z tej możliwości.

- A ile dokładnie jagód planujemy zebrać?

- Całkiem sporo.

Ciężkie wrota Sanktuarium otworzyły się przed nimi.

- Wychodzisz codziennie? - spytała Grace.

Kiwnął głową.

- Muszę. Wampiry zużywają dużo wywaru z jagód. Ale wiesz co? To żaden trud. Ciągle jestem przecież śmiertelnikiem. Tak jak ty. I choć możemy przywyknąć do ciemności, nadal potrzebujemy światła dnia.

Grace zauważyła, że popołudniowe słońce stoi jeszcze wysoko, a dzień jest jasny i raczej ciepły, choć na trawie pozostały łąty śniegu. Przyjemnie było teraz na dworze, kiedy mogła w

dziennym świetle oglądać okolicę Sanktuarium. Góra wydawała się całkiem inna, niż ją zapamiętała z mozolnej wspinaczki, jaką ich tutaj doprowadziła. Spróbowała odtworzyć trasę.

- No chodź, guzdrało! - zadrwił Olivier. - Jeśli już teraz się zmęczyłaś, to nie na wiele mi się przydasz.

Grace podbiegła, by go dogonić.

- Wcale się nie zmęczyłam - zapewniła. - Próbowałam tylko odszukać drogę, jaką dotarliśmy tu z brzegu.

Olivier się zaśmiał.

- Na twoim miejscu nie zastanawiałbym się nad tym zbyt długo.

- Czemu nie? - Wcale jej się nie spodobał ostry ton we własnym głosie.

- To bardzo zmienna góra - wyjaśnił. - Nigdy nie wygląda tak samo z dnia na dzień.

- Jak to możliwe?

- Po prostu tak jest. Każdy znajduje własną drogę do tego miejsca. Dla jednych ta droga jest bardzo wyczerpująca. Dla innych to zwykła wycieczka.

Grace rozmyślała o tym, kiedy szli krętą ścieżką. Olivier ciągnął wózek załadowany koszami. Zbliżyli się do terenu porośniętego gęstymi krzakami. Kiedy dotarli, Olivier się zatrzymał.

- To nasz pierwszy przystanek - oznajmił.

Grace zauważyła, że ciemne, czarno-zielone gałęzie są ciężkie od owoców.

- Popatrz - tłumaczył Olivier. - Mamy siedem koszy. Każdy na inny gatunek jagód. To bardzo ważne, żeby ich nie mieszać.

- Rozumiem - przytaknęła Grace. - Ale skąd mam mieć pewność?

Olivier podniósł pokrywę jednego z koszy. Wewnątrz przypięta była kartka ze szczegółowym rysunkiem jagodowego krzewu. Wyglądał jak rysunki, jakie można zobaczyć w atlasie roślin - cudownie realistyczny i precyzyjny.

- Ty to zrobiłeś? - spytała.

- Pomyślałem, że ułatwię ci pracę.

- Dziękuję. Nie miałam pojęcia, że jesteś taki utalentowany.

Wzruszył ramionami.

- My, żyjący pomiędzy, czasami czujemy się w Sanktuarium bardzo samotnie. Kiedy nie mogę zasnąć albo kiedy czas mi się dłuży, lubię rysować.

Zaczął odkrywać pozostałe kosze. W każdym zobaczyła równie szczegółowy obrazek.

Olivier westchnął, ale z uśmiechem.

- Przestań podziwiać moje bazgroły i bierzmy się do zbierania. Inaczej nie skończymy do zachodu słońca.

I tak pozostali tu aż do zachodu słońca. Nie dlatego, że Grace zbierała powoli, ale dlatego, że była to bardzo przyjemna wycieczka. Grace przekonała się, że rozmowa z Olivierem nie jest łatwa, co ją zdziwiło - jako żyjący pomiędzy mieli przecież ze sobą wiele wspólnego. Gdy jednak słońce przygrzało im plecy, otworzył się z wolna. Zaczęli swobodnie rozmawiać o Sanktuarium, o Mosh Zu, o Nokturnie i rysowaniu. I cały czas przesuwali się od jednego krzaka do następnego, ciągnąc za sobą wózek i napełniając kosze.

- Jeszcze tylko ten jeden kosz i wracamy - postanowił w końcu Olivier.

- Dobrze - zgodziła się Grace.

Była zmęczona i trochę głodna, ale też smutna, że wycieczka na zbocza góry dobiega końca.

- Nie bądź taka smętna - powiedział. - Naprawdę mi pomogłaś. Możesz chodzić ze mną na jagody, kiedy tylko zechcesz.

To była przyjemna myśl, więc z uśmiechem przystąpiła do ostatniego etapu zbiorów. Olivier wyminął ją nagle.

- Ktoś jest na górze - oświadczył, znów spokojny i rzeczowy.

- Gdzie? - Grace uniosła głowę, ale nie zauważyła nikogo.

- Stał tam. - Olivier wyciągnął rękę. - Ale teraz schował się za tamtą kępą drzew. Pójdę z nim porozmawiać. Nie spodziewamy się dzisiaj nikogo nowego.

- Pójdę z tobą... - Grace odstawiła kosz.

- Nie, nie. Skończ tutaj. To zajmie tylko chwilę.

Zaczął się oddalać.

- Mówiłeś przecież, że ludzie sami znajdują swoją drogę na szczyt góry! - zawołała za nim. - Nie rozumiem!

- Nie musisz rozumieć - odparł Olivier dość ostro. - Dokończ ten kosz.

I odszedł ścieżką.

Widok ze zbocza zawsze go intryguje. Za każdym razem, kiedy tu przychodzi, widok ten wywołuje tak wiele wspomnień - wspomnień, które przenoszą go w przeszłość, na sam początek

jego historii. Tyle że gór z jego początków nie okrywały trawa ani wrzos, nie bielił śnieg. Góry Taurus były spalone słońcem - tak wysokie, z tak surowym klimatem, że nic dobrego nie mogło tam przetrwać.

Cilicia Tracheia - „Skalista Cylicja”, tak ją nazywali. Pamięta swoje pierwsze, chwiejne kroki na samą granicę ojcowskiej ziemi. Żelazną ambicję hamowały jedynie ograniczone możliwości kończyn dwulatka. Ale nawet wtedy był ambitniejszy, niż ktokolwiek powinien. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zdołał tam dotrzeć - na wpół idąc, na wpół się czołgając do krawędzi urwiska, z rękami okrytymi czerwonym pyłem martwej ziemi. Jeszcze teraz pamięta pierwsze spojrzenie w dół, na turkusowe morze pod sobą. Woda ciągnęła go do siebie jak błyskotki srokę. Pamięta, jak wysunął pulchne ramiona i o mało nie spadł, ale pochwyciły go - w ostatniej chwili - mocne, pewne ręce ojca.

Jedno wspomnienie przywołuje kolejne. Nie jest już chłopcem, ma wzrostu sześć stóp i trochę - młody mężczyzna. Stoi pewnie i stanowczo na tej samej krawędzi. Zdążył już trochę poznać okrucieństwo świata. Wie, że jeśli tu zostanie, surowość tej krainy wycisnie z niego ostatnią kroplę życia, zmusi, by dołączył do ojca i matki w ich gorących, suchych grobach. Kiedy teraz patrzy ma migoczące w dole morze, wydaje mu się upragnionym łykiem wody. Jest wypalony przez tę spieczoną ziemię. Dręczy go rozpaczliwe pragnienie...

- Halo! Halo!

Odwraca się. Ktoś biegnie ku niemu po zboczach i macha ręką. Rozpoznaje tę postać i uśmiecha się do siebie. Kiedy pierwszy raz go zobaczył, wziął go za młodą kobietę, z powodu szat. Teraz zna już twarz mężczyzny. I jego imię.

- Dobry wieczór. Olivier wyciąga rękę. - Miło cię znowu widzieć.

Sidorio ściska mu dłoń, ale nie odpowiada.

- Co u ciebie słyhać? Zastanawiałeś się nad moją propozycją?

- Przypomnij mi - mówi Sidorio.

Już wcześniej bawili się w tę grę. Olivier uśmiecha się i spogląda na szczyt.

- Żebyś przyszedł do Sanktuarium. Tak wiele moglibyśmy tam dla ciebie zrobić.

- Ty tak mówisz. - Sidorio kręci głową. - Ciągłe to powtarzasz.

Olivier się zastanawia.

- Chcę ci pomóc - zapewnia. - I myślę, że ty chcesz uzyskać pomoc. - Po czym dodaje, śmiejąc się jak zwykle: - Inaczej po co każdej nocy wspinasz się na tę górę?

Sidorio uśmiecha się, a jego dwa złote zęby błyszczą przez chwilę w promieniach księżyca.

- Może lubię takie widoki.

- Stamtąd widok jest jeszcze piękniejszy - zauważa Olivier. - Tym lepszy, im wyżej wejdiesz.

Sidorio wzrusza ramionami.

- Ten mi wystarczy.

- Chodź ze mną - zachęca Olivier. - Co masz do stracenia?

- Nic do stracenia, nic do zyskania.

- Tak uważasz, przyjacielu. Ale dlaczego nie ruszysz za mną? I tak jesteś już w połowie drogi.

Sidorio uśmiecha się, ale jego oczy są martwe.

- W połowie drogi na szczyt czy na dół?

Olivier odpowiada mu uśmiechem. Czy los każe im powtarzać tę grę każdej nocy? Ogląda się przez ramię i nagle Sidorio widzi, że jego rozmówca nie jest sam. Kawalek dalej ktoś pracowicie układa kosze. Sidorio spostrzega, że to dziewczyna. I to nie zwyczajna dziewczyna.

Ta dziewczyna!

Jak to możliwe, że dokądkolwiek pójdzie, ich ścieżki wciąż się krzyżują?

- Grace! - woła Olivier.

Grace... Tak miała na imię. Ta dziewczyna, która się go nie lękała. Ta, która tylko zadaje pytania...

Sidorio się odwraca. Będzie lepiej, jeśli go nie zobaczy.

- Weź wózek i ruszaj z powrotem - woła Olivier.

- Za chwilę cię dogonię!

- Dobrze! - odpowiada.

Teraz nie ma już wątpliwości. To jej głos.

A kiedy już odchodzi, Sidorio pyta:

- Kim jest ta dziewczyna?

- Ona? Ma na imię Grace. Czemu pytasz?

- Co tu robi?

- Jest kimś takim jak ja - tłumaczy Olivier. - Asystentka Mosh Zu Kamala, wielkiego guru wampiratów.

- Naprawdę? - Sidorio szeroko otwiera oczy. - Nie za młoda jak na takie stanowisko?

- Owszem. - Olivier nie potrafi ukryć lekkiego rozgoryczenia. - Rzeczywiście młoda. Ale ma talent uzdrawiania. - Na chwilę milknie. - Tak uważa mój mistrz.

- Ty się z tym nie zgadzasz? - Sidorio spogląda mu prosto w oczy.

Oliviera ogarnia nagle chęć zwierzenia się ze swych emocji. Wyczuwa, że może zaufać przybyszowi.

- Czy miałeś kiedyś wrażenie, że jesteś zastępowany? - pyta.

Sidorio przytakuje.

- Mów dalej - prosi. - Opowiedz.

I Olivier opowiada. Tak dobrze jest wyrzucić z siebie te słowa - jakby przekuł bolący pęcherz. W Sanktuarium nie ma nikogo, komu mógłby przekazać swe mroczne myśli. Ale tutaj, pod gołym niebem, może mówić swobodnie. Ten obcy - bo prawdę mówiąc, ten człowiek jest dla niego całkiem obcy - okazuje się dobrym słuchaczem. Może nawet swego rodzaju uzdrowicielem. Wydaje się, że potrafi wydobyć z człowieka ciemność. Kiedy Olivier kończy, obcy kiwa głową i pocieszająco kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Na twoim miejscu coś bym w tej sprawie zrobił.

- Tak? - pyta Olivier.

Jakiś przebłysk - może instynkt - podpowiada mu, że źle postępuje. Ale znowu patrzy obcemu w oczy i to przelotne uczucie znika. Zastępuje je głód działania.

- Musisz coś zrobić w tej sprawie - stwierdza Sidorio. - Zanim wymknie się spod kontroli.

Ma rację. Olivier przytakuje - oczywiście, ma absolutną rację.

- Co sugerujesz?

Raz jeszcze Olivier gorliwie wpatruje się w twarz rozmówcy.

Sidorio rozważa pytanie.

- Daj mi czas do namysłu - mówi. - Spotkajmy się jutro wieczorem. Porozmawiamy dłużej.

Olivier jest załamany. Dlaczego musi czekać tak długo?

Sidorio odwraca się i odchodzi w mrok.

- Czeka! - woła Olivier. - Jak ci na imię? Nie znam nawet twojego imienia!

Sidorio się ogląda.

- Do jutra, przyjacielu - rzuca.

Słowa, te wypowiedziane i te przeczuwane, wprawiają Oliviera w stan niespokojnego oczekiwania.

- Jeszcze jedno, zanim odejdiesz! - krzyczy.

Sidorio znów się zatrzymuje i pytająco unosi brew.

- Mam nadzieję, że rozważysz moją propozycję - prosi Olivier. - Że pewnej nocy przybędziesz do Sanktuarium.

- O tak - potwierdza Sidorio. - Pewnej nocy przybędę. I ta noc jest coraz bliższa.

Olivier się uśmiecha. Nareszcie postęp! Po tylu spotkaniach... Kiedy rusza ścieżką, by dogonić Grace, czuje się lepiej niż kiedykolwiek.

Olivier znowu zamknął się w sobie, pomyślała Grace, kiedy szli razem w stronę Sanktuarium. Stał się przyjazny podczas zbiorów, jakby złagodniał w blasku słońca, ale teraz, gdy zbliżali się do bramy, znów był niechętny. Nie, uświadomiła sobie. To się zaczęło, kiedy wrócił po rozmowie z tym obcym.

- Kto to był? - spytała.

- Zwykły wędrowiec.

- Wampir? Ktoś szukający pomocy? Dlaczego nie zabrałeś go z nami?

- Zadajesz zbyt wiele pytań. - Olivier zmarszczył brwi.

- O co ci chodzi?

- Musisz przyznać, że starałem się być cierpliwy, naprawdę się starałem. Ale wiesz co? Jeśli jesteś taka utalentowana i masz zostać pierwszą asystentką Mosh Zu, może spróbujesz sama dojść do pewnych rzeczy!

- Pierwszą asystentką? - zdumiała się Grace. - Nie rozumiem. Przecież ty jesteś pierwszym asystentem.

- Na razie - mruknął Olivier. - Ale to się niedługo zmieni. Chyba jesteś ślepa, skoro nie widzisz, że Mosh Zu szkoli cię, byś zajęła moje miejsce. Czy raczej mnie każe cię szkolić. I kiedy już wykonam swoje zadanie, znów stanę się zwykłym asystentem, a ty zajmiesz moje miejsce.

- Nie - sprzeciwiła się Grace. - To niesprawiedliwe. Nie tego chciałam.

Olivier zaśmiał się głucho.

- Nie ma znaczenia, czy to sprawiedliwie ani co ty o tym myślisz. Bo wszystko sprowadza się do jednego: zostałam wybrana.

Dotarli do wrót i Olivier dał znak, by im otworzono. Grace szła przed siebie, oszołomiona tym, co właśnie usłyszała.

Rozdział 34

Żadnych bohaterów

Rankiem w dniu rajdu na pokładzie Diabła zebrała się pięćdziesięcioosobowa grupa szturmowa. Connor rozejrzał się - wszyscy ubrani byli w takie same fałszywe uniformy - kombinezony robocze i baseballowe czapeczki z logo OKT. Kombinezony chytrze ukrywały broń. Wystarczyło jedno szarpnięcie, by każdy pirat dostał się do swojego uzbrojenia: kordu, rapieru, szpady czy sztyletu. Nie szczędzono żadnych wysiłków ani wydatków, by zagwarantować sukces operacji. Ale, jak powiedziała Cate: „Trzeba inwestować, by potem oszczędzać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po tej misji wszyscy będziemy bogaci. Bardzo bogaci”. Nie wyjaśniono jeszcze, jak te bogactwa zostaną rozdzielone między kapitanów, ich zastępców i załogi.

Connor patrzył, jak na pokład wychodzą obaj kapitanowie - Molucco i Barbarro, oraz pierwsi oficerowie - Cate i Trofie. Za nimi, coraz bliższy, wyrastał majestatyczny Fort Zachodzącego Słońca. Connor miał wrażenie, że to jakby samo przeznaczenie wychodzi im naprzeciw.

Molucco powitał wszystkich, ale szybko oddał głos Cate, by raz jeszcze przypomniała strategię akcji.

- Ćwiczyliście długo i wytrwale - powiedziała na zakończenie. - Każdy z was przynosi dumę swojemu statkowi i dowódcy.

Connor zerknął na Promyka. Bez typowego ubrania z czarnej skóry, w takim samym uniformie jak reszta załogi, wydawał się młodszy i dziwnie delikatny. Być może w tej ostatniej chwili wreszcie zrozumiał, jak bardzo odstaje umiejętnościami od pozostałych.

Cate mówiła dalej:

- Jeśli będziecie się trzymać planu, operacja powinna być całkiem prosta. Dlatego zachowajcie koncentrację i dyscyplinę i uważajcie na siebie nawzajem.

Wyszukała wzrokiem Connora.

Wszyscy zaklaskali. Wiedzieli, że pracowała tak ciężko jak oni, by przygotować tę akcję. Zawsze była popularna na Diabłu, teraz zyskała też szacunek i sympatię ludzi z Tyfona.

Kiedy brawa ucichły, wystąpił Barbarro Wrathe.

- Chciałem tylko powiedzieć, w imieniu własnym, mojej cudownej żony i ukochanego brata, jak bardzo jesteśmy z was dumni. Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz bracia Wrathe prowadzili wspólną operację, ale jestem przekonany, że ta nie będzie ostatnia.

Czy to nie nazbyt przedwczesne słowa, zastanowił się Connor. - Niewiele mogę dodać do tego, co powiedzieli już inni - ciągnął Barbarro. - Z wyjątkiem jednego.

Jak ciągle powtarzamy, powinna to być prosta operacja. I mówiliśmy to już, ale nigdy dosyć podkreślania: trzymajcie się planu. Nie oczekujemy od nikogo bohaterskich zachowań. - Wskazał fort. - Żadnych bohaterów. Tylko towarzysze, realizujący znakomitą strategię dowódców i pilnujący siebie nawzajem.

Raz jeszcze Connor obejrzał się na Promyka. Słowa Cate wciąż brzmiały mu w uszach: „Masz doprowadzić Promyka Wrathe’a z powrotem na statek, żywego i w jednym kawałku”. Wtedy właśnie Promyk odwrócił głowę i spojrzał mu prosto w oczy. Connor sam nie mógł uwierzyć, ale zrobiło mu się żal chłopaka. Młody Wrathe miał wiele paskudnych cech, ale z całą pewnością nie był głupi. Nawet jeśli nie wiedział o specjalnej misji Connora, to przecież musiał zdawać sobie sprawę, że ktoś został wyznaczony, by go chronić - że za zamkniętymi drzwiami toczyły się ściszone rozmowy o tym, jak uchronić go od prawdziwego zagrożenia. Takie rozmowy, zdaniem Connora, były samospełniającą się przepowiednią. Jeśli rodzice będą wiecznie osłaniać Promyka przed prawdziwym niebezpieczeństwem, nigdy nie sprawdzi, czy da sobie radę. Jak może zostać bohaterem ktoś, kto nigdy nie poddał się próbie?

Takie myśli krążyły mu po głowie, kiedy grupa szturmowa podzieliła się i połowa wróciła z Barbarro i Trofie na drugi statek. Molucco oszedł także, aby z rodziną przeczekać wydarzenia w jednej z eleganckich kabin Tyfona. Z całego dowództwa tylko Cate miała wziąć udział w akcji. To ona reprezentowała Oceaniczną Kompanię Transportową i ona miała wprowadzić do fortu zespół specjalistów od przeprowadzek.

Kiedy statki dokonywały końcowego podejścia, Connor mógł podziwiać piękno konstrukcji fortu. Wody tu były spokojne jak w stawie, zwłaszcza w porównaniu do wzburzonego oceanu, po jakim żeglowali przez ostatnie kilka dni i nocy. A także, uświadomił sobie, po jakim znów będą żeglować i to całkiem niedługo. Kiedy księżę Yashodhan wzniósł fort,

nie stał on tuż nad brzegiem, jak teraz. Wtedy wznosił się majestatycznie na wysokim wzgórzu. Zapewne wyglądał imponująco, myślał Connor, ale obecna bliskość wody jakby podkreślała urodę budowli - powierzchnia odbijała każdy witraż w oknie, każdą wieżyczkę... Człowiek mógł patrzeć na dwa forty jednocześnie.

Oba statki zacumowały i Cate poprowadziła swój zespół po trapie na pomost. Okazało się, że Cesarz osobiście wyszedł im na spotkanie. Connor zauważył, że jest on drobnej budowy. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, o wiele wyższych, którzy zapewne odpowiadali za jego bezpieczeństwo. W tej chwili wyglądali, jakby obawiali się, że jakiś podmuch wiatru niczym piórko zwieje ich pracodawcę do wody.

- Dzień dobry, sir! - powitała go Cate, energiczna i rześka, ściskając mu rękę (w drugiej trzymała oficjalny notatnik OKT). - Nie spodziewałam się, że uczyni nam pan ten zaszczyt i osobiście nas dzisiaj powita.

Samozwańczy Cesarz odpowiedział wysokim, piskliwym głosem.

- Zawsze staram się dopilnować prawidłowego wykonania zlecenia - oświadczył. - Poza tym jesteście ostatnimi gośćmi, jakich kiedykolwiek powitam w Fortcie Zachodzącego Słońca.

- Tak. - Cate z uśmiechem skinęła głową. - Ale też będziemy pierwszymi gośćmi, których wprowadzi pan do Fortu Wschodzącego Słońca, pańskiego nowego domu.

- Chyba rzeczywiście. - Błady uśmiech przemknął po twarzy Cesarza. - Do rzeczy. Macie mapę, prawda?

- Oczywiście. - Cate przerzuciła kilka kartek w notatniku i znalazła kolorową mapę nawigacyjną. - Proszę się niczym nie przejmować, sir. Mamy wszystko, co potrzeba, i wszystko jest pod kontrolą.

- Dlatego wybraliśmy OKT - wtrącił jeden z pomocników Cesarza. - Dostaliście świetne rekomendacje.

- Cieszę się, że sprawdziliście nasze referencje. Cenne jest wszystko, co daje panom zaufanie do naszej firmy i zmniejsza stres.

Znakomicie gra, pomyślał Connor. Jest tak swobodna i sprawna, gotowa do pracy, ale bez podejrzanego pośpiechu.

- No cóż - rzekł Cesarz. - Przypuszczam, że chcecie już zacząć?

- Jasne - zapewniła Cate. - Może pokaże pan drogę i wyjaśni, jak wszystko jest ułożone. Wtedy wydam instrukcje moim ludziom.

Wskazała pięćdziesiątkę mężczyzn i kobiet w niebiesko-białych kombinezonach.

- Wielu ich... - zauważył Cesarz.

- No cóż, ma pan wiele rzeczy. A chcieliśmy o wszystkie zadbać jak najlepiej.

- Dlatego zamówiliśmy serwis de luxe, pamięta pan? - przypomniał szefowi jeden z ochroniarzy.

Cesarz wzruszył ramionami i skierował się po zielonym zboczu w stronę bramy fortu.

- Nie przejmujcie się nim - szepnął Cate drugi ochroniarz. - Jest dzisiaj bardzo rozdrażniony. A nawiasem mówiąc, świetny masz ten kombinezon. Bardzo marynarski.

- Tak - zgodziła się Cate. - Przypuszczam, że rzeczywiście.

Connor i Promyk razem wspinali się ścieżką do fortu, w kolumnie par „ekspertów od przewodzących”. Wewnątrz ominęli bogate pokoje mieszkalne i ruszyli do wielkich magazynów, gdzie spoczywały skarby Cesarza. Connor pamiętał, jak Cate mówiła, że wiele z nich prawie nigdy nie widzi światła dnia. To uspokoiło trochę jego poczucie winy wobec planowanego i znaczącego uszczuplenia bogactwa.

Wciąż słyszał, jak ochroniarz Cesarza gawędzi z Cate.

- Mówiłem ci już chyba, Catherine, że główny magazyn był oryginalnie ogromną łaźnią, którą książę Yashodhan zbudował dla księżniczki Savarny.

- Tak - odparła Cate. - Doskonale pamiętam.

- No, to jesteśmy na miejscu.

Za Cesarzem i jego dwoma ludźmi weszli do wielkiego magazynu. Connor rozejrzał się z zaciekawieniem. Budynek zachował jeszcze ślady dawnego przepychu. Trudno zaprzeczyć, że został wzniesiony w epickiej skali. Kiedy książę kochał, najwyraźniej nie chciał, by jego wybranka miała jakiegokolwiek wątpliwości.

Teraz basen kąpielowy został osuszony i wypełniony ponumerowanymi skrzyniami. Wyniesienie ich wszystkich na statki będzie morderczą pracą. Właśnie dlatego Cate podczas przygotowań do rajdu tak bardzo dbała o kondycję załogi.

- Główna część kolekcji Cesarza jest zgromadzona w tej łaźni i w galerii muzycznej po drugiej stronie dziedzińca - wyjaśnił ochroniarz. - Zostanę tu z wami do pomocy, a Alessandro dopilnuje wszystkiego w galerii.

- Dziękuję - powiedziała Cate. - To bardzo uprzejme, panie Esposito.

- Proszę cię, Catherine, lepiej się poczuje, jeśli będziesz się do mnie zwracać Salvatore.

- A więc Salvatore - zgodziła się. - Jak widzisz, OKT podejmuje wszelkie starania, żebyś się czuł jak najlepiej.

- Chyba was teraz zostawię - oświadczył Cesarz. Głos, jeśli to możliwe, zabrzmiał jeszcze wyżej. - Bardzo bym się denerwował, widząc, jak wynoszą moje skarby.

- Słusznie - zgodził się Salvatore. - Może odprowadzimy pana do głównego kompleksu. Tam pan odpocznie, a my wrócimy, żeby wyjaśnić ewentualne wątpliwości Catherine i pracownikom.

Cesarz wyciągnął do Cate swą kościstą dłoń.

- Proszę - szepnął. - Niech im pani powie, żeby byli ostrożni.

Cate chwyciła jego palce, bardzo delikatnie, by niczego nie złamać.

- Szanowny panie, mój zespół to specjaliści w trudnych przeprowadzkach. Proszę mi zaufać, dobrze się zaopiekujemy pańskimi skarbami. Będziemy je traktować, jakby stanowiły nasze własne bezcenne dziedzictwo.

- To pocieszające - stwierdził.

A potem wyszedł w towarzystwie Alessandra i Salvatora.

- No dobrze. - Cate zwróciła się do swoich ludzi. Ani na moment nie wychodząc z roli, postukała w sztywny notatnik. - Mam nadzieję, że wszyscy są przygotowani i w formie.

- Jasne, szefie - odpowiedzieli chórem, tak jak ćwiczyli wiele razy.

- Doskonale. W takim razie dzielimy się na dwie grupy. Zespół A zostaje tutaj i zaczyna pracę. Gdybyście mieli jakieś pytania, zwracajcie się do Barta. Zespół B idzie za mną do galerii muzycznej...

Trzy godziny później prace postępowały bez żadnych przeszkód. Żar lał się z nieba i Connor pocił się obficie pod kombinezonem. Podobnie Promyk. Connor widział, że jego partner ledwie sobie radzi. Starał się jak mógł, ale był chudszy i bardziej żylasty „od umięśnionego Connora. Ciężkie skrzynie w połączeniu z upałem szybko nadwątlily jego siły.

- Chyba zaraz padnę - zwierzył się Connorowi.

- Tak się zastanawiam - wtrącił Salvatore, który to usłyszał. - Może wasi ludzie zrobią sobie przerwę i trochę odpoczną?

Cate uśmiechnęła się i przerzuciła kartki w notatniku. Udawała, że się namyśla.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - powiedziała. - Ale jesteśmy już tak blisko końca załadunku, że chyba wytrzymamy jeszcze trochę.

- Jak chcesz - ustąpił Salvatore. - Ale nalegam, żeby przed odpłynięciem poczęstować waszą ekipę świeżą lemoniadą. Pracowali ciężko w takim upale.

Powachlował się dłonią. - Przynajmniej tyle możemy zrobić.

- Bardzo dziękuję - odparła Cate. - Moi ludzie chętnie się napiją.

- Doskonale! - ucieszył się Salvatore. - Pójdę wydać polecenia.

Kiedy wyszedł z łaźni, Cate dogoniła Connora i Promyka.

- Wszystko u was w porządku? - spytała.

Głos niczego nie zdradzał, ale Connor dostrzegł w jej oczach niepokój.

- Jak najlepszym - zapewnił.

- Strasznie mi gorąco - poskarżył się Promyk.

- Jak nam wszystkim - odrzekła. - Ale już prawie skończyliśmy. Przenieście tę skrzynię na statek. Potem zostanie tylko po jednym ładunku na każdego i załatwione.

- Tak, szefie. - Connor mrugnął do niej porozumiewawczo.

- No to do roboty. - Cate ani na moment nie wychodziła z roli. - Już niedługo! - rzuciła jeszcze, odchodząc.

Pary piratów zmienionych w tragarzy przenosiły ostatnie skrzynie skarbów z magazynów na statki. Operacja - zgodnie z przewidywaniami dowództwa - przebiegała ściśle według planu. Wszystkie ćwiczenia kondycyjne, a także inne przygotowania - od fałszywych kombinezonów po fałszywe referencje - opłaciły się wielokrotnie.

Teraz Cate spoglądała spod bramy fortu. Na trawę przy drodze do pomostu Salvatore wyniósł stół zastawiony szklankami lemoniady.

- To naprawdę bardzo uprzejme.

- Ależ skąd - zapewnił z uśmiechem. - Wasi ludzie się nie oszczędzali. A stąd do Fortu Wschodzącego Słońca jeszcze dobra godzina żeglugi. Ten poczęstunek to nasze podziękowanie.

Cate zebrała cały zespół na pomoście.

- Dobra robota, moi drodzy - pochwaliła. - Upalny dzień, na pewno wszyscy się zgodzicie. Ale nic nie powstrzyma OKT od wykonania zadania. Wkrótce odbijamy i popłyniemy do Fortu Wschodzącego Słońca, by wypakować cenny ładunek Cesarza. Ale wcześniej, pan... to znaczy Salvatore uprzejmie poczęstował nas świeżą lemoniadą. Więc proszę, podejdźcie, wypijcie po szklance i wracajcie na pokład, żeby trzymać się zaplanowanych terminów.

- Lemoniada! - usłyszał Connor wołanie Barta. - Wspaniale!

Kilkoro innych piratów podobnie wczuło się w rolę tragarzy. Connor dostrzegł lekki niepokój na twarzy Cate. Wiedział, że najchętniej posłałaby wszystkich na statek, gdzie nic by im już nie groziło.

Kiedy ekipa tragarzy odbierała napoje, Cate raz jeszcze odszukała Connora.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak, szefie.

- A gdzie jest Promyk?

- Tutaj. - Connor się obejrzał. - Tuż za...

Ale Promyka nie było.

- Gdzie się podział? - spytała Cate.

Starła się mówić swobodnym, wesołym głosem.

- Nie wiem - odparł Connor ze sztucznym uśmiechem. Czuł, że serce bije mu coraz szybciej.

- Connor, to było twoje podstawowe zadanie - wysyczała Cate. - Odszukaj go. Szybko!

- Coś się stało? - zainteresował się Salvatore, stając obok Cate.

- Wszystko w najlepszym porządku - odparła. - Doskonała lemoniada, nawiasem mówiąc.

Musisz mi dać przepis.

- Sekret polega na kilku liściach mięty. - Salvatore mrugnął do niej porozumiewawczo.

Connor tymczasem odszedł szukać Promyka. Gdzie on się podziewa? Zanieśli skrzynię i razem zeszli z pokładu Diabła, więc nie mógł zostać na statku. Musi być gdzieś w forcie, ale gdzie? Connor przyjrzał się grupie pijących, ale wśród pięćdziesięciu tak samo ubranych osób niełatwo było wypatrzeć kogoś konkretnego.

Gdzie jest Promyk?

I nagle odpowiedź nadeszła sama. Pod bramą fortu dało się słyszeć hałasy, a potem ukazał się potężniejszy z dwóch ochroniarzy, Alessandro, prowadzący Promyka. Connor pomyślał z początku, że tamten zemdlął z gorąca, ale zaraz się zorientował, że Alessandro nie podtrzymuje Promyka, a raczej wlecze go za sobą.

- Co się dzieje? - zwrócił się do kolegi Salvatore.

- Właśnie - dodała Cate, stojąca tuż przy nim. - Co się stało, u licha?

- Obawiam się, że nastąpił nieprzyjemny wypadek - odparł Alessandro. - Dotyczący jednego z waszych pracowników.

Wszystkie oczy skierowały się na Promyka, a potem znów na ochroniarza.

- Wydaje się - oznajmił, marszcząc brwi - że nasze zaufanie do OKT było nieuzasadnione.

Rozdział 35

Dziewczęce pogawędki

Sen nie nadchodził. Może naturalny rytm dobowy Grace został zakłócony przez wydarzenia ubiegłej nocy - nie była pewna. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: im dłużej leżała w łóżku, zamykała oczy i usiłowała zasnąć, tym bardziej czuła się rozbudzona.

Postanowiła szukać innych możliwości. Wstała, ubrała się i wyszła na korytarz. Panowała całkowita cisza. Miała ochotę sprawdzić, czy Lorcan nie śpi. Gdyby nie, mogłaby z nim porozmawiać albo poczytać Tajemniczy ogród. Dotarli już do miejsca, w którym Mary znalazła klucz do zamkniętego, otoczonego murem ogrodu na terenie rezydencji. Grace miała nadzieję, że przez ten czas Lorcan przestał się gniewać z powodu wstążki.

Podeszła pod drzwi jego pokoju. Chciała zapukać, ale uznała, że nieładnie byłoby go budzić, gdyby jednak spał. Pchnęła więc drzwi i weszła do mrocznego wnętrza. Oczywiście Lorcan miał oczy przesłonięte bandażem - tak samo jak wtedy, kiedy zostawiła go kilka godzin temu. Leżał nieruchomo. Podeszła bliżej, ale było jasne, że śpi mocno.

Co za pech... Tyle nocy męczyła się z jego bezsennością, a ten jeden raz, kiedy sama nie mogła usnąć, on jak na złość spał jak kamień. Oczywiście cieszyła się z tego - na pewno dobrze to wróży procesowi leczenia. Wzięła z nocnej szafki Tajemniczy ogród. I tak mu się na nic nie przyda, skoro ona nie będzie mu czytać, a jej pozwoli zabić jakoś czas.

Poszła korytarzem dalej. Wciąż nie spotkała nikogo. Skręciła w stronę pokoju rekreacyjnego - może będzie tam Johnny i rozmawiają sobie albo pograją w szachy... Jednak już na zakręcie wyczuła, że pokój jest pusty. Zajrzała do środka i przekonała się, że szachownica Johnny'ego leży tam gdzie zawsze, ale jego nie ma.

Westchnęła, usiadła i otworzyła książkę. Zaczęła czytać, ale jakaś jej część protestowała przeciwko lekturze bez Lorcana. Zresztą nie miała nastroju na czytanie. Włożyła na miejsce nową zakładkę - piórko, które znalazła na wycieczce z Olivierem - i zatrzasnęła książkę.

Przyjrzała się szachownicy. Partia trwała chyba od jakiegoś czasu... Wiedziała, że Johnny często z nudów gra sam ze sobą. Może powinna wziąć z niego przykład? Oceniała rozstawienie figur.

- Moim zdaniem najlepszy będzie koń na C4.

Grace aż podskoczyła. Zajęta szachownicą, nie zauważyła nawet, że ktoś wszedł do pokoju. Uniosła głowę, ale nie zobaczyła nikogo.

- A może przesunąć gońca, żeby zagrozić wieży. Tym razem rozpoznała ten głos i odwróciła się z uśmiechem. - Darcy! - zawołała. - Darcy, jak cudownie cię widzieć! Darcy Flotsam z promiennym uśmiechem wysunęła się zza pleców Grace, która wyciągnęła ramiona, by uściskać ją na powitanie. Ale Darcy rozłożyła ręce.

- Przykro mi - powiedziała. - Jestem tu nie naprawdę, tylko astro coś tam!

- Astralnie - poprawiła ją Grace.

- No właśnie. Jak wtedy, kiedy przyszedłam cię odwiedzić na tym pirackim statku.

- Pamiętam. - Grace kiwnęła głową.

Nieważne, że nie mogła dotknąć Darcy. Wspaniale, że mogła z nią porozmawiać. Uśmiechając się od ucha do ucha, wskazała przyjaciółce krzesło.

- Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłam - mówiła Darcy, unosząc się nad siedzeniem.

- Nie mogłam zasnąć, a na Nokturnie brakuje mi towarzystwa. Poza tym tęskniłam za tobą, Grace. I za naszymi dziewczęcymi pogawędkami.

- Dokładnie wiem, o czym mówisz. I nie mogłaś wybrać lepszego momentu na wizytę. Ja też miałam kłopoty z zaśnięciem, za to Lorcan śpi jak zabity...

- A jak on się czuje? - Głos i spojrzenie Darcy wyrażały głęboką troskę.

- Coraz lepiej - zapewniła Grace. - Fizyczne rany zaczynają się goić. Trzeba na to czasu, ale Olivier... to jeden z asystentów Mosh Zu... przygotował specjalną maść i ona chyba działa. Ale jego choroba nie jest tylko fizyczna. Mosh Zu podejrzewa, że ślepotę Lorcana ma podłoże psychosomatyczne, przynajmniej w części.

- Sycho-ma-jakie? - Darcy zrobiła niemal zeza.

- Psychosomatyczne - powtórzyła z uśmiechem Grace. - Jego schorzenie nie jest przez to wcale mniej realne, ale wywołują ją raczej psychiczne niż fizyczne czynniki. Najczęstszą przyczyną jest stres, więc Mosh Zu podejrzewa, że coś wywołało silny wstrząs u Lorcana.

- To musiało być coś poważnego, jeśli od tego oślepl.

Grace przytaknęła. Myślała o tym, co odkryła we wstążce Lorcana. Jakaś jej część pragnęła zwierzyć się Darcy, która zawsze okazywała się pełnym zrozumienia słuchaczem. Wiedziała jednak, że ten temat zepsuje nastrój im obu. Lepiej poczekać do innej okazji. Na razie miała ochotę na ploteczki oraz, z braku lepszego określenia, „dziewczęce pogawędki”.

- Opowiadaj - zwróciła się do przyjaciółki. - Co się działo na Nokturnie po moim odejściu?

Darcy szeroko otworzyła oczy.

- Nie uwierzysz, jak dużo! - No to mów! Nie chcę, żebyś nagle odpłynęła z powrotem na statek, zanim usłyszę chociaż część!

- O to się nie martw - uspokoiła ją Darcy. - Chyba nabrałam wprawy w tych astrowizytach. Kapitan udzielił mi kilku wskazówek. Ale słuchaj, teraz będzie najważniejsze. - Zdawało się, że zaraz eksploduje. - Grace, chyba się zakochałam!

- Zakochałaś! Jej, to rzeczywiście sensacja! Kim jest ten szczęśliwiec?

- To pan Jetsam, oczywiście. Wiesz, że przez cały czas czekałam na pana Jetsama, moją jedyną prawdziwą miłość?

- No tak - przyznała Grace. - Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że w twoim życiu pojawił się ktoś, kto naprawdę nazywa się pan Jetsam?

Darcy pokręciła głową i odgarnęła włosy za uszy.

- Nie, nie. Na to nie liczyłam. Ale wiedziałam w głębi serca, a w każdym razie w tym miejscu, gdzie kiedyś miałam serce, jakim człowiekiem będzie pan Jetsam. I myślę, że właśnie zjawił się na pokładzie.

Grace była uradowana.

- No więc jak się nazywa?

- Nazywa się Stukeley - odparła Darcy rozmarzonym nagle głosem. - Jez Stukeley.

- Jez Stukeley - powtórzyła Grace.

- Coś się stało? - wystraszyła się Darcy.

- Nie, nic. Nic zupełnie.

- Nie oszukuj mnie, Grace. Może jestem tu tylko astralnie, ale umysł mam ostry jak pinezka. Coś jest w twoim głosie... Jakby ostrzeżenie.

- Nie - zapewniła Grace. - Zdziwiłam się tylko. Bo widzisz, ja znałam Jeza Stukeleya. Był przyjacielem Connora na Diabłu. Zginął parę miesięcy temu.

- No tak. Wiem o tym. I to jest ten sam Jez Stukeley. Znaczący, to przecież nie jest pospolite nazwisko. Zresztą w moim Jezie nie ma nic pospolitego. I to Connor przyплыł z nim na statek.

- Connor był na Nokturnie?

- No tak! Connor i ten jego umięśniony przyjaciel... zapomniałam imienia.

- Bart - uśmiechnęła się Grace.

- Właśnie ten! Bart. Connor i Bart przyплыли na Nokturn z Jeżem. Chcieli, żeby kapitan mu pomógł. Widzisz, Jez przeszedł granicę po pojedynku.

- Tak. - Opowieść Darcy zaczynała nabierać sensu. - Wiem. Byłam wtedy na Diabłu. Uczestniczyłam w pogrzebie.

- No tak... Oczywiście, że tak. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Mów dalej.

- No więc okazuje się, że kiedy zrzucili trumnę do oceanu, Sidorio znalazł ją, rozbił i stworzył Jeza, żeby ten został jego pomocnikiem. Teraz jest wampirem, jak ja.

- Jez został wampirem? - wykrzyknęła Grace. To rzeczywiście sensacyjna wiadomość.

- Nie, głuptasie - zaprotestowała Darcy. - Nie wampirem. Wampirem. Jak ja.

- Rozumiem.

Grace wciąż czuła się oszołomiona wieścią, że Connor odwiedził jej statek. Skąd wiedział, gdzie go szukać? Czyżby łączyła go z nim ta sama dziwna więź jak ją? To prawdziwa niespodzianka.

- Mówiłaś, że Connor i Bart przyплыli z Jeżem, by prosić kapitana o pomoc. Jaką pomoc?

- Wiesz, że Sidorio zniknął, podobno zginął? To prawdziwe błogosławieństwo, z wielu powodów. A jednym z nich, wcale nie najmniej ważnym, jest ten, że Jez był całkowicie pod jego wpływem. Możesz to sobie chyba wyobrazić, prawda? Być stwórcą dla innego wampira to trochę tak, jak być jego ojcem... a domyślasz się, jakim ojcem mógł być Sidorio.

Darcy znów otworzyła szeroko oczy, a Grace wzdrygnęła się na samą myśl.

- Kiedy zniknął Sidorio, Jez został całkiem sam na świecie. Robił niedobre rzeczy. Ale jak mógłby się powstrzymać? Bardzo trudno się dostosować do Postśmierci. I nie miał nikogo,

kto by mu pomógł. Nie tak, jak my, na Nokturnie z kapitanem, albo ci tutaj, z Mosh Zu. Jez był tak zagubiony, że myślał nawet o... no, o skończeniu tego wszystkiego.

Grace wytrzeszczyła oczy.

- To możliwe? - zdziwiła się.

Jej wiedza o umieraniu wampirów - czy co tam jest dalej po śmierci - była minimalna.

- Nie wiem - przyznała Darcy. - Ale myślę, że nie ma końca udrękom, jakich można doznawać w tym świecie... To znaczy w twoim świecie i w moim.

Grace odruchowo sięgnęła do ręki Darcy, ale jej palce przeniknęły przez widmowy przegub.

- Żyjemy w tym samym świecie, Darcy.

- No tak... Ale wiesz, o co mi chodzi.

- No, a jak sobie radzi Jez, odkąd został przyjęty do załogi?

- O wiele lepiej. Myślę, że naprawdę jest szczęśliwy. Właściwie to stał się dla Nokturnu jak powiew świeżego powietrza.

- A bez problemów przyzwyczał się do Uczty i relacji z donorem? - spytała Grace.

Darcy zmarszczyła niechętnie czoło.

- Musiałś zacząć ten temat?

- Przepraszam... Ma kłopoty z donorem?

Darcy pokręciła głową.

- Nie, nie ma. Ale ja mam! Kapitan musiał mu przydzielić akurat Shanti!

- Shanti? - Początkowo Grace była zaskoczona, ale po chwili wszystko nabrało sensu.

- No wiesz, kiedy wróciła z kapitanem z Sanktuarium, nie miała za partnera żadnego wampira, oczywiście. I wcale jej to nie służyło. Dlatego połączenie z Jeżem wydawało się znakomitym rozwiązaniem. Ale wołałabym, Grace, żeby tak się nie stało. Naprawdę. Ona jest taka o nas zazdrosna... Wszyscy wiemy, że wampiry i donatorów łączy bardzo szczególna więź. Mam bardzo bliski związek z moim Edwardem, ale przecież całkiem inny od związku z Jeżem. Inny od związku romantycznego.

- A co na to Jez? - zainteresowała się Grace.

- Och, mówi, że wszystko to sobie wyobrażam. Zapewnia, że nic nie ma między nimi, że to czysto robocze kontakty. Ale sama wiesz, jaka jest Shanti. Widziałas, jaka była zaborcza wobec Lorcana.

- Tak... - zgodziła się Grace. - Ale lepiej uważaj, Darcy. Wiem, myślisz, że jesteś zakochana, ale ja nie chciałabym, żebyś ucierpiała.

- Wcale nie myślę, że jestem zakochana - odparła z zapałem Darcy. - Ja to wiem. I czuję. Jez to mój pan Jetsam. Poczułam to już w chwili, kiedy wszedł na pokład.

Grace miała wątpliwości. Będzie musiała w miarę możliwości śledzić tę sytuację. Ale nie chciała teraz psuć humoru przyjaciółce.

- Bardzo się cieszę, że jesteś szczęśliwa - zapewniła. - Widzę, że chodzisz bardziej energicznie i policzki masz zarumienione.

- Nie, to nie z powodu Jeza - uśmiechnęła się Darcy. - To mój nowy róż... Pożyczę ci, kiedy spotkamy się naprawdę... Tak, już idę... Kto tam?

Grace się zdziwiła.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Ach, to ty... Jedną chwilę, właśnie coś kończę! Grace, muszę zniknąć. On stoi pod drzwiami. Przepraszam, ale muszę przerwać tę astralną wizytę. Tak dobrze było znów cię zobaczyć!

- Ciebie również... Grace wstała, by się pożegnać, ale Darcy rozviała się już bez śladu. Typowe, pomyślała Grace. Kiedy Darcy tylko spotka mężczyznę, znika z oczu.

Usiadła znowu i ponuro spojrzała na szachownicę.

- Przetawiałaś coś?

- Johnny! - Uniosła głowę i zobaczyła, że stoi przed nią z uśmiechem. Miał na sobie płaszcz kąpielowy, a swą bandanę zawiązał na szyi.

- Nie mogłem zasnąć - oświadczył.

- Ja też nie.

Usiadł na krześle obok niej.

- Rozmawiałaś z kimś? Przed chwilą, zanim wszedłem?

Grace zaprzeczyła. Uznała, że prostsze będzie niewielkie kłamstwo.

- Nie - powiedziała. - Tak tylko mówiłam do siebie.

Johnny wykreślił palcem kółko na czole.

- Nie będę się z tobą przyjaźnił, jeśli stracisz rozum - ostrzegł. - Powinnaś o tym wiedzieć.

- Dzięki za szczerość, kowboju - odparła. - A teraz siadaj i zrób ruch. Dzisiaj grasz czarnymi.

Rozdział 36

Komplikacje

Wszystkie oczy spoglądały na Alessandra i Promyka. Cate wysunęła się naprzód. Connor wyczuwał, że myśli intensywnie. Najważniejsze, by załoga potrafiła wyczuć jej intencje. Sytuacja przesunęła się w strefę zagrożenia, ale zależnie od rozwoju wydarzeń, wciąż możliwe było uniknięcie bezpośredniego starcia.

Alessandro mocno trzymał Promyka, lecz zwrócił się do Cate.

- Wasz chłopak pytał, czy może skorzystać z toalety. Oczywiście, pokazałem mu drogę. Ale wracając, zboczył na małą wycieczkę przez osobiste pokoje Cesarza i zabrał stamtąd parę pamiątek.

Sięgnął Promykowi do kieszeni i wyjął garść przedmiotów. Connor, tak jak i pozostali, osłupiał. Wydawało się, że fascynacja szafirami jest u Wrathe'ów cechą rodzinną.

Promyk nie próbował nawet się tłumaczyć. Wyglądał na zirytowanego tym, że dał się złapać. Connor nie wiedział, czy chłopak w ogóle zdaje sobie sprawę, co zrobił. Naraził na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale też Cate i całą grupę.

- Strasznie mi przykro - zapewniła Cate. - Oczywiście, będę musiała porozmawiać osobiście z moim pracownikiem, żeby dokładniej zbadać tę sprawę. Ale mogę zapewnić, że to odosobniony przypadek.

Alessandro nie dał się łatwo przekonać.

- Prawdę mówiąc, po OKT spodziewaliśmy się lepszego zachowania.

- Oczywiście - zgodziła się Cate. - I na tym etapie mogę ofiarować jedynie moje szczere przeprosiny, a także obiecać znaczącą redukcję opłat.

Alessandro pokręcił głową.

- To nie takie proste - oświadczył. - Nastąpiło naruszenie bezpieczeństwa. Nie czuję się pewny, korzystając z waszej firmy. Kontrakt zostaje anulowany. Oczekujemy zwrotu zaliczki. I proszę wyładować ze statków wszystkie przedmioty należące do Cesarza.

- Wyładować? - Cate mówiła spokojnie, choć jej mina zdradzała wszystko. - Czy moglibyśmy o tym porozmawiać? Nie próbuję lekceważyć powagi wykroczenia, ale pozostała część załogi zachowywała się bardzo profesjonalnie.

- Na to mamy tylko twoje słowo. - Alessandro wzruszył ramionami. - A, jak powiedziałem, to słowo straciło wiarygodność.

Connor wstrzymał oddech. Co się teraz stanie? Nie chciał nawet myśleć o wynoszeniu z powrotem wszystkich skrzyń. Cate na pewno do tego nie dopuści.

- Oczywiście - rzekła. - Jeśli nie jesteście zadowoleni, musimy zrobić wszystko, żeby to zmienić.

- Alex... - Salvatore podeszedł do kolegi. - Nie sądzisz, że jesteś trochę zbyt surowy? Wiesz, jedno zgniłe jabłko i tak dalej...

- Nie, Salvatore, nie sądzę. Nadużyto naszego zaufania. Kto wie, jakie jeszcze wyczyny planowała ta ekipa?

Wśród ludzi rozległy się niechętne pomruki. Connor był zdumiony talentem aktorskim piratów, kiedy odgrywali zirytowanych tragarzy.

- Proszę... - powiedziała Cate. - Rozumiem, że jesteście rozczarowani, bardzo rozczarowani postępowaniem tego... - Przyjrzała się Promykowi, jakby szukała odpowiedniego określenia. -...Tego członka mojego zespołu. Ale nie będę stała spokojnie i pozwalała na obrażanie pozostałych, którzy pracowali ciężko i w dobrej wierze.

- Spróbuj zrozumieć - odparł Alessandro. - Twoje uczucia nie mają żadnego znaczenia. Ważne jest to, że spory osobisty majątek Cesarza znalazł się w niebezpieczeństwie. Powiedz swoim ludziom, żeby odstawili tę lemoniadę i zaczęli przenosić towar z powrotem do fortu.

Cate była bliska łez - Connor nie umiał stwierdzić, prawdziwych czy nie.

- No dobrze - ustąpiła. - Dobrze. Słuchajcie mnie wszyscy! Zrobimy to, co nam polecono. Wracajcie na statki i zaczynajcie wyładunek. Tylko ostrożnie. Przepraszam na moment - zwróciła się do Alessandra i Salvatora. - Muszę przekazać instrukcje mojemu zastępcy.

Podeszła do Barta. Connor słyszał, jak szybko i precyzyjnie wydaje polecenia.

- Weź wszystkich na statki. I przygotujcie się do wypłynięcia. Jasne?

- Tak, szefie. - Bart pokiwał głową.

- Załatwię sprawę Promyka i dołączę. Ale nikomu nie wolno schodzić na ląd, rozumiesz?

- Tak, szefie - powtórzył.

Bart ruszył do pomostu, spokojnie przekazując wszystkim rozkazy. Po chwili na trawie zostali tylko Alessandro, Salvatore, Promyk i Cate. To znaczy, ta czwórka plus jeszcze jedna osoba.

- Connor... - Cate dopiero teraz go zauważyła. - Na co czekasz? Wracaj na statek i bierz się do pracy razem z resztą. Wszyscy musimy się zwinąć, żeby wyładować skrzynie.

- Ale, szefie... - odpowiedział natychmiast. - On jest moim partnerem. - Ruchem głowy wskazał Promyka. - Przecież sam nie mogę nosić skrzyń.

Cate uśmiechnęła się - a ten uśmiech przekazywał liczne myśli i emocje, których nie mogła wyrazić inaczej.

Potem zwróciła się do Salvatora.

- Złapaliście złodzieja - rzekła. - Możecie być pewni, że zostanie surowo ukarany. Ale tymczasem najważniejsze to wynieść ze statków wasz ładunek. Bez tej dwójki potrwa to dłużej. Czy zechcecie zwolnić chłopaka, żeby mógł pracować ze swoim partnerem, a tymczasem my we trójkę ustalimy, jak zrekompensować wam całe to zamieszanie?

Salvatore pokiwał głową.

- Tak, to chyba roz...

- Nie! - przerwał mu Alessandro. - Nie wydaje mi się.

W tej właśnie chwili Promyk podjął decyzję. Connor wiedział, co zamierza zrobić, jakby tamten poruszał się w zwolnionym tempie. I gdyby odważył się otworzyć usta, krzyknąłby: „Nieeeeeee!”. Ale patrzył tylko, jak Promyk odpycha Alessandra na bok i zaczyna uciekać. Alessandro upadł ciężko na Cate i Salvatora; cała trójka potoczyła się po ziemi.

Promyk zerwał klapę kombinezonu i wyjął swoją broń - gwiaździste shuriken. Zaczął nimi rzucać w ochroniarzy. Był to typowy atak Promyka - instynktowny, nieplanowany i zjadliwy.

Obaj strażnicy poderwali się szybko.

- Mówiłem! - krzyknął Alessandro, ruszając za Promykiem. - Mówiłem ci, Salvatore! Oszukali nas!

Wskazał na wodę, gdzie oba statki podnosiły kotwice.

Przez moment Salvatore wyglądał na załamanego. Potem wy dobył zdobiony klejnotami sztylet i rzucił się na Cate. Nie miał chyba ochoty na dalsze pogawędki, gdyż pchnął ostrze w kierunku jej serca. Cate odsłoniła szpadę i fachowo odbiła cios, a kiedy ochroniarz szykował się

do następnego ataku, szybkim ruchem wbiła ją w jego pierś. Padł oszołomiony, a ona spojrzała na niego z góry.

- Twoja lemoniada nie była aż tak świetna - rzuciła.

Connor obserwował, jak Alessandro dogania Promyka i powala go na ziemię. Podobnie jak jego kolega, miał przy sobie nieduży ozdobny sztylet. Dotknął nim gardła Promyka.

- Spraw mi to przyjemność - oświadczył.

- Nie!

Connor skoczył naprzód, gdy Alessandro opuścił klingę. Rzucił się na niego i wbił ostrze rapiera między łopatki strażnika. Z rany trysnęła krew, a na koszuli pojawił się rosnący czerwony krąg. Ciało Alessandra opadło na Promyka i przycisnęło go do ziemi. Sztylet, jeszcze przed chwilą niosący pewną śmierć, tkwił wbity w przystrzyżony trawnik Cesarza.

- Zdejmijcie go ze mnie! - zawołał Promyk. - Zdejmijcie go!

Connor upadł na Alessandra, wciąż zaciskając palce na rękojeści rapiera. Teraz podniósł się niepewnie z bezwładnego ciała ofiary. Na pewnym poziomie dokładnie wiedział, co zrobił. Cate rozkazała mu za wszelką cenę bronić Promyka; kiedy zobaczył, że ochroniarz atakuje, instynkt i szkolenie pokierowały jego ruchami.

Zdawał sobie sprawę, że zabił Alessandra i uratował Promyka. Ale nie podejmował świadomej decyzji, by zabić. Nie miał na to czasu. Nie miał również czasu na rozważania, czy powinien tylko Alessandra zranić, czy też zabić go na miejscu. Kiedy patrzył, jak ostrze rapiera przebija koszulę i zagłębia się w ciele, zdawało mu się, że ogląda akcję kogoś innego. Jakby ktoś inny wyrwał mu z ręki miecz i wykonał brudną robotę. Myśli pędziły szaleńczo przez głowę.

To się nie dzieje ze mną... Nie zrobiłem tego... Nie jestem... Nie jestem...

Ale w rękach tkwił niezaprzeczalny dowód - zakrwawiony rapier.

- Zdejmijcie go ze mnie! - wykrzyknął jeszcze raz Promyk.

Miał wrażenie, że wszystko najpierw rozgrywało się w zwolnionym tempie, a potem w tempie dwukrotnie przyspieszonym. Cate znalazła się nagle przy Connorze, sięgnęła oburącz i pomogła mu ściągnąć z Promyka martwe ciało. Później wielokrotnie wspominał ten ciężar i kojarzył go z tuszą mięsa albo workiem ziemniaków. Teraz myślał tylko o wysiłku i o tym, ile jest wokół krwi. Zdawało się, że wycieka wszystkimi porami skóry zabitego. Cała trójka była pokryta czerwonymi plamami. Promyk leżał nieruchomo, całkiem nią zalany.

- Biegiem! - krzyknęła Cate, szarpnięciem stawiając go na nogi. - Jak najszybciej! Na statek!

Odwróciła się i popchnęła Connora.

- Ty też! - wrzasnęła. - Biegiem!

Ale Connor nie mógł się ruszyć.

- Zabiłem go - powiedział, patrząc na kałużę krwi, która zabarwiła czerwienią białą koszulę Alessandra. Rzeczywistość docierała do niego szybko. - Zabiłem go?

- Tak - potwierdziła Cate. - Ja zabiłam jednego, ty drugiego. I co, chcesz dostać medal? Wracaj na statek. JUŻ!

Pchnęła go mocno i oboje pobiegli na pomost. Serce Connora było szaleńczo, pędzone straszną mieszaniną adrenaliny i strachu. Przebiegł przez trap, a Diabło zaczął sunąć do wyjścia z portu.

Potykając się na pokładzie, coraz bardziej tracił orientację co do wydarzeń. Chciałby cofnąć czas, nie po to, by coś zmienić, ale by obejrzeć zdarzenia wolniej niż w rzeczywistości - i zrozumieć. Jednak czas nie mógł się cofnąć. Nie dla niego. Nie dla dwóch martwych ochroniarzy, leżących bez życia na zielonej murawie przed bramą fortu, który zniknął szybko z oczu.

Spojrzał w bok. Wciąż ścisnął w dłoni rapier. Jego klingę pokrywała schnąca krew, która jeszcze niedawno krążyła w ciele Alessandra. Ile czasu minęło od tej chwili? Pięć minut? Dziesięć? Przez taki okres Connor był zabójcą.

Wiedział, że pewnego dnia może zabić. Ale liczył na to, że ten dzień jest daleko przed nim. Że zdąży się do tego przygotować. Jednak życie miało dla Connora Tempesta inne plany. Bez żadnych zapowiedzi pokonał drogę, z której nie miał już powrotu. W ciągu kilku sekund z pirata stał się zabójcą. A teraz przez całe życie będzie próbował uporać się z tym, do czego skłonił go instynkt.

Statek sunął po oceanie, a Connor po raz ostatni spojrzał na leżących na trawie strażników. A potem znowu na pokrwawiony rapier. Dłoń zaczęła mu dygotać; poczuł, że broń wyslizguje się i upada na deski pokładu. Kiedy się schylił, nawiedziła go wizja nie miecza, ale Alessandra, patrzącego na niego z kałuży krwi.

- Zabiłeś mnie! - wykrzyknął ochroniarz, na wpół zaskoczony, na wpół rozgniewany. - Zabiłeś! Dlaczego?

- Miałem rozkazy - odparł Connor.

Alessandro przyjrzał mu się z niesmakiem.

- Tego, co zrobiłeś, nie możesz usprawiedliwiać rozkazem.

- Mogę - upierał się Connor. - Bronilem towarzysza.

- Jego? - Alessandro spojrzał lekceważąco za jego plecy. Connor obejrzał się i zobaczył, jak Promyk ściąga zakrwawioną koszulę i sięga po ręcznik. - Przecież go nawet nie lubisz. Więcej, gardzisz nim.

Nie było to zbyt dalekie od prawdy, uświadomił sobie Connor.

- Przykro mi - rzekł. - Ale zrobiłem tylko to, co musiałem.

Alessandro pokręcił głową.

- Odchodzę teraz - oznajmił. - Ale nigdy mnie nie zapomnisz. Nigdy się nie zapomina swojej pierwszej ofiary.

I nagle wizja strażnika zniknęła, a pochylony Connor patrzył już tylko na swój miecz. Podniósł go i wytarł ostrze o spodnie. Przez moment klinga była czysta, a potem znów pokryła się krwią. Jak to możliwe? Ponownie wytarł rapier. Spojrzał na czyste ostrze i odetchnął z ulgą. Ale po chwili na metalu znów pojawiła się świeża krew. Całkiem jakby to miecz został zraniony.

- Nie! - krzyknął.

Najpierw przemawiają do niego martwi, a teraz własny rapier wyczynia jakieś sztuczki...

Rozdział 37

Uczta Stukeleya

Stukeley uśmiecha się od ucha do ucha. Cieszy się na swoją czwartą Ucztę na pokładzie Nokturnu. Kapitan... ehm, to znaczy Sidorio, bo przecież Stukeley ma teraz (a przynajmniej udaje, że ma) nowego kapitana... No więc Sidorio nic mu nie mówił o takich rozkoszach. Oczywiście, on sam pewnie nie cenił tych ceremonii. Rytuał go nudził - całe to ubieranie się w najelegantsze stroje, jakby się szykował do balu, cały ten formalny bankiet, w którym żadne jedzenie nie dotykało jego warg, bo po co mu jedzenie? A może najbardziej ze wszystkiego nudziła Sidorio konieczność prowadzenia pogawędki z donorem. Ale wszystko, co nużyło jego mistrza, dla Stukeleya stanowi źródło niezwyklej radości. Od smokingu i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, po migotanie świec wzdłuż całej długości stołu, dygnięcie Shanti i jego ukłon - tak, ze wszystkich tych powodów - i jeszcze kilku innych - Stukeley nie mógłby być bardziej szczęśliwy.

Shanti także wydaje się szczęśliwa. Papla bez przerwy, wierząc zapewne, że on jak mucha unosi się nad każdym jej słowem. Jez tymczasem kiwa głową, wydaje jakieś niezobowiązujące dźwięki, uśmiecha się w odpowiedzi na jej uśmiechy. W ten sposób jest przekonana, że tylko jej poświęca uwagę, gdy tymczasem jego myśli wędrują całkiem gdzie indziej. Ma wiele do przemyślenia. Ryzykuje szybki rzut oka wzdłuż stołu. Rzędy wampirów i donorów ciągną się po obu stronach niemal w nieskończoność. Pamięta o swojej misji.

- Przepraszam, moja droga - zwraca się do Shanti.

Pochyla się i chwyta jej kieliszek. Ona obserwuje go z zaciekawioną, kiedy drugą ręką podnosi nieużywany nóż - Shanti je wszystko widelcem i palcami; niezbyt to eleganckie, ale Stukeley może jej wybaczyć.

Stukeley wstaje i uderza w kieliszek nożem - jeden, dwa, trzy razy.

- Panie i panowie - mówi. - Panie i panowie, zechciejcie przez najkrótszą chwilę poświęcić mi uwagę.

- Siadaj, Stukeley! - słyszy szept w głowie.

Uśmiecha się pobłaźliwie do kapitana i mówi dalej.

- Panie i panowie, nie chcę powstrzymywać was przed tą wspaniałą Ucztą. Chciałem tylko powiedzieć...

- Siadaj i bądź cicho!

- Chciałem serdecznie podziękować naszemu wielkodusznemu gospodarzowi, kapitanowi. Dzisiaj przypada moja czwarta Uczta na pokładzie Nokturnu i spędzam tutaj piękne chwile.

- Siadaj, Stukeley! Natychmiast!

- Wybaczcie, jeśli wydam się trochę nietaktowny... wciąż jestem tu nowy. Wiem, że tradycyjnie nie wygłasza się przemówień przy takich okazjach. Ale to przecież nie jest żadne przemówienie. Raczej toast. Jeśli macie przed sobą kieliszki, unieście je teraz, proszę. A ci z nas, którzy kieliszków nie mają... No cóż, my także na swój sposób spełnimy ten toast później.

Śmiechy tu i tam...

- Ale proszę was, czy trzymacie teraz kieliszki, czy nie, dołączcie do mnie w tym toaście, będącym podziękowaniem dla kapitana. Będącym wyrazem wdzięczności dla tego, który nam wszystkim daje bezpieczną przystań. Za kapitana!

Podnosi kieliszek. Donorzy idą za jego przykładem. Niektóre wampiry, rozbawione tym odstępstwem od normy, także unoszą dłonie, jakby ściskali niewidzialne kielichy. I razem, donorzy i wampiry, wołają:

- Za kapitana!

- A teraz, panie i panowie, czy ktoś z was zechce przyłączyć się do tańca?

Na te słowa cicha, perkusyjna muzyka Uczty rozbrzmiewa szybciej i głośniej. Stukeley kiwa głową muzykom w rogu. Uśmiechają się. W końcu mogą zagrać coś nowego.

- Usiądź, Stukeley! - powtarza jeszcze raz kapitan.

Ale Stukeley porywa już Shanti na środek sali. Zaczyna wirować z nią dookoła. Muzyka brzmi głośniej.

- Dalej! - woła Stukeley do pozostałych, ignorując protesty kapitana.

Dowódca statku stoi nieruchomo jak posąg, gdy Stukeley i Shanti tańczą wokół niego.

- Proszę się przyłączyć! Ta noc to powód do radości!

- Nie - mówi kapitan.

I teraz nie tylko Stukeley go słyszy. Teraz nie tylko Stukeley mu się przeciwstawia. Inni spośród wampiratów prowadzą swoich donorów na środek i zaczynają tańczyć. Ich twarze wyrażają mieszaninę strachu, radości i buntu.

Kręcąc głową, kapitan przeciska się między nimi i wychodzi. Wiele wampirów powstaje i z donorami rusza za nim. Nie chcą w tym uczestniczyć. Ale inni przyłączają się do tańca, zaskoczeni, że można tak zmienić rytuał Uczty. Z podziwem spoglądają na Stukeleya. Jest nowy na tym statku - jest niczym tak bardzo potrzebny powiew świeżego powietrza. Ręce wyciągają się nad stołem, stopy mkną na środek. Czy istnieje muzyka słodsza i bardziej kusząca od tej? Nie da się ustać w miejscu.

Różne pary prezentują różne style. Tańce z różnych epok sąsiadują ze sobą. Nie wszystkie pary wampirów i donorów składają się z mężczyzny i kobiety, więc są tu mężczyźni tańczący z mężczyznami i kobiety z kobietami. Nikomu to nie przeszkadza. Z góry przypominają płatki gigantycznego kwiatu, w którego centrum jest Stukeley i Shanti.

- No cóż - mówi Shanti przy kolejnym obrocie. - To bardzo nieregularne, delikatnie mówiąc.

- Pomyślałem, że trochę wszystkich rozruszam - odpowiada Stukeley.

- Ach, tak?

Mówiąc, Shanti wyczuwa, że ktoś ich obserwuje. Obraca się szybko i spogląda prosto w oczy Darcy Flotsam. Darcy trzyma za rękę swojego donora. Wychodzą, oczywiście, ale w jej wzroku jest coś jeszcze. Chęć, by zostać? Tęsknota, by zostać? Tęsknota za czymś innym... Darcy patrzy Shanti w oczy i odwraca się zakłopotana. Wychodzi z sali.

Shanti spogląda za nią.

- Ten galion to prawdziwe utrapienie - skarży się, przyciągając Jeza bliżej do siebie.

Stukeley wybucha śmiechem.

- Nie przesadzaj, moja droga. Co ona ci zrobiła złego?

- W co ona gra?

- Gra?

- Wyraźnie się na ciebie gapi - stwierdza Shanti, wykonując kolejny obrót.

- Darcy i ja jesteśmy przyjaciółmi, nic więcej.

- Przyjaciółmi?

Stukeley gładzi policzkiem łuk szyi Shanti.

- Ona nie może dać mi tego, czego potrzebuję. - Patrzy jej w oczy. - Tylko ty to potrafisz.

- Tak - przyznaje Shanti. - I lepiej o tym nie zapominaj.

Później są sami w jego kajucie. Wreszcie może wypić toast za kapitana. I robi to, rozkoszując się smakiem krwi.

- Przestań! - mówi Shanti. - Dość!

Zerka na jej twarz - Shanti marszczy czoło. Odsuwa się na moment i patrzy na nią niczym uosobienie niewinności, z wargami wilgotnymi od krwi.

- Coś się stało?

- Bierzesz za dużo! Masz już dosyć!

- Nonsens. - Uśmiecha się. - Nawiasem mówiąc, twoja krew świetnie smakuje. - Masz już dosyć - powtarza i odsuwa się. - Skąd wiesz? - Wiele już razy się dzieliłam. A może zapomniałaś? Zanim przeszłam do ciebie, przez długi czas byłam donorem porucznika Fureya.

Słyszy urazę w jej głosie - została zdegradowana od porucznika do zwykłego członka załogi.

- Nie wydaje mi się, żeby dzielny porucznik odczuwał wielkie pragnienie. Był przecież młodym chłopakiem, a ja jestem dorosłym mężczyzną.

- Miał bardzo zdrowe pragnienie, póki nie zaczęły się jego obecne... problemy.

- Tak... - mówi Stukeley tonem szyderstwa. - A potem całkiem stracił ochotę na twoją krew.

- To nie miało nic wspólnego ze mną.

- Myślałem, że będziesz mi wdzięczna. Marszczyłaś się już jak suszona śliwka, aż nagle ja się zjawilem. W samą porę, żeby pić twoją krew.

- Och, ależ szczęście mnie spotkało! Nie do wiary! Pamiętaj, Stukeley, że mnie potrzebujesz.

- Tak, Shanti. A ty pamiętaj, że potrzebujesz mnie. Bez siebie nawzajem jesteśmy niczym.

Pochyla się znowu do jej piersi, a ona - choć próbuje go odpychać - czuje, jak jego wargi zaciskają się na skórze.

Pokład jest prawie pusty. Stukeley wychodzi zaczerpnąć świeżego powietrza. Jest pobudzony dopływem świeżej krwi w żyłach. Krew Shanti jest tak pełna energii jak ona sama. Idealnie do siebie pasują. Bawi go ten element gry w kotka i myszkę w ich związku.

I nawet jeśli sam czasem chce czuć się jak mysz, a jej pozwala czuć się jak kot - cóż w tym złego?

Widzi opartą o reling znajomą postać.

- Witaj, moja piękna - mówi.

Darcy Flotsam się odwraca. Spogląda na niego wielkimi oczami.

- Witam - odpowiada powściągliwym tonem.

- Rozczarowałem cię - stwierdza, stając obok niej.

- Rozczarowałeś?

- Z powodu tego tańca. Wiem, że byłem impulsywny, ale czułem tak wielką radość...

Wcześniej znałem tylko rozpacz. Teraz, kiedy trafiłem tutaj, wszystko wygląda inaczej. Możesz to zrozumieć?

Darcy potakuje.

- Rozumiem, jak to jest. Ale musisz uważać. Staraj się czasem zapanować nad swoim entuzjazmem. Z szacunku dla kapitana.

Stukeley się śmieje.

- Przecież kapitan na pewno chce, żebyśmy byli szczęśliwi.

- Kapitan chce tego, co dla nas najlepsze. I powinniśmy szanować jego życzenia.

- Życzenia? - pyta Jez. - Czy reguły?

Widzi jednak, że posunął się już za daleko. Nie chce jej irytować. Nie ją.

- Piękna noc, prawda? - zaczyna znowu o wiele delikatniejszym tonem. - Bardzo spokojna. Popatrz na gwiazdy.

Razem unoszą głowy. Rzeczywiście, niebo jest dzisiaj rozgwieżdżone.

- Ale wiesz co? - Stukeley ze smutkiem patrzy na Darcy. - Wiesz, panno Flotsam... Dziś w nocy brakuje tam jednej gwiazdy.

- Proszę... - wzdycha Darcy. - Nie próbuj ze mną tej starej i ogranej kwestii.

- Jakiej kwestii? - pyta niewinnie.

- Przecież wiesz... O tym, że niby spadłam z nieba.

- Nie - zaprzecza. Podnosi zaciśniętą pięść. - Nie ty. To.

Prostuje palce i pokazuje leżącą na dłoni, migoczącą diamentową broszkę w kształcie spadającej gwiazdy.

- To dla ciebie.

Darcy wstrzymuje oddech. Po chwili odpowiada z wahaniem:

- Naprawdę jest śliczna, ale nie powinienes.

- Czego nie powinienem?

- Nie powinienes mi dawać takich prezentów.

- Dlaczego nie?

- No, choćby dlatego, że Shanti będzie zazdrosna.

- Shanti? Ale czemu? Jestem jej wdzięczny, oczywiście, bardzo wdzięczny za to, co dla mnie robi. Ale może zaspokoić tylko jedną moją potrzebę. Podczas gdy ty, panno Flotsam... Czuję się zbyt zakłopotany, by mówić dalej. Czy mogę? Mogę przypiąć tę broszkę do twojej sukni?

Darcy schyla głowę.

- Dobrze. Skoro nalegasz. Stukeley podchodzi bliżej i przypina broszkę, uważając, by nie rozerwać cienkiego materiału.

- Gotowe - mówi, cofając się o krok. - Piękna.

- To prawda. Dziękuję, panie Stukeley.

- Proszę... Nazywaj mnie Jezem. I nie mówiłem o broszce.

Darcy kręci głową. Najpierw taniec, a teraz to... On jest jak siła natury. Niepowstrzymany.

Kolejny ruch głową.

- Co my zrobimy, panie... To znaczy Jez? Co my z tobą zrobimy?

Rozdział 38

Bohater

Wśród piratów panowały znakomite nastroje. To jasne, że rajd na Fort Zachodzącego Słońca zakończył się wielkim sukcesem. Diabło i Tyfon nigdy jeszcze nie niosły w ładowniach tak cennych skarbów. A dokonano tego bez żadnych strat - przynajmniej wśród obu załóg. Nikt też nie miał wątpliwości, komu zawdzięczają zwycięstwo.

- Niesamowity byłeś, chłopie! - Gonzales klepnął Connora w ramię. - Wszyscy patrzyliśmy z pokładu. Błyskawicznie go załatwiłeś!

- Gdyby nie ty, wszystko by się posypało - dodał ktoś z załogi Tyfona. - Ten idiota Promyk o mało co nie spalił całej operacji, a ty ją uratowałeś.

- Dobrze sobie poradziłeś, Connor - pochwaliła Cate, która nie odstępowała go, odkąd wrócili na pokład. - Zrobiłeś dokładnie to, co do ciebie należało.

Popatrzył na nią, próbując sformułować jakieś słowa, ale odkrył, że drży i nie potrafi nad tym zapanować.

- Za... zabi... zabiłem...

Cate objęła go za ramiona.

- Wykonałeś swój obowiązek, Connor. Gdybyś nie zabił tego strażnika, Promyk Wrathe byłby teraz martwy. Wykonywałeś obowiązek.

Ale Connor nie widział tego w ten sposób. W wyobraźni wyciągał ręce na boki, niczym dwie szalki wagi; na jednej dłoni siedział Promyk, na drugiej ten ochroniarz, Alessandro. Kto mógł ocenić, który z nich bardziej zasłużył na życie... albo na śmierć?

- Gdzie jest Promyk? - zapytał.

- Nie jestem pewna - odparła Cate. - Musi gdzieś tu być. O, widzę go! Promyk! - zawołała. - Promyk! Tutaj!

Nie, pomyślał Connor. Wcale nie miał ochoty z nim rozmawiać. Ale było już za późno - Promyk maszerował ku nim. Zdążył zrzucić fałszywy uniform i nosił teraz bardziej typowy dla siebie ubiór: wąskie dżinsy i koszulkę.

- Hej - rzucił, stając przed Connorem. - Dzięki za pomoc.

Connor spróbował się uśmiechnąć.

- Nie ma sprawy.

- Nie, poważnie. Ten ochroniarz to był niezły twardziel. Jestem ci coś winien.

Pstryknął palcami, po czym odwrócił się i odszedł.

Jestem ci coś winien... Tylko tyle to dla niego znaczy? Promyk o mało nie zginął. Jego zachowanie postawiło Connora i Cate w bardzo groźnej sytuacji. Niewiele brakowało, a doprowadziłby do porażki całej akcji. Connor zabił, by go ratować. Ale wszystko spłynęło z pirackiego książątka jak woda. Znów był czysty i gotów, by zapomnieć o całym incydencie.

- Wiem, co myślisz - przyznała Cate. - Widzę to w twoich oczach. Wszyscy to widzieliśmy. Trzeba czasu, żebyś sobie z tym poradził. Ale poradzisz sobie, Connor. Na pewno.

Znów go objęła.

Podchodzili kolejni członkowie grupy szturmowej, by mu podziękować i pogratulować. Ich słowa i twarze zaczynały się rozmywać. Connor miał wrażenie, że oddziela go od nich gęsta mgła. Wyciągali ręce, dotykali go, ściskali dłoń albo klepali w ramię, a mimo to mogliby znajdować się w innym świecie. Czuł się zupełnie samotny, zmarznięty i bezbronny. Nie umiał powstrzymać drżenia.

- Hej - zawołała Cate.

Connor obejrzał się i zrozumiał, że nie mówi do niego, ale do Barta, który właśnie podszedł.

- Cześć, jak wam leci?

- Connorowi nie za dobrze. Ale w tych okolicznościach trudno się dziwić.

- Rzeczywiście - zgodził się Bart i usiadł po drugiej stronie Connora. Objął go ramieniem.

- Wszyscy przez to przechodziliśmy. A teraz przeprowadzimy i ciebie. To trudna droga, ale cię przeprowadzimy.

- On nie zasłużył na śmierć - powiedział Connor. - On wcale nie musiał ginąć! Gdyby Promyk tak się nie zachował...

- Nie możesz tak myśleć - upomniała go Cate. - Nie możesz tego cofnąć. Po prostu zdarzyło się tak, jak się zdarzyło. To przykre, że musieliśmy zrobić to, co zrobiliśmy. Ale sam widziałeś, jak chętnie obaj strażnicy sięgnęli po sztylety... To świat, w jakim żyją, w jakim my żyjemy. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

To wszystko? Cała filozofia życiowa Cate? Nie dawała Connorowi żadnej pociechy. Absolutnie. Nagle poczuł się ciężki i bezwładny, jakby odpłynęła z niego cała adrenalina i zaraz miał się przewrócić.

- Strasznie jestem zmęczony - wymamrotał. Ledwie sobie radził z wymawianiem słów.

- Może zaprowadzę cię na kojce? - zaproponował Bart. - Umyjesz się i odpoczniesz. Na pewno wieczorem będziemy świętować, a ty zostaniesz bohaterem.

- Żadnego świętowania - zapowiedział Connor. - Nie ma czego świętować. Jestem za...

- Nie! - przerwała mu Cate. - Nie możesz tak myśleć! Wieczorem będziemy się bawić, Connor, a najlepsze, co możesz zrobić, to wziąć w tym udział. Dlatego idź już, umyj się i trochę prześpij. Zobaczymy się na kolacji. - Zwróciła się do Barta. - Weź go do mojej kajuty. Lepiej wypocznie za zamkniętymi drzwiami. Zostań z nim, jeśli sądzisz, że to pomoże.

- Chodźmy - odezwał się łagodnie Bart. - Idziemy, Connor. Zaprowadzę cię pod pokład.

Pomógł mu wstać. Connor miał wrażenie, że ciało ma z gliny: ciężkie, niekształtne i nieruchawe. Nie odniósł żadnych ran, ale wspierał się na ramieniu Barta, kiedy szli razem po pokładzie.

Mijali uradowanych członków grupy szturmowej. Nadal gratulowali mu i dziękowali.

- Dobra robota, kolego!

- Masz cojones, chłopie!

- Promyk Wrathie zawdzięcza ci życie!

Słowa spływały po nim. Nie miały żadnego sensu. Oczyma duszy widział tylko własną dłoń, chwytającą rapier i wbijającą go w plecy Alessandra. A potem krew - strugę krwi, która zmoczyła koszulę Alessandra i jego, i w ten sposób ich połączyła. Wieczny związek zabójcy i zabitego...

- Connor! Connor! Connor!

Bart odwrócił go tak, by mógł zobaczyć wszystkich piratów na pokładzie; wykrzykiwali jego imię. Było w tych okrzykach coś gorączkowego... W jego umyśle słowa i twarze zmieniły się nagle. Oczy stały się gniewne, a okrzyki brzmiały: „Zabił! Zabił! Zabił!”.

- Przestańcie! - krzyknął. - Niech przestaną!
- Chodź - ponaglił Bart. - Zaraz cię stąd zabiorę.

Connor znów znalazł się w latarni. Miał siedem lat i budził się z długiego i przyjemnego snu. Kiedy z trudem uniósł powieki, zobaczył, że przy łóżku leżą prezenty. To jak jego urodziny albo święta... Nie, jedno i drugie naraz! Były wszędzie - obwiązane wstążkami kolorowe pakunki zajmowały prawie wszystkie wolne części podłogi.

Jego tato i siostra przedarli się jakoś przez to morze prezentów i stanęli obok łóżka.

- Patrz, zbudził się! - zawołała Grace.

Trzymała szklankę mlecznego koktajlu. Na powierzchni płynu pływała wielka kulka lodów z kawałkiem czekolady, posypanych cukrowym groszkiem. Grace ostrożnie postawiła naczynie na nocnej szafce.

Po niej podszedł tato. Trzymał dużą tacę lamingtonów - grubych, oblewanych czekoladą biszkoptowych kwadratów, pokrytych białym kokosem. To były ulubione ciastka Connora.

- Przygotowaliśmy je dla ciebie - oznajmiła Grace.
- Żeby uczcić tę okazję! - dodał z uśmiechem tato. - Jesteśmy z ciebie tacy dumni!

Oboje się pochyliłi.

- Gratulujemy pierwszego zabójstwa! - powiedzieli chórem.

Ich twarze zbliżały się coraz bardziej. Connor krzyknął.

Otworzył oczy i odkrył, że jest w jakimś nieznanym miejscu. Chwilę trwało, nim odzyskał orientację.

Jestem na pirackim statku, pomyślał. Na Diabłu. To kajuta Cate. Jestem teraz piratem. Jestem...

Nie potrafił wymówić tego słowa, nawet do siebie. Gdyby tak mógł zasnąć i się nie budzić... Choć jeśli ten ostatni sen miał być jakąś wskazówką, to nawet w nim nie znalazłby ukojenia.

Przeciągnął się i wtedy ją zobaczył, leżącą na kocu obok siebie. Była to nieduża drewniana figurka człowieka. Wyciągnął rękę i chwycił ją. Kiedy się przyjrzał, odkrył, że figurka ma plamę krwi dokładnie w miejscu, gdzie powinno się znajdować serce.

Jego własne zaczęło bić jak szalone. Miał wrażenie, że głowa mu pęknie. Co to za figurka? Ktoś wszedł do kajuty, kiedy spał, i zostawił ją przy nim? Co oznaczała?

Rozdział 39

Krwawy kapitan

Connorowi trzęsły się ręce, kiedy oglądał prymitywnie wyrzeźbioną figurkę. Choć tylko z grubsza ociosana, wyraźnie przedstawiała ludzką postać. I nie było najmniejszych wątpliwości, że czerwony znak jest dokładnie w miejscu, gdzie powinno być serce.

Connor stał jak sparaliżowany. Podejrzał, że barwnikiem jest prawdziwa krew - krew zmienia barwę przy wysychaniu. Znów powrócił obraz krwi Alessandra, tryskającej z otwartej rany na koszulę... Nigdy nie zapomni tego koloru.

Drżąc, mocno ścisnął figurkę. Musiał się skoncentrować. Groziło mu niebezpieczeństwo. Ktoś przesłał wiadomość. Ta figurka to voodoo - albo jakaś inna klątwa. Ktoś planował zemstę i nie tylko wyraźnie zasygnalizował swoje zamiary, ale zdołał się przedostać na Diabło i do kajuty. Może wciąż jest na pokładzie...

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Zamarł.

I nagle w niepojęty sposób skupił całą energię w swoich pięściach. Odwrócił się i mocno uderzył napastnika w twarz. Usłyszał krzyk bólu, ręka zsunęła się z jego ramienia, a ciało runęło ciężko na podłogę. Spojrzał i serce w nim zamarło - przed nim, krwawiąc obficie z nosa, leżał Bart.

- Przepraszam! - zawołał Connor.

- W porządku, kolego. - Bart pokręcił głową. - Nie powinienem tak do ciebie podchodzić od tyłu.

- Spróbowałem rękawem powstrzymać krwotok. - Cały się trząsłeś. Chciałem cię jakoś uspokoić. Nie pomyślałem.

Connor patrzył na niego tępo. Nie wiedział już, kim właściwie jest. Nic się nie zgadzało. W żyłach płynęła adrenalina, ciało wydawało się obce, poza kontrolą. Właśnie zadał paskudny cios Bartowi. Kto wie, co może zrobić za chwilę? Czy fakt, że stał się zabójcą, wyzwolił w nim żądzę krwi, jakiej dotąd u siebie nie podejrzewał?

- Co to takiego? - zapytał Bart, wskazując figurkę w dłoni Connora.

- Nie wiem. - Chłopiec przykucnął i podsunął mu ją do obejrzenia. - Kiedy się obudziłem, leżała na kocu. Patrz, ma tu plamę krwi. To jakieś voodoo albo co...

- Daj mi to - powiedział Bart.

Wyciągnął rękę, ale nagle głowa mu opadła i znowu osunął się na deski.

- Bart! Bart! Nic ci nie jest? - Connor przyklęknął i zaczął klepać przyjaciela po policzkach. - Bart, ocknij się!

- Sssoooo...? - Bart z wolna otworzył oczy. - Co się stało?

- Zemdlałeś. Ale tylko na moment. Już oprzytomniałeś.

Connor rozejrzał się, szukając czegoś, co mógłby wsunąć Bartowi pod głowę. Sięgnął po jedną z poduszek Cate. Kiedy wciskał ją przyjacielowi pod kark, przypomniał sobie pierwszą noc na Diabłu. Bart odstąpił mu wtedy własne łóżko, a sam spał na podłodze, używając swojego worka zamiast poduszki... Zadrżał. Minęły zaledwie cztery miesiące, a tak wiele się przez ten czas wydarzyło... Wtedy był niedojrzałym chłopcem. Teraz stał się kimś innym. Mężczyzną? Nie miał pewności. Czy zabicie kogoś automatycznie czyni człowieka mężczyzną? Wcale tak się nie czuł. Jeśli już, to raczej jak dzikie zwierzątko. Tak wiele się zmieniło...

- Sprowadzę pomoc - rzekł.

- Już w porządku - uspokoił go Bart. - Trochę tu tylko odpocznę. Podaj moją manierkę, co?

Connor chwycił ją, odkręcił i podał przyjacielowi.

- Dzięki. - Bart pociągnął solidny łyk. - Już lepiej.

Connor przyglądał mu się z troską.

- Strasznie mi przykro - zapewnił. - Nie chciałem cię zranić.

- Pewnie, że nie. - Bart uśmiechnął się mężnie.

- Nie musisz przeproszać. Wiem, że przechodzisz teraz ciężkie chwile.

Złapał Connora za rękę. Siła tego uchwytu sprawiła, że natychmiast oprzytomniał.

- Connor - mówił Bart. - Przeżywasz teraz chyba najtrudniejszy moment w życiu. Ale wszyscy tak się męczyliśmy. Możemy pomóc.

Przekaz był jasny. Równie dobrze mógł brzmieć: Jesteś teraz zabójcą. Na tym statku wszyscy jesteśmy zabójcami. Teraz, kiedy już raz zabiłeś, następnym razem będzie ci łatwiej. I jeszcze następnym. A wkrótce będziesz zadawał śmierć bez mrugnienia okiem”.

- Jeden za wszystkich - powiedział Bart.

Connor zatonął w myślach.

- Jeden za wszystkich - powtórzył Bart.

Connor patrzył na ich złączone dłonie. Nie potrafił spojrzeć Bartowi w oczy, nie chciał, by z nich wyczytał, co czuł - strach i nagłą odrazę.

- Wszyscy za jednego - wymamrotał.

- Właśnie. Pomagamy sobie nawzajem. Zawsze pomagaliśmy. Tak jak Jezowi, w życiu i po nim.

Nagle Connor zapragnął uwolnić się z uchwytu Barta. Chciał uciec z tej klaustrofobicznej kajuty. Sięgnął drugą ręką po figurkę i szybko podjął decyzję.

- Muszę iść - oświadczył. - Muszę porozmawiać z kapitanem Wrathe'em.

- Jasne.

Bart uśmiechnął się, jakby nic się nie stało. Raz jeszcze ścisnął rękę Connora. Potem położył się i zamknął oczy. Czy tak łatwo potrafił zapomnieć o śmierci? Connor nie opanował jeszcze tej umiejętności i nie umiał powiedzieć, czy chciałby, żeby kiedykolwiek tak się stało.

Drzwi do kajuty kapitana były otwarte. Connor wszedł do środka, omijając skarby, które Molucco Wrathe zdobył w swoich podróżach i rajdach.

Z głębi kajuty słyszał głosy - kapitana i jeszcze czyjś. Ominął dobrze znanego, zdobionego klejnotami słonia i zobaczył Molucca Wrathe'a i Cate, popijających wino w otoczeniu nowych zdobyczy. Scrimshaw leniwie pełzał wokół posągu Michała Anioła, jakby sam chciał sprawdzić jakość zdobytych skarbów.

- Aha! - wykrzyknął radośnie Molucco. - Oto nasz bohater! Napijesz się wina?

Podniósł srebrną karafkę, ale Connor pokręcił głową.

- Co się stało, Connorze? - spytała Cate. - Ty drzysz.

- Co to jest? - Pokazał im figurkę.

Molucco wziął ją od niego i obrócił w dłoniach.

- Skąd to wzięłeś? - zapytał.

- Leżała na kocu - wyjaśnił Connor. - Spałem na koi Cate, a kiedy się obudziłem, znalazłem tę figurkę obok siebie. Ktoś musiał mi ją podrzucić... To prawdziwa krew, tak?

Molucco przysunął figurkę do oczu i pokiwał głową.

- Tak, to zdecydowanie krew.

- To voodoo - oznajmił Connor. - Ktoś chce się na mnie zemścić za to, co zrobiłem. Za to, że zabiłem tego strażnika. Jak mnie znaleźli? Jak się dostali na statek?

- Uspokój się, Connor - odezwała się Cate.

Uspokoić się? Jak może się uspokoić, kiedy na pokładzie przebywa wróg? Kiedy w każdej chwili nie tylko on sam, ale i cała załoga może się znaleźć w niebezpieczeństwie?

- Usiądź, Connorze - polecił Molucco.

- Ale...

- Usiądź!

Tym razem nie miał wątpliwości, że kapitan wydaje rozkaz.

Connor usiadł na poduszkach. Ale nie potrafił utrzymać nóg w spokoju - podrygiwały stale, jakby cały czas szykowały się do ucieczki.

Molucco trzymał w dłoni rzeźbioną figurkę.

- Wiem, co to jest - oznajmił. - Wiem, skąd się wzięło. Wiem, czyja to krew. - Uśmiechnął się. - A teraz... - Nalał do pucharu trochę wina. - Wypij. To uspokoi ci nerwy.

Connor podniósł kielich. Jeden rzut oka na czerwony płyn wywołał mdłości, znowu przypominając o krwi. Widział jednak, że kapitan nie będzie tolerował odmowy. Wypił więc odrobinę i odstawił kielich.

- Lepiej? - spytał Molucco.

Connor przytaknął.

- To dobrze. No więc, mój chłopcze, ta figurka nazywana jest krwawym kapitanem. To nie klątwa, wręcz przeciwnie. To dar, dawna piracka tradycja, wciąż jeszcze kultywowana na niektórych statkach. Kiedy młody pirat zabija po raz pierwszy, otrzymuje krwawego kapitana. Jak widzisz, wyrzeźbiony jest na kształt człowieka, chociaż... - Molucco rzucił okiem w stronę Scrimshawa ...daleko mu do Michała Anioła. Ale krew jest prawdziwa. To krew kapitana statku.

Connor zmarszczył brwi.

- Pańska krew? Pan mi to dał?

Molucco pokręcił głową.

- Nie - rzekł. - Ja nie przestrzegam tej tradycji. Dar pochodzi od mojego brata. To krew Barbarra.

- Ale czemu?

- To zaszczyt - wyjaśniła Cate. - Kapitan Wrathe i jego żona wyrażają uznanie dla twojej odwagi i dziękują za uratowanie życia ich syna.

Connor spojrział niepewnie.

- Dziękują za to, że zabiłem?

- To nie takie proste, Connorze. Ty nie popełniłeś takiej zwykłej, pospolitej zbrodni. Wykazałeś się prawdziwą odwagą i męstwem. Podjąłeś niezbędne działanie, by ratować towarzysza.

- Promyka? - Connor zaśmiał się mimo woli. - Ja nawet go nie lubię. Prawdę mówiąc, budzi we mnie wstręt.

- Tym bardziej winniśmy ci wdzięczność - odparł Molucco. - Za to, że potrafiłeś zapomnieć o osobistej niechęci i działałeś dla dobra załogi. - Oddał figurkę Connorowi. - Weź ją - rzekł. - Weź ją, chłopcze, i zatrzymaj. Będzie ci przypominać dzień, kiedy stałeś się prawdziwym piratem.

Connorowi kręciło się w głowie. Miał takie romantyczne wyobrażenia o piractwie... Marzył o dowodzeniu własnym statkiem. I w tych marzeniach nie uciekał od walki. Lubił walkę, lubił brawurowe demonstracje sprawności i umiejętności szermierczych. Ale nigdy, przenigdy, w tych wizjach nie odebrał nikomu życia. Ani razu nie patrzył, jak ciemna rzeka krwi spływa z żył innego człowieka. Nie tego pragnął. Nie do tego dążył.

Popatrzył na rzeźbę splamioną krwią Barbarra. Dar... Nie chciał takich darów. Ta potworna figurka codziennie przypominałaby mu o najstraszniejszym dniu jego młodego życia. Kiedy brał ją do ręki, czuł gorące łzy pod powiekami. Ale nie mógł się przecież rozplakać, nie przy nich. Zamknął oczy.

I wtedy pojawiła się twarz siostry. Przyglądała mu się z koncentracją, do jakiej tylko ona była zdolna. Nie dało się uciec przed jej wzrokiem.

- Przepraszam - wyszeptał do niej. - Zrobiłem coś strasznego. Zawiodłem cię.

W oczach Grace nie było litości. Przypominały lodowate kałuże szmaragdowej zieleni.

- Tak - potwierdziła. - Tak, zawiodłeś.

Rozdział 40

Dwa listy

Szanowny Panie Kapitanie!

Przykro mi, ale muszę odejść. Zdaję sobie sprawę, że łamię w ten sposób kontrakt, ale nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Okłamywałem Pana i wszystkich mych przyjaciół na DiaMu. Ale nie chciałem nikogo wprowadzać w błąd. Myślałem, że sprawdzę się jako pirat, ale teraz wiew., że przez cały czas oszukiwałem sam siebie.

Po tym, co się zdarzyło w forcie, Ludzie traktują mnie, jakbym był jakimś bohaterem. Ale nie jestem bohaterem. Wiem, kim jestem, tylko nie mogę się zmusić, żeby napisać to słowo. Nie mam nawet dość siły woli, by je głośno wypowiedzieć. Cate i Bart powtarzali że z czasem jakoś się z tym pogodzę. Może i tak, chociaż w tej chwili wydaje się to niemożliwe. Na nic bym się Panu nie przydał, gdybym tu został, więc lepiej odejdę i spróbuję dać sobie z tym jakoś radę, o ile zdołam.

Nie wiem, dokąd pójdę. Myślę, że tak jakby o to właśnie chodzi.

Dziękuję za wszystko.

Szczerze oddany Connor Tempest

PS Cate i Bart - dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Nigdy nie miałem Lepszych przyjaciół niż Wy. Powinienem napisać do Was osobne listy, ale nie mam czasu. Muszę odejść. Mam nadzieję, że zrozumiecie. Mam nadzieję, że wiecie, ile dla mnie znaczyliście. Connor przeczytał list, złożył kartkę i wsunął ją do koperty. Zaadresował „Kapitan Molucco Wrathé”.

Potem wyjął drugi list i przeczytał go jeszcze raz.

Kochana Grace!

Właściwie nie wiem, po co do Ciebie piszę. Nie mam przecież pojęcia, jak przesłać Ci ten list. Ale coś mnie zmusza, żeby zapisać to wszystko na papierze, więc zapisuję...

Nigdy nie pochwalalaś tego, że zostałem piratem, ale byłem tak zapalony, że nie zwracałem uwagi na Twoje obawy. Jak zwykle się nie myliłaś. Wydaje mi się, że mam talent do

chowania głowy w pianek i dostrzegania tylko tego, co dzieje się tutaj i teraz. Ty natomiast: widzisz szerszą perspektywę. Patrzysz dalej przed siebie. I chyba, na długo przede mną zobaczyłaś, co mnie czeka i dokąd prowadzi moja droga.

No, w pewnym sensie Twoje życzenie się spełniło. Opuzczam. DiaMo i już tu nie wrócę. Nie jestem piratem.

Czym jestem? W tej chwili mam tylko jedną odpowiedź na to pytanie, a nie jest to odpowiedź, którą potrafiłbym uznać, a już na pewno nie chciałbym przekazać jej Tobie.

Odchodzę. Nie wiem dokąd, ani na jak długo. Ocean jest wielki i myślę, że z łatwością znajdę miejsce.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko z porządku, Lepiej niż u mnie. Z głębi serca, czuję, że tak. Może wybrałaś słuszniejszą, drogę. Ja nie widziałem dalej niż czubek własnego nosa. A Ty zawsze umiałaś zobaczyć więcej ode mnie.

Nie myśl o mnie źle. Uważaj na siebie!

Twój brat Connor

Złożył kartkę na trzy części i wsunął do koperty, którą zaadresował do Grace. Potem wziął oba listy, zarzucił worek na ramię i ruszył na główny pokład. Wokół panował spokój. Wszyscy szykowali się na wieczorną imprezę. Diabło cumował w małej zatoczce obok Tyfona. Na wodę opuszczono szalupy.

Connor przeszedł cicho do kajuty kapitana. Ostrożnie wsunął kopertę pod zamknięte drzwi i odszedł pospiesznie. Niedostrzeżony, zaczął schodzić po drabince na prowizoryczny pomost.

Szalupa jakby specjalnie czekała, by mógł ją zabrać. Prawdę mówiąc, powinien przeprosić za to w liście. Teraz za późno. Kapitan Wrathe pewnie już idzie przez kajutę i schyla się po kopertę. Connor zeskoczył więc do łodzi i zaczął odwiązywać cumy. Po chwili wypłynął z zatoczki i pożeglował przed siebie.

Łzy ciekły mu po policzkach, gdy obejrzał się i raz jeszcze spojrzął na bliźniacze kadłuby statków. Jeden z nich był dla niego drugim domem... ale okazało się to tylko złudzeniem. Jednym wielkim złudzeniem.

Wypływając na otwarty ocean, musiał zrobić coś jeszcze. Wyjął list zaadresowany do Grace i przedarł kopertę na pół. A potem znowu, i jeszcze raz, aż kawałki papieru jak konfetti

opadły z burty na powierzchnię wody. Widział, jak fragmenty słów rozmywają się na papierze, i nie był pewien, czy to woda rozpuszcza atrament, czy tylko łzy przesłaniają obraz.

Grace szła właśnie korytarzem, kiedy poczuła wstrząs. Zamknęła oczy i wyciągnęła rękę, by oprzeć się o ścianę. Strumień wody wypełnił jej myśli. Nie otwierała oczu, by lepiej skupić się na wizji... Udało się.

Teraz widziała, że woda nie jest tak wzburzona, jak sądziła na początku. Nie rozszalały nurt, lecz jedynie ocean. Widziała, jak pływają w nim jakieś strzępy. Papier. Zauważyła znaki i zdawało jej się, że zrozumiała.

Muszę poskładać je razem, pomyślała. To jakiś test. Pewnie Mosh Zu chce ją sprawdzić...

Mocno zaciskając powieki, zaczęła szukać w wodzie skrawków papieru. Znalezione odkładała w myślach na jedno miejsce. Po chwili nie widziała już żadnego. To pewnie wszystkie, uznała. Teraz trzeba rozwiązać tę łamigłówkę.

Okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Ruch wody nie był gwałtowny, ale mocny. Gdy tylko umieściła kawałek papieru na swoim miejscu, fala próbowała odepchnąć go gdzieś w bok. Nie! Grace nie mogła na to pozwolić. Wiedziała, musi włożyć w to całą swą energię, nie chciała zrezygnować. A kiedy zestawiała obok siebie dwa kawałki, rozpoznała pismo... Zrozumienie odebrała jak cios: to nie jest test. To prawda.

Głowa bolała ją z wysiłku. Kusiło ją, by choć na chwilę otworzyć oczy i złagodzić ból, czuła jednak, że jeśli to zrobi, straci wizję na zawsze. Docierała już prawie do końca. Układanka papierowych strzępków złożyła się w całość. Teraz wystarczyło utrzymać je i przeczytać list.

Kochana Grace!

Poruszył ją widok własnego imienia, zapisanego wyraźnym charakterem brata. Bardzo rzadko pisywał listy, więc odgadła, że chodzi o coś ważnego. Czytała dalej.

I kiedy docierały do niej opisane w liście emocje, z coraz większym trudem przywoływała wizję, utrzymywała kawałki papieru na swoim miejscu. Jednak nie mogła się teraz wycofać. Sytuacja była zbyt poważna.

Nie myśl o mnie źle.

To zdanie znajdowało się prawie na samym dole. Ból rozsadzał jej głowę, łączył się z narastającym uczuciem przerażenia tym, co Connor napisał.

W końcu uległa bólowi i pozwoliła, by strzępy listu się rozsypały. Odplynęły natychmiast z falą, a myśli znów wypełniała tylko woda. Jej szum stawał się coraz głośniejszy, woda coraz ciemniejsza... Miała uczucie, że tonie.

Uświadomiła sobie, że coś takiego dzieje się pewnie z Connorem. Otrzymała jego list, a z nim także wizję tego, co on przeżywa. Ale nie miała pojęcia, gdzie brat się znajduje. Nic nie mogła zrobić, by mu pomóc!

Wizja wody zanikała stopniowo. Nagle wszystko ucichło. Ogarnęły ją absolutna cisza i absolutna ciemność. Koniec.

Grace otworzyła usta i krzyknęła:

- Nieee!

Rozdział 41

Łódka na wodzie

- Jak się teraz czujesz? - zapytał Mosh Zu, gdy Grace weszła do pokoju medytacji. - Spokojniejsza - odparła. - Przepraszam za wcześniej, straciłam panowanie nad sobą. Mosh Zu pokręcił głową. - Łączy cię z Connorem bardzo ścisły związek. Kiedy on cierpi, ty cierpisz także. W pewnym stopniu to dzięki temu masz zdolność uzdrawiania. Ale musimy jeszcze popracować, żebyś umiała wykorzystać tę moc tak, by pomóc jemu i innym, a nie zostać przez nią pochłonięta. Te słowa trochę ją zdziwiły. Mosh Zu wskazał jej miejsce obok siebie. - Myśl o tym w taki sposób: wiemy, że Connor dźwiga emocjonalne brzemię. To wielki ciężar, który niesie. Wyobraź sobie teraz jakiś ciężki obiekt, który mógłby próbować podnieść. Powiedz mi: o czym pomyślałaś?

Grace rozejrzała się po pokoju, szukając punktu zaczepienia.

- Stół? - zaproponowała, wzruszając ramionami.

- Bardzo dobrze. Wyobraźmy sobie, że Connor usiłuje przenieść stół. Wiemy, że jest silny. Ale to niezwykły stół, bo zrobiony z bardzo ciężkiego drewna. Może nawet z czegoś cięższego... Z kamienia. Oczywiście, że ma z tym kłopoty.

Grace skinęła głową.

- A ty chcesz mu pomóc, prawda?

Kolejne kiwnięcie.

- Powiedz, jaki jest najlepszy sposób, żeby mu pomóc przenieść stół?

- Trzeba chwycić jeden koniec - odparła odruchowo.

- Otóż to! Trzeba dzielić z nim ciężar, a nie próbować go od niego uwolnić. - Oczy Mosh Zu błysnęły. - Rozumiesz?

- Tak, oczywiście. To ma sens.

- To jedna z najważniejszych rzeczy, których musimy się nauczyć jako uzdrawiacze. Nie możemy dźwigać ciężarów za innych. Czasami kusi nas, by spróbować, ale wtedy stajemy się

nieskuteczni. Kiedy zaczynamy pływać w emocjach innych ludzi, zawsze istnieje ryzyko, że utoniemy.

- Więc co możemy zrobić, żeby pomóc Connorowi? - spytała Grace.

- Och, wiele rzeczy.

Mosh Zu wstał i przeszedł do szafki. Wrócił z szeroką, płytką misą z kutej miedzi. Postawił ją między nimi na podłodze, a Grace zauważyła, że jest napełniona wodą. Mosh Zu wyjął z kieszeni niedużą fiolkę i wysypał jej zawartość do misy.

- Atrament mątwy - wyjaśnił i palcami wymieszał go z wodą. - Chcemy, żeby powierzchnia była możliwie ciemna i lustrzana.

Grace była zaintrygowana.

- Teraz potrzebuję twojej pomocy. - Mosh Zu wytarł ręce. - Te świece powinny odbijać się w wodzie. Pomóż mi je przesunąć.

Razem krążyli po pokoju i ustawiali wysokie lichtarze na nowych miejscach. W końcu płomień każdej świecy rzeczywiście odbijał się w ciemnej powierzchni. Grace spojrzała i przez moment miała wrażenie, że zagląda do czary ognia.

- Teraz usiądźmy. - Zajął miejsce obok misy i skinął na Grace. - Ty tutaj. Ale dopilnuj, żeby nie widzieć w misie własnego odbicia.

Grace usiadła i gestem dała znać, że jest gotowa.

- No dobrze. A teraz kierujemy wzrok na powierzchnię i zaczynamy głęboko oddychać. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wdech...

Mówił cichym, jednostajnym głosem. Grace czuła, że jej oddech się pogłębia. Wiedziała, że wchodzi w stan głębokiej relaksacji. Na razie było to dość przyjemne, ale zdawała sobie sprawę, że to nie koniec - zaledwie początek podróży z Mosh Zu.

- Tak dobrze, Grace. Lekko przymknij oczy. Twoje spojrzenie nie powinno być zbyt zogniskowane, zbyt skupione. Patrz na wodę, ale pozwól, by widok się rozmazywał...

Grace przymknęła powieki.

- A teraz rozluźnij się i zobaczmy, co zobaczymy.

Zatraciła poczucie czasu. Nie wiedziała, jak długo tak siedzą, wpatrując się w wodę. Ale nagle nie spoglądała już na ciemną powierzchnię odbijającą płomień - widziała teraz ciemne morze i małą, kołyszącą się na nim łódkę. Musiała się uśmiechnąć, bo Mosh Zu powiedział:

- Tak, ja też to widzę. Nie skupiaj zbyt wiele wzroku. Przyjrzyjmy się dokładniej.

Gdy wypowiadał te słowa, obraz łódki stawał się wyraźniejszy. Teraz spostrzegli, że ma ona jednego pasażera.

- Connor! - szepnęła Grace. - Jesteś bezpieczny!

Zaląła ją fala ulgi.

- Tak - potwierdził Mosh Zu. - Odnaleźliśmy go.

- I co teraz zrobimy? Będziemy tylko patrzeć?

- Na razie tak. Oddychaj głęboko, nie staraj się wyostrzać wzroku. Wykonywała instrukcje i po chwili obraz Connora stał się krystalicznie czysty. Widziała jego twarz i mogła z niej czytać tak łatwo jak z książki. Wyglądał na zmęczonego i znękanego. Czoło przecinała zmarszczka, pod oczami pojawiły się ciemne kręgi. Sprawiał wrażenie, jakby od kilku nocy nie spał. Oczy miał puste, wpatrzone w nicność.

- Wygląda, jakby bardzo cierpiał, prawda? - odezwał się Mosh Zu.

- Tak. - Grace skinęła głową, ale natychmiast wróciła do poprzedniej pozycji. - Ale gdzie jest? Rzeczywiście na łodzi?

- O tak.

- Dlaczego opuścił Diabło? Co się stało?

- Psst - uciszył ją. - Nie takie pytania powinniśmy stawiać, jeśli chcemy mu pomóc. Przyjrzyjmy się dokładniej jego cierpieniu.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale jak?

- Za chwilę bardzo delikatnie zanurzę dłoń w wodzie. Chcę, żebyś zrobiła to samo. Tylko ostrożnie. W miarę możliwości staraj się nie wzburzać powierzchni.

Patrzyła, jak Mosh Zu powoli wsuwa rękę do wody. Na ciemnej powierzchni prawie nie pojawiły się zmarszczki. Spróbowała postąpić tak samo, ale okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Pękło kilka pęcherzyków powietrza...

Zawahała się.

- W porządku, Grace, dobrze sobie radzisz. Już prawie koniec.

Zachęcona, wsunęła dłoń trochę głębiej. I natychmiast poczuła wstrząs. Napłynęły wrażenia.

- Doskonale, Grace. Najważniejsze teraz, to pozostawać w bezruchu. Oddychaj, ale staraj się, żeby nie drgnął ci żaden mięsień. Bądź mocna jak skała, ale pozwól, by uczucia przelewały się przez ciebie, jakbyś była opoką pośrodku oceanu.

Rzeczywiście, miała wrażenie, że zalewa ją fala emocji.

- Czujesz je, Grace?

- Tak - potwierdziła, starając się nie poruszać. Docierały do niej obce wrażenia.

- Powiedz, co czujesz.

- Czuję się rozgniewana, zdradzona, rozczarowana.

- Tak. - Słyszała nutę podniecenia w jego głosie.

- Tak, Grace. Co jeszcze?

- Jestem wyczerpana... Taka zmęczona i... Nie, czekaj! Czuję się winna! Poczucie winy jest silniejsze niż wszystko inne. Zrobiłam coś strasznego i mam wyrzuty sumienia.

- Naprawdę znakomicie - pochwalił Mosh Zu. Była mu wdzięczna za uznanie, ale nie zmniejszyło to jej niepokoju. - Czy to właśnie odczuwa Connor? - Tak. I perfekcyjnie to odczytałaś. Odczytanie to jedno, ale Grace chodziło o coś innego. - Ale ja chcę mu pomóc - przypomniała. - Jak mogę to zrobić? - Dochodzimy do tego - odparł Mosh Zu. - Teraz wyjmę rękę, żeby ci zrobić więcej miejsca. Trzymaj dłoń pod wodą, dobrze?

Grace przytaknęła.

- A teraz spróbuj ją wsunąć pod łódkę. Bardzo delikatnie. Umieść dłoń pod łodzią Connora, jakbyś chciała wyjąć ją z wody. Ale bądź ostrożna. Wyobraź sobie, że to śliski kawałek mydła, który wyciągasz z wanny. Musisz to zrobić tak delikatnie, jak tylko potrafisz. To nie będzie łatwe.

Przesunęła dłoń na nową pozycję.

- Gotowa? A teraz wyjmij łódkę.

Grace uniosła dłoń. Ze zdumieniem zobaczyła, że obraz Connora w łodzi także wzniósł się ponad wodę, zmienił z dwuwymiarowego w trójwymiarowy i spoczywał na jej dłoni jak żyjąca zabawka.

- Unieś dłoń nad wodę - polecił Mosh Zu.

Tak zrobiła.

- Dobrze, teraz jest idealnie. Tak trzymaj.

Zdumiało ją to, co zobaczyła. Connor siedział tuż przed jej oczami. Był maleńki, ale rozpoznała go bez trudu.

- Teraz spytaj go, o co chodzi. Spytaj, jak możesz mu pomóc. Nie musisz głośno wymawiać tych słów. Spójrz mu w oczy i zapytaj.

Znów posłuchała rady.

Czego chcesz, Connorze, spytała w myślach. Jak mogę ci pomóc?

Nie udzielił wyraźnej odpowiedzi. Nie słyszała jego głosu. Coś jednak ściągało jej uwagę na miecz, który trzymał.

- Co mówi? - zapytał Mosh Zu.

- To niewyraźne...

- Możliwe. Słuchaj. Wyczuwaj odpowiedź.

- To ma jakiś związek z mieczem - stwierdziła.

Mosh Zu czekał przez chwilę.

- Jeśli to nadal niejasne, spytaj go - poradził. - Spytaj: Connorze, jak mogę ci pomóc z mieczem?

Raz jeszcze spojrzała Connorowi w oczy. Zadała pytanie.

Odpowiedź napłynęła jak ładunek elektryczny.

- On chce go wypuścić - oświadczyła. - Chce go wypuścić, ale coś mu nie pozwala. Całkiem jakby miecz był przyklejony do jego dłoni.

- No dobrze - rzekł Mosh Zu. - Przysuń teraz drugą rękę i bardzo delikatnie porusz mieczem. Nie wyciągaj go całkowicie. Poluzuj tylko.

Bardzo, bardzo ostrożnie Grace uniosła rękę, chwyciła malutki miecz między kciukiem a palcem wskazującym i delikatnie pociągnęła do siebie.

- To prawdopodobnie wystarczy - uznał Mosh Zu.

- Czekaj, on sam ci powie.

- Tak.

W chwili, kiedy poruszyła mieczem, zadrzała wewnętrznie, a potem poczuła, jak słabnie w niej napięcie. Czy te emocje pochodziły od Connora?

- Świetnie sobie radzisz, Grace - ocenił Mosh Zu.

- A teraz opuść rękę i znów włóż łódź i Connora do wody. Kiedy już się tam znajdą, możesz zabrać rękę.

Grace zniżyła dłoń równie ostrożnie, jak ją podnosiła. Umieściła łódź z Connorem na wodzie w misie. Kiedy tylko się zanurzyli, znów przeszli z trzech wymiarów do dwóch.

- A teraz wyjmij rękę z wody - poinstruował Mosh Zu. - Siedź spokojnie i patrz, co się stanie.

Na ciemnym oceanie Connor poczuł nagły przypływ energii. Nie wiedział, skąd się wzięła. Był taki zmęczony, myśli w głowie krążyły wkoło jak psy goniące własny ogon. Ale niespodziewanie odkrył cel. Dokładnie wiedział, co powinien zrobić.

Wysoko trzymając rapier, wychylił się przez burtę łodzi. Potem wydał z siebie skowyt, który zdawał się dobiegać z głębi samej duszy. I kiedy głos rozległ się nad oceanem, wyrzucił miecz. Patrzył, jak leci pod ciemnym niebem, a potem przebija powierzchnię wody i zsuwa się w głębinę.

Spojrzał na swoją dłoń i westchnął. Wyrzucenie miecza nie zmazywało strasznego czynu, jakiego nim dokonał. Ale czuł się lżejszy - jakby pozbył się nie tylko broni. Po raz pierwszy od momentu zabójstwa zdał sobie sprawę z tego, że możliwa jest dalsza podróż.

- On wyrzucił swój miecz! - oznajmiła podniecona Grace.

- Tak. Ty mu to umożliwiłaś. Nie wydaje mi się, żeby bez ciebie był do tego zdolny. Nie w tej chwili.

- Zdumiewające!

Mosh Zu się uśmiechnął.

- Jesteś uzdrowicielem, Grace. A wiele jest sposobów uzdrawiania. Dobrze sobie poradziłaś. Bardzo dobrze.

Wyprostował się i sięgnął po misę.

- Zaczekaj! - poprosiła Grace. - Czy możemy jeszcze na niego popatrzeć?

- Lepiej nie. Na razie powinniśmy mu pozwolić na samodzielną wędrówkę. Pamiętasz, co ci mówiłem o stole?

Grace przytaknęła. Rozumiała. Ale mimo to ogarnęło ją poczucie straty, kiedy Mosh Zu podniósł miedzianą misę i podszedł do zlewu, by ją opróżnić. Słyszała, jak woda z atramentem spływa do rury i myślała o swoim bracie w małej łódce, samotnym na wielkim, ciemnym oceanie.

Gdzie jesteś, pytała. Co kazało ci porzucić Diabło? Z jakiego powodu dręczyło cię sumienie?

Tym razem jednak odpowiedzi nie nadeszły. Połączenie, jakie stworzyli, w tej chwili było już zerwane.

- Płyn bezpiecznie - powiedziała, nie otwierając ust.

A potem wstała niepewnie, by pomóc Mosh Zu odstawić świecę na miejsca.

Rozdział 42

Magiczna noc

- Ach, tu jesteś! Wszędzie cię szukałem! Słyszając ten głos, Darcy odwróciła się i zobaczyła Jeza - swojego Jeza. Westchnęła. Co noc wydawał się przystojniejszy. Zakochała się w nim już w chwili, kiedy pierwszy raz wszedł na pokład Nokturnu. Ale jeśli się zastanowić, był wtedy zaledwie cieniem obecnego siebie. Rozkwitł w promieniach jej miłości - i z pewnością ona także w cieple jego uczucia. - O czym myślisz? - zapytał, błyskając oszalamiającym, szelmowskim uśmiechem. Uśmiechnęła się znowu. - Chciałbyś wiedzieć. - O tak - zapewnił. - Chcę poznać każdy z twoich sekretów, Darcy. Jestem człowiekiem z misją!

- Przestań! - rzuciła, choć nigdy nie miała dosyć słuchania jego słodkich głupstw.

Nie, to niesprawiedliwie tak mówić. To prawdziwe uczucie. Wiedziała o tym. On był tym, za którym tęskniła - jej panem Jetsamem. Długo trwało, nim wreszcie do niej dotarł, ale warto było czekać.

- Dzisiaj wręcz promieniejesz - zauważył.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się. Oparta o reling, pozwalając, by cudowna bryza nad oceanu chłodziła rozgrzaną skórę. Porwany wiatrem szyfonowy szal zaczął zsuwać się jej z ramion.

- Och! - zawołała, kiedy uwolnił się i odpłynął w powietrzu.

Nie tracąc ani chwili, Jez podskoczył i złapał go, po czym znowu owinął wokół jej alabastrowej szyi. Przez długą chwilę stali oboje zapatrzeni w siebie.

- Jestem przy tobie taka szczęśliwa - wyszeptwała.

- A ja przy tobie - odparł z uśmiechem. - Nie myślałem, że kiedyś znów będę szczęśliwy. Zwróciłaś mi życie, Darcy.

- Naprawdę?

Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czubek nosa.

Jez objął ją mocno. Gdy patrzyła na rozgwieżdżone niebo nie potrafiła stłumić podniecenia. Dzisiejsza noc była magiczna. Coś unosiło się w powietrzu. W takie właśnie noce padały pytania, udzielano odpowiedzi, a żywoty zmieniały swe przeznaczenie.

- Nic nie mówisz...

Jego cichy głos zakłócił myśli. - Zastanawiałam się. - A może dam ci nowy problem do zastanowienia? Te słowa wzbudziły w niej dreszcz. - Mów - rzuciła. - Mam pytanie, panno Flotsam. - Doprawdy, panie Jetsam? Uśmiechnął się - jak zawsze, kiedy go tak nazywała. - Myślałem - rzekł - czy zechciałabyś rozważyć opuszczenie Nokturnu i odejście stąd ze mną?

A zatem to już. To jest ten punkt zwrotny, o jakim od dawna marzyła. Nie spiesz się, Darcy, pomyślała; rozkoszuj się każdą sekundą, każdą chwilą uczucia...

- Czy mam rozumieć, że odpowiedź brzmi „nie”? - dociekał.

Nadaśane usta i rozczarowanie w oczach sprawiały, że przypominał bezradnego szczeniaczka. W tej chwili wydał jej się bardziej pociągający niż kiedykolwiek wcześniej. Nie potrafiła przedłużyć jego cierpień.

Potrząsnęła głową.

- Kochany panie Jetsam, pójdę wszędzie tam, dokąd pan. Tylko my dwoje. Nie sądziłam, że mogłabym porzucić Nokturn, ale odkąd tu jesteś, wszystko się zmieniło. - Popatrzyła na niego z uczuciem. - I chętnie pójdę za tobą aż na kraniec świata.

- Wiesz - odparł - to nie będziemy tylko my dwoje. Przynajmniej nie na początku.

- Nie?

- Nie bądź taka zaniepokojona, droga Darcy. Muszę dopilnować pewnych spraw, ale... Czy możesz, to znaczy: czy zechcesz odejść ze mną jeszcze dziś w nocy?

- Dzisiaj?

- Tak prędko... Nie będzie więc czasu na plany, na to rozkoszne oczekiwanie? Cóż, jeśli tak, to c'est la vie. On był taki romantyczny, taki niecierpliwy! A ona tak długo na niego czekała. Po co więc odkładać to choćby o chwilę dłużej?

- Tak - zgodziła się. - Spakuję swoje rzeczy i odejdziemy jeszcze dzisiaj.

- Grzeczna dziewczynka! - Sięgnął do kieszeni.

- A to dla ciebie.

- Kolejny prezent? Naprawdę nie powinieneś!

Ale potem, nie dowierając własnym oczom, patrzyła, jak klęka na jedno kolano i podaje jej małe atlasowe pudełeczko. Gdy je otworzył, przez łyzy ledwie widziała pierścionek. Czowała jednak, że jest piękny. Jego podarunki zawsze takie były.

- Co tutaj robisz? Nie powinieneś przychodzić do mojej kajuty. Znasz zasady.

Jez uśmiechnął się tylko, słysząc jej głos.

- Niezbyt uprzejmie witasz swojego partnera krwi.

- Nie licz na inne powitanie - odparła Shanti. - Spotkania z tobą raz w tygodniu całkiem mi ostatnio wystarczają.

Demonstracyjnie go ignorując, przeglądała swoją garderobę.

- Touche, kochanie. Ale co się zmieniło? Był czas, kiedy nie miałaś dość swojego Jezziego.

Shanti zmarszczyła czoło. Odrzuciła bluzkę, sięgnęła po następną.

- Masz jakieś złudzenia - stwierdziła.

- Och, nie mam żadnych, skarbie. - Podeszedł i stanął za nią. - Dobrze wiem, jaki zawarliśmy układ. Pozwoliłaś mi wrócić znad przepaści i za to zawsze będę ci wdzięczny.

Rzuciła mu niechętnie spojrzenie. Potem przyłożyła bluzkę do ramion i podziwiała swoje odbicie w lustrze. Naprawdę wyglądała pięknie, sama musiała to przyznać. Powróciły dawne kolory, a skóra znów stała się gładka jak jedwab.

- Tak, zawsze będę ci wdzięczny, Shanti - powtórzył Jez. - Ale przecież korzyści nie były jednostronne, prawda? Kiedy kapitan sprowadził cię tu z Sanktuarium, wyglądałaś jak stary, zasuszony donor, szybko sunący ku nicości. I to twój Jezzie przywrócił ci młodość. Wcześniej przypominałaś raczej staruszkę, pamiętasz? Nie to, co teraz. Teraz z pewnością odzyskałaś dawny blask. - Shanti wciąż podziwiała swoje odbicie. - Można by sądzić, że okażesz mi wdzięczność.

- Jeśli oczekujesz wdzięczności - odparła Shanti, nie odwracając głowy - to poszukaj tej nadskakującej ci rzeźby dziobowej! Ona jest taka wdzięczna za każde spojrzenie, które jej rzucisz... Chociaż gdybym to ja była próchniejącą kłodą malowanego drewna, pewnie też bym tak reagowała... Auu!

Krzyknęła, gdy wykręcił jej rękę za plecy.

- Nie wąż się tak mówić o mojej pięknej Darcy! Każda jej drzazga warta jest dziesięciu takich jak ty!

Shanti zaśmiała się mimo bólu.

- Nie mów mi, że to dzieje się naprawdę! Cały czas myślałam, że bawisz się tym głuptasem! A zatem to szczere, wampiryczne uczucie? - Znowu parsknęła zimnym, okrutnym śmiechem. - No to życzę wam powodzenia. Na pewno będziecie szczęśliwi.

- Będziemy - zapewnił. - I szkoda, że ty tego nie zobaczysz.

- Co?

Te słowa ją zaszokowały. Nagle ogarnął ją lęk. Próbowwała go ukryć, ale wyczuł to.

- Pewne rzeczy się zmieniają - syknął jej do ucha.

- Od dzisiaj. To ważny dzień. Odchodzę stąd. I Darcy idzie ze mną. Inni też. Ułożyliśmy plan.

- Bardzo się cieszę - oświadczyła śmiało, jakby sięgnęła do nowych rezerw energii. - Zatem uciekaj stąd... najdroższy. Pędź na ten swój nowy statek. A jeśli ci to nie przeszkadza, ja jednak zostanę.

- O tak... - powiedział. Jedną ręką ścisnął ją za gardło, a drugą odwrócił do siebie. - Tak - powtórzył, zdzierając wszelkie przeszkody, przesłaniające jej pierś. - Taki właśnie jest plan.

Darcy stała na pokładzie z niedużą walizką u stóp. Na walizce leżał zwinięty jej ulubiony wieczorowy płaszcz. Większość eleganckich strojów pozostała na wieszakach w szafie. W końcu uznała, że nie ma sensu pakować więcej niż kilka rzeczy. Wszystkie stanowiły element tutejszego życia - dawnego życia. Miała przecież zacząć od nowa. Dostanie inne ubrania. Piękne ubrania. Pan Jetsam już o to zadba.

- Darcy!

Obejrzała się i zobaczyła kapitana. Kiedy przechodził pod żaglami statku, zamigotały światłem, ale zaraz znowu pociemniały. Kapitan wydawał się zmęczony. Ostatnio był chyba bardziej zmęczony za każdym razem, kiedy go widziała.

- Kapitanie...

Czuła lęk. Bała się tej rozmowy.

- Widzę, że jesteś spakowana. Wyruszasz w podróż?

Potwierdziła, czując, że łzy ściekają jej po twarzy.

- Kapitanie... - Chlipnęła. - Był pan dla mnie taki dobry. Ale coś się zdarzyło, coś cudownego! I czas, żebym stąd odpłynęła.

Miała wrażenie, że się uśmiechnęła.

- Dlaczego płaczesz, dziecko? Wydaje się, że nowa podróż powinna być źródłem wielkiego szczęścia.

- O tak...

Jak mogła wątpić, czy kapitan ucieszy się jej radością? Zawsze tak się o nią troszczył. - Oczywiście, będzie mi ciebie brakowało - dodał. - Wiesz przecież, że byłeś kimś więcej niż galionem tego statku.

Ale jego szept został zagłuszony przez pierwszy krzyk. Potem drugi. I trzeci. Nakładały się na siebie w zgrzytliwej symfonii. Rozległy się krzyki - czwarty, piąty i szósty. I tupot stóp uderzających o deski pokładu.

Kapitan i Darcy się odwrócili. Pokład wypełnił się ludźmi...

Donorzy!

- Kapitanie - wykrztusił jeden z nich. Ubranie miał porwane, z odsłoniętej piersi ciekła krew. - Jak pan mógł do tego dopuścić?

I gdy wyrzucił z siebie te słowa, padł na pokład, przyciskając dłonie do rany.

Jego towarzysze przeskakiwali nad nim w panice, biegnąc do kapitana.

- Zaatakowali nas! - zawołał inny. Jego twarz wyrażała czyste przerażenie. Koszulę także miał rozdartą i poplamioną krwią, a skórę białą jak mleko.

Rozległy się następne krzyki i nowi donorzy wybiegli na pokład. Wyglądali, jakby uciekli z pola bitwy.

Ubrania wisiały w strzępach, na piersiach widniały rany. Plamy krwi na ich twarzach i rękach świadczyły o walce.

- To nie atak! - krzyknął jeden z nich. - To masakra! Oni próbują nas zabić! Biorą za dużo krwi, nie przejmują się niczym...

- Nie rozumiem - powiedział kapitan.

Przerażone krzyki donorów zabrzmiały jeszcze głośniejsze, wznosząc się w straszliwej kakofonii. Donorzy resztką sił przebiegli na krawędź pokładu, opierając się o relingi i stając niespokojnie w ciemności.

- Trzeba skakać! - zawołał jeden z nich. - To nasza jedyna nadzieja!

- Nie bądź głupi! - sprzeciwił się inny. - Utoniesz! Kapitan nam pomoże!

Spojrzał błagalnie na kapitana.

- Tak! - zawołała kobieta. - Zawsze nam pomaga!

Ona także patrzyła na kapitana.

Darcy również czekała na jego reakcję. Na pewno wyprowadzi ich z tego kryzysu, tak jak ze wszystkich innych do tej pory.

Ale kapitan stał nieruchomo. Jego słowa nie dawały pociechy.

- Bądźcie cicho! Nie mówcie wszyscy naraz! Proszę!

Darcy ogarnęło przerażenie, straszne uczucie, że kapitan nie panuje nad sytuacją. Nigdy jeszcze go takim nie widziała. Zawsze spokojny, pewny siebie... teraz wydawał się... pokorny. Nie mogła znieść tego widoku.

Na pokładzie zjawiała się następna grupa - zdradzieccy wampiraci! W ich oczach gorzały płomienie, zęby i wargi ociekały krwią, jaką wysali, nim donorzy zdolali się im wyrwać. Było jasne, że nadal odczuwają głód. Szukali krwi.

Krzyki donorów stały się głośniejsze, pełne grozy. Następni wspięli się na reling. Któryś skoczył do oceanu, po nim następny, choć trudno ocenić, czy w efekcie świadomej decyzji, czy wypadku.

Kapitan, który chyba zebrał siły, wyciągnął rękę i zwrócił się do wampiratów.

- Stójcie! - zawołał. - Co zrobiliście? Wielkie nieba, co zrobiliście?

- Byliśmy głodni! - odpowiedział mu ktoś ze środka grupy. - No więc poczęstowaliśmy się tym, na co mieliśmy ochotę.

- Kto przemawia do mnie tak niegodziwie? - Szept kapitana płynął nad pokładem niczym lodowaty wicher. - Kto buntuje się przeciwko moim regułom? Pokaż się!

Ale Darcy poznała głos. I nie odczuła zdziwienia, kiedy z grupy wystąpił Jez Stukeley. Jej serce pękło na milion małych kawałków.

- Ty? - Kapitan był wyraźnie zaskoczony. - Ty, którego wydobyłem z otchłani?

- No tak, to się zgadza. Ale zapomniał pan o drobnostce: jak to poradził pan Connorowi i jego pirackim kumplom, żeby nas spalili.

- Przeżyłeś. Jakie to ma teraz znaczenie?

- W każdym razie nie żywię urazy - zapewnił Jez.

- Jakoś się odbiłem. Elastyczny ze mnie gość.

Kapitan pokręcił głową.

- Ty... sprowadziłeś grozę na ten statek, do tej społeczności. Zadrwiłeś z naszego świata. Wywołałeś strach i panikę tam, gdzie panował spokój. Zdradziłeś zaufanie. Nie jesteś lepszy niż...

Umilkł, jakby nie potrafił wymówić głośno tego imienia.

- Może faktycznie trochę tu zamieszałem - przyznał Jez. - Ale przecież nie byłem pierwszy. I jak pan widzi, na pewno nie jestem ostatni. Mam rację, koledzy?

Inne wampiry przytaknęły, spoglądając gniewnie na kapitana. Darcy zastanowiła się, czy mogą go zaatakować. Poczowała, że przenika ją strach.

- Mamy dla pana wiadomość, kapitanie, mój kapitanie - ciągnął Jez. Obejrzał się. - Hej, podsadźcie mnie trochę.

Dwa wampiry uniosły go na ramionach. - Tak lepiej - uznał. Z wysokości spojrzął na kapitana i zaintonował: - Trzeba więcej krwi! Trzeba więcej krwi!

Inni się przyłączyli.

- Trzeba więcej krwi! Trzeba więcej krwi! Trzeba...

To była najokropniejsza mantra, jaką Darcy słyszała. Rozbrzmiewał w niej syk płomieni. Zwarty tłum wampirów przypominał straszliwą, zionącą ogniem bestię, z Jezem... nie, teraz musi o nim myśleć jako o Stukeleyu... ze Stukeleyem jako jej oczami i jęzorem.

Nie cała załoga przyłączyła się do buntu, ale zebrało się ich tutaj trzydziestu, może więcej. Poprzednio największy bunt na pokładzie statku wywołały trzy wampiry. Teraz to całkiem inna sprawa. Darcy obserwowała Stukeleya, jak dyryguje monotonnym chórem. Przypomniała sobie, że jeszcze kilka godzin temu wierzyła, iż ta noc odmieni wszystko. I rzeczywiście, choć nie na taką zmianę liczyła. Jej głupie małe marzenia legły teraz w gruzach. To nie była noc magii, tylko noc okrucieństwa. Kiedy myślała nad tą nagłą, katastrofalną zmianą, Stukeley pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się szeroko. Odwróciła się z głębokim obrzydzeniem.

- Trzeba więcej krwi! Trzeba więcej krwi! Trzeba więcej...

Syk nie ustawał.

- Dość! - rzucił kapitan. - Przestańcie. Koniec z braniem krwi na pokładzie tego statku!

Aż do następnej Uczty.

- No dobrze. - Jez zgodził się zaskakująco łatwo.

- W takim razie chyba pana opuścimy. Prawdę mówiąc, wszyscy byliśmy już trochę znudzeni. Bez urazy i tak dalej.

- Znacie zasady - odparł kapitan. Jego szept był zimny jak stal. - Albo będziecie ich przestrzegać, albo...

- Albo co? - rozległ się nowy krzyk.

Głos zahuczał nad wodą. Kapitan się obejrzał. Obejrzała się Darcy. Obejrzeni się donozry przy relingu. Obejrzał się tłum żądnych krwi wampirów. I wszyscy zobaczyli to samo: statek płynący obok Nokturnu. Inny galeon. A na pokładzie, dumniejszy i wyższy niż kiedykolwiek, przybysz z dawnych dni. Twarz z przeszłości - a zapewne i przyszłości: Sidorio.

Pomachał do kapitana.

Kapitan patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Myślałem, że odszedłeś na dobre.

Sidorio odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu. - Nie marnujmy niepotrzebnie czasu. Nigdy nie zdołasz mnie zniszczyć, więc możesz darować sobie wysiłki. Lepiej przyzwyczajaj się do tego, że jestem.

- Nigdy - odparł kapitan. - Dopóki tchu mi wystarczy, nie cofnę się przed niczym, by cię usunąć.

Darcy uśmiechnęła się niepewnie. Szept kapitana znów wydał się pełen siły.

Sidorio wzruszył ramionami.

- Ktoś tu nie umie przegrywać - zawołał.

Stukeley parsknął śmiechem i ten śmiech okazał się zaraźliwy. Darcy zatkała uszy. Słuchać, jak naśmiewają się z kapitana po wszystkim, co dla nich zrobił - tego było za wiele.

- Dobra robota, Stukeley! - krzyknął Sidorio. - Wiedziałem, że się do tego nadajesz! Masz urok jak sam diabeł! Nie traćmy więcej czasu. I tak długo czekaliście. Chodźcie, przyjaciele, chodźcie do mnie! Wasz nowy statek już czeka! Chociaż to tylko chwilowo! Już wkrótce będziemy mieli coś większego!

Machał na nich. Stukeley poprowadził buntowników. Stał na relingu, skoczył wysoko w powietrze, w locie wykonał salto i wylądował obok Sidorio.

- Widzieliście? - zawołał Sidorio do pozostałych.

- Wy też to potraficie! Każdy z was! Spróbujcie! Nie znacie w pełni własnych możliwości! - Wskazał kapitana. - On pozbawił was krwi, byliście słabi jak pokojowe pieski, a

przecież powinniście biegać swobodnie jak wilki! Teraz nauczycie się tego, czego i ja się nauczyłem! Że im więcej przyjmujemy krwi, tym jesteśmy silniejsi! Że to, co kazano nam odrzucić, jest dla nas najlepsze!

- Nie! - zaprzeczył kapitan. - Nie, to wszystko kłamstwa! Przekonacie się!

Jego peleryna na moment rozbłysła światłem.

- Komu wierzycie? - spytał Sidorio. - Temu, co kryje się za maską, siedzi w kajucie, szepcze jak wystraszone dziecko!?! Czy mnie?

Wtedy zbuntowane wampiry zaczęły podbiegać do burty i przeskakiwać na drugi statek.

- Słusznie! - Sidorio robił wrażenie zachwyconego. - Tak jest! A to dopiero początek!

Darcy spojrzała na kapitana. Oczekiwała, że coś zrobi, by to powstrzymać. Ale on zamarł. Jego peleryna całkiem pociemniała. Ze zgrozą patrzyła, jak tamci lądują na statku Sidorio - wszyscy, do ostatniego.

W końcu tylko ona i kapitan pozostali na pokładzie Nokturnu. Oni i donory, wciąż stojący przy relingu, wciąż sparaliżowani ze zgrozy.

Na tamtym, bezimiennym galeonie, buntownicy kręcili się w podnieceniu. Stukeley przecisnął się między nimi.

- Nie idziesz, Darcy? - zawołał do niej. - Nie przyłączysz się do nas?

Zaprzeczyła. Tym razem nie uroniła ani jednej łzy. Nie chciała, by zobaczyli, jak płacze.

- Jesteś pewna? - zapytał. - Czekala nas piękna przyszłość, ciebie i mnie!

- Piękna? Nie znasz znaczenia tego słowa! - odpowiedziała gniewnie.

Na pokładzie drugiego galeonu uciekinierzy zaczęli się z niej wyśmiewać.

- Nie przejmuj się nią - zawołał któryś do Stukeleya. - To tylko kawał drewna!

- Tak! - dodał inny. - A jeśli lubisz kłody wyrzucone przez morze, jest tego dużo!

To przepęłniło czarę. Nie miała zamiaru stać spokojnie i słuchać tych obelg. Zwróciła się do kapitana, ale wydawał się zbyt wstrząśnięty, by coś powiedzieć. Dłonie w rękawiczkach miał skrzyżowane na piersi.

Spostrzegła, że na pokład wychodzą kolejni wam-piraci. Z początku myślała, że bunt się rozszerza, ale przekonała się z ulgą, że nowi są równie zaszokowani i oszołomieni jak ona. Oczywiście mieli czyste, nie wykazywali żadnych oznak, że dzisiaj przyjmowali krew.

- Co się tu dzieje? - spytał jeden z nich.

Darcy obejrzała się na kapitana. Czekwała, aż uspokoi załogę, jak zawsze. Ale zdawało się, że brakuje mu słów. Stał nieruchomo jak głaz, wpatrzony w tamten statek. Zachęceni przez Sidoria, zbuntowani wampiraci odpływali, wykrzykując obelgi.

Pokład Nokturnu zapełnił się ludźmi. Przybycie kolejnych wampiratów wyraźnie przeraziło donorów, którzy lękliwie trzymali się relingu. Ale niebezpieczeństwo minęło.

- Już dobrze - zawołała Darcy do jednych i drugich. - Już w porządku. Działy się tu straszne rzeczy i część załogi nas opuściła. Ale lepiej nam będzie bez nich.

Widziała, jak potakują.

- Wracajcie do kajut - zwróciła się do donorów. - Zostawcie te relingi. Nikt was już nie skrzywdzi. Jesteście bezpieczni.

Ze zdumieniem zobaczyła, że donory zaczynają wykonywać jej polecenia. Pozostałe wampiry ruszyły im do pomocy. Kręciły głowami ze zdziwieniem, ale pocieszały i uspokajały przerażonych ludzi.

W końcu pozostali tylko Darcy i kapitan. Kapitan zamknął się w sobie. Ciągłe patrzył w morze, choć statek Sidoria odpłynął już w mrok. Darcy chwyciła go za ramię.

- Czy dobrze postąpiłam, kapitanie? - spytała. - Czy kazałam im zrobić to, co należy?

Odczekał chwilę, nim odpowiedział.

- Tak, Darcy. Dziękuję ci. - Czemu pan nic nie zrobił? Czemu nie próbował pan ich powstrzymać? - Próbowałem, Darcy... - Jego szept zaczynał słabnąć. - Próbowałem, ale nie miałem siły.

- Ale pan... - Nie wiedziała, co powiedzieć. - Nigdy nas pan nie zawiódł.

- Słabnę, Darcy. - Głos brzmiał jakby z oddali. - Nie wiem, ile czasu jeszcze zostało.

- Nie! - oświadczyła. - Pomogę panu! Niech pan tylko powie, co mam robić.

- Nie wiem - wyznał. - Tym razem nie znam odpowiedzi.

Darcy patrzyła ze zgrozą, jak kapitan przewrócił się na pokład; peleryna opadła wokół niego. Na moment zabłysnęła w niej iskra... a potem utonęła w ciemności.

- To koniec - wyszeptał. - Wszystko skończone.

Przerażona Darcy spojrzała na żagle. Im także odebrano światło.

Rozdział 43

Powrót do Akademii Piractwa

Słońce opadało na krwistoczerwonym niebie, kiedy Connor żeglował do kamiennego łuku, znaczącego granicę Akademii Piractwa. Zapalono już pod nim wielkie pochodnie; ich płomienie lizwały kamień i oświetlały maksymę Akademii:

Obfitość i Przesyt Rozkosz i Swoboda Wolność i Siła

Zaledwie parę miesięcy wcześniej przepływał pod tym łukiem po raz pierwszy i spytał Cheng Li, co znaczy „przesyt”. „Brać wszystko, co tylko zechcesz, a potem jeszcze wszystko inne”, wyjaśniła z uśmiechem. Miał wrażenie, że działo się to w innym życiu. Wtedy był dzieckiem - podekscytowanym wszystkim, co mogła mu zaoferować Akademia. W czasie pobytu tutaj nasłuchiwał się wielu pochwał od wszystkich, a zwłaszcza od dyrektora; przekonali go, że ma przed sobą karierę wielkiego pirata. Teraz z tych marzeń zostały tylko strzępy. Tak wiele się zmieniło - wokół niego i w nim.

Motto Akademii obiecywało piratowi szczęśliwe życie - życie pełne nieskończonych bogactw i radości, ale też siły i swobody. Wszystko to znakomicie brzmiało, ale zupełnie pomijało cenę, jaką trzeba płacić. Owszem, wszystko to może być twoje, jeśli tylko pogodzisz się z koniecznością zabijania. Nie, nie pogodzisz - nauczysz się nią cieszyć. Zabij. Zabij. Zabij. Znowu i znowu, i znowu.

Czerwone niebo przypominało mu o krwi tryskającej z rany ofiary. Nie wracaj tam, pomyślał, zamykając oczy. Ale - jak zwykle - tylko pogorszył sytuację. W umyśle scena trwała w całej jaskrawości, niby zapętłony film, gotów w każdej chwili odtwarzać się bez końca. Otworzył oczy i z ulgą zobaczył, że słońce zachodzi szybko, a ciemność usuwa z nieba bolesną czerwień.

Żeglował dalej, spoglądając w górę, na budynki Akademii. Oświetlone okna jaśniały w mroku; dostrzegał sylwetki uczniów i wykładowców, przemieszczające się za murami - na kolację albo na końcowe, wieczorne zajęcia. Powinien chyba poczekać, nim przybije do brzegu - dopóki nie zabrmi ostatni dzwonek i zmęczeni studenci nie zasną w swoich pokojach.

Płynął w stronę doku, szukając pod wierzbami odpowiedniej kryjówki. A jednocześnie wspominał swój krótki pobyt w Akademii. Pamiętał pierwsze spotkanie z komandorem Kuo i pierwsze spojrzenie na galerię mieczy w rotundzie, czy też „Ośmiornicy”, jak nazywali ją uczniowie. Myślał o własnym mieczu, rdzewiejącym teraz w oceanie. Znając swoje szczęście, podejrzewał, że opadając na dno, przebił pewnie jakiegoś delfina. Wspominał lekcje - warsztaty bitewne czy SWM, poranną rozgrzewkę prowadzoną przez kapitana Płatonowa. Chrzęst żwiru pod stopami i słony posmak porannego powietrza. Poczucie przynależenia, jakie go ogarniało, kiedy biegł przez tereny Akademii obok Jacoby’ego i Jasmine. Jacoby’ego Blunta, swojego nowego najlepszego kumpla... tak przynajmniej sądził. Ale Jacoby go zdradził za namową dyrektora. Wrócił myślą do pokazowej walki w „lagunie zguby”, gdzie Jacoby próbował naprawdę go zranić. Chłopak zawałił sprawę, kiedy już przyszło co do czego. Connor zastanowił się, czy w ten sposób nie przekreślił swojej kariery w Akademii. Federacja Piracka nie potrzebowała podopiecznych, którzy nie doprowadzają spraw do końca.

Spędził tu dziwne, ciekawe dni; ale choć jego wizyta źle się skończyła, wracając w to miejsce, wciąż czuł podniecenie. Wrażenie energii i optymizmu było tak wyraźne, że niemal dotykalne - jakby człowiek mógł je chwycić w ręce niczym granaty dojrzewające w żyznej glebie Akademii. Dzieciaki przybywały tu, marząc, że kiedyś zostaną wielkimi piratami. Dzieciaki takie jak te, które spotkał na lekcji węzłów u kapitan Quivers. Szeroko otwierały oczy i zasypywały Connora i Grace pytaniami, jak to jest, pływać na prawdziwym statku pirackim. Wtedy z entuzjazmem opowiadał o życiu na Diabłu. Teraz mówiłby pewnie co innego: Zapomnijcie o waszych węzłach i waszej nawigacji. Zapomnijcie o takich drobiazgach, jak wymyślanie nazwy dla waszego przyszłego statku albo zszywanie własnej wersji czarnej flagi z czaszką i puszczelami. Skupcie się na jednym tylko pytaniu: czy jesteście gotowi zabijać? To właśnie jest najważniejsze.

Mimo wszystko jednak chyba nie powinien wdzierać się do klasy kapitan Quivers na lekcję węzłów i dzielić się nowo odkrytą mądrością.

Nagle usłyszał jakieś głosy i śmiech. Natychmiast położył się płasko w łodzi, a potem ostrożnie wysunął głowę nad burtę. Pomiedzy gałęziami wierzb ogrodowe latarnie oświetlały dwie postacie, biegnące w stronę brzegu. Kiedy się zatrzymały, Connor zamarł... To byli Jacoby Blunt i Jasmine Peacock. Akurat na nich musiał trafić! Nie mogą go odkryć.

Schował się znowu w nadziei, że pójda dalej. Przez chwilę milczeli i słyszał tylko dziwne szelesty. Potem znów śmiech i głośny plusk, a po nim okrzyk:

- Skoczyłem! Teraz twoja kolej!

To był głos Jacoby'ego - z całą pewnością. Dobiegał z wody, w dodatku z alarmująco niewielkiej odległości.

- No dalej, Jasmine! Chyba się nie wycofasz?

- Zimna jest?

Connor rozpoznał głos Jasmine i z trudem się powstrzymał, by choć przez chwilę nie popatrzeć na najładniejszą dziewczynę w Akademii.

- Nie bardzo, jak już się zanurzysz i trochę poruszasz - zawołał Jacoby, przekrzykując chlapanie.

- No dobrze! To leeeecęęęę!

Kolejny plusk, jakieś piski i znowu śmiechy.

- Oszust z ciebie, Jacoby! Woda jest lodowata!

- No to popływajmy, szybko się rozgrzejesz.

Connorowi mocno biło serce.

Nie płyńcie w tę stronę, błagał w myślach. Płyńcie w stronę zatoki.

- Ścigamy się do tych wierzb! - krzyknął Jacoby.

Świetnie. Po prostu świetnie. Nie było czasu, żeby przesunąć się dalej. Każdy ruch tym bardziej zwróciłby ich uwagę. Najlepsze, co mógł zrobić, to leżeć nieruchomo w łodzi. W ten sposób istniała szansa - fakt, niewielka - że niczego nie zauważą i odpłyną.

- Już! Wygrałem! - obwieścił głos Jacoby'ego. Chłopak musiał dotrzeć do linii wierzb.

- To nieuczciwe! Ruszyłeś, zanim byłam gotowa!

- Jasmine, co to za tłumaczenie...

- Rewanż! Z powrotem do pomostu!

Tak... Connor z radości chciał unieść ręce.

- Czekał chwilę! Czy to jakaś łódź?

- Na to wygląda.

- Co tu robi? Przecież tu nie ma stanowisk cumowniczych.

I po chwili Connor zobaczył nad burtą szerokie ramiona i zaciekawioną twarz Jacoby'ego Blunta. Leżał nieruchomo, nie wiedząc, co powinien zrobić. Jacoby podciągnął się, wskoczył do łodzi i mokry wylądował na Connorze.

- Co jest? - Przetoczył się na bok.

Connor odepchnął od siebie jego śliskie ciało.

- Connor!

- Cześć, Jacoby.

- Co ty tu robisz? Prędzej bym się diabła spodziewał...

I nagle Connor zauważył, że Jacoby jest całkiem nagi. Odwrócił głowę.

- Czy mógłbyś... - Zakłopotany, zamachał rękami. - Mógłbyś...

- Co? Ach, tak... - Jacoby też to sobie uświadomił i nerwowo rozejrzał za jakimś okryciem. - Masz, no... cokolwiek?

Nie patrząc, Connor przesunął ręką po dnie łodzi i znalazł zapasową flagę. Podniósł ją.

- Dzięki. - Jacoby omotał się nią w pasie. - W porządku, teren czysty.

Connor otworzył oczy i z ulgą odkrył, że Jacoby owinął się flagą jak sarongiem.

- Connor! - zawołała Jasmine.

Jej twarz wysunęła się ponad burtą. Connor uznał, że też pewnie jest naga, sądząc po tym, jak starała się nie wynurzyć z wody.

- Cześć, Jasmine. - Uśmiechnął się mimowolnie.

- Od kiedy zaczęliście się razem kąpać na gołasa?

- No wiesz, to tak jakby... - zająknęła się dziewczyna.

- To był zakład - wyjaśnił Jacoby. - Powiedziała, że wskoczy do wody, jeśli ja wskoczę.

- Rozumiem.

- No więc... - Jacoby usiadł na ławeczce. - Co cię sprowadza do starej Akademii, bracie?

Bracie? Czy Jacoby nie pamiętał, jak się rozstali? Czy tylko starał się być zwyczajnie uprzejmy? Connor nie miał pewności.

- Tak jest, Connorze - dołączyła Jasmine. - Nie sądziliśmy, że cię jeszcze kiedyś spotkamy. W każdym razie nie tutaj.

- Musiałem wrócić - oświadczył. - Muszę porozmawiać o czymś z Cheng Li.

Westchnął.

- Brzmi poważnie - zauważyła Jasmine.

- Fakt - zgodził się Jacoby. - I muszę przyznać, Connor, stary kumplu, że nie wyglądasz najlepiej.

Connor zwiesił głowę. Spotkanie z nimi ponownie mu uświadomiło, jak bardzo skomplikowało się jego życie.

- Sprawy nie układały się najlepiej - przyznał.

- Co się dzieje?

- Chodzi o to, że nie jestem pewien, czy mogę ci zaufać.

Jacoby przytaknął.

- Wiem, wiem. Po ostatnim razie... Oczywiście, rozumiem, co czujesz. Ale byłem twoim przyjacielem, Connor. Wiem, że cię zawiodłem, ale byłem przyjacielem, i tak jak mówiłem, zanim odszedłeś, zrobię wszystko, żeby to jakoś naprawić.

Connor spojrział mu w oczy. Rozwagał możliwe decyzje. Jacoby wydawał się niewinny jak mały szczeniak. Trudno uwierzyć, by miał w sobie choć odrobinę zła. Mimo to podjął się brudnej roboty dla dyrektora.

- On mówi prawdę. - Jasmine spojrzała na Connora swymi oszłamiającymi oczami. - Stale opowiada, jak żałuje tego, co zrobił. I że poświęciłby wszystko, żeby odzyskać twoje zaufanie.

Connor podjął decyzję.

- No dobrze - powiedział. - Potrzebuję pomocy was obojga. Ale nie chcę wchodzić w szczegóły, jeszcze nie. Muszę się dostać do pokoju Cheng Li. I nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem. Rozumiecie?

- To takie proste, że niepotrzebny nam żaden chytry plan - uśmiechnął się Jacoby. - Poważnie, Connor, czegoś takiego nie rejestruje się nawet na przysługometrze. Tylko włożymy jakieś ciuchy.

- Świetny pomysł - pochwalił go Connor, szczerząc zęby. - Widok twoich mięśni budzi we mnie kompleks niższości.

Gdy tylko Jacoby i Jasmine wytarli się i ubrali, we trójkę wspięli się na wzgórze, gdzie wyrastały budynki Akademii. Jacoby kroczył pierwszy, za nim Connor starał się trzymać w cieniu, a Jasmine zamykała szyk.

- Uwaga! - syknął nagle Jacoby. - Kapitan Quivers na drugiej.

- Jacoby! - zabrzmiał wyraźny, ostry jak diament głos Lisabeth Quivers. - Jacoby Blunt?

To ty?

- Ja! - krzyknął wesoło, wepchnął Connora w krzak rododendronu i chwycił Jasmine za rękę.

- Ach, i Jasmine... Co tutaj robicie?

- Ależ, pani kapitan - odparł Jacoby. - Mówi pani tak, jakby było coś złego w spacerze po tych wspaniałych ogrodach w piękny wieczór i z uroczą damą.

Kapitan Quivers roześmiała się cicho.

- Nic w tym złego - zapewniła. - Zupełnie nic.

- A pani? - spytał Jacoby, prowadząc ją dalej od rododendronu.

- Ja? Lubię takie postprandialne spacerunki.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy - uśmiechnął się Jacoby. - Ale mądrze brzmi.

- To znaczy „pokolacyjne” - wyjaśniła kapitan Quivers. - Naprawdę szkoda, że w programie zajęć nie ma łaciny. Zawsze uważałam ją za wielce użyteczną. - Westchnęła. - No, ale nie będę was zatrzymywać. Jesteś chyba mokra, Jasmine. Czyżby na brzegu spadł jakiś lokalny deszcz?

Po czym ekscentryczna nauczycielka skinęła im głową i odeszła z lekkim uśmiechem.

Kiedy zniknęła już z pola widzenia, Connor przebiegł po ścieżce i dołączył do pary przyjaciół.

- Myślę, że teren jest teraz czysty - stwierdził Jacoby. - Ale na wszelki wypadek przejdziemy z tobą do kwatery pani Li.

Zeszli ze ścieżki i ruszyli na przełaj po przystrzyżonym trawniku do budynku, gdzie Cheng Li miała kwatere. Światło paliło się w jej oknach i widzieli ją, siedzącą przy biurku. Była wyraźnie zajęta i pisała coś szybko.

- Misja zakończona - stwierdził Jacoby.

Ścisnął Connora za ramię.

- Powodzenia. - Jasmine pocałowała go lekko w policzek.

Dotyk jej warg wydawał się lekki jak muśnięcie skrzydeł motyla, ale wywołał falę gorąca. Dobrze, że przybyłem tu tylko na chwilę, pomyślał. W przeciwnym razie sytuacja mogłaby się skomplikować.

- Zostawimy cię teraz - powiedział Jacoby, cofając się. - Ale gdybyś czegoś potrzebował...

- Jasne - rzucił Connor. Wpatrywał się w oświetlone okno.

- Dobrze było cię znowu zobaczyć, Connor - zapewniła Jasmine. - Uważaj na siebie.

Już sam, Connor stał jeszcze przez moment nieruchomo. Obserwował Cheng Li i zastanawiał się, czy to naprawdę dobry pomysł. Potem podszedł i zastukał w okno. Cheng Li uniosła głowę. Nigdy niczego nie zdradzała; teraz również jej twarz nie okazywała ani lęku, ani zaskoczenia. Uśmiechnęła się tylko, odłożyła pióro i kiwnęła palcem, zapraszając go do wnętrza.

Rozdział 44

Załamanie

- Wpuście mnie! Wpuście, proszę! Młoda kobieta dobijała się do bramy, a jej krzyki z wolna przerodziły się w szloch. - Kim jesteś? - zapytał strażnik. - Darcy Flotsam - odpowiedziała. - Przychodzę z Nokturnu. Kapitan... kapitan się załamał. Potrzebuje pomocy Mosh Zu Kamala! Brama się otworzyła i Darcy wbiegła do środka. Wyminęła strażnika i zderzyła się z młodym człowiekiem, pchającym ręczny wózek. Oboje potoczyli się na ziemię. Kosze pospadały z wózka, a ich zawartość rozsypała się dookoła.

- Wszystko w porządku? - spytał Olivier, pomagając Darcy wstać.

- Nie! - zawołała. - Nic nie jest w porządku! Musicie mi pomóc! Potrzebuję rady Mosh Zu Kamala!

- Dobrze. Przyszłaś we właściwe miejsce.

Olivier starał się ją uspokoić. Widząc, jak jest zdenerwowana, zostawił swój wózek.

- Chodź - rzekł, chwytając ją za rękę. Obejrzał się na strażnika. - Luka, schowaj ten wózek, zbierz, ile się da z koszy, i osiodłaj dwa muły! Jak najszybciej!

Luka skinął głową, a Olivier odbiegł z Darcy.

- Byłam tu kiedyś, dawno temu - oświadczyła, kiedy zwołnili i szybkim krokiem szli korytarzem do pokojów Mosh Zu.

Olivier pokiwał głową.

- A potem pływałaś na Nokturnie?

- Tak. Kapitan bardzo się o mnie troszczył... O nas wszystkich. Nie chcę nawet myśleć...

- Staraj się zachować spokój - poprosił ją Olivier.

- Musisz opowiedzieć Mosh Zu, co się stało. Chodź, jego pokoje są przed nami.

Drzwi były uchylone, więc Olivier zastukał szybko i otworzył je szerzej. W środku Mosh Zu i Grace wydawali się pogrążeni w medytacjach. Wstali, widząc nowo przybyłych.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Olivier.

- Nie szkodzi. - Mosh Zu ruszył im na spotkanie.

- Darcy Flotsam... - Uśmiechnął się ciepło. - Witaj znowu w Sanktuarium.

- Darcy! - zawołała Grace. Podbiegła i objęła przyjaciółkę. - Jak dobrze cię widzieć!

- Ciebie też, Grace! - zapewniła Darcy. - I pana, panie Kamal, oczywiście. Ale nie przybyłam tu z wizytą towarzyską. Mam straszne wieści. Po prostu okropne.

- Usiądź. - Mosh Zu przysunął jej krzesło. - Czy sama wspinałaś się na górę?

Darcy przytaknęła.

- Musiałam. Musiałam! Kapitan nie mógł! Och, to okropne! Takie okropne!

- Może napijesz się herbaty? - zaproponował Mosh Zu. - Żebyś doszła do siebie po wędrówce?

Darcy pokręciła głową. Zdawało się, że znów zaleje się łzami, ale zapanowała nad sobą.

- Muszę opowiedzieć, co się stało...

- Oczywiście. Kiedy tylko będziesz gotowa.

- Na Nokturnie wybuchł bunt. Tym razem to nie jeden czy dwóch wampiratów. Więcej, o wiele więcej. Co najmniej trzydziestu. Sidorio wszystko zaplanował. Przesłał na statek jednego ze swoich... swoich poruczników, można chyba powiedzieć... Jeza... Stukeleya...

Grace spojrzała w oczy Darcy i zrozumiała, jak bardzo przyjaciółka cierpi.

- Wszedł na pokład i błagał kapitana o pomoc. Kapitan przyjął go, a my wszyscy myśleliśmy, że Stukeley jest dobrym... no, że jest dobry. Zachowywał się tak czarująco! Zawrócił mi w głowie! Byłam taka głupia! Teraz myślę, że on przez cały czas podburzał innych członków załogi, sprawdzał, którzy są skłonni do buntu, rozsiewał w ich słabych umysłach ziarna niezadowolenia, opowiadał, że na tym drugim statku wszystko będzie inaczej.

- Bałem się, że taki dzień nadejdzie - przyznał ze smutkiem Mosh Zu. - Ale nie spodziewałem się, że tak prędko.

Grace zadrżała. Zagrożenie rzeczywiście musi być wielkie, skoro zaskoczyło i kapitana, i Mosh Zu.

- Wszystko rozegrało się dziś wieczorem - opowiadała dalej Darcy. - Jez... To znaczy, przepraszam, Stukeley... Stukeley zabił swojego donora, Shanti...

- Shanti nie żyje? - Grace była zszokowana.

Nie łączyły jej z donorem przyjazne uczucia, ale trudno się pogodzić z tak nagłą śmiercią.

- Zabita z żądzы krwi. I dwudziestu innych donorów, zmasakrowanych przez partnerów. Inni uciekli mocno poranieni. Wybiegli na pokład. Staliśmy tam z kapitanem. Z początku nie rozumiałam. Działy się okropne rzeczy. Potem wyszli za nimi wampiraci, których zwerbował Stukeley. Widać było, że wypili za dużo krwi. Mówili do kapitana straszne, niegodziwe słowa. - Darcy odetchnęła. - A później podpłynął ten drugi statek...

- Sidorio! - domyśliła się Grace.

- Tak. Wypędzony porucznik Sidorio. Krzyknął do tamtych, żeby się do niego przyłączyli. I posłuchali, biegli do niego, skakali, jakby wprowadził ich w trans albo coś... To chyba najgorsze, co w życiu widziałam, a widziałam ich wiele.

- Co z kapitanem? - zapytał Mosh Zu.

- To było najstraszniejsze - odparła Darcy. - Myślałam, że kapitan obejmie komendę. Ale zachowywał się tak, jakby stracił siły. Wszystkie siły. Wydawał się bardzo słaby. Upadł na pokład. Od tego czasu prawie się nie odzywa. Powiedział tylko, żeby doprowadzić statek tutaj...

- Żeglowałaś tutaj? - zdziwiła się Grace.

Darcy przytaknęła.

- Dawał mi wskazówki. Ale kiedy tu dotarliśmy, nie mógł wejść na górę, więc przyszłam sama.

- Ci inni wampiraci... - zainteresował się Mosh Zu. - Ci, którzy zostali na statku. Czy istnieje ryzyko, że też się zbuntują? Że spróbują skrzywdzić kapitana?

- Nie. - Darcy pokręciła głową. - Nie, opiekują się nim. Kochają kapitana. Wszyscy kochamy kapitana. Buntownicy odeszli. Teraz to będzie lepszy statek. Jeśli tylko... jeśli zdoła mu pan pomóc.

- Tak - zapewnił Mosh Zu. - Oczywiście, że pomożemy. - Odwrócił się. - Olivierze, weź Dani i ruszajcie po kapitana. Osiodłajcie muły...

- Już czekają!

Olivier wybiegł z pokoju.

Historia została opowiedziana, cel osiągnięty i Darcy opadła bez sił na krzesło. Grace objęła ją - przyjaciółka wydawała się całkiem wyczerpana.

- Darcy Flotsam - rzekł Mosh Zu. - Zachowałaś się dzisiaj jak bohaterka.

- Zrobiłam tylko to, co musiałam, żeby pomóc...

- Zrobiłaś znacznie więcej, Darcy. Być może właśnie ocaliłaś kapitana przed końcem. Dziękuję ci. - Mosh Zu zwrócił się do Grace. - Darcy powinna odpocząć. Może zaprowadzisz ją do swojego pokoju i ułożysz wygodnie? Mogłaby też napić się trochę wywaru z jagód.

- Oczywiście.

- Dziękuję ci, Grace. Pójdę przygotować wszystko do ratowania kapitana. Kiedy tu dotrze, być może trzeba będzie działać bardzo szybko. Gdy już zatroszczysz się o Darcy, wróc do mnie, jeśli mogę prosić. Będę wdzięczny za pomoc.

- Tak. - Grace skinęła głową i wzięła Darcy za rękę. - Chodźmy. Zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz mogła odpocząć.

Po powrocie Grace zastała Mosh Zu w sali uzdrowień. Zapalał świece i rozsypywał pod ścianami słodko pachnące zioła.

- Jak się czuje Darcy? - zapytał, kiedy weszła.

- Teraz śpi. Dałam jej trochę wywaru i porozmawialiśmy. Ale szybko zasnęła.

- To dobrze. Tego jej trzeba po takim wysiłku.

- Wspaniale się dzisiaj zachowała, prawda? - spytała Grace.

Mosh Zu skinął głową.

- Myślę, że zaskoczyła samą siebie. Ale nie mnie.

- Mnie też nie. Zawsze wiedziałam, że jest zdolna do wielkich rzeczy. - Grace się rozejrzała. Spozobiegła długą ławę, przygotowaną, by kapitan mógł się położyć w czasie badań. Nagle poczuła lęk. - Potrafisz go uratować? - spytała.

- Będę z tobą szczerzy: zwyczajnie nie wiem. I nie dowiem się, dopóki on tu nie dotrze.

Grace zadrżała.

- Mówiłeś, że grozi mu niebezpieczeństwo - przypomniała. - Że nadchodzą nowe czasy i powinien być silniejszy.

- To prawda. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że sprawy tak szybko się potoczą.

Zakończyli przygotowania i wyszli z sali uzdrowień do pokoju medytacji Mosh Zu. Usłyszeli dobiegające z korytarza głosy.

- Czy to oni? - zdziwiła się Grace. - Tak szybko wrócili?

Wyszli na korytarz. Zobaczyli idącego przodem Oliviera, a za nim trzech ludzi niosących kapitana. Grace nie mogła na to patrzeć. Sam widok otulonego peleryną ciała, zwisającego

bezwładnie na ramionach niosących mężczyzn, budził w niej przerażenie. Kapitan wydawał się taki słaby... tak bliski końca.

- Dobra robota - pochwalił ich Mosh Zu. - Zanieście go do sali uzdrowień.

Grace została jeszcze chwilę w korytarzu. I wtedy właśnie usłyszała dzwonek. Cichutki dźwięk... ale kiedy nadstawiła uszu, dobiegał wyraźniej. Rozpoznała dzwonek Lorcana - ten, który stał na nocnej szafce na wypadek, gdyby Lorcan chciał wezwać pomoc.

Obejrzała się na Mosh Zu. Skinął głową.

- Oczywiście, Grace. Idź do niego. Sprawdź, czego chce, i wracaj prędko do mnie.

Grace ruszyła biegiem. - Czekaj - zawołał za nią Mosh Zu. Znieruchomiała. - Ważna sprawa, Grace. Cokolwiek by się stało, nie mów nic o kapitanie. Rozumiesz? Potwierdziła ruchem głowy i pobiegła dalej. Dzwonek rozbrzmiewał coraz bardziej natarczywie. Co się tam stało? Czyżby wyczuł, że piętro wyżej dzieje się coś złego? Czy pogorszył się stan jego zdrowia? Nie mogła nawet myśleć o tym, że cierpi jeszcze bardziej. Zaciśnęła zęby i biegła korytarzem.

Minęła pokój rekreacyjny. Czy Johnny był w środku? Zauważyła szachownicę ustawioną do gry, ale rzuciwszy przelotne spojrzenie, nie dostrzegła Johnny'ego.

Nie miała czasu, żeby wejść i sprawdzić. Dzwonek odezwał się znowu. Musiała jak najszybciej dotrzeć do Lorcana, pomóc mu, cokolwiek się wydarzyło.

Wreszcie dobiegła i pchnęła drzwi.

- Lorcan! Przybiegłam jak najprędzej! To ja, Grace!

Siedział na łóżku. Kiedy się pojawiła, upuścił dzwonek obok pozrywanych bandaży.

- Widzę, że to ty, Grace - powiedział z uśmiechem. - Bardzo dobrze widzę, że to ty.

- To znaczy...? - spytała, nie wierząc własnym uszom.

- Włosy ci chyba urosły od czasu, kiedy widziałem je po raz ostatni. Bardzo ładnie.

- Och, Lorcanie! - Podbiegła, by go uściskać. - Widzisz mnie! Możesz widzieć!

- Tak. - Ujął ją za rękę. - I teraz wreszcie pojąłem znaczenie sformułowania „rozkosz dla zmęczonych oczu”.

Rozdział 45

Mentor

Connor wszedł do pokoju Cheng Li i natychmiast ukrył się w cieniu. - Możesz zasłonić okna? - zapytał. - Nikt nie powinien mnie zobaczyć. Cheng Li natychmiast zasunęła rolety. - Mogę też przygasić światło, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej. - Po prostu nie chcę, żeby ktoś wiedział, że tu jestem. - Postaram się nie brać tego do siebie. - Przyglądała mu się z uwagą. - Muszę przyznać, że jesteś chyba ostatnią osobą, którą spodziewałam się zobaczyć w moim pokoju. Patrzył na nią i wspominał ich ostatnie spotkanie, krótko po walce z Jacobym w „lagunie zguby”. Był wtedy zły na Cheng Li. Czuł się przez nią zdradzony. Ona i komandor Kuo bawili się nim, jego ambicjami i emocjami. Pamiętał, co mu wtedy powiedziała: „Wiem, że w tej chwili niezbyt mnie lubisz, ale są sprawy, których nie rozumiesz”.

- O czym myślisz? - spytała.

- O naszym ostatnim spotkaniu.

Skinęła głową.

- Wtedy byłeś na mnie zły, Connorze - stwierdziła rzeczowo. - Powiedz, czy nadal się złościysz?

- Nie, nie na ciebie.

Mówił prawdę. W jakiś sposób problem, czy go zdradziła, czy nie, przestał być teraz istotny.

- To dobrze - powiedziała. - Ale dla porządku: nie było żadnych tajnych i mrocznych planów, żeby cię okaleczyć. Chcieliśmy tylko przetestować twoje umiejętności bojowe, sprawdzić, czy jesteś dostatecznie twardy. Komandor Kuo uważał... a właściwie wciąż uważa... że byłbyś cennym nabytkiem dla Federacji Pirackiej.

- Tak - zgodził się. - Teraz to rozumiem.

Nie znaczyło to, że mu się podoba coś takiego, ale że przyjmuje jej słowa za prawdę.

- I rzeczywiście, zobaczyliśmy, jaki jesteś twardy - mówiła dalej Cheng Li. - Nie tylko zademonstrowałeś nam swoją sprawność w walce. Pokazałeś też, jak ważne są dla ciebie lojalność i uczciwość. - Uśmiechnęła się. - Można powiedzieć, że to ty udzieliłeś nam lekcji.

Connora zaskoczyły jej słowa i jej uśmiech. Była taka zmienna. Za każdym razem, kiedy spotykał ją po dłuższym niewidzeniu, zdawało się, że zrzuciła kolejną warstwę skóry i stała się kimś innym. Nie dało się przewidzieć, jaka będzie i w którą stronę się posunie, co czyniło ją osobą fascynującą i bardziej niż trochę niebezpieczną.

- Więc możemy już nie wracać do przeszłości? - spytała.

- Tak.

Chciał z nią omówić ważniejsze rzeczy. Gdyby tylko wiedział, jak zacząć...

Uśmiechnęła się znowu.

- Cokolwiek cię tu sprowadza, Connorze Tempeście, miło cię znowu widzieć.

Connor wciąż szukał odpowiednich słów. Ale kiedy rozejrzał się po pokoju, zaczął myśleć o innych rzeczach - przyciągał go świat Cheng Li. W pewnym sensie przyjął to z ulgą. Już od dawna zmagał się z wewnętrznymi demonami i przyjemnie było znaleźć się w cudzym świecie - świecie, gdzie, jak zwykle, wiele się działo. W pokoju wszędzie wały się papiery - zapiski, mapy, notatki przypięte do ścian i leżące w plikach na podłodze, stole i sofie. Zorganizowany chaos... bardzo zorganizowany.

- Wygląda na to, że jesteś zapracowana - stwierdził, wskazując papiery.

- To delikatnie powiedziane. Miałaś dużo szczęścia, że mnie zastałaś. Przez tydzień mnie nie będzie. Jutro wypływam w interesach. Czy też, żeby być ścisłym, na zakupy.

Na zakupy? To całkiem nie pasowało do tej Cheng Li, którą znał. Zaskoczony uniósł brew.

- Komandor Kuo dał ci tydzień wolnego od pracy w Akademii, żebyś mogła zrobić zakupy? Dziwię się, że w ogóle są w stanie przeżyć choć dzień bez ciebie.

Cheng Li oparła się o biurko.

- Już niedługo będą musieli przeżyć beze mnie o wiele dłużej. Opuszczam Akademię, Connorze.

- Przecież dopiero niedawno tu wróciłaś!

- Szybko idę naprzód. Znasz mnie, Connor. Jestem ambitna. Tylko czasowo objęłam posadę wykładowcy. Żeby nie czekać bezczynnie. Poza tym Federacja woli, żeby wykładowcy Akademii byli kapitanami. - Przerwała na moment. - Może zrobię ci herbaty?

I nagle Connor pojął, co znaczą te stosy papierów rozrzuconych w pokoju: mapy, plany, sterty życiorysów.

- Zostajesz kapitanem, tak? - zapytał. - Federacja daje ci własny statek.

Cheng Li przytaknęła. Nie umiała powstrzymać szerokiego uśmiechu rozlewającego się na twarzy.

Ale nawet bez tego uśmiechu Connor zgadywał, jak bardzo jest szczęśliwa. To był cel, do którego dążyła przez całe - choć młode - życie. Stanowisko pierwszego oficera na Diabłu miało służyć zdobyciu praktyki, ale sprawy źle się ułożyły i w końcu sama Federacja Piracka odwołała ją do bezpiecznego portu Akademii. Ale nauczanie nigdy nie stanowiło pasji Cheng Li, w każdym razie nie na lądzie. Marzyła o tym, by pływać po oceanach i dorównać sławą swojemu ojcu, wielkiemu Chang Ko Li, „najlepszeemu z najlepszych”. I wreszcie miała wyruszyć w tę epicką podróż. Mimo własnych problemów cieszył się z jej sukcesu. Nagle zapragnął objąć ją i uściskać. Gdyby była Grace, Jasmine czy nawet Cate, pewnie by to zrobił. Ale uściski i Cheng Li jakoś do siebie nie pasowały. Dlatego też tylko po przyjacielsku stuknął ją pięścią w ramię.

- To świetnie - rzekł. - Naprawdę wspaniale! Wymyśliłaś już, jak nazwiesz swój statek?

- Ciągle się zastanawiam - odparła i wskazała notes podpisany „Nazwy statków”. - Jeśli masz jakieś pomysły, chętnie dopiszę je do listy.

- No, no... Ale to naprawdę znakomita wiadomość. Kiedy obejmiesz dowództwo?

- Za kilka tygodni, może szybciej. Zależy, kiedy statek będzie gotowy. Nie ja o tym decyduję i bardzo dobrze, bo muszę się zająć organizacją wielu spraw. - Zaczepnęła tchu i od razu podjęła: - W tej chwili nie mam załogi, więc wszystko spada na mnie. Ale przynajmniej dzięki temu wiem, że praca przebiega, jak należy. Dlatego właśnie jutro rano wypływam z Akademii. Pożegluję na wyspę Lantao odebrać broń, jaką zamówiłam u płatnerza... - Cheng Li przerwała i przyjrzała mu się uważnie. - A właściwie gdzie jest twój miecz, Connorze? - zapytała.

Odwrocił wzrok, nagle zakłopotany.

- Chyba jednak napiłbym się herbaty - powiedział.

- Doskonale. - Nie naciskała go. - Przyda mi się krótka przerwa. Zrób sobie miejsce na kanapie, ale nie pomieszaj papierów! - Ruszyła do małej kuchenki, ale obejrzała się jeszcze z zaskakująco ciepłym uśmiechem. - Naprawdę dobrze cię znów zobaczyć, Connorze. Uwielbiam, kiedy przyjaciele zjawiają się bez zapowiedzi.

Po czym zniknęła za rogiem.

Connor ostrożnie przesunął starannie ułożone pliki kartek i usiadł na kanapie. Spotkanie nie przebiegało tak, jak je sobie wcześniej wyobrażał. Po tym, jak w gniewie opuścił Akademię Piractwa, spodziewał się napiętej atmosfery. Na pewno nie oczekiwał, że Cheng Li zrobi mu herbatę i nazwie przyjacielem. Ale też Cheng Li nie zachowywała się tak, jak inni ludzie. Była szczerą do granic brutalności. Nie tkwiła w zbędnych emocjach, a raczej - niczym statek - żeglowała dalej. Jak sama powiedziała, szybko szła naprzód. Tak szybko, że czasem nie udawało się za nią nadążyć.

Sięgnął po notes z nazwami statków i zaczął przeglądać listę. Typowe: zamiast trzech czy czterech nazw - całe strony, zapisane jej nienagannym charakterem. Niektóre zostały wykreślone, inne oznaczone jedną, dwoma albo trzema gwiazdkami. Najwyraźniej wybór odpowiedniej nazwy statku uważała za rzecz niezwykle ważną.

Wciąż przeglądał listę, kiedy wróciła z tacą, na której stał mały żelazny imbryk, dwie czarki i talerz kuszących ciasteczek.

- Będę tęskniła za jedzeniem w Akademii. - Westchnęła. - Myślałam nawet, czy nie zaproponować szefowi Hornowi podwójnej pensji i nie zabrać go ze sobą. Ale komandor Kuo nie wspominałby mnie wtedy najlepiej, nie sądzisz?

Connor wzruszył ramionami. Przesunął następne dwa stosy papierów, by na niskim stoliku zrobić miejsce na tacę.

- No więc... - Cheng Li usiadła na poduszce i zręcznie ułożyła nogi w pozycji lotosu. - Czy któraś z tych nazw zwróciła twoją uwagę?

Connor raz jeszcze zerknął do notesu.

- Hm... - Zaczął czytać. - „Mściciel, Oprawca, Renegat, Postrach oceanów, Nicpoń, Święty terror, Łotrzyk, Żmija, Łobuz, Zabójca, Wiedźma...” - Uśmiechnął się. - Jest tu wspólny trend, nie sądzisz?

- O co ci chodzi, Connorze? - Cheng Li zaczęła nalewać herbatę.

- Trochę są... agresywne.

Zachichotała.

- Przecież o to właśnie chodzi, prawda? I kiedy podpływasz do innego statku, oni od razu wiedzą, że postawisz na swoim. Proszę, jest herbata. Uważaj, gorąca.

- Chyba rzeczywiście. - Connor odebrał czarkę.

- Ale mimo wszystko są za bardzo brutalne, za bardzo bandyckie jak na ciebie.

Cheng Li skinęła głową.

- Interesująca uwaga. Przewróć kartkę. Zobaczysz, że próbowałam też innych kursów.

Connor zajrzał na następną stronę.

- Co to takiego? „Liga etoliańska”?

- A tak. To historyczna nazwa greckiej konfederacji pirackiej i wojskowej w czwartym wieku przed naszą erą.

- Za bardzo historyczna - uznał Connor. - I za mało przerażająca.

- To fakt - zgodziła się Cheng Li. - Ciasteczko? Są z orzechami makadamowymi i jagodami goji.

- Dzięki.

Connor wziął ciasteczko i zanurzył je w herbacie. - A co myślisz o... - Cheng Li się zastanowiła. - O Krwi i busoli? - Nie, to brzmi jak nazwa pubu, nie statku. Cheng Li zaśmiała się tak naturalnie, jak nigdy wcześniej. - Ta jest niezła - zauważył. - Teuta. Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi groźnie, chociaż bez ostentacji.

- A tak. - Cheng Li rozłamała ciasteczko. - Dodaj jej gwiazdkę. - Podała mu pióro. - Teuta była grecką królową piratów w trzecim wieku przed naszą erą. Sprawiała liczne kłopoty Rzymianom. Zawsze uważałam ją za źródło inspiracji.

Connor odłożył notes i podniósł czarkę do warg. Smużka aromatycznej pary ogrzała mu twarz. Wypił łyk... herbata dobrze smakowała.

- Świeża mięta - wyjaśniła Cheng Li. - Krzak rośnie dziko zaraz za moim oknem. - Odstawiła swoją czarkę i przyjrzała mu się z uwagą... Jej oczy były jasne i czyste jak górski strumień. - Wiesz, mam pomysł.

- Pomysł?

- Tak. Myślę, że jutro powinieneś płynąć ze mną do Lantao. To dwudniowy rejs. Dotrzymasz mi towarzystwa.

Czyli łącznie cztery dni żeglowania słupem Akademii. Nie była to niemiła perspektywa.

Cheng Li raz jeszcze skinęła głową.

- W ten sposób mielibyśmy dość czasu, żeby rozmawiać... albo nie rozmawiać... o tym, co cię dręczy.

- Ja... - zaczął Connor.

Chciał jej powiedzieć, ale wszystkie przygotowane wcześniej słowa pomieszały mu się w głowie.

- W porządku, Connor - uspokoiła go. - Wypij herbatę, potem sprzątnę z kanapy i możesz się przespać. Oczy masz zmęczone, a sam wiesz, co mówią: że oczy są zwierciadłem duszy. Wypłyniemy wcześniej rano. Nikt cię nie zobaczy, a do Lantao dotrzemy w dobrym czasie.

Rozdział 46

Oczy szeroko otwarte

- Jak on się czuje? - zapytała Grace. Minęły już dwadzieścia cztery godziny od przybycia kapitana do Sanktuarium. - Chyba powinnaś sama zobaczyć - odparł Mosh Zu. - To będzie trudna, może nawet bolesna wizyta. Ale jeśli masz zostać uzdrowicielem, powinnaś przyzwyczajać oczy także do takich widoków. Grace nerwowo podążyła za Mosh Zu do ośmiokątnej sali uzdowień. Kapitan wampiratów leżał na niskiej ławie. Fałdy jego peleryny opadały na boki i sięgały podłogi. Widok był szokujący. Grace wiedziała, że kapitan śpi - że Mosh Zu wprowadził go w leczniczy trans - ale równie dobrze mógłby być martwy.

Natychmiast powróciły wspomnienia z dzieciństwa - nigdy nie czuła się dobrze, patrząc na śpiącego ojca. Jak mogła, starała się unikać takich widoków. Ale co jakiś czas wchodziła do głównego pokoju w latarni i znajdowała go rozciągniętego na wytartej kanapie, całkiem bez ruchu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by oblewał ją zimny pot. Wstrzymując oddech, podchodziła ostrożnie do ojca, nasłuchiwała jego oddechu, wypatrywała delikatnego wznoszenia i opadania piersi pod koszulą... Dopiero wtedy czuła się spokojniejsza.

Widok leżącego bez ruchu kapitana budził podobny niepokój. W krótkim czasie, jaki spędziła na pokładzie Nokturnu, kapitan promieniował taką siłą... a teraz wydawał się pozbawiony wszelkiej energii i władzy. To dziwne, ponieważ jego twarz wciąż skrywała maska, a na rękach miał rękawiczki. Wygląd niczym się nie różnił od dawnego, a jednak było oczywiste, że nastąpiła głęboka zmiana.

- Chodźmy - powiedział Mosh Zu i wyprowadził ją do pokoju medytacji. - Myślę, że na razie wystarczy.

Grace nie starała się ukryć, że jest wstrząśnięta.

- Nie... nie spodziewałam się zobaczyć go w takim stanie.

- Rozumiem - przyznał Mosh Zu. - I słusznie czynisz, że nie ukrywasz swych uczuć.

- Jak postępuje leczenie?

Mosh Zu wskazał jej miejsce, by usiadła.

- Będę z tobą szczerzy, Grace. Nie jest z nim tak dobrze, jak bym chciał. Udało mi się ustabilizować jego stan, ale zaczyna być jasne, że łagodne środki daleko nas nie zaprowadzą. Potrzebne są bardziej radykalne metody, i to szybko.

- A co mu dolega? - To właściwie całkiem proste. Pamiętasz naszą rozmowę o uzdrawianiu? Aby robić to skutecznie, uzdrawiacz musi rozwinąć w sobie umiejętność likwidowania bólu innych tak, by samemu go nie przyjmować. Nie jest to nawet w przybliżeniu tak proste, jak brzmi, zwłaszcza kiedy chodzi o kogoś, kto wiele dla nas znaczy. Tak bardzo chcemy pomóc tym, których kochamy, że tracimy wszelką perspektywę. Błędnie odczytujemy sygnały, a wskutek tego leczenie staje się mniej skuteczne dla nich i bardziej niebezpieczne dla nas.

Słuchając Mosh Zu, Grace przypomniała sobie, jak trudno było jej zrozumieć Connora i ulżyć jego cierpieniu.

- Kapitan całkowicie poświęcił się pomaganiu innym - ciągnął Mosh Zu. - Bez wątpienia jest najbardziej bezinteresowną istotą, jaką znam. Ale na tym właśnie polega problem. Zbyt chętnie starał się dźwigać cudze ciężary. A w rezultacie jego jaźń stawała się coraz słabsza i słabsza. Jeśli nie podejmę działań, by temu zaradzić, grozi nam, że stracimy go bezpowrotnie.

Grace poczuła dreszcz na samą myśl o takiej możliwości.

- Dzielę się z tobą tymi opiniami, Grace, ponieważ wierzę w twoją moc uzdrawiania. Musisz jednak uważnie słuchać, co mówię, by nie wpaść w tę samą pułapkę co kapitan. Wiem, że chciałabyś pomagać innym, a możesz im pomóc i to bardzo, jednak musisz się nauczyć nie przejmować ich bólu, nie dźwigać za nich brzemienia. Nie pozwól, by przepelniła cię ciemność.

Przytaknęła.

- Widzę troskę w twoich oczach - powiedział.

- I wiem, że w części jestem za nią odpowiedzialny. Martwisz się o kapitana, to jasne. Ale uleczę go, Grace. Nie będzie to łatwe ani proste, ale potrafię tego dokonać.

Te słowa dodały jej otuchy.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponował. - Widziałas dzisiaj Lorcana?

- Jeszcze nie. Może teraz poszłabym do niego?

- Uważam, że to dobry pomysł - zgodził się Mosh Zu. - Ale muszę cię o coś prosić, Grace. Co prawda Lorcan odzyskał wzrok, ale ze względu na psychologiczny aspekt jego

dolegliwości, nie jest jeszcze całkiem bezpieczny. Pozostaje w niepewnej równowadze. W razie zbyt wielkiego napięcia albo lęku istnieje duże ryzyko, że ślepotą powróci. A jeśli to nastąpi, trudniej będzie go z niej wyprowadzić po raz drugi. Rozumiesz?

- Oczywiście - zapewniła. - Zaopiekuję się nim. Nie zrobię nic, co mogłoby go zdenerwować.

- No to biegnij - zachęcił ją Mosh Zu. Znow się uśmiechnął. - I nie bądź taka przestraszona, Grace. Wiem, że on nie może się już doczekać, żeby cię zobaczyć.

- Grace! - zawołał Lorcan.

Leżał na łóżku, ale teraz zsunął nogi i wstał, żeby się przywitać. Rozłożył ręce, by ją uścisnąć, ale zawahała się. Czekala, aż spojrzą sobie w oczy.

A potem poczuła, jak łzy wzbierają jej pod powiekami.

- Przepraszam - rzekła, mrugając gwałtownie. - Musiałam jeszcze raz sprawdzić. Wciąż się przyzwyczajam do myśli, że znowu widzisz, że to nie sen!

- Żaden sen. - Lorcan objął ją ramionami. - Widzę cię, Grace! I nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy, że kogoś widzę.

Wypuścił ją z objęć i usiadł na łóżku. Grace zajęła miejsce naprzeciwko. Przez chwilę nic nie mówili, uśmiechali się tylko do siebie.

- Jakie to uczucie? - spytała w końcu.

- Niesamowite - odparł. - Nie tylko mogę znowu widzieć, ale wszystko jest ostrzejsze i bardziej wyraźne niż przedtem. - Ścisnął jej dłoń i zajrzał głęboko w oczy. - Świat wydaje się jeszcze piękniejszy, niż go zapamiętałem.

Skupione spojrzenie Lorcana burzyło jej opanowanie. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatni raz tak na nią patrzył. Tak wiele, że chociaż już się przyzwyczaiła, teraz czuła się trochę jak wtedy, kiedy ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Wróciła pamięcią do tamtej chwili, kiedy uchyliła powieki na pokładzie Nokturnu. Z początku myślała, że patrzy na niebo - tak błękitne miał oczy. Dopiero po chwili zrozumiała. I od tego czasu nic już nie było takie samo. Dla niego też nie, pomyślała, wspominając wizję Lorcana ze wstążki, ten moment, kiedy spojrzał w jej zielone oczy. Spojrzał i ją rozpoznał. Ale jak?

- O czym myślisz? - zapytał. - Wydawało się, że na chwilę odpłynęłaś.

- Nie, jestem tutaj - zapewniła. - Przypomniałam sobie tylko nasze pierwsze spotkanie.

- Kiedy wyłowilem cię z wody?

Przytaknęła.

- Ja też dużo o tym myślałem - oświadczył.

- Naprawdę? - spytała podekscytowana.

- W ogóle dużo myślałem, kiedy tutaj leżałem. Wiesz, poza tym niewiele mogłem robić.

- Nie - zgodziła się. - Ale teraz to już skończone. Odzyskałeś wzrok, a niedługo wrócą siły. - Przypomniała sobie instrukcje Mosh Zu. - I znów będziemy na Nokturnie. - Miała nadzieję, że zabrzmiało to pogodnie i lekko. - Wszystko wróci do normy.

Lorcan zmarszczył czoło. Grace poczuła ukłucie lęku - czyżby do jej głosu przeniknął ślad zwątpienia co do powrotu na statek?

- Grace, muszę ci coś powiedzieć - rzekł. - Może ci się to nie spodobać, możesz z początku nie rozumieć. Ale, proszę, wysłuchaj mnie. I pamiętaj, że mówię to wszystko, bo mi na tobie zależy.

Teraz to ona zmarszczyła czoło. Jego słowa zabrzmiały złowieszczo.

Lorcan odetchnął głęboko.

- Kiedy przyjdzie pora, myślę, że nie powinnaś wracać ze mną na Nokturn. Ten statek... Ten statek nie jest dla ciebie odpowiednim domem.

- Podoba mi się tam - odparła. - Wiem, że trudno uwierzyć, ale to prawda.

- Wiem, że ci się podoba - zapewnił. - A od siebie dodam, że lubię, kiedy tam jesteś. Bardziej niż tylko lubię. Ale to nie miejsce dla ciebie. Powinnaś dołączyć do Connora.

- Nie - sprzeciwiła się Grace. - To nie jest dobry pomysł.

- Rozumiem, że nie czujesz się związana ze światem piratów, ale z czasem...

- Nie. - Pokręciła głową. Gorące łzy zapiekły ją pod powiekami. - Nieważne, jak długo pozostanę na statku piratów. To nigdy nie będzie mój dom. Na Nokturnie jest inaczej. Z nim jestem związana.

- Wiem, że tak, Grace. I czuję się za to odpowiedzialny.

Może i słusznie, uznała. W końcu Lorcan był jednym z ważniejszych powodów, dla których tak dobrze się czuła na statku wampirów.

- Ale popełniłem błąd, wciągając cię do mojego świata - mówił dalej. - Ten świat nie jest odpowiedni dla śmiertelnych. Bywa niebezpieczny.

- Niebezpieczny? - zdziwiła się. - Wydaje mi się, że jak dotąd całkiem dobrze umiałam o sobie zadbać.

Przypomniała sobie, jak się broniła przed atakiem Sidorii. Inni ulegliby przerażeniu, gdyby znaleźli się w zamkniętej kajucie i w towarzystwie najbardziej krwiożerczego z wampirów. Ona jednak nie straciła głowy i skłoniła go do rozmowy, naprowadzając na temat jego życia i śmierci - temat, do którego wracał aż nazbyt chętnie. W ten sposób zyskała na czasie, aż kapitan przybył, by ją ocalić. Jeśli poradziła sobie z Sidoriem, to poradzi sobie z każdym.

- Grace, w końcu szczęście przestanie ci sprzyjać. To tylko kwestia czasu. Nie jesteś wampirem i nie jesteś donorem.

Nie, przyznała w myślach. Jestem pomiędzy. I w tej chwili trudno jej było wyobrazić sobie coś gorszego niż bycie pomiędzy.

- Jesteś smutna - zauważył. - I to moja wina. - Tak. - Jej smutek zmienił się w gniew. - Rzeczywiście twoja. Powiedziałeś przecież, że powinnam zostać. Pamiętasz? Powiedziałeś, że na statku jest milion tajemnic do odkrycia. Czyżbyś zapomniał? Sam to mówiłeś.

Przytaknął.

- Pamiętam. Pamiętam każde słowo, jakie wypowiedzieliśmy do siebie nawzajem. A kiedy tu leżałem, odtworzyłem je wszystkie. - Westchnął. - Kiedy ci to mówiłem, byłem beznadziejnie romantyczny, Grace. Sądziłem, że uda się nam znaleźć sposób, by przekroczyć przepaść między naszymi światami.

- A teraz? - zapytała. - Czemu teraz zmieniłeś zdanie?

Popatrzył na nią z uwagą.

- Przejrzałem na oczy - oświadczył.

Rozdział 47

Do Lantao

Żegluga z Akademii Piractwa na wyspę Lantao powinna zająć prawie dwa dni. Sporo czasu, myślał Connor, gdy odbijali o świcie. Dość, żeby porozmawiać z Cheng Li o tym, co leży mu na sercu.

Kiedy jednak zaczął się rejs, Connor miał dość pracy przy prowadzeniu słupa. Szczera rozmowa nie wchodziła w grę. Ich konwersacje ograniczały się do ciągu instrukcji i potwierdzeń niezbędnych w żegludze po wzburzonych wodach.

Dziwne, ale nawet nie mówiąc ani słowa, czuł się lepiej. Może po prostu zatracił się w fizycznym wysiłku. Od czasu dzieciństwa takie działania przynosiły mu uspokojenie. Kiedy w głowie zaczynają się gromadzić mroczne myśli, nie ma lepszego lekarstwa jak rzucanie do kosza albo pływanie w słonowodnym basenie tam i z powrotem nienagannym kraulem.

Cheng Li była idealną towarzyszką. Nie należała do osób, które potrzebują rozmowy. Raczej - podobnie jak Connor - odzywała się tylko wtedy, kiedy miała coś do powiedzenia. Widział, że ją także męczą natrętne myśli - z pewnością analizuje wszystkie spisy, wszystkie decyzje, które musi podjąć, zanim przejmie dowodzenie na statku. Nawet milcząc, promieniowała optymizmem, a to się udzielało. Miły nastrój i słońce, które wyjrzało zza chmur, wpłynęły na to, że odbywali przyjemną żeglarską wycieczkę.

Kiedy słońce opadło ku zachodowi, rzucili kotwicę i dali obolałym kościom nieco odpoczynku. Cheng Li zniknęła na chwilę pod pokładem, po czym wróciła z koszem jedzenia, przygotowanego przez szefa kuchni w Akademii.

- Jedz! - rzuciła. - Na pewno zgłodniałeś nie mniej ode mnie.

Zaczęli otwierać rozmaite pojemniki - napełnione zimnym mięsem, rybą, sałatami i sosami - i nakładać sobie czubato na talerze. Po całym dniu fizycznego wysiłku apetyt im dopisywał. Rozmowa znów nie bardzo się kleiła, gdy przeżuwali kolejne smakołyki, przyrządzone dla nich przez szefa Homa.

- Dzisiaj będę spał mocno - oznajmił wreszcie Connor.

- Ja też - zgodziła się Cheng Li. - Prawdę mówiąc, Connor, wyglądasz na wykończonego. Można na niej polegać - zawsze ma pod ręką jakiś komplement.

- Zaparzę herbatę - zaproponowała, chowając się znowu pod pokładem.

Connor zajął się sprzątaniami po posiłku, a potem wyniósł puste pojemniki do kambuza, gdzie Cheng Li parzyła kuszącą mieszankę zielonej herbaty z imbirem i żeńszeniem.

- Świetnie pachnie - pochwalił.

- Wynieś ją na pokład - poleciła. - Daj jej czas, żeby się zaparzyła. Będę za chwilę.

Wyniósł tacę i ustawił na stoliku. Potem wyciągnął się na wyściełanej ławie, podłożył pod głowę kamizelkę ratunkową i patrzył w niebo. Szukał na firmamencie swoich ulubionych konstelacji. Ta zabawa zawsze go uspokajała. Pozwalała wrócić pamięcią do latarni morskiej, do Grace i ojca. Dziś jednak, zanim jeszcze znalazł Orła, powieki zaczęły mu ciążyć. Nie miał siły, żeby je unieść.

Kiedy Cheng Li wyszła na pokład, znalazła go śpiącego mocno; oddychał powoli i głęboko. Okryła go kocem, a potem obeszła pokład i zapaliła latarnie. W końcu usiadła i naląła sobie herbaty.

Connor obudził się nagle i natychmiast oprzytomniał. Nocny chłód przenikał go aż do kości. Pod czarnym niebem zrobiło się przeraźliwie zimno. Ale to nie wszystko... Sny pełne były wspomnień, a ostatnie, co ujrzał, sekundę przed przebudzeniem, to jego rapier wbijający się w ciało Alessandra.

- Co się stało? - spytała Cheng Li.

Uniósł głowę. Siedziała naprzeciwko i w świetle latarni zapisywała coś w jednym ze swych notatników.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczył.

Odłożyła notes i pióro i czekała, aż on zacznie. Wyobraził sobie, że tak to pewnie wygląda, kiedy człowiek siada w fotelu u psychiatry.

Nie było sensu dłużej zwlekać. Po to przecież odszukał ją w Akademii Piractwa i wyruszył z nią w rejs. Pozwolił, by słoneczny dzień i żeglowanie otuliło go ochronnym pledem - przekonując niemal, że nadal żyje w dawnym świecie. W świecie sprzed tego strasznego zdarzenia. Ale w rzeczywistości nie dawało się przed tym uciec.

- Zabiłem człowieka - poinformował.

Skinęła głową.

Zrozumiał natychmiast.

- Wiedziałaś już o tym, prawda?

- Tak - przyznała. - Wieści szybko się rozchodzą. Dlatego do mnie przyszedłeś, Connorze, prawda? Żeby wysłuchać, co mam do powiedzenia w tej sprawie?

- Tak. Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Nie mogłem zostać na Diabłu. Nie po tym, jak dali mi krwawego kapitana. Pływałem bez celu. Wyrzuciłem miecz do oceanu. W końcu zrozumiałem, że istnieje jedna osoba, która być może potrafi mi pomóc.

- Ja - powiedziała. To nie było pytanie.

Przytaknął.

- No dobrze - rzekła. - Może w takim razie opowiesz mi wszystko, zgoda?

Była dobrym słuchaczem. Widział, jak chłonie każde słowo, każdą emocję. I nie przerywała. Cierpliwie czekała, nawet kiedy milkł, by zastanowić się nad najlepszym sposobem wyrażenia uczuć - to ważne, żeby opisać je jak najdokładniej. Czekala, aż Connor znajdzie właściwe słowa, bez ponaglania.

Kiedy skończył, pokiwała głową. Potem siedziała jeszcze chwilę milcząca i nieruchoma, jakby jej umysł wciąż analizował informacje, przesiewał rozmaite przedstawione fakty.

- I co? - zapytał w nadziei, że skłoni ją do mówienia.

Wydawała się zaskoczona.

- Nie mogę ulżyć twojemu poczuciu winy. Zabiłeś człowieka. Obudził się tamtego ranka i życie rozciągało się przed nim, kto wie, jak daleko. A ty je przeciąłeś. Nie da się temu zaprzeczyć, nie da się uciec przed tym faktem.

Connor słuchał. Miał nadzieję, że jej słowa przyniosą pociechę, ale na razie czuł się jeszcze gorzej.

- Nikt nie może stłumić wyrzutów, jakie czujemy, odbierając komuś życie. Ale też, moim zdaniem, nie należy nawet próbować. Wyrzuty sumienia są rozsądną ceną. W zabiciu człowieka nie ma niczego satysfakcjonującego, chwalebego... I być nie powinno.

- Zabijałaś? - zapytał Connor.

- Tak przyznała. - Kilka razy.

- I jak się z tym pogodziłaś? Jak możesz zapomnieć, żyć dalej? W jaki sposób wciąż potrafisz cieszyć się dolą pirata?

I znowu starannie rozważyła słowa, nim udzieliła odpowiedzi.

- Gdy zabijam, czuję się dokładnie tak, jak ty teraz. Mówią, że pierwszy raz jest najgorszy, a potem człowiek się przyzwyczaja, staje się obojętny. Ale nie zgadzam się z takim myśleniem. Nie chcę być obojętna. Nie wolno odrzucać emocji, jakie się w tobie rodzą, które czynią cię człowiekiem. Wyrzuty sumienia odczuwamy z ważnych powodów. Tak samo jak odczuwamy strach, radość czy zmęczenie. To znaki...

Bo nie powinniśmy się nawzajem zabijać. Jednakże w świecie, w którym żyjemy, czy nam się to podoba, czy nie, takie rzeczy się zdarzają.

- Rozumiem...

Nie wiedział jednak, dokąd właściwie ona zmierza.

- Ale sposobem, by to znieść, jest nie zabijać bez absolutnej konieczności. Widziałeś mnie w walce, Connor. Wierzę w precyzję. Nie lubię bezsensownej przemocy. Zależy mi na rezultatach. W czasie twojej krótkiej kariery studenta Akademii wysłuchałeś chyba wykładu komandora Kuo o zanshin. Pamiętasz?

- Tak - potwierdził. - Zanshin to stan podwyższonej czujności, gdy człowiek gotów jest do odparcia ataku ze wszystkich kierunków.

- Rzeczywiście. Ale wierzę, że ten stan czujności należy zachowywać przez cały czas, w walce i poza nią. Im bardziej jesteś czujny jako pirat, tym rzadziej znajdujesz się w sytuacjach wyboru między życiem a śmiercią. Być kapitanem piratów to nie znaczy, że trzeba zabijać. Ale czasami zdarza się tak, że człowiek nie ma innej możliwości. Ty albo oni. Czy też oni albo twój towarzysz. Wydaje mi się oczywiste, że ty działałeś w ten sposób. Gdybyś nie zabił tego ochroniarza, prawdopodobnie zginąłby Promyk Wrath. Otrzymałeś rozkaz i wykonałeś go. W sytuacji bojowej okazałeś znakomite opanowanie zanshinu.

Jej słowa nie uspokoiły go tak, jak się spodziewał czy miał nadzieję. W tej chwili nie czuł żadnej pociechy. Ale inaczej patrzył na to, co zrobił. I tylko przez chwilę miał wrażenie, że może jednak potrafi pójść naprzód. Zaraz jednak zniknęło, zalane znajomą falą lęku.

- O co chodzi? - spytała, dostrzegając zmianę.

- Rozumiem, co powiedziałaś - odparł. - Po prostu nigdy jeszcze nie czułem się taki wystraszony. Nie rozumiem tego. Nic mi przecież nie grozi. W chwilach niebezpieczeństwa robiłem to, co mi kazano. Ale teraz, w tę spokojną noc na oceanie, jestem przerażony. Dlaczego?

Cheng Li rozważyła jego słowa. I uśmiechnęła się.

- Właściwie to całkiem proste. Największa groza nie czai się gdzieś na oceanach. Nie kryje się w cieniu. - Pochyliła się i przyłożyła dłoń do jego serca.

- Jest w tobie. Masz ją we krwi. - Cofnęła rękę i potrząsnęła głową. - Nie jesteś wyjątkowy. Dla każdego z nas wygląda to tak samo.

Rozdział 48

Lasso

- Mówię to wszystko tylko dlatego, że troszczę się o ciebie - zapewnił Lorcan. - Jak my wszyscy. Mosh Zu, kapitan... Chcemy tego, co dla ciebie najlepsze.

- I najlepsze dla mnie ma być to, że już nigdy cię nie zobaczę?

- Tak. Zgadzam się, to trudne, ale z czasem zrozumiesz, że mam rację.

Nie wiedziała, czy powinna się śmiać, czy wrzeszczeć. Jednak kiedy się odezwała, głos miała spokojny.

- Nie wydaje mi się - oświadczyła. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek była ci za to wdzięczna.

Mogłaby mu powiedzieć o wiele więcej, ale pamiętała o ostrzeżeniu Mosh Zu. I chociaż Lorcan bardzo ją zranił, nie chciała ryzykować nawrotu jego choroby. Zrozumiała, że musi wyjść z pokoju. Jeśli zostanie tu choćby chwilę dłużej, jeśli ta rozmowa jeszcze potrwa, to na pewno wspomni o buncie na Nokturnie i o załamaniu kapitana.

- Zostawię cię teraz - powiedziała.

Nie wypuszczał jej ręki.

- Nie odchodź - poprosił. - Nie idź, póki jesteś zdenerwowana.

Wyrwała mu dłoń.

- Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Żeby to sobie przemyśleć.

- Aha... - odparł trochę zdziwiony.

Nie chciała nawet na niego patrzeć. Wstała i wyszła na korytarz. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, ogarnęła ją fala emocji. Czuła, że zaraz się rozplacze, ale postanowiła, że zanim to nastąpi, będzie już daleko. Ruszyła biegiem w stronę swojego pokoju.

Po drodze minęła kilka wampirów. Spoglądały na nią i z pewnością zauważyły, jak bardzo cierpi. Słyszała za sobą przyciszone głosy, ale nie obchodziło jej, co mówią. Biegła dalej.

Gdzieś po drodze musiała źle skręcić, bo nagle - zamiast na korytarzu prowadzącym do jej pokoju - znalazła się o poziom niżej. Był to nieznaną teren, ale przynajmniej korytarz okazał się pusty. Wyczerpana, zmęczona biegiem, zatrzymała się i osunęła na podłogę. Zaczęła szlochać.

Przez łzy rozglądała się po korytarzu. Pamiętała, jaki czuła podziw, wkraczając do Sanktuarium - tego wspaniałego miejsca uzdrowień. Owszem, to się potwierdziło - Lorcan odzyskał wzrok. Ale teraz, kiedy został uleczony, odpychał ją. Cieszyła się, że znowu widzi, ale była załamana, że każe jej opuścić siebie i Nokturn. Cały jej świat zdawał się rozsypywać w gruzy. Wieści z Nokturnu okazały się bardzo złe - kolejny bunt i to najgorszy ze wszystkich. A w dodatku wywołał go Jez Stukeley. Za życia był takim dobrym człowiekiem, ale po śmierci - i pod opieką Sidorii - całkowicie pograżył się w mroku. Wydawało się nie do wiary, że kapitan zniósł bunt Sidorii, a załamał się wobec rebelii Jeza. Lecz - z tego, co mówił Mosh Zu - to nie rebelia powaliła kapitana. Sam ze sobą prowadził długą wojnę na wyczerpanie, próbując zachować harmonię na pokładzie Nokturnu i pomagać wampirom panować nad żądzą krwi.

Zdawało się, że rozpada się wszystko, nad czym pracowali Mosh Zu i kapitan. Może zwyczajnie nie da się powstrzymać apetytu wampirów, a nieudane próby niosą tylko zgryzotę. Grace wiedziała, że to pesymistyczne myśli, ale miała wrażenie, że kapitan i Mosh Zu przegrywają na każdym kroku. Taka szkoda, taka straszna szkoda... Ludziom dotkniętym nieśmiertelnością starali się wskazać sposób nadania sensu swemu nieskończonemu istnieniu. Ale większość wampirów nie potrafiła spojrzeć poza swoje bezpośrednie pragnienia.

Grace potrząsnęła głową. Sytuacja nie może już chyba stać się gorsza. Jez wywołał niepokoje na pokładzie Nokturnu. Było jasne, że Sidorio nie zginął, ale odpoczywał, przyczajony w mroku. Jak długo jeszcze, myślała. Ile potrwa, nim ujawni się znowu i dokona następnego ataku?

A kiedy to zrobi, może nadejść koniec kapitana wampirów. Zachorował ciężko i teraz jego przetrwanie zależy od zdolności Mosh Zu. Być może okaże się to najtrudniejszą próbą dla guru.

Był też Connor. Zrobiła, co mogła, by mu pomóc, ale nie miała pojęcia, gdzie jest w tej chwili ani co przeżywa.

I wreszcie był Lorcan. Lorcan, którego leczenie przebiegło dobrze. A jednak uczucie euforii trwało chwilę, szczęście zostało zniszczone przez jego okrutne stwierdzenie, że Grace nie

powinna wracać na Nokturn. I nawet nie zdawał sobie sprawy, że statek, który był ich domem, może już nie istnieje.

Ale się posypało, myślała. Strasznie się posypało. W myślach pojawiały się obrazy ich wszystkich: Jeza i Sidorii, kapitana wampirów i Mosh Zu, Connora i Lorcana... Czuła, że jej kruchy świat zaczyna się rozpadać. Nie miała pojęcia, jak - i czy w ogóle - potrafią znaleźć wyjście.

Nie umiała się nawet zmusić, żeby wstać z tej zakurzonej podłogi. Po co? Siedziała nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Po pewnym czasie usłyszała wesołe pokrzykiwania. Uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Dobiegały z bliska, może nawet zza rogu... Zdawało jej się, że rozpoznaje głos. Być może trafiła na jedyną osobę, która zdoła poprawić jej nastrój.

Podniosła się, otrzepała i ruszyła w stronę źródła odgłosów. Korytarz wił się i skręcał, aż doprowadził ją do sporej sali, rodzaju wewnętrznego dziedzińca. Pośrodku stał Johnny Desperado z lassem w ręku. Znowu krzyknął radośnie i sprawnie zarzucił pętlę na termos z wywarem.

Grace się uśmiechnęła. Wydawał się pełen życia. To właśnie jego powinna spotkać - Johnny na pewno doda jej otuchy.

Wyszła na dziedziniec. Johnny zwijał lasso i wyplątywał termos. Kiedy ją zauważył, uśmiechnął się szeroko.

- Trzymaj! - Rzucił jej termos. - Postaw go gdzieś. Gdzie chcesz. A stary Johnny złapie go na lasso.

- Dobrze.

Ze śmiechem ustawiła termos na ziemi. Potem cofnęła się, by patrzeć, jak Johnny wykonuje rzut. Zrozumiała, że to prawdziwa sztuka. Pętla wleciała w powietrze, zawirowała, wreszcie spłynęła nad termos. Wtedy Johnny szarpnął linkę i zacisnął ją na celu. Grace wyobraziła sobie, jak łapie konia... Potrafiła docenić jego umiejętności.

Ściągając do siebie termos, zaczął opowiadać. Nie wiedziała, czy mówi do siebie, czy do niej.

- Kiedy trzeba złamać konia, najważniejsza jest budowa zaufania. Krok po kroku. Jakby człowiek chciał się zaprzyjaźnić. Trzeba kombinować, jak się zachować wobec konia, żeby cię polubił. Żadnej konfrontacji. Z tego nigdy nic dobrego nie wynika. W każdym razie nie na

początku. Trzeba wiedzieć, jak mocno można nacisnąć. I kiedy. Lekki nacisk i wycofanie... to najważniejsza wiadomość, jaką należy przekazać koniowi. Mówisz mu, że nie jest w pułapce, że może coś zrobić, żeby zmniejszyć ucisk, który czuje.

Spojrzał na Grace, a potem znów rzucił jej termos. Opowiadał dalej, gdy ona stawiała naczynie na nowym miejscu.

- Kiedy lasso zaciska się na końskiej szyi, nawet ujeżdżony koń będzie walczył. A dziki... Dziki będzie walczył jeszcze mocniej. Czując, że lasso się zaciska, nie cofnie się przed niczym aż do całkowitego załamania, byle tylko zmniejszyć ucisk. W takiej chwili będzie walczyć o życie.

Johnny raz jeszcze chwycił lasso i uniósł rękę do rzutu. Kiedy uwolnił linkę, mrugnął do Grace. Patrzyła, jak pętla płynie w powietrzu. Ale to mrugnięcie musiało go rozproszyć, bo nie opadała w okolicy termosu. Zamiast tego zawisła nad głową Grace.

Dziewczyna spojrzała na Johnny'ego. Wydawał się dziwnie skupiony. Poczła lekki podmuch, gdy pętla sznura spadła jej na głowę i szyję, zawisła na moment i zsunęła się niżej, na wysokość łokci.

Wtedy poczuła, jak ucisk wzrasta. Coś jej mówiło, że to już nie jest zabawa. Spojrzała nerwowo na Johnny'ego.

- Wygląda na to, że tym razem złapałem coś naprawdę dzikiego - oświadczył z dumą.

Rozdział 49

Płatnerz i jego córka

Podpłynęli do Lantao od południa. Unosząc głowę znad map nawigacyjnych, Connor zobaczył Lantao Peak, najwyższy szczyt na wyspie, otulony grubym dywanem zielonej roślinności. Przypomniawszy sobie, jak Cheng Li mówiła, że płatnerz mieszka wysoko nad wodą. Ogarnęło go ponure przeczucie, że odebranie zamówionego uzbrojenia będzie wymagało wędrówki na szczyt góry... A potem z powrotem w dół.

Slup przesuwiał się wzdłuż plaży - pasa gorącego piasku pomiędzy dwoma urwiskami po bokach. Gdyby Connor płynął sam, pewnie rzuciłby kotwicę i dotarł do brzegu wplaw. Ale jedno spojrzenie na minę Cheng Li przypominało, że mają misję. Przybyli do Lantao w interesach i nie mogą marnować czasu.

Przeszedł po pokładzie i stanął obok niej przy kole sterowym.

- Lantao ma w historii wiele pirackich epizodów - powiedziała, kiedy się zbliżył. - Zawsze było popularną bazą piratów i przemytników.

- Naprawdę?

Connor wciąż spoglądał tęsknie na plażę. Uznał, że piraci i przemytnicy dobrze wybrali.

Cheng Li wpatrywała się w pas szmaragdowej zieleni w oddali.

- W dziewiętnastym wieku - zaczęła - wyspa stała się bazą Changa Po, wyjątkowo uzdolnionego pirata.

Zerknęła na Connora, jakby chciała się upewnić, że słucha uważnie.

- Chang Po urodził się jako syn rybaka w Xin-hui, w delcie Rzeki Perłowej. Jego życie mogło być całkiem inne: długie, pełne wysiłku i nieciekawie. Jednakże w wieku piętnastu lat został schwytany przez parę piratów. I to nie byle jakich piratów! To byli słynni Cheng I oraz jego żona Cheng I Sao.

Connor nie słyszał dotąd tych nazwisk, ale wyczuwał, że głęboko wryły się w pamięć Cheng Li.

- Los uśmiechnął się do Changa Po - ciągnęła.

- Trafił w niewolę do dwójki najznakomitszych piratów wszystkich czasów. Ta małżeńska para dowodziła całą flotyllą statków pirackich, zwaną Flotą Czerwonej Flagi. Kilka lat po tym, jak Chang Po wstąpił do załogi, mąż utonął, a żona przejęła jego obowiązki. Changowi Po powierzyła organizację działań floty. Był wtedy mniej więcej o rok starszy ode mnie. Pod jego dowództwem piraci z Floty Czerwonej Flagi pokonali wysłane przeciwko nim siły. Przez dziesięć lat Chang Po wydawał się niezwyciężony. Wszyscy piraci tamtych czasów, czy służący u niego, czy to u rywali, wierzyli, że ochraniają go bogowie. Mówiono o nim tak, jakby posiadał nadludzkie moce.

- Imponujące - przyznał Connor. - Ale powiedziałaś, że nikt go nie pokonał przez dziesięć lat. Co się stało potem?

Cheng Li zakręciła kołem. Opływali południowo-zachodni przylądek wyspy i nie spuszczała wzroku z linii skał.

- Imperium, które stworzył, zaczęło pękać od wewnątrz. Kapitanowie i admirałowie kłócili się między sobą. Załogi się buntowały. Zdarzyła się ponura bitwa między jednostkami Floty Czerwonej Flagi. Chang Po i Cheng I Sao postanowili wycofać się z pirackich działań, dopóki wciąż jeszcze mogli.

- Poważnie? - zdziwił się Connor.

Para piratów, opisana przez Cheng Li, jakoś nie wydawała się zdolna do spokojnego życia.

- Tak. Chang Po został oficerem marynarki i także zrobił tam wspaniałą karierę.

- A co z Cheng I Sao?

Cheng Li się uśmiechnęła.

- Chociaż zostawiła swoją flotę, nie potrafiła całkiem zrezygnować z piractwa. Zakończyła życie, kierując wielką operacją przemytniczą.

- To chyba do niej pasuje - przyznał Connor. - Do niego też.

- Nie słyszałeś nawet połowy - stwierdziła Cheng Li. - Ale resztę opowiem ci przy innej okazji. Jesteśmy już prawie u celu.

- A dlaczego mi o nich wspomniałaś? - zainteresował się Connor.

- Bo to ciekawa miejscowa historia - odparła.

Jednakże coś w jej uśmiechu kazało mu podejrzewać, że chodziło o znacznie więcej. Cheng Li nie szafowała słowami, tak samo jak pchnięciami miecza. To nie była tylko barwna, związana z wyspą anegdota. Nie; Cheng Li ukazywała mu możliwości. Lepsze jest życie rybaka czy admirała pirackiej floty? Taki wybór kazała mu rozważać. Równie dobrze mogła zapytać wprost: lepiej być pirackim cudownym dzieckiem czy sierotą po latarniku w jakimś zabitym deskami miasteczku?

Wciąż się zastanawiał, gdy Cheng Li zaczęła ciasne manewry. Łódź zwolniła, zbliżając się do brzegu. Connor zobaczył przed nimi niewielką rybacką osadę, a nie wspaniały port, jakiego się spodziewał. Widział przy brzegu rzędy domków na palach, wzniesionych bezpośrednio nad wodą; pod nimi kołysały się jaskrawo pomalowane łódki. Kiedy pomagał Cheng Li zakotwiczyć słup, zmarszczył nos. W powietrzu unosił się intensywny zapach.

- Pasta z solonych ryb i krewetek - wyjaśniła i mocno pociągnęła nosem. - Miejscowa specjalność. Spróbujemy trochę, skoro już tu jesteśmy. Jest bardzo smaczna.

Niemal w tej samej chwili, gdy zakotwiczili swoją łódź, podpłynął jeden z rybaków, by przewieźć ich na stały ląd.

Cheng Li skinęła mu głową, kiedy wraz z Connorem wsiadali do łódki. Kilka pociągnięć wiosłami i znów musieli wysiadać. Cheng Li rzuciła kilka monet na stwardniałą dłoń rybaka, po czym dogoniła Connora na drewnianym pomoście.

- Jak dostaniemy się stąd na szczyt? - zapytał.

- A po co mamy wchodzić na Lantao Peak? - zdziwiła się.

- Nie tam żyje ten płatnerz? Mówiłaś, że mieszka wysoko nad wodą. Pomyślałem...

Cheng Li pokręciła głową i wskazała jeden z domków na palach.

- Mieszka tam. Wiem, że nie czujesz się najlepiej na wysokości. Ale z tą chyba sobie poradzisz. Idziemy.

Ruszyła. Idąc za nią, Connor pomyślał, że domek nie wygląda na rezydencję odpowiednią dla sławnego płatnerza z Lantao. Spodziewał się raczej czegoś w rodzaju wielkiej świątyni. Tymczasem wspiął się na kilka rozchwianych stopni i stanął przed wejściem. Cheng Li pociągnęła za sznurek dzwonka w kształcie ptaka.

Niemal natychmiast stanęła przed nimi dziewczyna. Włosy nosiła krótko ścięte, ale Connor nie miał żadnych wątpliwości, że to dziewczyna. Jej delikatne chińskie rysy przypominały trochę oblicze Cheng Li, były jednak łagodniejsze.

- Pani Li... - powiedziała, złożyła ręce i skłoniła się. Opuściła przy tym powieki, a długie rzęsy rzuciły cienie na policzki.

- Pani Yin - odparła Cheng Li, wykonując identyczne gesty.

Wyprostowała się, wskazała na Connora i rzuciła kilka słów, z których zrozumiał jedynie „Tempest”. Zorientował się, że go przedstawia, więc również złożył dłonie i uklonił się, tak jak obie dziewczyny.

- Connorze - rzekła Cheng Li. - To jest Bo Yin, córka płatnerza.

- Poznanie ciebie jest zaszczytem, Connorze Tempeście - oświadczyła dziewczyna.

- Dla mnie również - zapewnił Connor, oczarowany jej naturalnym wdziękiem i urodą.

Bo Yin zarumieniła się i gestem zaprosiła ich do środka.

- Wejdźcie, proszę. Mój ojciec pracuje, ale zawiadomię go, że przybyliście.

Weszli do domu płatnerza. Był prosty, w najlepszym sensie tego słowa. Niewielkie mieszkanie, ale wyposażone we wszystko, czego można potrzebować - ciasna, lecz dobrze urządzona kuchnia, wygodny salonik, półki pełne książek i drobiazgów. A potem Connor zauważył ścianę, na której zawieszono kilka mieczy. W porównaniu z wystawą w Akademii Piractwa te prezentowały się skromnie, ale wyczuwał, że są to miecze starożytne i cenne, mogące wiele opowiedzieć. Stał na środku i oglądał wszystko z uwagą, a tymczasem Bo Yin zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu, by porozmawiać z ojcem. Wróciła w chwilę później.

- Mój ojciec właśnie kończy jeden z zamówionych przez ciebie przedmiotów - wyjaśniła Cheng Li. - Prosił, bym zaproponowała wam zupę i zapewniła, że wkrótce się zjawi.

- Doskonale. - Cheng Li uśmiechnęła się lekko, gdy Bo Yin podniosła z garnka pokrywkę. I znowu w nozdrza Connora uderzył zapach solonej ryby i krewetek. Tym razem był jeszcze bardziej kuszący, zwłaszcza kiedy Bo Yin naląła zupy do miseczek i przeniosła je do niskiego stołu.

- Darujmy sobie ceremonie - zaproponowała. - Z pewnością jesteście głodni po długim rejsie.

- Prawdę mówiąc - odparła Cheng Li - Connor je bez przerwy, odkąd wypłynęliśmy z Akademii.

- Na morzu zawsze mam apetyt! - próbował się usprawiedliwić.

- Chłopcy... - westchnęła Cheng Li i wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Bo Yin.

Łakomie wypili zupę, a kiedy gospodyni zaproponowała im drugą porcję, przyjęli ją z wdzięcznością. Nalewała im właśnie, kiedy zaskrzypiały drzwi i wszedł płatnerz. Connor przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Trochę niższy od córki, siwe włosy nosił splecione w cienki warkoczyk. Zdawało się, że jego oczy przeskakują z obiektu na obiekt, jakby był kretem, który wynurzył się na światło dnia po długim pobycie w tunelach.

- Ojczy! - zawołała z kuchni Bo Yin. - Może zupy po ciężkiej pracy?

- Bardzo chętnie, Bo Yin - odparł cichym głosem. Potem zwrócił się do Cheng Li, która wstała, kiedy tylko wszedł do pokoju. - Pani Li...

- Mistrzu Yin...

Pokłonili się oboje.

- Twój własny statek! - powiedział. - Pomyśleć, że będziesz miała własny statek!

- Taka jest kolej rzeczy.

- To prawda - przyznał. - Twój ojciec... byłby z ciebie taki dumny.

- Dziękuję. - Cheng Li skłoniła głowę. Potem obejrzała się i wskazała Connora. - Mistrzu Yin, to jest Connor Tempest. Connorze, mistrz Yin jest najznakomitszym płatnerzem swego pokolenia.

Connor stanął przed starcem i skłonili się sobie wzajemnie.

- Wiele o panu słyszałem - oświadczył chłopiec.

- A ja o tobie - odparł mistrz Yin. Connor zdziwił się trochę, a jeszcze bardziej, kiedy płatnerz dodał: - To właśnie on, pani Li, czyż nie?

Cheng Li skinęła głową.

- Chodź, wypij swoją zupę, ojczy - wtrąciła Bo Yin i wezwała go do stołu.

Connor zastanawiał się nad dziwnymi słowami płatnerza. Tymczasem Bo Yin przysunęła do stołu trzcinowy fotel. Najwyraźniej mistrz Yin nie mógł już zginać się dostatecznie, by siedzieć na poduszkach.

Wszyscy ulokowali się dookoła stołu. Connor obserwował, jak mistrz Yin zanurzył łyżkę w miseczce, wlał zupę do ust, przez chwilę smakował ją i wreszcie połknął. Z uśmiechem pokiwał głową.

- Całkiem jak twojej matki - oświadczył. - Bardzo dobra, Bo Yin.

Connor zerknął na pokorną Bo Yin i zastanowił się, czy mimo ojcowskiej miłości nie czuje się uwięziona w tym miejscu. Miał wrażenie, że pragnie od życia czegoś więcej. Z jej oczu

wyczytał pewną wspólnotę uczuć. On sam wciąż ważył w myślach dwie możliwości, jakie zaprezentowała mu Cheng Li: rybak albo pirat. Chociaż tak naprawdę nie wahał się wcale. W jego umyśle waga przechyliła się wyraźnie w jedną stronę.

- A zatem... - Bo Yin wyrwała go z zamyślenia. - Powiedz mi, Connorze, jak to jest: być piratem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, jej ojciec zaśmiał się krótko.

- Zawsze o to pyta - zauważył. I naśladując głos córki, dodał: - Jak to jest: być piratem? Jak jest na pirackim statku?

W oczach Bo Yin błysnęło cierpienie i coś jeszcze, ale tylko przez moment. Connor nie był pewien, czy ktoś oprócz niego to zauważył.

- I może pewnego dnia sama się o tym przekonam, ojcie - rzekła Bo Yin.

Wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Idź, zostań piratem, a starego ojca zostaw, by marniał tutaj, w tym domu mieczy.

Bo Yin westchnęła.

- Nigdy cię nie opuszczę, tato - zapewniła. Tęsknym wzrokiem spojrzała na gości. - Jednakże, może w innym życiu, ja również poznam radość bycia piratem...

Czy aż tak długo musi czekać, zastanowił się Connor. Przez całe życie tylko gotować zupę i przysuwać ojcowski fotel... To chyba za mało dla takiej dziewczyny jak Bo Yin. I nagle uświadomił sobie, jaki sam jest wolny. Wolny, by samemu zdecydować o swym przeznaczeniu.

Poczuł na sobie wzrok Cheng Li i odwrócił głowę. Jego spojrzenie przyciągnął jeden z mieczy na ścianie za plecami mistrza Yina.

- Robi wrażenie, co? - mruknęła Cheng Li.

Mistrz Yin obejrzał się i także popatrzył na miecz.

- A tak - zwrócił się do Connora. - Ten miecz należał do wielkiego Changa Po. Ma wyrytą dedykację od Cheng I Sao. Zakładam, że słyszałeś o tych wielkich piratach?

Connor przytaknął.

- Mogę go obejrzeć? - zapytał.

- Oczywiście! - Mistrz Yin machnął łyżką.

Connor podszedł do ściany. Od razu poznał, że miecz walczył w wielu bitwach - świadczyły o tym szczyrby na ostrzu i rękojeści. Ale nadal był ostry. Wystarczyłoby przetrzeć go olejem, a znów nadawałby się do walki.

- Zdejmij go ze ściany - zachęcił mistrz Yin. - Miecze nie służą tylko na pokaz. Wypróbuj go!

Connor zdziwił się, że płatnerz tak niefrasobliwie traktuje historyczny i cenny obiekt. Z wahaniem wyciągnął rękę i zdjął miecz. Gdy palce zacisnęły się na rękojeści, zdał sobie sprawę, że trzyma broń po raz pierwszy od dnia, kiedy wyrzucił do morza własny rapier.

- Pasuje idealnie - oznajmił mistrz Yin. - To niezwykła wróżba - dodał, zwracając się do Cheng Li.

Connor machnął mieczem i klinga świsnęła w powietrzu. Miał uczucie, jakby duch Changa Po stał obok i kierował jego ręką. Nagle opuścił domek na palach i znalazł się na pokładzie statku, prowadząc Flotę Czerwonej Flagi w kolejnym udanym rajdzie na Rzece Perłowej. Czuł zapach prochu z dział, słyszał, że zaczęła się walka. Poczł gwałtowny dopływ adrenaliny. A potem usłyszał krzyk:

- Niech żyje kapitan Tempest!

Odwrócił się i zobaczył, że to nie statek Changa Po, ale jego własny. Zbliżała się jego załoga. Uśmiechali się, czasem śmiali głośno i klaskali. Wyczuwał, że tego dnia odnieśli wielkie zwycięstwo.

Zanim się zorientował, unieśli go na ramionach i przedefilowali wokół pokładu. Próbował protestować.

- Postawcie mnie! Postawcie! To rozkaz kapitana!

Ale śmiali się tylko. A jemu to nie przeszkadzało. W tej chwili czuł się zadowolony i spokojny. Wiedział, że jest popularny. Wiedział, że dzisiaj dobrze sobie poradził. Wzniósł miecz nad głowę i zabrzmiały okrzyki.

- Kapitan Tempest! Niech żyje kapitan Tempest! Niech żyje...

Nagle znów znalazł się w pokoju, gdzie z uwagą obserwowały go trzy pary oczu. Zakłopotany, odwrócił się, by zawiesić miecz na ścianie. Kiedy go podnosił, zauważył wyryte na gardzie chińskie znaki.

- Co tu jest napisane? - zapytał.

- To dedykacja od Cheng I Sao dla Changa Po - odparł mistrz Yin. - Przynieś go tutaj, to przetłumaczę.

Z kieszeni koszuli wyjął okulary i włożył na nos. Connor podał mu miecz, a płatnerz ułożył go sobie na kolanach.

- A tak... - Wyjął ściereczkę i przetarł rękojeść. - Zgadza się. Jest tu napisane: „Daleko odszedłeś z delty rzeki, mały rybaku”.

Płatnerz uśmiechnął się i wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Myślę, że miała poczucie humoru ta Cheng I Sao.

- Tak, miała - zgodziła się Cheng Li, cały czas przypatrując się Connorowi. - Prawda?

Rozdział 50

Strefa zagrożenia

- No dobra, Johnny, bardzo śmieszne! A teraz mnie wypuść. Rzut był fachowy. Lasso uwięziło obie ręce Grace, ograniczając jej możliwości ruchu. A teraz linka zaczynała wrzynać się w nagie ramiona. Mimo to nie poluzował lassa - spojrzał na nią tylko i zaciągnął je mocniej. - Przestań, Johnny, to boli! Puść mnie, proszę! - Jeszcze nie! - odparł. - Jeszcze z tobą nie skończyłem, piękna panienko. Wolno pokręcił głową. O co mu chodziło? Zaczął przyciągać lasso do siebie, fachowo, jak kiedyś z bydłem. Nie miała wyboru, musiała do niego podejść.

- Co się z tobą dzieje, Johnny? - spytała, kiedy stanęła już z nim twarzą w twarz.

- Ze mną? - Wyszczrzył zęby. - Nic się ze mną nie dzieje! Od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze!

Jedno spojrzenie w jego oczy potwierdziło najgorsze obawy.

- Piłeś krew, prawda? - Spojrzała na termos, leżący na zakurzonej podłodze. - Miałeś krew zmieszaną z wywarem z jagód. Ale jak? Skąd ją wziąłeś?

- Ze zwykłego miejsca - odparł z uśmiechem.

- Brałeś ją wcześniej?

Wzruszył ramionami.

- Jestem wampirem, Grace. Jak długo mogę przeżyć na ziołowej herbatce i grupowych medytacjach?

Grace skrzywiła się, słysząc ten pogardliwy opis działań Mosh Zu.

- Ten wywar jest substytutem krwi! Powinieneś się uczyć panować nad swoim głodem! Tak dobrze ci szło!

- Rany, dzięki! - zakpił. - Bardzo jesteś uprzejma. Ale nie próbuj poluzować sznura. Nie wiesz, że im bardziej się szarpiesz, tym mocniej się zaciska?

Grace uświadomiła sobie, że Johnny ma rację. Walczyła, a sznur coraz głębiej wpijał się w ciało. Zauważyła już czerwone pręgi na skórze powyżej łokci. Była bliska łez, ale nie chciała mu tego okazywać. Mocno przygryzła wargę, żeby nad sobą zapanować.

- Dlaczego tak się zachowujesz? - zapytała. - To do ciebie niepodobne.

- Czemu niepodobne? Co cię tak dziwi? Przecież ci powtarzałem, że ze mnie nic dobrego, ale ty widziałaś tylko gadułę z rozczochranymi włosami i skłonnością do nocnych rozgrywek szachów.

- Nie. Jesteś czymś więcej. Nie poddawaj się, Johnny, tylko dlatego że ktoś podał ci krew, której nie potrzebujesz! Od dawna błędzisz, ale nie musisz błędzić już więcej! Możesz znaleźć dom na Nokturnie!

- Tak - przyznał. - To by ci się podobało, co? Ty, ja i Lorcan. Bardzo przytulnie. I bardzo dla ciebie ekscytujące, na pewno!

Widziała, że transformacja nabiera tempa. Zęby mu się wyostrzały. Oczy traciły skupienie - już niedługo zmieniają się w jeziora ognia. Musiała jak najdłużej odsuwać ten moment. Musiała skłonić go do mówienia. Nawet jeśli trudno jej było ułożyć sensowne zdanie, kiedy sznur wrzynał się coraz głębiej.

- O co ci chodzi? - spytała w końcu.

- Uważam za nienormalne, że lubisz kręcić się przy takich gościach jak my. Jakbyś flirtowała z ciemną stroną albo co... Ale nie jesteśmy zwierzętami w zoo. Nie możesz przychodzić do nas, kiedy masz ochotę. Trzeba ponosić konsekwencje włączenia się z nami, zgubionymi chłopcami.

Pochylił się i poczuła na skórze jego gorący oddech.

- Czemu się opierasz? Wiesz, że w głębi serca chcesz tego tak samo jak ja, może bardziej. Ślepy chłopiec z Connemara ci tego nie da, ale ja tak. Bo przecież nad tym się zawsze zastanawiałaś, prawda? Przez cały czas na statku, a teraz tutaj. Patrzyłaś na Lorcana z Shanti. I chciałaś sama się przekonać, jak to jest się dzielić.

- Nie - zaprotestowała. - Wcale tego nie chcę. Wszystko pomyliłeś.

- Nie wydaje mi się, Grace. Myślę, że stary Johnny tym razem trafił w sedno.

Trzymając jedną ręką laso, drugą złapał ją za szyję i mocno zacisnął palce - jak sznur. Potem odrzucił laso i sięgnął do kołnierzyka jej koszuli.

- Nie! - zawołała, ale mocny ucisk na szyi zmienił jej krzyk w chrapliwy skrzek.

I nagle usłyszała kroki.

- Co się tu dzieje?

- Lorcan! - wychrypiała z ulgą Grace.

- No świetnie! Akurat na czas! Porządny, niezawodny Lorcan! - prychnął wzgardliwie Johnny, nie puszczając jej szyi.

- Zostaw ją! - krzyknął Lorcan, próbując oderwać rękę Johnny'ego. Ale vaquero był dla niego za silny.

- A niby czemu? - spytał Johnny. Jego twarz stała się ciemna i gniewna. - Żebyś sam mógł się zabawić?

- Po prostu zostaw ją w spokoju!

Ale Johnny nie zradzał na to ochoty.

Grace zamknęła oczy. Lorcan nic nie mógł zrobić, by ją ratować. Ona sama nic nie mogła zrobić.

Kiedy uniosła powieki, zobaczyła, jak Lorcan podnosi rękę: Po co w ogóle się męczy? Wie przecież, że Johnny jest o wiele silniejszy.

Ale wtedy zauważyła coś niezwykłego. Pierścień Claddagh na palcu Lorcana rozjarzył się czerwienią, jakby się rozgrzewał niczym żelazo do piętnowania. A czaszka na nim zdawała się rosnąć. Nie, nie zdawała się... ona naprawdę rosła! Grace patrzyła, jak powiększona czaszka zaczęła się poruszać - małe szczęki zgrzytnęły zębami. Lorcan przysunął dłoń do szyi Johnny'ego, a czaszka zetknęła się z ciałem tuż za uchem kowboja. Szczęki rozsunęły się, a dwa kły wyrosły niczym długie płomienne igły.

Johnny tego nie widział. Zbyt pochłonięty swym głodem. I nic nie zauważył, dopóki te rozjarzone igły nie wbiły mu się w szyję. Wtedy zamarł; ręce miał jak sparaliżowane, a twarz wykrzywioną grymasem bólu. Lorcan wykorzystał okazję, by odciągnąć go od Grace. Tym razem vaquero nie stawiał oporu. Ale Lorcan okazał litość - dwa kły skróciły się, a on cofnął rękę z pierścieniem.

Johnny nadal się nie poruszał. Lorcan poluzował lasso na rękach Grace.

- O rany - powiedziała. - Nie miałam pojęcia, że to potrafi! I przez cały czas nosiłam go na szyi...

Lorcan wzruszył ramionami.

- Już ci mówiłem, Grace, chowam jeszcze w rękawie kilka niespodzianek.

Zdjął z niej sznur, zobaczył sine ślady i skrzywił się.

- Tak źle to wygląda? - spytała. - Boję się spojrzeć.

- Obawiam się, że raczej źle. Będziesz potrzebowała całych garnków tej maści z czarnego bzu.

Johnny tymczasem wstał niepewnie.

- Te rany się zagoją - oznajmił. - To tylko powierzchowne zadrapania. - Wyprostował się.

- Nie są nawet w przybliżeniu tak głębokie jak rany, które ty jej zadałeś.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Lorcan. - Nigdy nie skrzywdziłem Grace. Ani razu.

- Doprawdy? - Johnny uśmiechnął się złośliwie.

- Bo ona mówi co innego. - Grace? Lorcan spojrzał na nią ze zgrozą. Nie zdołała znieść jego wzroku i spuściła głowę. Jak mogła popełnić taki błąd, żeby zwierzyć się Johnny'emu ze swych głęboko skrywanych uczuć? Tylko że wtedy to był całkiem inny Johnny.

Teraz to Lorcan wpadł we wściekłość.

- Co ty wygadujesz? Nigdy nie skrzywdziłem Grace! Grace, powiedz mu...

- Przestań jęczeć - przerwał mu Johnny. Atak Lorcana sprawił, że na chwilę zapomniał o głodzie. - Pora już, żebyś wydorósł, żebyś stał się mężczyzną. Pora, żebyś zdecydował się na coś z Grace! Bo wychodzi na to, że w jednej chwili jesteś gorący, a w następnej zimny! Ona nie wie, na czym stoi. Nikt z nas nie wie.

- Moje uczucia dla Grace... - zaczął Lorcan.

Grace nie mogła uwierzyć, że chwycił przynętę.

Nagle poczuła, że serce bije jej szybko, choć całkiem inaczej niż zwykle. Oboje z Johnnym czekali, co powie dalej.

- Moje uczucia dla Grace są... skomplikowane.

- Skomplikowane? - roześmiał się Johnny. - Skomplikowane? To kiepskie tłumaczenie, akurat takie, jakiego się po tobie spodziewałem.

W tym momencie Grace musiała przyznać mu rację, choć doprowadzało ją to do wściekłości.

Ale Johnny jeszcze nie skończył.

- Spójrzmy na fakty, amigo. Przyszła aż tutaj, na szczyt góry, żeby ci pomóc. Od miesięcy żyje wśród wampirów. Z tego, co mówi, proponowała nawet, że zostanie twoim donorem. A jak

się za to odwdzięczasz? Mówisz, że to pomyłka, że powinna wrócić do swojego głupiego, nudnego życia i zapomnieć o tobie!

- Nie! - zaprotestował Lorcan. Spoglądał to na Johnny'ego, to na Grace. - To wcale nie tak.

- No to nam wytłumacz jak - ciągnął Johnny, wyraźnie dobrze się bawiąc. - A przy okazji wyjaśnij, jakie właściwie masz zamiary wobec Grace. Bo jeśli naprawdę jej chcesz, odsunę się. Przyznam, że zwyciężył lepszy wampir. Ale jeśli nie, to ja ją wezmę. Może nie dzisiaj i nie jutro, ale kiedyś. Niedługo.

- Nie jestem nagrodą! - zirytowała się Grace.

- Nie - zgodził się Lorcan. - Nie jesteś. Nie słuchaj go, Grace. To głód krwi przez niego przemawia.

- Przynajmniej doznaję głodu - rzekł Johnny. - Przynajmniej tłą się we mnie jakieś emocje. - Zwrócił się do Grace. - Wiesz, jak to nazywają, kiedy wampir pożywia się śmiertelnikiem? - Patrzyła na niego tępo.

- Nie? To pocałunek wampira. Masz pewnie główkę pełną marzeń o tym tutaj słodkim kochanku, ale coś ci powiem: tylko na taki pocałunek możesz od niego liczyć. Jedyna różnica między nim a mną polega na tym, że ja jestem w tej sprawie uczciwy.

Grace poczuła nagły ciężar. Czy to prawda? Czy tylko tym może być ich związek? Czy o tym właśnie próbował jej powiedzieć, z tego wynika jego wewnętrzny konflikt? Widział w niej potencjalnego donora i nic więcej?

- Nie - sprzeciwił się Lorcan. - Nie wiesz, o czym mówisz. Jak powiedziałem, moje uczucia dla Grace są...

- Tak, tak, wiemy... Skomplikowane.

Nagle Lorcan przyciągnął Grace do siebie. Objął ją mocno i spojrzał prosto w oczy. Czowała ból w otartych rękach, ale nie dbała o to. Długo czekała na tę chwilę.

- Żywię wobec ciebie wiele uczuć, Grace - wyznał. - Bardzo niezwykłych uczuć. Ale nie pozwolę zmuszać się do działania. Musimy porozmawiać i to wkrótce. Ale nie będziemy rozmawiać, dopóki on tu stoi. Zbyt ważne jest to, co chcę ci powiedzieć. Czy to ci na razie wystarczy?

- Tak! - Łzy bólu i ulgi popłynęły jej z oczu. - Tak!

- Dobrze.

Lorcan przytulił ją mocniej i ucałował w czoło. Poczowała muśnięcie jego chłodnych warg i dreszcz przebiegł jej po całym ciele.

- Łau! - zaśmiał się Johnny. - Buźka w czołko! Naprawdę z ciebie wulkan namiętności!

- Co się tu dzieje, u licha?

Obejrzelisię i zobaczyli Oliviera. Szedł w ich stronę; po drodze kopnął na bok odrzucone łąso. Zauważył też pręgi na ramionach Grace. Podbiegł i chwycił ją za nadgarstek.

- To Johnny - wyjaśniła Grace. - Ktoś domieszał krwi do jego wywaru z jagód. Zaatakował nas.

Olivier puścił Grace, chwycił Johnny'ego i wykręcił mu rękę za plecami.

- Spokojnie - rzucił Johnny. - Bez nerwów, amigo. Będę grzeczny.

Olivier wypuścił go, ale cały czas obserwował czujnie.

- Jak mogło do tego dojść? - zastanowił się Lorcan.

- Nie wiem. - Olivier zmarszczył brwi. - Ale nie mamy czasu, żeby teraz o tym dyskutować. Mosh Zu wzywa wszystkie wampiry, żeby zjawiły się w sali zgromadzeń. Natychmiast!

- Och, doprawdy? - skrzywił się Johnny. - A co się dzieje? Nagle przyszła mu ochota na terapię grupową?

- Zamknij się! - rzucił Olivier.

Johnny wzruszył ramionami.

- No dobrze. Zbieramy się i biegniemy do sali zgromadzeń!

Olivier pokręcił głową.

- Nie ty, Grace. Ty masz wrócić do swojego pokoju i zamknąć drzwi na klucz.

- Nic z tego! - odparła wyzywająco.

- Takie jest wyraźne polecenie Mosh Zu.

- Grace zostanie ze mną - oznajmił Lorcan i chwycił ją za rękę.

- Jak chcecie - ustąpił Olivier. - Nie mam czasu ani cierpliwości, żeby się z wami kłócić.

Ale, Grace, pamiętaj, że wkraczasz w strefę zagrożenia.

- Oczywiście! - zaśmiał się Johnny. - Ale wiesz, że nie zamieniłaby tego na żadne inne miejsce...

Rozdział 51

Rejs powrotny

- Czy jesteś zadowolona z mojej pracy? - zapytał Yin. Uniósł pas tkaniny i odsłonił lśniące miecze. Connora zdumiała skromność mistrza rzemiosła. Cheng Li twierdziła, że jest najbardziej utalentowanym płatnerzem swego pokolenia, a jednak patrzył nerwowo niby uczeń, kiedy wyjęła jeden z mieczy i machnęła w powietrzu. - Doskonały - orzekła. Starzec uśmiechnął się od ucha do ucha. Cheng Li odłożyła miecz do skrzyni. Mistrz Yin przykrył ją tkaniną, delikatnie, jakby opatulał kocem dziecko w kołysce.

- Siedemdziesiąt mieczy i siedemdziesiąt sztyletów, zgodnie z zamówieniem - rzekł, nakładając drewniane wieko.

- Świetnie. Connorze, zacznij je przenosić na nabrzeże, a ja załatwię sprawę należności dla mistrza Yina.

- Jasne. - Connor chwycił pierwszą skrzynię.

- Pomogę ci - zaoferowała się Bo Yin.

Chwyciła drugą skrzynię i wyszła za nim z pokoju.

Kiedy zniknęli, Cheng Li spojrzała na mistrza Yina.

- I jak? - spytała. - Co o nim myślisz?

Yin się uśmiechnął.

- Myślę, że masz rację - przyznał. - Rzeczywiście coś w nim jest. Jak się posługuje mieczem... Widziałem to wcześniej tylko kilka razy. Ostatnio to byłaś ty.

Cheng Li z uśmiechem przyjęła ten komplement, ale szybko spoważniała.

- Coś cię niepokoi - stwierdził mistrz Yin.

Przytaknęła.

- Jestem pewna, że Connor ma talent. Ale martwię się o niego. Jest delikatny. Niedawno zabił po raz pierwszy i to go wzburzyło. Naprawdę się obawiam, że może porzucić piractwo.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - mruknął mistrz Yin. - To nie człowiek decyduje, czy zostanie piratem. To piractwo wybiera jego. Tak jak wybrało Changa Po i wielką Cheng I Sao. - Westchnął. - Pierwsze zabójstwo zawsze jest głębokim wstrząsem. I powinno być. Aby zostać wielkim piratem, trzeba doceniać wartość życia i śmierci. Nie chcesz przecież w załodze maszyny do zabijania.

- Nie - zgodziła się. - Masz rację. Oczywiście, że masz rację.

Usłyszeli śmiechy, a po chwili do pokoju weszli Connor z Bo Yin, by zabrać następne dwie skrzynki. Przesłali chichotać, jakby mistrz Yin i Cheng Li byli nauczycielami.

Kiedy odeszli, Cheng Li uśmiechnęła się do płatnerza.

- Dzisiaj w tym domu może przebywa więcej niż jeden młody i obiecujący pirat.

Yin potrząsnął głową.

- Nie będziemy o tym mówić.

- Sam wiesz, jak rozjaśnia się oblicze Bo Yin, kiedy tylko ktoś wspomni o oceanie - ciągnęła niezrażona Cheng Li. - Jest silna i inteligentna. Widziałam, jak posługuje się mieczem.

- Proszę... - Stary płatnerz westchnął. - Proszę cię, nie mów takich rzeczy.

- Nie chcę cię niepokoić. Ale przypomnij sobie własne słowa: To nie człowiek się decyduje, by zostać piratem. To piractwo wybiera jego. I wydaje mi się, że wybrało...

- Bo Yin! - zawołał mistrz przez drzwi.

- Tak, -tato?

- Uważaj z tymi skrzynkami! To przecież nie warzywa nosisz!

- Tak, tato! - odpowiedziała.

Widząc jego minę, Cheng Li wołała nie naciskać. Ale zauważyła to niezwykle spojrzenie w oczach dziewczyny, rozpoznała drzemiący w nich ogień. Nie trzeba być wróżką, by odgadnąć, jak wszystko się rozegra. Patrząc na krzątającego się płatnerza, zrozumiała, że on również wie. To tylko kwestia czasu.

- Proszę. - Postawił przed nią skrzynkę mniejszą od tamtych. - Tu jest to specjalne zamówienie.

Otworzył ją, odsłaniając pojedynczy miecz i leżący obok sztylet. Cheng Li pochyliła się i przesunęła palcem wzdłuż klingi.

- Wspaniały - przyznała. - Właśnie taki, na jaki liczyłam.

- To dobrze. Bardzo dobrze - uradował się mistrz Yin, zamknął skrzynkę i położył ją na pozostałych.

Kiedy wszystkie skrzynie znalazły się na łodzi, Connor i Cheng Li wrócili na brzeg, by pożegnać się z płatnerzem i jego córką. Bo Yin sprowadziła ojca po stopniach na nabrzeże.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Cheng Li, zwracając się do mistrza Yina.

- To ja dziękuję. I nie zapominaj o mojej radzie.

- Nie zapomnę. I ty pamiętaj o mojej. - Spojrzała na Bo Yin. - Dziękuję ci za pomoc, Bo Yin.

Dziewczyna skinęła głową.

- Przyjemnie było znów cię zobaczyć, Cheng Li. I ciebie, Connorze.

Uśmiechnął się i pomachał jej.

- Opiekuj się ojcem - dodała jeszcze Cheng Li.

- Będziemy opiekować się sobą nawzajem. - Mistrz Yin czule objął córkę. - Jak to zawsze czynimy.

- Spotkanie z panem sprawiło mi wielką radość.

- Connor skłonił się przed nim.

- I z tobą - odparł płatnerz. - Niech nowa broń dobrze ci służy. Oj!

Zasłonił usta dłonią.

Connor obejrzał się i zobaczył, że Cheng Li kręci głową.

- Chodźmy - rzuciła. - Czas postawić żagle.

Wskoczyła do rybackiej łódki, a za nią Connor. Po chwili przesiadali się już do słupa Akademii i podnosili kotwicę, by ruszyć w drogę powrotną.

- Wspaniały - przyznała. - Właśnie taki, na jaki liczyłam.

- To dobrze. Bardzo dobrze - uradował się mistrz Yin, zamknął skrzynkę i położył ją na pozostałych.

Kiedy wszystkie skrzynie znalazły się na łodzi, Connor i Cheng Li wrócili na brzeg, by pożegnać się z płatnerzem i jego córką. Bo Yin sprowadziła ojca po stopniach na nabrzeże.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Cheng Li, zwracając się do mistrza Yina.

- To ja dziękuję. I nie zapominaj o mojej radzie.

- Nie zapomnę. I ty pamiętaj o mojej. - Spojrzała na Bo Yin. - Dziękuję ci za pomoc, Bo Yin.

Dziewczyna skinęła głową.

- Przyjemnie było znów cię zobaczyć, Cheng Li. I ciebie, Connorze.

Uśmiechnął się i pomachał jej.

- Opiekuj się ojcem - dodała jeszcze Cheng Li.

- Będziemy opiekować się sobą nawzajem. - Mistrz Yin czule objął córkę. - Jak to zawsze czynimy.

- Spotkanie z panem sprawiło mi wielką radość.

- Connor skłonił się przed nim.

- I z tobą - odparł płatnerz. - Niech nowa broń dobrze ci służy. Oj!

Zasłonił usta dłonią. Connor obejrzał się i zobaczył, że Cheng Li kręci głową. - Chodźmy - rzuciła. - Czas postawić żagle. Wskoczyła do rybackiej łódki, a za nią Connor. Po chwili przesiadali się już do słupu Akademii i podnosili kotwicę, by ruszyć w drogę powrotną. Connor obejrzał się jeszcze i zobaczył, że mistrz Yin wraca do domu, ale jego córka wciąż stoi na brzegu. Pomachał do niej, ale chyba go nie zauważyła. Była jak zahipnotyzowana.

- Bo Yin chciałaby zostać piratem, prawda? - zapytał Cheng Li.

Kiwnęła głową i na chwilę przerwała pracę.

- Jest takie stare powiedzenie, może je słyszałeś. Chodzi o to, jak poznać prawdziwego pirata.

- A jak brzmi odpowiedź?

- Że kiedy spojrzeć mu w oczy, widzi się tylko ocean. - Cheng Li pokiwała głową. - No więc spójrzałam w oczy Bo Yin i zobaczyłam tam ogrom oceanu.

Rejs powrotny przebiegał podobnie jak wcześniejszy. W ciągu dnia nie rozmawiali wiele, zajęci własnymi myślami. Poważniejsze rozmowy czekały aż do kolacji, kiedy Connor zadawał wiele pytań o mistrza Yina, jego pracę i piękną, ambitną córkę.

- Teraz ja mam do ciebie pytanie, Connorze - powiedziała w końcu Cheng Li. - Coś się stało, kiedy podniosłeś miecz Changa Po. Całkiem jakbyś na pewien czas zostawił nas wszystkich i przeniósł się w inne miejsce.

Connor odłożył kość kurczęcia.

- Miałem wizję - oświadczył. - Z początku przebywałem na statku Changa Po, a przynajmniej tak mi się wydawało. A potem znalazłem się na pokładzie swojego statku.

- Twojego statku?

- Wizja dotyczyła przyszłości. Ludzie nazywali mnie kapitanem Tempestem.

- I jak się z tym czułeś?

- Było przyjemnie - zapewnił. - Ale nie po raz pierwszy zobaczyłem swoją przyszłość.

- Nie?

Jej spojrzenie zmuszało go, by opowiadał.

- Nie. Zdarzyło mi się to w Akademii Piractwa. Dwukrotnie. Za pierwszym razem w rotundzie, kiedy stałem pod tymi kapitańskimi mieczami. A potem znowu podczas któregoś z wykładów komandora Kuo.

- A powiedz, za każdym razem była to ta sama wizja?

- Nie. - Connor pokręcił głową. - Nie. Ta, którą przeżyłem u mistrza Yina, była radosna.

W tych w Akademii zostałem ranny. Krwawiłem. Wydaje mi się, że oglądałem własną śmierć.

Cheng Li przypatrywała mu się, szeroko otwierając oczy.

- Myślisz, że widziałeś swoją śmierć jako kapitana piratów?

- Tak. I to kolejny powód, dla którego powinienem chyba porzucić świat piractwa.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- To fakt - zgodził się.

- Connorze, zechcesz wysłuchać mojej rady?

- Oczywiście.

- Te wizje, choć jaskrawe, wcale nie muszą być przebłyskami twojej prawdziwej przyszłości. Może to raczej przebłyski tego, jakich dokonasz wyborów.

- Chodzi ci o to, jakiego rodzaju piratem zostanę? Tak jak mówiłaś wcześniej?

Przytaknęła.

- Zastanawiałem się nad tym - przyznał. - Wiele myślałem, kiedy znajdowaliśmy się u mistrza Yina. I wydaje mi się, że jednak mogę być piratem. Ale nie na statku Molucca Wrathe'a.

- Uniósł głowę. Oczy znów mu błyszczały. - Chciałbym wstąpić do twojej załogi.

- Rozumiem...

Twarz Cheng Li jak zwykle nie zdradzała niczego.

- Myślałem, że się ucieszysz - powiedział Connor.

- Pochlebia mi to, oczywiście - odparła Cheng Li.

- Ale sprawy są bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, czy może, niż chcesz przyznać. - Przyjrzała mu się z troską. - Nie jesteś jeszcze wolnym człowiekiem, Connorze. Nadal wiąże cię kontrakt z kapitanem Wrathe'em.

- Pozwoli mi odejść - stwierdził Connor. - Wiem, że tak. Zrozumie, że muszę zacząć od nowa.

Cheng Li pokręciła głową.

- Uzna, że wyrwałam mu cię sprzed nosa. Nie ma co owijać w bawełnę, chłopcze. Dobrze wiemy, że z kapitanem Wrathe'em łączą mnie dość chłodne uczucia.

- Chcesz powiedzieć, że nie weźmiesz mnie do swojej załogi? Jako pierwszego oficera?

- Pierwszego oficera? - Zaśmiała się. - Widzę, że wrócił dawny Connor Tempest.

- Nie - odparł stanowczo. - To jest nowy Connor Tempest. Starszy, mądrzejszy...

- Udowodnij mi to. Wróć i dogadaj się z Molucco. Cokolwiek myślę o nim jako o dowódcy, był dla ciebie dobry. Powinieneś to uszanować. Idź, porozmawiaj z nim i powiedz, co czujesz. Jeśli zgodzi się rozwiązać kontrakt, chętnie powitam cię w swojej załodze.

Wrócili do Akademii pod osłoną ciemności. W zatoce stał galeon. Kołysał się majestatycznie w blasku księżyca.

- Więc już tu jest... - Cheng Li nie umiała ukryć podniecenia.

- To nasz nowy statek? - upewnił się Connor.

- To mój nowy statek. - Uśmiechnęła się. - Pora, żebyś wziął kurs na Diabło i odbył tę rozmowę z Molucco.

- Tak. - Serce znowu mu zaciążyło.

Zaczął zbierać swoje rzeczy, gotów przenieść je do łódki, wciąż czekającej w kryjówce.

- Chwileczkę - rzuciła jeszcze Cheng Li. - Mam coś dla ciebie.

Zniknęła pod pokładem, a po chwili wróciła, niosąc wąskie pudło. Podążyła do Connorowi, który spojrzał na nią pytająco, choć domyślał się, co jest w środku.

- Mogę zajrzeć? - zapytał.

Przytaknęła.

Odsunął dwa zamki i otworzył. Księżyc oświetlał mu twarz. W pudle leżały nowy rapier i sztylet.

- Potrzebny był ci nowy miecz, a ja pomyślałam, że pora, żebyś nauczył się walczyć dwiema klingami.

- Są piękne! - zawołał Connor.

Chwycił i podniósł miecz. I natychmiast poczuł taką samą więź jak z mieczem Changa Po.

- Dobrze dopasowany? - upewniła się Cheng Li.

- O tak. - Odwrócił miecz w dłoni i zauważył na głowni inskrypcję, tak jak na mieczu Changa Po. - Co to takiego?

- Przeczytaj.

- „Connorowi Tempestowi, piratowi wielkich nadziei. Na początku wyjątkowej kariery. Od Cheng Li”

- Connor nie posiadał się z radości. - Dziękuję! - Nie dbając o formy towarzyskie, uścisnął ją mocno. - Bardzo ci dziękuję!

- Proszę bardzo - odpowiedziała, wyraźnie zaskoczona tym przejawem emocji.

- Dziękuję też za radę - dodał, chowając miecz do skrzynki.

- Już raz wyciągnęłam cię z mrocznych głębin, pamiętasz? - odparła. - Prawdę mówiąc, powinnam chyba zacząć się do tego przyzwyczajać.

Rozdział 52

Szturm na cytadelę

Grace, Lorcan i Johnny należeli do ostatnich, którzy przybyli do sali zgromadzeń. W sali tłoczyły się wampiry; wielu z nich Grace nie widziała jeszcze w czasie swego pobytu w Sanktuarium. Zrozumiała, że zjawily się tu ze wszystkich trzech bloków - z trzech etapów leczenia, jakie prowadził Mosh Zu. Tak jak uprzedził Olivier, nie było żadnych donorów. Grace domyślała się, że siedzą bezpiecznie zamknięci w pokojach w swoim bloku. Zadrżała, gdy uświadomiła sobie, że w sali są prawie same wampiry. Nie posłuchała Oliviera, gdy mówił, żeby wróciła do siebie i zarygłowała drzwi, a teraz zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła słusznie. Czym innym jest stawianie czoła niebezpieczeństwu, kiedy nadejdzie, a czym innym stawanie z własnej woli na jego drodze.

Uścisk dłoni Lorcana upewnił ją jednak, że podjęła właściwą decyzję. Poza tym chciała być tutaj, żeby pomóc Mosh Zu.

Guru wszedł właśnie na podwyższenie.

- Czy są już wszyscy? - zapytał Oliviera.

Olivier potwierdził, zamknął drzwi z tyłu Sali i wrócił na miejsce obok Dani.

W sali rozbrzmiewał gwar zdziwionych głosów, ale Mosh Zu uniósł ręce i nakazał ciszę. Wszystkie oczy skierowały się na niego.

- Zebrałem was tutaj, żeby poinformować o nowym zagrożeniu.

Rozległy się niespokojne szepty, ale zaraz ucichły, gdy Mosh Zu zaczął mówić dalej.

- Ale najpierw chcę wam przypomnieć, po co tu jesteście i co możemy wam zaoferować w Sanktuarium.

- Przerwał na chwilę. - Bycie wampirem w społeczeństwie jest pełne problemów. Nie muszę wam tego tłumaczyć. Podczas waszego pobytu tutaj rozmawiałem z każdym z was i wysłuchałem opowieści o waszych często bolesnych doświadczeniach z lat wędrówki. Wszyscy otrzymaliśmy wspaniały dar nieśmiertelności. Wiemy jednak, że dar ten może się stać ciężarem.

I stanie się, jeśli damy się pochwyć w nieskończoną spiralę polowania, karmienia, głodu, polowania, karmienia i znowu głodu. Niebezpieczeństwo takiej egzystencji polega na tym, że wszystko, co odczuwamy, czym się przejmujemy, to nasz głód. To sprawia, że stajemy się ślepi na niezwykle piękno daru, jaki otrzymaliśmy. To zmusza nas do krzywdzenia innych. To czyni nas wygnańcami w tym świecie. I wiem, że nikomu z was nie jest obce to uczucie odrzucenia.

Grace słuchała jak zaczarowana.

- Wasze przybycie do Sanktuarium jest znakiem zakończenia lat bezcelowej włości, waszego powrotu z wygnania. Pracujemy razem, by pomóc wam zapanować nad głodem. Kiedy kończymy, potraficie żywić się, nie raniąc innych. Naszym celem ostatecznym jest, abyście mogli odpłynąć na Nokturnie. Niektórzy z was mogą też wybrać powrót na ląd. Ale kiedy stąd odchodzicie, jeśli tylko przestrzegacie naszych nauk, dysponujecie systemem zaspokajania głodu, co pozwala na bardziej chwalebne wykorzystanie nieśmiertelności. Jesteście naprawdę wolni i możecie cieszyć się tym darem. - Twarz Mosh Zu pociemniała. - Teraz jednak pojawiło się nowe zagrożenie. Zewnętrzne siły będą szarpały was z różnych stron.

Znowu rozległ się gwar.

- Nowa, coraz liczniejsza frakcja wampirów aktywnie zachęca do porzucenia naszych nauk - mówił Mosh Zu. - Wolą raczej zmarnować daną sobie wieczność, niż zrezygnować z bezustannego poszukiwania krwi. Nie mają zahamowań przed używaniem przemocy, rażąco lekceważą życie śmiertelnych. Nawet teraz szykują się, by przyjść do was i zachęcać, byście się do nich przyłączyli. I nie miejcie złudzeń: to będzie wielka pokusa. Trudno będzie się jej oprzeć. Jak już mówiłem, praca tutaj nie jest łatwa. Za to przyłączenie się do nich nie przysparza problemów, a przez to jeszcze bardziej pociąga.

Przebiegł wzrokiem po rzędach wampirów.

- Chcę, żebyście pamiętali o dwóch sprawach. Po pierwsze, jeśli podejmiecie decyzję, żeby się do nich przyłączyć, nigdy nie będziecie mogli powrócić do Sanktuarium. Nasze bramy pozostaną dla was zamknięte na zawsze... Dosłownie na zawsze. Może się to wydać brutalne, ale nie mam zamiaru ryzykować. Po drugie, musicie wiedzieć, że choć ich obietnice są kuszące, prowadzą jedynie w nicość. - Cofnął się. - To wszystko.

Wśród tłumu podniosła się ręka.

- W tej chwili nie mam nic więcej do powiedzenia - rzekł Mosh Zu. - Później, jeśli macie pytania...

Ale wampir nie pozwolił się zbyć. Wybuchło niewielkie zamieszanie, kiedy przeciskał się między siedzeniami do przejścia. Gdy wreszcie go zobaczyła, Grace wstrzymała oddech - to był Sidorio. Jak on się tutaj dostał?

Najwyraźniej Mosh Zu też tego nie rozumiał. Patrzył z niedowierzaniem, jak Sidorio przechodzi między siedzeniami pod scenę.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - Nie mam pytań. - Więc odejdz - nakazał Mosh Zu. - Nie pozwolisz mi przemówić? Mosh Zu się zawahał. Grace widziała, że nie jest pewien, co powinien zrobić. I ten moment wahania okazał się fatalny - Sidorio wskoczył na podwyższenie i zwrócił się do tłumu.

- Niektórzy z was zastanawiają się pewnie, kim jestem. Inni już wiedzą. Jestem Sidorio, były porucznik z Nokturnu. I ja też chcę wam przekazać wieści. Pierwsze, co powinniście wiedzieć, to że istnieje już więcej niż jeden statek wampiratów. Czas Nokturnu dobiegł końca. Jest drugi statek, a niedługo będą też inne. I na tych statkach będziemy organizować wszystko trochę inaczej.

- Odejdz stąd! - zawołał Mosh Zu.

- Ale oni chcą mnie wysłuchać. - Sidorio skinął głową na oczarowany tłum. - Nie widzisz, jak są zaciekawieni? Miałeś podium dla siebie. Czy nie dasz mi szansy wygłoszenia mojego manifestu?

Odsłonił zęby w uśmiechu.

Mosh Zu znów wystąpił naprzód, ale wtedy jakiś głos z sali zakrzyknął:

- Dajcie mu mówić!

- Tak! - zawtórował mu inny. - Niech powie, co ma do powiedzenia!

Mosh Zu pokręcił głową, ale Grace widziała, że to gest rozpaczy. Kiedy Sidorio stanął na środku podwyższenia, Mosh Zu zszedł z platformy.

- Doskonały przykład demokracji, co? - zaśmiał się Sidorio. - Nie chce nawet zostać ze mną na scenie!

Niektóre wampiry także się roześmiały. Grace zrozumiała, że zaczął już zdobywać poparcie części publiczności.

- Przychodzę z nowej frakcji, jak to nazwał wasz guru. Ale w moim sposobie myślenia nie ma niczego nowego. Nie jest też bardzo skomplikowany. Można go streścić w dwóch słowach: bądźcie sobą! Jesteście wampirami. Ja również. Potrzebujecie krwi. Ja również. Dlaczego z tym walczyć? Bądźcie sobą! Czemu komplikować sobie istnienie próbami oszczędzania zapasów? Potrzebujemy krwi i zawsze będziemy jej potrzebować. Mamy już nieśmiertelność. Bądźmy sobą. Czy naprawdę chcecie spędzić całą wieczność, wydzielając sobie porcje? Czy może chcecie raczej żyć, naprawdę żyć? A nawiasem mówiąc, społeczność śmiertelnych wcale nam nie zagraża. Jest nas coraz więcej i to my stanowimy zagrożenie! Żaden śmiertelnik przy zdrowych zmysłach nie spróbuje stanąć nam na drodze! Bądźcie sobą!

Mówiąc, obserwował salę. I nagle zauważył Grace. Posłała mu spojrzenie pełne wzdrygnięcia i z satysfakcją spostrzegła, że przez moment się zmieszał. Mówił jednak dalej.

- Mój statek czeka na każdego, kto zechce się do nas przyłączyć. Musicie tylko zejść ze mną z góry. Potem wyruszymy w drogę. I mogę was zapewnić, że będzie to dla was wyprawa życia. Co na to powiecie? Kto pójdzie ze mną?

Serce Grace zamarło, gdy zobaczyła, że sporo wampirów podnosi ręce, popierając Sidorio. Wśród głosów rozpoznała znajomy akcent Johnny'ego:

- Jestem z tobą, chłopie!

Ze smutkiem potrząsnęła głową... To głód przez niego przemawiał. Tak samo jak przez wszystkich innych. Sidorio wiedział, jak ich przekonać, by poszli za nim na własną zglisnę.

- Doskonale - rzekł Sidorio. - Za chwilę stąd wyjdę. A wy musicie tylko za mną podążyć. Ale mam jeszcze jedną wiadomość dla tych z was, którzy nie mogą się zdecydować. Mówiono wam, że Nokturn jest gotów, by was przyjąć, kiedy tylko skończycie tutaj naukę. Że kapitan zabierze was na wesoły rejs do wieczności. Cóż, przykro mi, że to ja muszę przekłuć ten balon, ale prawda jest taka, że Nokturn nie ma w tej chwili kapitana.

W całej sali zabrzmiały niespokojne głosy.

- Nie! - krzyczał Sidorio. - Ponieważ załamał się i teraz walczy o życie tutaj! A tak między nami, nie daję mu wielkich szans.

- Czy to prawda? - krzyknął jeden z wampirów.

Mosh Zu znowu wszedł na podwyższenie.

- Powiedz nam prawdę! - zawołał inny.

Mosh Zu uniósł rękę.

- Istotnie, kapitan jest niedysponowany...

- Niedysponowany? - krzyknął Sidorio. - Moim zdaniem to spore niedomówienie!

Ale potwierdzenie przez Mosh Zu choroby kapitana wystarczyło, by wzrosło niezadowolenie, a także liczba nowych rekrutów Sidorio.

- Czemu nam nie powiedziałaś? - wykrzykiwały wampiry.

- Tak, powinniśmy się dowiedzieć!

- Nie rozumiecie? - odezwał się Sidorio. - Właśnie w ten sposób załatwiają tu sprawy.

Mają przed wami tajemnice.

- To twoja wina! - oskarżył go Mosh Zu. - Ty doprowadziłeś go do załamania!

Sidorio pominął tę wypowiedź.

- Od jak dawna tu przebywa? - pytał. - Jak długo leży w sali uzdrowień, kiedy ty walczysz o jego życie? Godzinę? Wieczór? Noc?

Mosh Zu pokręcił głową, odmawiając odpowiedzi.

- Może ty nie chcesz im tego zdradzić, ale ja tak! - wrzasnął Sidorio. - Kapitan jest tutaj od dwóch dni! Pełne dwa dni ucieka z niego życie! A przy okazji giną wasze nadzieje, że kiedyś pożeglujecie z nim statkiem!

- To nieprawda! - krzyknął do wampirów Mosh Zu. - Nie rozumiecie! To kłamstwa!

Sidorio skrzyżował ręce na piersi.

- To nie ja opowiadam tutaj jakieś wymysły i dobrze o tym wiesz!

Zeskoczył z podwyższenia.

- Otwórz drzwi, Olivierze! - zawołał.

Skąd wie, jak Olivier ma na imię? Grace obejrzała się na Oliviera i zauważyła, że głowa Mosh Zu także odwraca się w tamtą stronę. A zatem niedawno nastąpiła zdrada. Patrzyli oboje, jak Olivier podrywa się z krzesła, by wykonać polecenie swego nowego pana.

Otworzył drzwi.

- A przy okazji, to jest człowiek, któremu możecie podziękować za to, jak się dziś czujecie! - Sidorio przyciągnął do siebie Oliviera. - To on dołał do waszych termosów trochę dopalacza. Prawdę mówiąc, już od wielu dni stopniowo podwyższał ilość krwi. Uznaliśmy, że wypiliście już dość wywaru z jagód.

Grace poczuła obrzydzenie. A zatem to sam Olivier, zaufany Mosh Zu, numer drugi w Sanktuarium, manipulował przy wywarze i podawał leczonym wampirom zwiększone dawki krwi. Nic dziwnego, że Sidorio miał tak chętnych słuchaczy.

- Jak mogłeś? - zapytała. - Jak mogłeś to zrobić? Przecież byłeś pierwszym asystentem Mosh Zu!

- Tak - zgodził się Olivier. - Byłem. Dopóki ty się nie zjawiłaś. A wtedy wszystko się zmieniło, prawda?

Grace była wstrząśnięta do głębi. Czyżby sama częściowo odpowiadała za to, co się stało?

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Mosh Zu. - Jego umysł został zatruty.

- Nie! - zaprotestował Olivier. - Sidorio wysłuchał mnie, zrozumiał moje troski! - Obejrzał się na Sidorio, szukając wsparcia. - Zawarliśmy układ.

- Układ? - krzyknęła Grace. Spoglądała to na Oliviera, to na Sidorio. - Jaki układ?

- To ja przygotowałem dla Sidorio drogę tutaj - oświadczył Olivier. - A on mi obiecał...

Sidorio zachichotał. Ten śmiech mroził krew w żyłach. Olivier się zachwiał. - Co ci obiecał? - spytał Mosh Zu. - Stanowisko na nowym statku? - A co w tym dziwnego? Byłem twoim pierwszym asystentem. Teraz jestem jego. Sidorio wzruszył ramionami. - Niekoniecznie akurat pierwszym asystentem, kolego. - O czym ty mówisz? - wystraszył się Olivier. - Rozmawialiśmy. Zgodziliśmy się... - Bardzo mi pomogłeś - przyznał Sidorio. - I jestem ci wdzięczny. Z głębi... no, z głębi. - Odepchnął Oliviera na bok. - Później pogadamy.

- Widzisz? - odezwał się Mosh Zu. - Widzisz, jak cię wykorzystuje, a potem odpycha? - Mosh Zu rozejrzał się po sali i przemówił do wszystkich: - Nie łudźcie się! Tak samo będzie z wami, z każdym z was! On nie dba o wasze interesy, a tylko o swoje ciemne intrygi!

W Grace zamigotał płomyk nadziei. Widziała, że słowa guru trafiają do części wampirów. Ale kiedy Sidorio odchrząknął, znów wszystkie oczy skierowały się ku niemu. Całkiem jakby ich opętał, jakby panował nad nimi.

- Zeszliśmy trochę z tematu - rzekł. - O czym to ja... A tak. Chodźcie za mną, jeśli chcecie zacząć nowe życie na moim statku. Tam dostaniecie tyle krwi, ile chcecie i kiedy chcecie. I mogę wam obiecać, że nie będzie żadnych żalonych przemyśleń, żadnych czułości, medytacji ani grupowych uścisków!

Gdy dotarł do drzwi, spora liczba wampirów poderwała się z miejsc i ruszyła za nim. Rozmawiali podniesionymi głosami. Sidorio wymaszerował z sali, a oni za nim - jak szczury

biegnące za szczurołapem z Hammelin, pomyślała Grace. Widziała idącego z przodu Johnny'ego - w jego oczach błyszczał nowy zapal. Zawsze twierdził, że nie zna się na ludziach. Teraz okazało się, że rzeczywiście miał rację.

Podbiegła do Mosh Zu.

- Musisz ich zatrzymać!

- Nie. - Pokręcił głową. - Są już skażeni. Zadbaj o mój zaufany asystent.

Spojrzeni oboje, jak Olivier przepuszcza renegatów przez drzwi. Grace nie rozumiała, czemu wciąż pomaga Sidorio. Czy nie rozumie, że nie ma dla niego miejsca w załodze zbuntowanych wampirów? Dlaczego Mosh Zu nie zdołał przewidzieć słabości Oliviera, jego zdrady?

- To zawsze są ci najbliżsi - westchnął Mosh Zu.

- Zawsze najtrudniej ich zrozumieć. Traci się dystans.

Zrozpaczona Grace patrzyła na puste krzesła. Mniej więcej trzecia część wampirów ruszyła za Sidorio. Reszta ociągała się, oszołomiona wieścią o chorobie kapitana i tym, że wrogowie wdarli się do ich bezpiecznego schronienia.

Któryś z nich podszedł do Mosh Zu.

- Nie możesz go powstrzymać? - zapytał. - Nie możesz sprowadzić ich z powrotem?

Mosh Zu pokręcił głową.

- Choć Sidorio oskarża mnie o różne rzeczy, ja jednak nie zajmuję się praniem mózgów. To nie ja was leczę, kiedy przychodzicie. Pracuję z wami, żebyście sami mogli się uleczyć. Przybywacie do Sanktuarium z własnej woli i tak samo możecie stąd odejść. Ważne są wybory, jakich dokonujecie. A oni... - skinął na drzwi ...dokonali już wyboru.

- Co z nami? - zapytał ktoś jeszcze.

Grace obejrzała się i zobaczyła, że to księżniczka de Lamballe.

- Nic się nie zmieniło. Nasza praca trwa nadal. Będzie was mniej, ale to tylko znaczy, że możemy lepiej się zająć tymi, którzy pozostali.

- Ale co z kapitanem? - nie ustępowała księżniczka. - To prawda, że umiera?

- Kapitan nie jest w najlepszym stanie - przyznał Mosh Zu. - Ale dobrze reaguje na leczenie. Odzyska siły. I wróci na Nokturn. A teraz przepraszam bardzo, ale muszę do niego zajrzeć. Grace, zechcesz mi towarzyszyć?

Kiwnęła głową.

Mosh Zu się obejrzał.

- Ci z was, którzy postanowili tu zostać, niech teraz wrócą do swoich pokojów i przemyślą to, co się dziś wydarzyło. Zastanówcie się, czego naprawdę chcecie od danej wam wieczności. I jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości, opuście nas i zejździe tą ścieżką do stóp góry.

Po czym wyszedł zagniewany. Grace ruszyła za nim.

W drodze do kwatery Mosh Zu mijali pokój rekreacyjny. Grace zajrzała do środka i zatrzymała się. Mosh Zu maszerował dalej, nie zważając na nic.

- Dogonię cię! - zawołała.

Nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał.

Weszła do środka i zobaczyła, jak Johnny przesuwa figurę na szachownicy.

- Szach i mat - powiedział.

Spojrzał na nią z uśmiechem i przewrócił białego króla. A potem zaczął pakować szachownicę. Grace zastanowiła się, czy wśród odchodzących wampirów znajdzie kogoś chętnego do gry.

- Nie idź z nim, Johnny - poprosiła. - Wiem, że cię to kusi. Dodali krwi do twojego wywaru właśnie po to, żeby cię skusiło. Dlatego wcześniej mnie zaatakowałeś. Nie umiałeś nad sobą zapanować. Ale jeśli zostaniesz, wszystko się poprawi. Wiem, że tak.

Popatrzył na nią ze smutkiem.

- Już ci mówiłem, Grace: życie tutaj jest trudne. Prawdę mówiąc, dzisiaj nie po raz pierwszy piłem krew. Olivier zawsze chętnie zgadzał się to załatwić.

- Westchnął. - Próbowałem, Grace. Naprawdę próbowałem. Ale podjąłem decyzję. Idę z tym Sidoriem.

Przyglądała się zasmucona, jak pakuje szachy do worka podróżnego. Był jeszcze jeden sposób, by go przekonać.

- Pamiętasz, co mi opowiadałeś? - spytała - O swoim życiu i śmierci? Sam przyznałeś, że nie znasz się na ludziach.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej pamiętał to wyznanie.

- Dokonywałeś w życiu złych wyborów, Johnny - mówiła dalej Grace. - Ale jeśli dzisiaj wyjdiesz przez bramę, będzie to najgorsza decyzja, jaką można podjąć.

Wzruszył ramionami.

- Rozumiem cię, Grace. Rozumiem, ale patrzę na to inaczej. Co jeszcze mam do stracenia? - Zrzucił sobie worek na ramię i podszedł do niej. - Staralem się być dobry, Grace. Naprawdę, włożyłem w to wszystkie siły, a potem jeszcze trochę. I widzisz, nie chodzi o to, że nie potrafię być dobry. Tylko że o wiele lepiej wychodzi mi bycie złym. - Wcisnął na głowę stetsona. - Do zobaczenia, piękna panienko.

Grace pokręciła głową. Łzy spływały jej po twarzy. To było okropne. Cały jej świat rozpadał się w gruzy... I nie tylko jej.

I nagle nowa myśl sprawiła, że znieruchomiała.

Gdzie jest Lorcan? Nie widziała go od wydarzeń w sali zgromadzeń. Kiedy tłum ruszył z miejsc, a ona szukała Mosh Zu, straciła Lorcana z oczu. Gdzie się podział? Nie mógł przecież pójść za Sidoriem, prawda? Jeśli tak, to upadną wszystkie jej nadzieje, cała wiara. Ze łzami w oczach odwróciła się i wybiegła z pokoju.

W korytarzu ruszyła biegiem. Nie była pewna, dokąd zmierza, ale nagle poczuła, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na zewnątrz zobaczyła, jak Johnny biegnie, by dogonić tył długiej kolumny, schodzącej ścieżką po zboczu. Została sama na dziedzińcu. Powietrze było zimne i zauważyła, że zaczyna padać śnieg. Podniosła głowę, patrząc na opadające płatki. Pomyślała o wizji życia i śmierci Johnny'ego, o obrazie padającego śniegu... Stłumiła je... Myśli o Johnnym zbyt teraz bolały.

Przypomniała sobie ogród warzywny, gdzie raz już szukała spokoju. Postanowiła pójść tam teraz, żeby ich nie widzieć. Żeby nikogo nie widzieć. Ruszyła ścieżką prowadzącą z głównego placu do ogrodu.

Z początku samotność przyniosła jej ulgę. Ogród wyglądał jeszcze piękniej, niż go zapamiętała, ze śniegiem okrywającym fontannę i ławki.

Wspominała chwile, kiedy leżała tutaj ze wstążką Lorcana na szyi, a potem - po interwencji księżniczki - w dłoni. Szukała wtedy odpowiedzi, szukała sposobu, by pomóc Lorcanowi. Teraz o tym nie myślała. Lorcan odszedł, pewnie podążył za Johnnym i innymi rekrutami Sidorii. Teraz szukała tylko ukojenia. Ale choć pewnie mogłaby je tu znaleźć, było za zimno. Musi chyba wrócić pod dach, bo zamarznie na śmierć.

Ze smutkiem szła po własnych śladach na główny dziedziniec. Spuściła głowę, by śnieg nie padał jej do oczu..

Nie od razu zauważyła idącego ku niej człowieka. Na chwilę uniosła wzrok. Miał na sobie wojskowy płaszcz o ramionach przyprószonych już śniegiem. A kiedy spojrzała w jego błękitne oczy, przyspieszył kroku.

- Lorcan! - zawołała.

- Grace! Cała jesteś przysypana śniegiem! Zamarzniesz!

Rozsunął poły płaszcza i okrył ją.

- Drżysz - zauważył. - Jak długo tu jesteś?

- Myślałam, że sobie poszedłeś - wyznała żałośnie. - Myślałam, że podążyłeś za Sidoriem i znowu cię straciłam.

- Zwariowałaś? Myślałaś, że wybiorę Sidoria? Zamiast ciebie? - Potrząsnął głową. - Nigdy!

Westchnęła z ulgą i oparła głowę o jego pierś. To z naddatkiem wynagrodziło jej stratę Johnny'ego. Dawało nadzieję, że świat znowu wróci do normy.

- Chodźmy - powiedział Lorcan. - Musimy wrócić do budynku, zanim tu zamarzniesz.

Razem pospieszyli z powrotem do ciepła.

Rozdział 53

Mocne więzy

- Witaj, przybyszu! - Ciasteczko uśmiechnęła się, wchodząc do boksu. - Ile to już nocy z rzędu? Sześć?

Connor pokręcił głową.

- Dziewięć.

- Może to już dzisiaj?

- Mam nadzieję.

Zaczynało go już irytować oczekiwanie na Molucca i jego załogę. Im bardziej rozmowa odsuwała się w czasie, tym większy czuł ciężar. Po powrocie z Lantao nie potrafił odszukać Diabła na morzu. Wizyta u Mamy Kettle wydawała się oczywistym rozwiązaniem. Gdy tylko statek wróci w te okolice, na pewno odwiedzi tawernę.

- Przyniosę ci coś do picia - zdecydowała Ciasteczko.

- Dzięki.

- Nie dasz się namówić na coś mocniejszego?

Pokręcił głową. Ciasteczko wzruszyła ramionami i szykowała się do odejścia. Ale obejrzała się jeszcze, zanim wyszła z boksu.

- Martwię się o ciebie - oświadczyła.

- Naprawdę nie ma powodu.

- Chodzi o to, że wydajesz się starszy, Connor. Kiedy zjawiłeś się tutaj po raz pierwszy, byłeś chłopcem. Teraz jesteś mężczyzną. Ale nie mężczyzną szczęśliwym. A wiesz przecież, co mówią o życiu pirata: że powinno być krótkie, ale wesołe. Z akcentem na wesołe.

- Muszę załatwić kilka spraw - wyjaśnił. - Gdy je pozamykam, znów będę dawnym Connorem.

- Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać... W tej chwili wystarczy mi uśmiech.

Zrobił, co mógł.

- No, na początek wystarczy - uznała. - Chcę, żebyś o czymś wiedział... Zawsze będziesz u Mamy Kettle mile widzianym gościem, cokolwiek szykuje dla ciebie przyszłość. - Zamilkła na moment. - Jesteś dobrym człowiekiem.

Właśnie to pragnął usłyszeć. Kiedy na nią spojrzał, miał łzy w oczach. Nagle cały ból, żal i poczucie winy, jakie w nim wzbierały, wylały się potężną falą.

- Och, Connor... Ciasteczko widziała, że chłopak walczy z emocjami. Usiadła i objęła go czule. Nie protestował; przez moment tkwili w serdecznym uścisku. Dobrze było pozwolić uwolnić się uczuciom.

- Lepiej? - spytała Ciasteczko.

Odsunął się od niej i skinął głową. Tym razem poczuł, że mięśnie twarzy się rozluźniają i może jej zaprezentować szczerzy uśmiech. Często marzył, by znaleźć się w ramionach Ciasteczka, ale jednak w innych okolicznościach.

- No to dobrze. - Wstała ponownie. - Pójdę teraz i przyniosę ci drinka.

Kiedy odeszła, Connor rozsiadł się wygodnie, odsunął aksamitną kotarę i spojrzał na taneczny parkiet i pozostałą część tawerny. Dzisiaj panował spokój... No, ale przecież to wtorek, zwykły dzień. Zastanawiał się, czy nowe środki bezpieczeństwa, jakie wprowadziła Mama Kettle, nie zniechęciły części stałych klientów. Po śmierci Jenny Petrel Kitty zakazała w barze noszenia broni. Nawet teraz szef ochrony - miły gość, posługujący się imieniem Sztuk 08 - dokładnie przeszukiwał wchodzących, a miecze, sztylety, shuriken i inną broń na czas ich pobytu w tawernie oddawał do szatni. Connor uważał to za naiwne, ponieważ to nie miecz, sztylet czy shunken przerwały młode życie Jenny. To para zębów oraz głód przekraczający ludzkie możliwości zrozumienia. A temu o wiele trudniej zapobiec.

- O co chodzi? - usłyszał nagle znajomy głos. - Co to za obraza! Kto to słyszał, odbierać piratowi sztylety!

Nie miał wątpliwości, do kogo należy głos. Serce zabiło mu szybciej. Wyrzwał za poręcz i rzeczywiście, na środku sali stał Molucco Wrathe, wyraźnie zdumiony tłumaczeniem, że nie ma wyjątków od nowych zasad Mamy Kettle.

Dyskusja trwała, gdy Connor wyszedł z boksu i zbiegł po schodach do baru. Nim tam dotarł, Sztuk zdołał odebrać Molucco nie tylko dwa srebrne sztylety, ale też kilka mniejszych okazów broni, które kapitan najwyraźniej ukrywał pod obszernym płaszczem. Connor

obserwował z daleka, jak ochroniarz pakuje ten arsenał do metalowego pudła i wręcza kapitanowi numerek.

- Gdzie Kitty? - dopytywał Molucco. - Niech ktoś powie Mamie Kettle, że jestem. I przekażcie jej, że nie chcę żadnych numerów, chyba że to loteria i można wygrać porządne nagrody.

Zamierzał dalej się skarżyć, kiedy nagle dostrzegł Connora. Rozdziawił usta i zamilkł. Po chwili jednak uśmiechnął się do chłopca i gestem wezwał go do siebie.

- Drogi chłopcze, to naprawdę ty? Tak się o ciebie martwiliśmy! - Wyciągnął ramiona.

Connor uściskał go, bardziej z uprzejmości niż rzeczywistej potrzeby. Musiał porozmawiać z kapitanem o kilku poważnych sprawach i nie mógł dać się zbić z tropu przez tę przesadzoną demonstrację uczuć.

- Niech ci się przyjrzę... - Molucco ujął twarz Connora między swe upierścienione palce. - Zmizerniałeś! Jadłeś coś? Och, panie Tempest, jak dobrze się przekonać, że jest pan bezpieczny i zdrowy! I że pan do nas wrócił!

Connor uniósł wzrok. Zauważył, że Barbarro, Trofie i Promyk weszli za Molucco do tawerny. I wydawali się trochę mniej zachwyceni spotkaniem.

- Dobry wieczór, Connorze - odezwała się Trofie, udając zatroskanie. - Wszyscy się o ciebie martwiliśmy, min elskling.

Kapitan uwolnił go z uścisku, więc Connor skinął Trofie głową.

- Dziękuję - powiedział. - Nic mi nie jest. Podróżowałem.

- Tak, tak - rzucił Molucco. - I wszyscy chcemy posłuchać o twojej wyprawie. To noc powitań i pożegnań, muszę przyznać - dodał. - Mój kochany brat i jego rodzina rozstają się z nami na pewien czas.

Promyk wyszczerzył się do Connora.

- Wiesz, jak to jest. Miejsca do zrabowania, ludzie do poranienia...

Trofie uśmiechnęła się pobłaźliwie do syna.

- Prawdę mówiąc - wyjaśniła - wolę chłodniejsze klimaty.

- A czego moja ukochana żona sobie życzy, moja ukochana żona dostaje - oświadczył Barbarro.

Jedną ręką objął Trofie, drugą położył na ramionach syna.

Molucco uśmiechnął się promiennie.

- Tak to jest z nami, żeglarskimi rodzinami. Nasze statki wiecznie płyną po falach. A kiedy jeden wyrusza w daleki rejs, drugi przybija do bezpiecznego portu. Chodźmy więc, panie Tempest. Twoi przyjaciele, Bartholomew i Cate, też wkrótce się tu zjawią. Przejdźmy do stolików dla specjalnych gości.

- Ruszajmy - zgodziła się Trofie. - Oddałabym lewą rękę za kieliszek szampana.

Connor zwrócił się do Molucca Wrathe'a.

- Szczerze mówiąc, wolałbym porozmawiać z panem w cztery oczy, jeśli można. Nie chcę przeszkadzać w przyjęciu, ale może wyszlibyśmy na krótki spacer?

- Spacer? - huknął głośno Molucco. - Dlaczego nie? Jeśli tylko szef ochrony nie ma nic przeciwko.

- Ależ skąd, drogi panie - zapewnił z uśmiechem - I proszę się nie martwić. Pański prywatny arsenał jest u mnie całkiem bezpieczny.

Molucco wzruszył ramionami i skinął na Connora, by szedł pierwszy. Razem wyszli z tawerny na pomost. Tak jak mówił Molucco, Bart i Cate czekali w kolejce przed drzwiami. Oboje obejrzeni się za nim, zaskoczeni. Pomachali do niego.

Skinął im głową.

- Zobaczymy się później - przekazał bezgłośnie, samym ruchem warg.

Nie mógł pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło mu w rozmowie. Odchodził już, kiedy przyjaciele spojrzeli na siebie z troską.

Connor i Molucco dotarli na koniec pomostu, ale panował tu większy hałas niż w tawernie - tym bardziej że dotarła już wiadomość o nowych środkach bezpieczeństwa.

- To na nic - uznał Molucco. - Tutaj nie pogadamy.

Connor się skrzywił. Musiał porozmawiać z kapitanem sam na sam.

- Chodźmy na statek - zaproponował Molucco.

- Dyskretnie łykniemy sobie rumu w mojej kajucie, a potem dołączymy do pozostałych.

- Doskonale - ucieszył się Connor.

Postanowił, że raczej zrezygnuje z rumu.

Dziwnie się czuł, wchodząc do kajuty Molucca. Kiedyś przecież była dla niego znajomym miejscem, a teraz wydawała się obca. Poznawał zgromadzone w niej skarby, jednak patrzył na nie innymi oczami. Oczami kogoś z zewnątrz, uświadomił sobie. Już teraz oddalał się od kapitana i statku. Już teraz opuszczał załogę.

- Proszę. - Molucco postawił przed nim dużą szklanę rumu, a do drugiej wylał resztę zawartości karafki. - Usiądź, zrzuć ciężar ze swoich barków.

Usiedli przy eleganckim stoliku, który musiał być chyba nową zdobyczą. Być może z rajdu na Ford Zachodzącego Słońca, pomyślał Connor.

- A więc, panie Tempest, proszę mówić, gdzie pan bywał.

- Tu i tam. - Connor starał się mówić obojętnym tonem. - Żeglowałem po oceanie, myślałem o wszystkim, co się zdarzyło, o wszystkim, co zrobiłem.

Kapitan Wrathe wypił solidny łyk rumu.

- Przepraszam, że tak pana zostawiłem - mówił dalej Connor. - Nie chciałem martwić ani pana, ani nikogo innego. Musiałem jakoś się pogodzić z moim czynem.

Czekał, aż kapitan powie coś pocieszającego, ale on tylko znów łyknął rumu i pokiwał głową.

- A teraz pogodziłeś się z samym sobą i wróciłeś. - Uniósł szklanę. - Witaj w domu, Connorze! Connor zmarszczył brwi. - Wcale nie pogodziłem się z samym sobą - zaprzeczył. - Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek mi się to uda. Zabiłem człowieka. Z zimną krwią.

- Ocaliłeś życie mojemu bratankowi! I rodzina Wrathe'ów zawsze będzie ci za to wdzięczna. Napij się rumu, mój chłopcze. Od razu poczujesz się lepiej.

Connor pokręcił głową.

- Podjąłem działanie, by ratować Promyka, i nie żałuję tego. Ale nie mogę pomijać faktu, że zabiłem.

- Pierwszy raz nigdy nie jest łatwy - przyznał Molucco. - Ale przecież jesteś piratem. Wcześniej czy później coś takiego musiało się zdarzyć. Zwłaszcza z twoją sprawnością w posługiwaniu się mieczem. Potem będzie już łatwiej, zobaczysz.

- Ale ja nie chcę, żeby było łatwiej.

Twarz Molucca wyrażała kompletne niezrozumienie.

- Chcesz, żeby było trudniej?

- Tak - potwierdził Connor. - To znaczy nie. Po prostu nie chcę przyzwyczajać się do zabijania. Bez ważnej przyczyny.

Molucco zmarszczył czoło.

- Uważasz, że ratowanie życia mojemu bratankowi nie było przyczyną dostatecznie ważną, by zabić?

Connor się zastanowił. Musiał teraz starannie dobierać słowa. Bardzo starannie...

- Myślę... - zaczął. - Myślę, że Promyk w ogóle nie musiał się znaleźć w takiej sytuacji.

- Aha. - Molucco znowu napił się rumu. - Tak myślisz? Nagle stałeś się ekspertem od strategii rajdu?

- Nie trzeba być ekspertem - odparł Connor.

- Nie - rzekł kapitan Wrathe. - Nie trzeba. Jesteś dopiero początkującym piratem, Connorze Tempeście. W pewnych kręgach nazywają takich jak ty „mięsem dla rapierów”. Płacę ci za walkę, nie za myślenie. Myślenie możesz spokojnie pozostawić oficerom.

Connor milczał, ale jego mina mówiła wszystko.

- Chyba że - ciągnął Molucco - nie jesteś zadowolony z decyzji oficerów. W takim razie lepiej zacznij być i to szybko.

Connor wiedział, że w którymś momencie będzie musiał się zmierzyć z gniewem Molucca. I teraz ten moment nadszedł, jak samotna fala wzbierająca na spokojnym morzu. Zaciśnął więc zęby i przygotował się psychicznie na czekający go biały szkwał. Z Molucco Wrathe'em zawsze tak było.

- Dziwię się - rzekł kapitan. - Skoro tak ci się nie podoba sposób, w jaki dowodzę swoim statkiem, to po co w ogóle wracałeś, zamiast pozełgować w zachodzące słońce?

Connor pokręcił głową.

- To by nie było odpowiednie. Ani uczciwe. Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił...

- I bardzo słusznie. Tymi rękami wyciągnąłem cię z oceanu! Dzięki mnie żyjesz!

Kłamał w żywe oczy, ale to typowe dla niego i budowania własnej legendy. Jednak w tej chwili Connor nie zamierzał mu przypominać, że to Cheng Li wyłowiła go z wody.

- Dał mi pan dom - stwierdził tylko - gdy go nie miałem. I nigdy nie zdołam się panu za to odwdziżyć. - Westchnął. - Ale Diabło nie jest już domem. Bo nie wydaje mi się, żebym mógł zostać takim piratem, jakiego by pan sobie życzył.

Molucco ze smutkiem skinął głową.

- Piękne słowa, panie Tempest. Doprawdy, piękne słowa. Traktowałem cię jak syna...

Connor spodziewał się, że kapitan wkroczy na tę wytartą ścieżkę.

- Ale nie jestem pana synem - zauważył. - I kiedy już przyjdzie co do czego, zawsze ważniejszy będzie Promyk, pański prawdziwy krewny.

Te słowa zaskoczyły Molucca.

- A więc tak się to skończy? Wróciłeś, żeby mi powiedzieć, że dziękujesz, ale jednak rezygnujesz? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem.

- Tak.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Powiedzieć, że czuli się nieswojo, byłoby niedomówieniem.

- Czy to wszystko? - zapytał w końcu Molucco. - A może masz coś jeszcze?

Connor odetchnął głęboko. Musiał jeszcze o czymś wspomnieć. Wolałby to pominąć, ale kapitanowi należała się prawda - cała prawda. Choć Molucco zapewne za chwilę wybuchnie, musi jednak usłyszeć o tym od Connora.

- Jeszcze jedno... Widziałem się z Cheng Li.

Molucco otworzył szeroko oczy. Ale przecież nie zechce chyba odwoływać się do swojego bezsensownego zakazu wypowiedziania w kajucie jej imienia? Już dawno wyszli poza takie drobiazgi.

- Ma dostać własny statek - dodał. - Muchas gracias za sensację - odparł Molucco. - Ale byłem świadom tego faktu. I zgaduję, dokąd to wszystko zmierza. Chcesz wstąpić do jej załogi, tak?

Connor przytaknął. Znow zapadła cisza.

Spodziewał się, że tym razem kapitan wpadnie we wściekłość, ale Molucco tylko westchnął.

- Mogłem się domyślić, że to Cheng Li jest źródłem wszystkiego. Zatrwała twój umysł, nastawiła cię przeciwko mnie. Dotarła do ciebie, kiedy byłeś najbardziej załamany i podatny...

- Nie. - Connor ośmielił się przerwać kapitanowi. Już tak daleko przekroczył dopuszczalne granice, że nie miał powrotu. - Nie, to nie tak. Zabrała mnie do Lantao. Odbierała tam broń od płatnerza. Rozmawialiśmy...

- Och, jestem pewien, że nie brakowało jej tematów do rozmowy - stwierdził z goryczą Molucco. - Pewnie udzielała ci rad, zachęcała do zdrady.

Teraz to Connor się rozszłościł. A raczej uświadomił sobie, że przez cały czas tłumił gniew. Nie mógł dłużej się powstrzymywać.

- Szczerze mówiąc, to ona poradziła mi, żebym wrócił i jakoś się z panem dogadał. Odpląnąłbym z nią bez chwili namysłu, ale powiedziała, że muszę najpierw z panem

porozmawiać. Że jest pan moim kapitanem, cokolwiek myślę, i że mam wobec pana zobowiązania. Że muszę dotrzymać kontraktu.

To był coup de grace. Obaj to wiedzieli. Molucco Wrathe wyłożył już wszystkie swoje karty. Teraz wstał i dopił rum. Potem chwiejnym krokiem podszedł do solidnej drewnianej szafki i przesunął dłońią po trzech szufladach.

- Od A do I, od J do R, od S do Z! - Wyciągnął najniższą i przeszukał schowane tam papiery. - T jak Tempest! - wykrzyknął.

Wyjął zielony segregator i zaczął przeglądać kartki pergaminu w kolorach od kremowego, przez złoty i beżowy do brązu.

- Jest - oświadczył bez radości. - Tempest, Connor.

Wyjął kremowy arkusz, pozostałe wpiął do segregatora, a segregator wsunął do szuflady. Potem wrócił do stołu. Na blacie paliła się świeca, więc kapitan ułożył przy niej pergamin i zaczął czytać.

- „Niniejszym, szóstego dnia szóstego miesiąca roku dwa tysiące pięćset piątego, ja, Connor Tempest, zdrów na ciele i umyśle, uroczycie i po wsze czasy przyrzekam wierność i posłuszeństwo kapitanowi Molucco Wrathe'owi...” - Uniósł głowę i spojrzał na Connora. - Wiesz, oczywiście, co znaczy „po wsze czasy”?

Connor przytaknął.

- Wiem, że ten kontrakt wiąże mnie na zawsze. Wiem, że to, o co proszę, to rzecz nie mająca precedensu. Mogę panu zapłacić. Nie mam wiele, ale na pewno jakoś się porozumiemy.

Dłoń Molucca zadrżała. W blasku świecy szafiry na jego palcach zamigotały niczym ocean. Kiedy przemówił, w jego głosie zabrzmiał nowy ton.

- Porozumienie jest niemożliwe.

Co miał na myśli? Czy zamierzał twardo odmawiać Connorowi zgody na odejście? Oczy kapitana nie zdradzały niczego - były zimne, puste.

Nagle Connor poczuł zapach dymu. Spojrzał na stół - jego kontrakt płonął. Formalne więzy łączące go z kapitanem Wrathe'em dosłownie poszły z dymem.

Otworzył usta, by zaalarmować kapitana, ale natychmiast zrozumiał, że to nie przypadek. Molucco sam wsunął kartkę w płomień. Zadziwiająco, jak szybko się paliła. Connor widział, jak ogień pochłania jego podpis i plamkę krwi, którą przypieczętował umowę. W końcu Wrathe trzymał już tylko nierówny brzeg kartki, ale i on szybko zmienił się w popiół. Wtedy kapitan

dmuchnął na palce, z kieszeni na piersi wyjął chustkę i starannie wytarł ręce. Spojrzał lodowato na Connora.

- Nie ma już kontraktu, który wiązał cię z tym statkiem. Co nasuwa mi pytanie, dlaczego jeszcze siedzisz w mojej kajucie?

Odwrócił się i odszedł od stołu. Scrimshaw rozwinął się i popatrzył na Connora. Chłopiec spodziewał się, że wąż zasyczy gniewnie, z lojalności dla swego pana, ale wydawało się, że przygląda się z pewnym zasmuceniem.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedział Connor.

Molucco milczał przez chwilę, jakby go nie usłyszał. Ale w końcu odezwał się, nie odwracając głowy.

- Nie dziękuj mi, chłopcze. Nie odzywaj się do mnie. Teraz jesteś dla mnie nikim.

Connor miał tego dosyć. Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z kajuty. Maszerując po pokładzie, nie czuł się zwycięzcą, choć przecież dostał to, na czym mu zależało - odzyskał wolność.

Serce biło mu mocno, kiedy zszedł po drabince i zeskoczył na pomost. Uniósł głowę i zobaczył nadchodzących Barta i Cate. Nie mógł powstrzymać łez.

- Co się stało, Connorze? - spytała wystraszona Cate.

- Odchodzę - rzekł. A widząc jej zaskoczenie, dodał: - Tym razem na dobre. Kapitan Wrathe zwolnił mnie z kontraktu.

Zauważył miny Barta i Cate. Wiedzieli, że to bardzo poważna sprawa.

- Gdzie teraz pójdziesz, kolego? - zapytał Bart. Jemu także łzy stanęły w oczach.

- Wstępuję do załogi Cheng Li. Spróbuję zacząć od nowa. Ale przedtem czeka mnie jeszcze jedna ważna wyprawa. Muszę się z kimś spotkać.

Cate skinęła głową i zdołała lekko się uśmiechnąć.

- Grace...

Connor przytaknął. Nie potrafił ciągnąć tego dłużej. Tak wiele chciałby powiedzieć, tak silna więź łączyła go z tymi ludźmi...

- Nie wychodzą mi pożegnania...

Machnął ręką w stronę kei, gdzie czekała na niego nieduża łódź.

- Więc niech to nie będzie pożegnanie. - Bart objął go mocno. - Niech to będzie hasta la vista. TO przecież nie koniec! Niedługo znów się spotkamy, kolego!

Uściskał go i odstał. Łzy płynęły mu po policzkach.

- On ma rację - potwierdziła Cate. - To, że opuszczasz Diabła, nic między nami nie zmienia. Nasza przyjaźń sięga głębiej. Zawsze możesz na nas liczyć. Zawsze.

Z oczu Connora łzy płynęły już ciurkiem; nie mógł tu zostać i czekać, aż całkiem się rozklei.

- Naprawdę muszę odejść - powiedział, tak samo do siebie, jak do swoich przyjaciół.

Gdy się odwracał, dostrzegł jeszcze, jak Bart obejmuje Cate ramieniem.

Nogi ugięły się pod nim, ale szedł spokojnie po pomoście, aż dotarł do swojej łódki. Zrzucił cumę, przeskoczył na pokład i skierował się ku wyjściu z zatoki na ciemne morze. Nie obejrzał się, nie mógł się obejrzeć, ale jaskrawy blask neonu Mamy Kettle rozbłyskiwał nad nim jak promienie zachodzącego słońca.

Rozdział 54

Wyzwoliciel

- Uważam, że to znakomity pomysł - mówi Sidorio. Oczy mu błyszczą. - Dobra robota, Stukeley.

Stukeley wzrusza ramionami.

- Chciał pan większy statek i liczniejszą załogę. Pomyślałem, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Statek więzienny - mówi Johnny D. - Wiecie, nazywali je kiedyś hulkami.

- Jak Incredible Hulk? - pyta z uśmiechem Sidorio.

- Niezupełnie - odpowiada Johnny.

On i Stukeley porozumiewają się wzrokiem. W ciągu kilku krótkich tygodni stali się sprzymierzeńcami - doceniają wzajemnie swoje zdolności, tak ważne teraz, kiedy otwiera się przed nimi nowa przyszłość. Stoją po obu stronach kapitana - dwóch zaufanych poruczników. Szare - i myślące - eminencje.

Ich statek zbliża się do więziennego. Tamten pasuje o wiele lepiej, co do tego wszyscy się zgadzają. Przede wszystkim jest większy, a w dodatku wygląda brzydko i ponuro, niczym jakiś morski potwór.

- Nadaje odpowiednie przesłanie - stwierdza Stukeley.

Johnny D kiwa głową.

- Już niedługo, chłopcy - mówi Sidorio.

Za kilka chwil wejdą na pokład hulku i przejmą go na własność. Wtedy dla nich wszystkich rozpocznie się nowa era. Nie będzie więcej falstartów, myśli Sidorio. Wszystko zaczyna się układać. Przez chwilę wspomina troje dawnych towarzyszy - Lumara, Olina i Mistral. Zginęli w płomieniach. Byli słabi. W swojej armii nie zaakceptuje słabości. Spogląda na boki, na swoich dwóch poruczników. Jest w nich jakiś mrok... Ale nie ma śladu słabości.

- Czy wszyscy są gotowi? - pyta.

Porucznicy odwracają się i lustrują swoje oddziały.

Za nimi na pokładzie stoją obie części nowo uformowanej załogi - ci, których Stukeley wywabił z Nokturnu, i ci, którzy z Johnnym D wyszli z Sanktuarium. To właśnie jego entuzjazm przyniósł mu pozycję oficera.

- Tak, kapitanie - odpowiadają chórem Stukeley i Johnny D.

- Świetnie. My wejdziemy pierwsi. Niech każdy wybierze po pięciu ludzi, o których wie, że są krwiożerczy. Pójdą z nami. Reszta ma być gotowa do akcji, jak tylko usuniemy strażników.

Stukeley i Johnny D szybko podejmują decyzje. Wybrani mężczyźni i kobiety występują naprzód. Inni także są gotowi. Gdy ich statek dogania pływające więzienie, wszystkich jednoczy poczucie energii i celu. Wiedzą, że dzisiejszy dzień jest początkiem czegoś ważnego.

- Załoga! - wykrzykuje Sidorio. - Za mną!

Przeskakuje ze statku na statek, wykonując salto w powietrzu. Jest sprawny jak nastolatek, myśli Stukeley; w takich sytuacjach kapitan czuje się najlepiej.

Stukeley odwraca się i widzi, że Johnny D ponagla ludzi do akcji. Kolejno przeskakują z jednego statku na drugi. Po chwili trzynaście par stóp dudni po drewnianym pokładzie więziennego hulku.

Sidorio przywołuje ich do siebie. Znalazł schody prowadzące w dół. Ale po co przejmować się schodami, jeśli można po prostu zeskoczyć?

- Za mną - rzuca do swoich poruczników.

I cała trójka równocześnie opada w głąb. Łądując, stają twarzą w twarz z trójką zaskoczonych strażników. Jakby stanęli przed lustrem, ale zniekształcającym jak w lunaparku.

- Kim jesteście? - pyta najodważniejszy ze strażników. - Skąd się tu wzięliście?

- Nie widziałeś? - dziwi się Johnny D. - Spłynęliśmy z nieba, jak anioły.

- Tak, to widziałem, ale skąd się wzięliście na pokładzie?

Stukeley się uśmiecha.

- Wygląda na to, że popełniliście poważny błąd. Tak bardzo pilnowaliście, żeby nikt nie wyrwał się z waszego więzienia, że zupełnie zapomnieliście o tym, że ktoś może się tu wedrzeć.

- A kto by chciał się wdzierać? Wiecie, jaką kategorię więźniów tu mamy?

- No właśnie - wtrąca drugi strażnik. - To kategoria D jak dożywocie.

Trzeci strażnik dopiero teraz decyduje się zabrać głos.

- Kiedy ich tu zamykali, wyrzucili klucz. Dosłownie. Oni już nigdy nie zobaczą światła dnia.

Sidorio wzrusza ramionami.

- Światło dnia jest przereklamowane.

Unosi głowę i spogląda na rzędy cel nad nimi. Zza grubych białych prętów przyglądają się im więźniowie. Widok przypomina rzędy klatek z ptakami na targu. Wszystko się tutaj zmieni, myśli. „Sidorio Wyzwoliciel”... Brzmi całkiem ładnie.

- No więc już chyba pora, żebyście powiedzieli, jaką macie sprawę, albo zmywali się tam, skąd przyszlście - oświadcza pierwszy strażnik i podkręca węża.

- Sprawę? - Sidorio przygląda mu się, jakby nie rozumiał.

- Czego tutaj chcecie.

Strażnik mówi powoli, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem. To poważny błąd.

- Czego chcemy? - Sidorio jakby rozważa tę kwestię. Opiera brodę na dłoni, a palcami stuka w wargi. - Czego chcemy, czego chcemy... A tak! Już wiem!

- Patrzy strażnikowi prosto w oczy. - Chcemy tego statku.

- Niemożliwe. - Strażnik czuje się pewniej, mając obok siebie kolegów. - Ten statek więzienny jest własnością państwa. Nic mi nie wiadomo o żadnych instrukcjach, nakazujących przekazanie dowodzenia. Nikt mnie o tym nie zawiadomił. - Zwraca się do strażników numer dwa i trzy. - Czy któryś z was, chłopcy, widział jakieś polecenia czy co tam innego ze sztabu?

Kręcą głowami. Strażnik numer dwa mówi:

- Nie dostaliśmy nic ze sztabu, chyba już od świateł.

- Drobiazgi - stwierdza Sidorio. - Nie należę do takich, co dbają o drobiazgi.

Podchodzi do pierwszego strażnika, tego z wężami. Strażnik otwiera usta, by się odezwać, ale coś go powstrzymuje.

- Przepraszam - mówi Sidorio. - Nie dosłyszałem.

Wie, że strażnik zobaczył jego dwa złote zęby. Dyskusja nabiera całkiem nowego wymiaru. Strażnik potrafi szybko myśleć, więc ustępuje.

- A wiesz co? Chyba rzeczywiście przypominam sobie polecenie ze sztabu. Statek jest twój. I więźniowie też.

Próbuje odpiąć łańcuch z kluczami, ale ręce mu się trzęsą.

- Pomogę ci - proponuje Sidorio.

Wyciąga rękę i zrywa klucze z pasa strażnika. Dwóch pozostałych przygląda mu się z zaskoczeniem i zgrozą.

- Są ponumerowane. Widzisz? - Głos pierwszego strażnika jest co najmniej o oktawę wyższy niż poprzednio. - Każdy wybity tu numer odpowiada numerowi celi.

- Dzięki za wskazówkę.

Sidorio rzuca klucze Johnny'emu D, który łapie je bez trudu. - No to załatwione. Ja i chłopcy nie chcemy wam więcej przeszkadzać. - Strażnik chwyta kolegów za ramiona i ruszają do schodów.

Sidorio spogląda na rzędy cel, ciągnących się wzdłuż pokładu. Czuje na sobie spojrzenia więźniów. Są milczący, skupieni...

Uśmiecha się do nich.

- Jak myślicie? - pyta. - Powinniśmy puścić strażników wolno?

- Nie! - woła któryś z więźniów. Krzyk odbija się echem na statku.

- Niezła akustyka - stwierdza Johnny D i szturcha Stukeleya porozumiewawczo. Stukeley wykrzywia twarz w uśmiechu.

Wołanie pierwszego więźnia podejmuje drugi, potem następny. I następny. Po chwili cały statek wibruje od krzyku:

- Nie wypuszczać ich! Nie wypuszczać ich!

Stopy tupią w metalowe podłogi.

Strach wypelza na twarze strażników. Znikają normalne oblicza, a pojawia się czysta groza.

Sidorio wzrusza ramionami i zwraca się do strażników.

- Przykro mi, chłopcy, ale ci goście w klatkach niedługo będą pracować dla mnie, więc nie chcę psuć im humoru.

Po czym jednym ruchem zdziera koszulę i podkoszulek pierwszego strażnika. Trzymając nieszczęśnika jedną ręką, zbliża swe złote zęby do jego piersi. Przebija skórę i zaczyna ucztować.

Więźniowie wznoszą radosne okrzyki. Sidorio przypomina sobie stadion w Rzymie. Był tam raz czy dwa.

W innym życiu zostałby może gladiatorem. Może nawet jest nim teraz... w pewnym sensie.

Dwaj pozostali strażnicy stoją nieruchomo jak posągi. Patrzą na ciało tego, który był ich zwierzchnikiem, a teraz upadł w głąbiny piekła. Jednemu z nich udaje się jeszcze wykrztusić:

- Kim jesteś?

Sidorio unosi głowę i uśmiecha się szeroko.

- Jestem wizją z waszych koszmarów... Prawdę mówiąc, jestem wizją, przez którą wasze koszmary budzą się z wrzaskiem.

Strażnik drży, słysząc te słowa. Podobnie jego towarzysz.

- Nie powinniśmy tego przeciągać - mówi Stukeley do Johnny'ego D. - To byłoby w złym tonie - zgadza się Johnny D. Razem podchodzą do przerażonych strażników. Następuje zrywanie ubrań, przebijanie skóry... Dwóch poruczników także się pożywia.

Więźniowie wpadają w szal. Ogarnia ich dziwne uczucie radości i trwożnego wyczekiwania. Hałas jest potężny, a w zamkniętej przestrzeni odbija się z wielokrotnionym echem i wraca stale wzmocniony niczym fala. Okrzyki przeradzają się w histerię. Czy oni nie pojmują? Powinni przecież zrozumieć... To, co spotkało strażników, ich też nie ominie.

Sidorio rzuca na pokład zwłoki pierwszego strażnika. Milkną krzyki. Cichnie tupanie. Wszyscy więźniowie czekają, co będzie dalej. Sidorio pozwala Stukeleyowi i Johnny'emu D dokończyć ucztę, a potem unosi głowę i rozciąga w uśmiechu zakrwawione wargi.

- Słuchajcie wszyscy - mówi. - Jak pewnie się zorientowaliście, my... tak jak i wy... stoimy po niewłaściwej stronie. Przyszliśmy tu, żeby przejąć ten więzienny hulk i zmienić go w statek piracki. Jednak nie zwyczajny statek piratów, ale wampiratów. To znaczy wampirów, które są piratami. Czy to jest dla was zrozumiałe?

Nikt nie odpowiada. Więźniów zaczyna ogarniać lęk.

- Nic nie słyszę... - Sidorio ogląda się na Johnny'ego D.

- Johnny, nie słyszę swojej załogi.

Johnny wzrusza ramionami i spogląda wzdłuż rzędów zakratowanych cel.

- Kiedy wasz kapitan zadaje pytanie, oczekuje odpowiedzi - tłumaczy. - A właśnie was zapytał, czy nadążacie za jego tokiem myślenia. Na co należy odpowiedzieć „tak” albo „nie”, ale lepiej „tak”.

Po chwili odpowiada mu przytłumione chóralnie:

- Tak!

- Bardzo dobrze - chwali ich Johnny. - A teraz oddaję was kapitanowi. Aha, przy okazji, jestem jego zastępcą. No, jednym z kilku zastępców. Johnny D. I chętnie później poznam was jak należy.

- Jak już mówiłem - podejmuje Sidorio - w dniu dzisiejszym ten statek przestaje być więzieniem. Staje się statkiem wampiratów, a ja jestem jego kapitanem. A skoro to statek wampiratów, ważne, by wszyscy członkowie załogi byli wampirami.

Patrzy na Johnny'ego. Johnny podchodzi do schodów i pstryka palcami. Na ten znak czekające grupy wampirów zaczynają schodzić pod pokład.

- To moja załoga - informuje Sidorio.

Wampiry zaczynają się tłoczyć w głównym przejściu.

- Chodźcie tu wszyscy! - woła Sidorio. I znów unosi głowę. - Ale mam dla was dobrą wiadomość: nadal przyjmujemy chętnych. Tak, dla każdego z was znajdzie się miejsce w mojej załodze. Musimy tylko dopilnować, żeby został wampirem... Aha, i nie martwcie się, że jeszcze nie jesteście, ponieważ moja załoga przejdzie między wami i wkrótce się nimi staniecie.

Obraca się w miejscu. Minęły setki lat, odkąd ostatni raz przemawiał do tak licznej publiczności. Zastanawia się. Poprzednio tylu ludzi czekało na jego słowa na Cylicji, jeszcze przed Cezarem. Wtedy miał taką władzę. Bardzo dawno temu. Zbyt dawno temu. Ale teraz czekanie dobiegło końca.

Zwraca się do swoich poruczników.

- Na co czekacie? - Wskazuje na klucze w dłoni Johnny'ego. - Bierzmy się do roboty.

Johnny zsuwa klucze z łańcucha i część oddaje Stukeleyowi. Rozdają je wampirom i już wkrótce każdy ma klucz do jednej z numerowanych cel. Zaczynają wspinać się po ażurowych stopniach, by zakończyć swoją pierwszą misję.

Sidorio zostaje na dole w towarzystwie poruczników.

- Myślę, że będzie to bardzo skuteczne działanie rekrutacyjne - stwierdza. - Dobra robota, chłopcy.

Obejmuje obu ramionami.

- Czy nie powinniśmy wymyślić nazwy dla tego statku? - pyta Johnny D.

- Otóż to! - zgadza się Stukeley. - O tym samym myślałem.

- Wasz kapitan jest o krok przed wami - uśmiecha się Sidorio. - Witajcie na...

Ale straszny krzyk zagłusza jego słowa. Załoga dotarła do klatek. Rozpoczął się proces rekrutacji.

- Przepraszam, kapitanie, ale chyba nie usłyszałem - mówi Stukeley.

- Powiedziałem: „Cylicja”.

Stukeley i Johnny wymieniają spojrzenia.

- Co? Nie podoba się wam? - Sidorio wydaje się załamany.

- Nie to, że się nie podoba - tłumaczy Johnny D. - Tylko nie dość wyraźnie informuje, o co nam chodzi... Jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- To miejsce, skąd pochodzę - wyjaśnia Sidorio.

- I może na tym polega problem - mówi Johnny.

- Na oglądaniu się za siebie. Po co wspominać, skąd pan pochodzi? Może lepsza byłaby nazwa mówiąca, dokąd pan zmierza?

Sidorio się waha. Nie myślał o tym w taki sposób, ale chłopak ma wiele racji.

- Macie jakieś propozycje? - pyta.

Johnny D kręci głową.

- Nazwy fatalnie mi wychodzą...

- A ja mam pewien pomysł - oświadcza Stukeley.

- Mów - rzuca z ciekawością Sidorio. - Zamieniamy się w słuch.

Stukeley chrząka.

- Krwawy kapitan - oznajmia.

- Ładnie - przyznaje Johnny.

- Rozumiecie, jest taka piracka tradycja... - tłumaczy Stukeley. Ale Sidorio mu przerywa.

- Krwawy kapitan. Podoba mi się! Tak, niech tak będzie!

Rozdział 55

Kolekcjoner dusz

- Wezwałem was tutaj, żeby powiedzieć wam o kapitanie - oświadczył Mosh Zu, stojący pośrodku sali medytacji. Zwracał się do Grace, Darcy i Lorcana.

- Potrzebna mi wasza pomoc, żeby go uleczyć. Nie mamy wiele czasu. Zacząłem już przygotowania, ale chcę wam jak najlepiej wytłumaczyć, co spróbujemy zrobić i dlaczego. Kiedy go tutaj przywiozłaś, Darcy, kapitan był w bardzo złym stanie. Gdyby nie twoja szybka decyzja i odwaga, mógłby zginąć już na statku. Ale dopływając z nim tutaj, dałaś mu szansę. Udało mi się ustabilizować jego stan. Przez ostatnie dwie doby odpoczywał. Miałem nadzieję, że odpoczynek, w połączeniu z pewnymi łagodnymi metodami uzdrawiania, okaże się wystarczający. Niestety, tak się nie stało. Czas ostrożnego leczenia minął. Zamierzam spróbować czegoś bardziej radykalnego.

Odetchnął.

- Jak wszyscy wiecie, kapitan poświęcił się ludziom, często takim, którzy nie chcą pomóc sami sobie. Jakby nie potrafił z nich zrezygnować. Aż do końca. I dźwigając cudze ciężary, doprowadził swój organizm do wyczerpania.

Kolejno spojrział im w oczy, by się upewnić, czy rozumieją. Dopiero potem zaczął mówić dalej.

- Cała wasza trójka w różnym czasie zapoznała się z metodą uzdrawiania poprzez wstążki, którą tu praktykujemy. Pamiętacie, że podczas ceremonii wyciągam z cierpiącego wampira ból i przesyłam go do wstążki. Za każdym razem istnieje ryzyko, że sam wchłonę jego część. A wtedy może zostać we mnie uwięziony i bardzo trudno będzie go usunąć. Otóż przez długie lata kapitan pozwolił, by nagromadziło się w nim zbyt wiele cudzego nieszczęścia. I to mu ciąży. Jednakże dźwigał nie tylko ból ludzi. To znacznie poważniejszy problem. Jest tym, kogo nazywamy Nosicielem albo Kolekcjonerem Dusz. W pewnych wypadkach, kiedy usiłował kogoś ratować, nie tylko odbierał ból, ale wciągał także w siebie całą jego duszę. Można powiedzieć, że

był jakby statkiem na statku. To, że potrafi w sobie przechowywać dusze, jest dowodem jego wielkiej siły. Lecz normalnie powinno to być tylko rozwiązaniem tymczasowym, wykorzystywanym w sytuacjach ostatecznych. Po udzieleniu słabym duszom schronienia, po pewnym czasie powinien je uwolnić, by same nabrały sił. Ale kapitan gościł w sobie zbyt wiele dusz przez zbyt długi czas. Dlatego właśnie tak osłabł. Razem musimy postarać się uwolnić je z niego. Nie jest to zadanie proste ani bezpieczne. Ryzykujemy, że stracimy nie tylko te dusze, ale i samego kapitana.

- A jeśli nie podejmiemy ryzyka? - spytała Grace.

- Wtedy prawie na pewno stracimy i jego, i dusze.

- W takim razie nie mamy wyboru...

- Tak właśnie sędzę - zgodził się Mosh Zu. - Myślę, że musimy podjąć się leczenia i to natychmiast, bez dalszej zwłoki.

- No tak - powiedziała Darcy. - Ale czegoś nie rozumiem. Jak możemy pomóc?

- Być może największym niebezpieczeństwem jest to, że kapitan nie zechce uwolnić tych dusz - wyjaśnił Mosh Zu. - Zamierzam skupić przy nim osoby, o które najbardziej się troszczy i które najbardziej troszczą się o niego. Dopiero wtedy zdołam mu przekazać, że albo uwolni dusze, albo wraz z nimi odejdzie w nicość.

Rozdział 56

Pod maską

Otworzyły się drzwi. - Przygotowania zakończone - oznajmił Mosh Zu. - Zaczynamy. Skinął na Grace, Darcy i Lorcana. Kiedy przestąpili próg sali uzdrowień, w nozdrza Grace uderzył zapach wosku i rozsypanych na podłodze ziół. Sądząc po minach Lorcana i Darcy, zaszokował ich widok leżącego na stole kapitana. I chociaż Grace była tu już wcześniej, nadal przerażały ją jego słabość i bezruch.

Ale jesteśmy tu przecież, by go uleczyć, pomyślała. Razem przywrócimy go do zdrowia.

Te myśli dodały jej sił. Nie mogła się doczekać, by zacząć proces leczenia.

- Grace - odezwał się Mosh Zu. - Proszę, zajmij miejsce u jego stóp.

Grace bez wahania przeszła na koniec blatu i tam uklękła.

Mosh Zu zwrócił się do Darcy.

- Ty stań tutaj, przy jego prawej ręce - polecił. - A ty, Lorcanie, usiądź przy lewej.

Cała trójka zajęła wyznaczone pozycje. Mosh Zu podszedł do głowy kapitana. Grace obserwowała go z uwagą. Mówił, że ona także ma talent uzdrawiania - może pewnego dnia też pokieruje takim zabiegiem. To ekscytująca perspektywa, ale na razie starała się o tym nie myśleć. Skoncentrowała się wyłącznie na najbliższych zadaniach.

Zanim zaczęli, Mosh Zu raz jeszcze przemówił, cicho i rzeczowo.

- Zebraliśmy się tutaj z miłości i szacunku dla tego, który leży przed nami. Chcemy pomóc kapitanowi i zrobimy co w naszej mocy. - Popatrzył na nich kolejno. - Przybyliśmy tu z różnych światów, z różnych stron granicy życia i śmierci. Chcemy połączyć nasze niepowtarzalne doświadczenia, myśli i uczucia, zjednoczyć je i skupić energię na leczeniu. Możemy zaniepokoić się, a nawet przestraszyć tym, co zobaczymy w trakcie procesu, ale musimy pozostać nieugięci dla dobra tego, który tutaj leży, naszego drogiego kapitana.

Mosh Zu położył dłonie na głowie kapitana. Skinął na Grace, która wyciągnęła ręce i dotknęła czubków kapitańskich butów.

- Dobrze - szepnął Mosh Zu. - Wystarczy najłżejszy dotyk. Pozwólcie tylko, by wasza energia połączyła się z jego. - Zwrócił się do Darcy i Lorcana.

- Teraz wy.

Pochylili się i ujęli przeguby chorego. Mosh Zu skinął głową, po czym wsunął dłonie pod głowę kapitana. Zamknął oczy.

- Zaczynj uwalniać - powiedział cicho. - Zaczynj pozbywać się bólu, który ci ciąży.

Zamilkł i czekał, wciąż podtrzymując głowę kapitana. Pozostała trójka także podtrzymywała kontakt. I nagle Grace odebrała wstrząs, jakby kapitan ją kopnął. Spojrzała - jego stopy leżały nieruchomo jak kamienie.

A potem poczuła to znowu. Wrażenie było bardzo wyraźne.

- To dobry znak - stwierdził Mosh Zu. - Utrzymuj kontakt, Grace. Zaczyna się.

Darcy niespodziewanie poczuła, jakby z ręki kapitana przepłynął przez nią ładunek elektryczny. Uniosła głowę i spostrzegła, że Lorcan wygląda na równie zaskoczonego. I znowu Mosh Zu przytaknął, nie otwierając oczu.

- Wszyscy spisujecie się bardzo dobrze. Kontakt się utrzymuje. Będzie trudno, ale skoncentrujcie się na tym, żeby go nie zerwać. Trzymajcie kapitana w sercach, nie tylko rękami. Zachęcajcie, by zrzucił z siebie to brzemie.

Mosh Zu poprawił uchwyt. I niemal natychmiast Grace odebrała wrażenie, że kapitan wygina nogi, choć wcale się nie poruszył. Po twarzy Lorcana poznała, że czuje coś podobnego. Tak jak uprzedzał Mosh Zu, energie w ciele kapitana zaczynały się stabilizować. Coraz trudniej było utrzymać ręce na jego stopach, chociaż wiedziała, że to bardzo ważne. Nastąpił kolejny przepływ energii. Kapitan zaczął się szarpać. Grace zobaczyła, że Darcy i Lorcan mocniej chwytają go za ręce. Sama walczyła ciężko. Tamci pilnowali po jednej ręce, a ona dostała obie stopy, które poruszały się w przeciwnie strony. Robiło się coraz trudniej. Wpadała w panikę. Jeśli teraz nie wytrzyma, może przerwać jakiś ważny etap procesu uzdrawiania.

Nagle poczuła rękę na ramieniu. Ta ręka odsunęła ją na bok i chwyciła prawą stopę kapitana, pozwalając Grace oburącz trzymać lewą. Stopa nadal pulsowała energią, ale z jedną powinna dać sobie radę.

Po jakimś czasie przyzwyczała się do niezwykłych poruszeń, tym bardziej że stały się regularne, jak fale uderzające o brzeg.

Obejrzała się, by sprawdzić, kto przyszedł jej z pomocą. I ledwie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Connor! - zawołała.

Uśmiechnął się do niej.

- Wygląda na to, że przybyłem w samą porę - szepnął.

Grace zachłysnęła się ze zdumienia. Tak wiele chciała mu powiedzieć, o tak wiele zapytać... Ale chwila nie była odpowiednia. Za to obecność Connora przy niej wydawała się taka... właściwa. Zerknęła na Mosh Zu - zastanowiła się, czy to on sprowadził tu Connora. Guru z uśmiechem skinął jej głową.

Czy to z powodu interwencji Connora, czy postępów leczenia, które wspólnie prowadzili, ruchy kapitana osłabły.

- Czujecie zmianę? - zapytał Mosh Zu.

- Tak - odparł cichym głosem Lorcan.

- Ja też - potwierdziła Darcy.

- Całkiem jakby w jego wnętrzu falował ocean - zauważyła Grace.

- Rzeczywiście. - Mosh Zu uśmiechnął się lekko.

- Nie myślałem o tym w taki sposób, ale masz rację. - Odczekał chwilę. - Dobrze, teraz już mu lepiej. Możecie przestać go dotykać. Po kolei. Pierwszy Lorcan.

Lorcan wypuścił rękę kapitana. Pozostała nieruchoma.

- Teraz ty, Darcy.

Darcy również się wycofała, choć z ociąganiem.

Obie ręce kapitana spoczywały wyciągnięte na boki, jakby unosił się na powierzchni silnie zasolonego morza.

- Teraz Connor.

Connor zabrał dłonie z kapitańskiej stopy.

- I ty, Grace.

Grace wypuściła drugą stopę kapitana i na kolanach odchyliła się w tył. Po czym chwyciła za rękę Connora, jakby chciała się upewnić, że naprawdę tu jest.

W końcu Mosh Zu także odstąpił.

- Możesz pozbyć się swego brzemienia - powiedział. - Poczuj, jak lekki się stajesz.

Na te słowa kapitan zaczął wznosić się w powietrze; peleryna spływała pod nim, falowała wokół ciała i jarzyła się słabym blaskiem. Ciało znieruchomiło półtora metra nad blatem, unoszone w kręgu stworzonym przez pozostałych obecnych. Grace, Darcy, Lorcan i Connor patrzyli zdumieni na to niezwykle zjawisko. Żadne z nich nie wiedziało, ile minęło czasu, gdy Mosh Zu się odezwał.

- Dobrze - stwierdził. - Wszystko się uspokoiło. Możemy zaczynać.

Zaczynać? Grace nie wierzyła własnym uszom. Wydawało jej się, że leczenie jest już prawie skończone. Co miał na myśli, mówiąc „zaczynać”?

- Pora uwolnić ten ciężar - rzekł Mosh Zu, patrząc na ciało kapitana. - Od tak dawna nosisz cierpienie innych. Przejąłeś ich ból, aby ich uleczyć, ale teraz nie masz już nic, co mógłbyś im ofiarować. Musisz uwolnić ich ból. A kiedy to uczynisz, ciężar spoczywający na tobie, ciężar w twoim wnętrzu, uniesie się znowu.

Grace spostrzegła, że w miarę przemowy Mosh Zu żyłki w pelerynie kapitana rozpalają się coraz jaśniej.

- Dalej - rzekł guru. - Czas zdjąć maskę.

Gestem wezwał do siebie pozostałych.

- Tu są trzy klamry. Lorcanie, podejdź i rozepnij pierwszą z nich.

Nikt nie musiał przypominać Grace, że maska przymocowana jest w trzech punktach, a paski łączy z tyłu głowy srebrna brosza w kształcie anielskich skrzydeł. Tyle razy chciała, by rozpiął te paski i pokazał jej ukryte pod maską oblicze. Teraz miało się to zdarzyć naprawdę. Wreszcie stanie twarzą w twarz z kapitanem wampiratów. Wreszcie będzie mogła go rzeczywiście poznać. Szkoda, że nie nastąpiło to w innych, mniej dramatycznych okolicznościach, pomyślała ze smutkiem.

Lorcan podszedł i pozwolił, by guru przesunął jego dłoń w odpowiednie miejsce.

- Wystarczy, że dotkniesz paska - wyjaśnił.

Lorcan wykonał polecenie, a Mosh Zu zaczął śpiewać monotonie:

Jak kwiat rozkwitający w słońcu,

Otwórz się i uwolnij!

Jak chmura wypuszczająca deszcz,

Otwórz się i uwolnij!

Gdy skończył, odpięła się pierwsza klamra i pasek odpłynął w bok.

- Dziękuję, Lorcanie. Teraz ty, Darcy. Chodź, pomożesz przy drugiej.

Darcy podeszła trochę wystraszona.

- Dotknij paska - poinstruował Mosh Zu.

Tak zrobiła, a on znowu zaśpiewał:

Jak muszla wyrzucająca perłę,

Otwórz się i uwolnij!

Jak poczwarka wyzwajająca motyla,

Otwórz się i uwolnij!

I znowu pasek odpiął się i odpłynął w bok.

- Brawo, Darcy - uśmiechnął się Mosh Zu. - A teraz, Grace, ostatni pasek został dla ciebie.

Connor zachęcająco ucisnął jej dłoń i cofnął rękę. Podeszła do Mosh Zu. Jej serce biło szybko i niecierpliwie. Czekala na tę chwilę od pierwszego spotkania z kapitanem wampiratów. Teraz jednak głęboką fascynację tłumilo pragnienie, by te działania pomogły, by go uleczyły.

Sięgnęła do ostatniego paska. Mosh Zu zaśpiewał po raz trzeci.

Jak usta, z których ulatuje śmiech,

Otwórz się i uwolnij!

Jak wszystkie rzeczy, duże i małe,

Otwórz się i uwolnij!

Otwórz się i uwolnij!

Otwórz się i uwolnij!

Usłyszała, jak klamra się otwiera. Skrzydła na pasku zatrzepotały delikatnie jak skrzydła motyla. Maską wleciała nad wyprostowane ciało kapitana, coraz wyżej, aż pod sufit. Nikt nie patrzył, dokąd poleciała. Wszyscy spoglądali niżej. I żadne nie potrafiło uwierzyć w to, co widzi.

- Nie rozumiem - oświadczyła Grace.

- Ja też nie - przyznał Lorcan. - Czy to jakaś sztuczka?

Głos Mosh Zu był spokojny i cichy.

- To nie jest sztuczka. Obserwujcie. Nie próbujcie zrozumieć.

Serce Grace biło szybciej niż kiedykolwiek. A równocześnie czuła, że ogarnia ją chłód. Ciało kapitana opadało powoli, ale nie miało twarzy. Nie miało głowy.

Pod maską nie było niczego.

Rozdział 57

Spotkanie

- Tam nic nie ma - powiedziała Grace. - Patrz umysłem - doradził Mosh Zu. - Nie oczami. Wszyscy spojrzeli w miejsce nad barkami kapitana. Nadal widzieli tam bardzo wyraźną nieobecność czegokolwiek. Mogli zobaczyć cienką poduszkę, którą kapitan miał pod głową. Ala patrząc w dół, Grace uświadomiła sobie, że nie widzi desek podłogi. Przesłaniała je gruba warstwa dymu. Z początku pomyślała, że to któraś ze świec przewróciła się i zapaliła obicie ściany. Nie czuła jednak dymu, póki nie rozjarzył się od pożaru. Jeśli już, to zrobiło się raczej chłodniej. Dym gęstniał i Grace zrozumiała, że to nie dym, ale mgła. Spojrzała na Connora - wpatrywał się w nią oszołomiony. Uśmiechnęła się słabo w nadziei, że doda mu odwagi, choć sama też nie wiedziała, co się wydarzy.

Mgła uniosła się do poziomu ciała kapitana, ale nie wyżej. Zamiast tego zgęstniała jeszcze bardziej i zyskała wyraźną powierzchnię - przetaczała się tam i z powrotem, jak fale przy brzegu. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, zdawało się, że kapitan unosi się na niej.

Grace spojrzała na Mosh Zu. Oczy miał zamknięte i znów zaczął swój śpiew:

Jak kwiat rozkwitający w słońcu...

Jak chmura wypuszczająca deszcz...

Jak muszla wyrzucająca perłę...

Poczuła, że ogarnia ją drżenie. Connor podszedł i stanął obok, delikatnie kładąc dłoń na jej ramieniu. Grace raz jeszcze popatrzyła w dół, na kapitana - i wstrzymała oddech.

Tam, gdzie do tej chwili nie było niczego, zaczęła formować się twarz. Z początku zaznaczył się ledwie kontur, ale z wolna zaczął się wypełniać, jakby wynurzał się z mgły. Grace patrzyła oszołomiona - tę twarz już wcześniej widziała.

Gdy rysy poczęły się wyostrić, wróciła pamięcią do pierwszego spotkania z kapitanem wampiratów. Rozmawiając, miała wizję męskiej twarzy z czerwoną blizną na brązowej skórze.

To była ta twarz. Kapitan pogratulował jej wtedy, że potrafi zajrzeć pod maskę. Teraz, po tak długiej podróży, maska zniknęła i twarz stała się wreszcie widzialna.

- To on - szepnęła. - To kapitan.

Connor patrzył zdumiony. Lorcan stał nieruchomo. Mosh Zu nie otwierał oczu i ciągle śpiewał:

Jak poczwarka wyzwajająca motyla...

Jak usta, z których ulatuje śmiech...

- Patrz - szepnął jej do ucha Connor. I nagle twarz zaczęła się wznosić - a za nią ciało. Mężczyzna wynurzył się ze znajomej zbroi kapitana. Ubrany był w poplamione, wystrzępione łachmany. Popatrzył na Grace.

- Witaj - rzuciła z uśmiechem.

Poczuła łyzy na twarzy. W pokoju zdarzyło się coś niezwykłego. Całkiem jakby narodziło się dziecko.

Mężczyzna patrzył na nią, ale się nie uśmiechał. Raczej kulił się załękniony.

- Co się stało? - zdziwiła się Grace. - Całkiem jakby się bał. Czy już mnie nie zna?

Mosh Zu pokręcił głową.

- On naprawdę cię nie zna. To nie jest kapitan.

- Co? Nie rozumiem...

- Czekaj - uspokajał Mosh Zu. - Czekaj i patrz.

Oszołomiona Grace spoglądała, jak mężczyzna odstał od skorupy ciała kapitana i odszedł przez mgłę.

- Znowu coś się dzieje - szepnął Connor.

Wszyscy zobaczyli, że w pustce nad ramionami kapitana zaczyna się formować druga twarz. Kiedy jej rysy stały się wyraźne, przekonali się, że należy do kobiety, z wyglądu starej i kruchej. Rozglądała się dookoła. Trudno ocenić, czy patrzyła na nich, czy poprzez nich. Po chwili także wstała, jakby odrzuciła kołdrę na łóżku; wyszła z ciała kapitana i ruszyła przez mgłę.

- Kim oni są? - zapytał Connor, gdy zaczęła się rysować trzecia twarz.

- To zagubione dusze - szepnęła Grace. Nagle zrozumiała. - Kapitan nosił je w sobie. Muszą być uwolnione.

Mosh Zu przytaknął, ani na chwilę nie przerywając śpiewu.

Trzecia dusza - należąca do młodego mężczyzny - także powstała. Przyglądali się wszyscy, jak z kapitana wylaniają się czwarta i piąta.

- Jak wiele jeszcze? - spytała Grace.

Ogarniały ją głębokie emocje, po policzkach spływały łzy. Spoglądali w milczeniu, jak szósta, siódma, ósma i dziewiąta postać budzą się z głębin „snu”, przecierają oczy, rozglądają się i odchodzą.

Przez cały czas ciało kapitana unosiło się na powierzchni mgły, a Mosh Zu śpiewał głosem nieodmiennie silnym i melodyjnym.

Grace spostrzegła, że uwolnione dusze ustawiają się w kręgu. Kolejno dołączały do nich następne.

Czy oni przeżyją, zastanowiła się. Czy to prawdziwi ludzie? A może tylko duchy? Czy przetrwają po wyjściu z kapitana?

Miała wielką ochotę zapytać o to Mosh Zu, ale nie chciała przeszkadzać mu w śpiewie.

Widząc jej ekscytację, Connor przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. Zrozumiała, że nie ona jedna doświadcza tak potężnych emocji. Darcy i Lorcan także płakali, trzymając się mocno za ręce.

Patrzyli, jak przed nimi formuje się kolejna twarz. Należała do młodej kobiety. Grace odgadła, że będzie piękna, gdy tylko w powietrzu zaczęły majaczyć pierwsze linie nosa i kości policzkowych. Skórę miała bladą i trochę piegowaną. Wokół twarzy pojawiły się kasztanowe włosy do ramion, poruszane lekką bryzą. I wreszcie otworzyła oczy, a Grace wstrzymała oddech. W tej samej chwili Lorcan syknął głośno. Grace poczuła, że Connor mocniej ją obejmuje.

Kobieta miała oczy w kolorze głębokiej szmaragdowej zieleni.

Kiedy uniosła głowę, w końcu Mosh Zu przemówił.

- Ona jest ostatnia - oświadczył i odstąpił, wyraźnie wyczerpany swym dziełem.

Grace zerknęła na Connora. On także patrzył na kobietę jak sparaliżowany. Siedziała teraz, odgarniając za uszy niesforne kosmyki włosów. Mrugała niespokojnie, rozglądając się w nowym otoczeniu.

Grace nie mogła się dłużej powstrzymać. Przemówiła wprost do kobiety.

- Tutaj! - rzekła.

Kobieta nie zareagowała od razu. Zdawało się, że odgradza ją jakaś zaporą i tylko niewyraźnie może ich widzieć i słyszeć. Ale wreszcie odwróciła głowę i spojrzała na Grace i Connora.

Grace płakała. Connor z niedowierzaniem kręcił głową.

Kobieta wstała. Nie może przecież odejść we mgłę, jak tamci, myślała Grace. Nie może nas zostawić.

Ale kobieta nigdzie się nie wybierała. Wydawało się, że z każdą chwilą nabiera więcej życia i energii. Wreszcie wstała, ale zamiast odejść, ruszyła w ich stronę. Jej szmaragdowe oczy błyszczały od łez, ale były to łzy szczęścia. Wyciągnęła rękę do Grace.

- Mamo! - zawołała dziewczyna. Nie mogła powstrzymać tego słowa. - Mamo, to ty, prawda?

Kobieta potwierdziła ruchem głowy, a Grace podbiegła i objęła ją. Ze zdziwieniem odkryła, że dotyka żywego, ciepłego ciała. A potem poczuła na czole muśnięcie warg - kobieta ją pocałowała.

- Mamo! - powtórzyła Grace.

- Nie masz pojęcia, jak długo czekałam, by to usłyszeć, Grace.

Głos kobiety był ciepły i delikatny.

- Mamo! Mamo! Mamo! - wołała wzruszona Grace. Miała ochotę wypowiadać to ciągle, za wszystkie chwile, kiedy myślała o matce, marzyła, by znajdowała się przy niej w latarni. Te chwile, kiedy śniła o niej, budziła się i nie odkrywała nawet śladu jej obecności.

Kobieta uścisnęła ją i pocałowała znowu, a potem wyciągnęła rękę do syna.

- Connor...

Najpierw się wahał, ale po chwili porzucił wszelkie wątpliwości. Podbiegł i objął ramionami matkę i Grace, aż stali się jedną cielesną całością.

Nie wypuszczając dzieci z objęć, kobieta uniosła głowę. Grace zauważyła, że Lorcan obserwuje ich w skupieniu.

- Witaj, Sally - odezwał się wreszcie.

Grace się zdumiała. Skąd znał imię ich matki? Spoglądała to na Lorcana, to na matkę. Uśmiechali się do siebie - a ten uśmiech mówił o głębokiej przyjaźni, może czymś więcej.

- Dobrze cię znowu widzieć, Sally - rzekł Lorcan.

- I ciebie, Lorcanie - odpowiedziała. - Dziękuję ci. Dziękuję, że tak dobrze się opiekowałeś moimi dziećmi.

Grace spostrzegła, że Connor również spogląda zdziwiony na matkę i Lorcaną.

I nagle przypomniała sobie o innych. Rozejrzała się po pokoju, szukając Mosh Zu i Darcy... Nie znalazła ich. Zniknęły też wszystkie uwolnione dusze. Obok, widoczny w rzednącej mgle, stał stół, na którym leżał kapitan. Jednak po nim także nie pozostało ani śladu. Zniknęła nawet poduszka. Gdzie oni się podziali? Co się tu dzieje?

Dowie się niedługo, uznała. Ścisnęła mocno matkę i brata; po chwili dołączył do nich Lorcan. Cała czwórka znieruchomiała, trzymając się za ręce, a Grace doznała doskonałego spokoju. Wiedziała, że nie potrwa długo. Może nawet jest tylko snem... Ale jakkolwiek byłby ulotny, nie dbała o to. Na tę chwilę czekała przez całe życie i nic, nic nie mogło jej zakłócić.